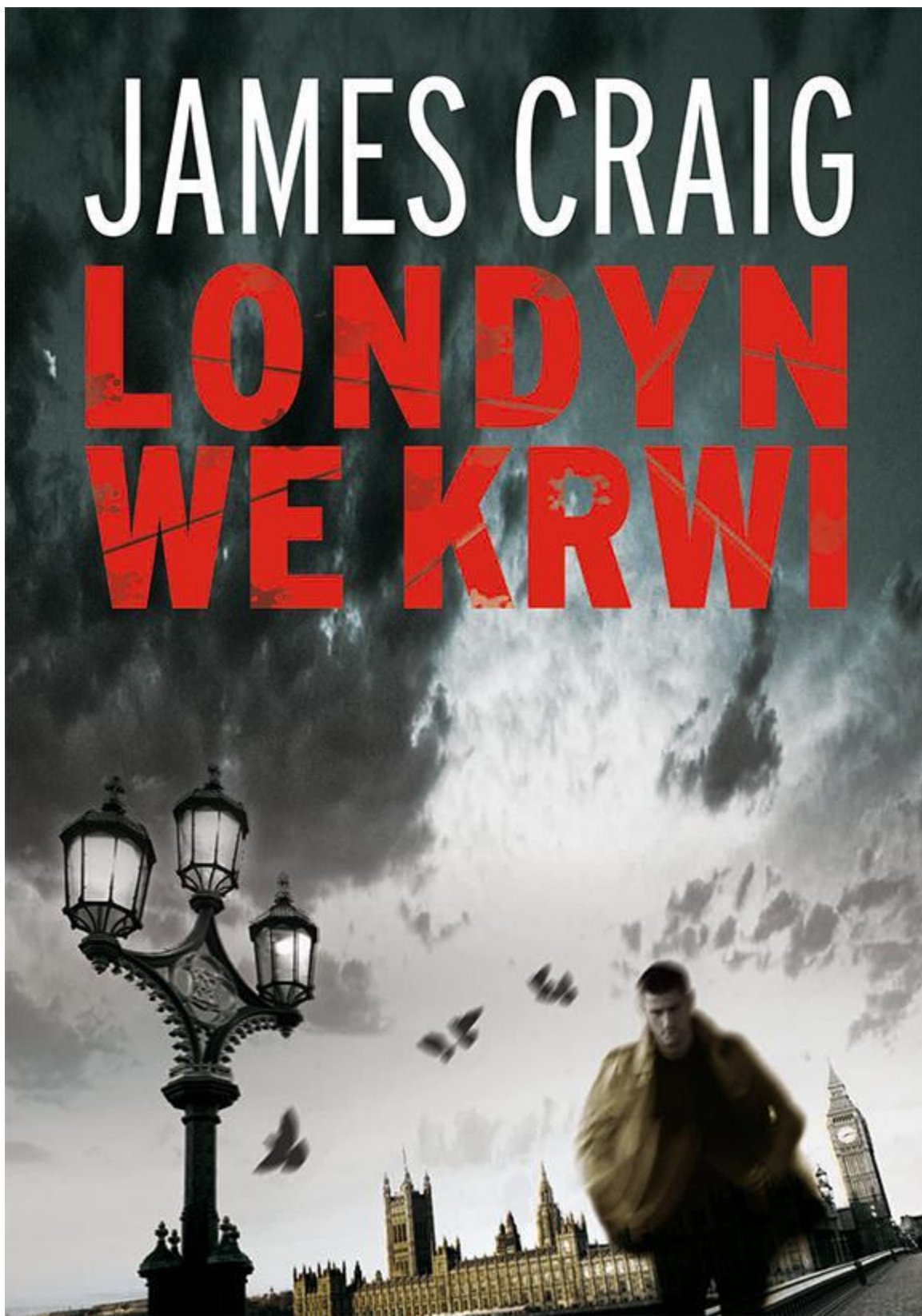


JAMES CRAIG

LONDYN
WE KRWI



JAMES CRAIG

LONDYN WE KRWI

Tytuł oryginału: *London Calling*

Tam, gdzie nie ma rozgłosu, nie ma i sprawiedliwości. Jeremy Bentham
Wszyscy ludzie zmieniają poglądy jak płaszcze. Gdyby dziś przyleciał tu Hitler, i tak przysłałiby mu limuzynę. The Clash, *White Man in Hammersmith Palais*

Postaci

John Carlyle – inspektor, policja metropolitalna, Londyn

Helen Jane Kennedy – żona Carlyle’a

Alice Helen Kennedy Carlyle – córka Carlyle’a

Carole Simpson – komisarz, szefowa Carlyle’a

Joseph Leon (Joe) Szyszkowski – sierżant, pomocnik Carlyle’a

Dave Prentice – sierżant, pracownik komisariatu policji Charing Cross Station

Edgar Carlton – poseł, lider opozycji

Xavier Carlton – poseł, minister spraw zagranicznych w gabinecie cieni

Christian Holyrod – burmistrz Londynu

William Murray – specjalny doradca Edgara Carltona

Yulexis Monagas – niania/kochanka Xaviera

Alex Miles – konsjerż w hotelu Garden

Marcello Aversa – właściciel kawiarni Ill Buffone

Rosanna Snowdon – dziennikarka BBC

Joshua Hunt – mąż komisarz Carole Simpson

Robert Ashton (Ikar)

Susy Ahl – dziewczyna Ashtona

Walter Poonosamy alias Pies – miejscowy pijaczek

Dominic Silver – handlarz narkotyków

Członkowie Klubu Merrion: George Dellal, Ian Blake, Nicholas Hogarth, Edgar Carlton, Xavier Carlton, Christian Holyrod, Harry Allen i Sebastian Lloyd

Powłócząc nogami, George wszedł do maleńkiej kuchni swojej kawalerki w Tufnell Park na północy Londynu, otworzył górną szafkę i wyjął z niej puszkę taniej gotowanej fasoli. Otworzył ją i wlał połowę zawartości do małego garnka stojącego na kuchence. Resztę schował do lodówki, w której oprócz puszkę był tylko karton mleka i kilka butelek piwa Red Stripe, kupionych na promocji w miejscowym markecie. Sięgnął po zapalki leżące na blacie, zapalił gaz i zaczął mieszać. Kiedy uznał, że fasolka wkrótce będzie ciepła, wyjął z opakowania dwie ostatnie kromki białego chleba i wsunął je ostrożnie do wysłużonego tostera. Włączył go i natychmiast cofnął się o krok w obawie, że wiekowa maszyna lada moment wybuchnie. Spojrzał na kuchenkę, choć co chwila zerkał również na toster. Wiedział, że źle sobie radzi z kilkoma zadaniami naraz i że często zdarza mu się przy takiej okazji coś przypalić. To było naprawdę stresujące. Znowu zamieszał fasolkę i spróbował. Zalewa ładnie bulgotała, ale sama fasola była jeszcze zimna. Postanowił wyjąć tosty. Chleb ledwo się przyrumienił, ale George pomyślał, że lepsze to niż zbyt długie czekanie i kromki spalone na węgiel. „Lepiej dmuchać na zimne” było jego życiowym mottem – przynajmniej od jakiegoś czasu.

Zadowolony, że teraz będzie mógł się skupić wyłącznie na garnku, George wyraźnie się rozluźnił. Mieszając fasolę, wsłuchiwał się w pomruk miasta. Lubił słuchać.

Tego wieczoru, oprócz nieustającego szumu ruchu ulicznego, słyszał też telewizor z mieszkania niżej. Po chwili doleciał również odgłos kroków na schodach. Słyszał, jak ktoś zatrzymuje się przed jego drzwiami. Po kilku sekundach rozległ się dzwonek, ostry i natarczywy.

George nie zareagował. Nie miał pojęcia, dlaczego ktoś chciałby dzwonić do jego drzwi. Kiedy to ostatnio miał gościa? Ignorując dzwonek, ostrożnie wybrał ziarno fasoli i położył je na języku – wciąż nie dość ciepłe.

Znów zabrzączał dzwonek. George zawahał się na moment. Może jednak powinien sprawdzić kto to? Czy zdąży otworzyć drzwi i nie przypalić fasolki? Zirytował się, że w ogóle bierze to pod uwagę. Dlaczego miałby to robić? To na pewno jakiś akwizytor albo sprzedawca, który chce namówić go na zmianę dostawcy prądu czy coś w tym rodzaju.

Położył chleb na prawie czystym talerzu, zastanawiając się, czy powinien posmarować go masłem. Ponownie rozległ się dzwonek, tym razem dłużej, jakby człowiek za drzwiami był pewny, że ktoś jest w domu.

– Spadaj! – syknął George, po raz ostatni mieszając fasolę. Zgasił gaz, zdecydował, że zrezygnuje z masła, i wylał fasolkę prosto na chleb. Potem wstawił pusty garnek do zlewu i napełnił go do połowy wodą.

Szukał właśnie noża i widelca, gdy dzwonek zabrzączał kilka razy z rzędu, jakby chciał powiedzieć: „No chodź, otwórz te cholerne drzwi, nie masz wyjścia”.

– Dobrze, już dobrze, idę.

George zostawił kolację i powłókł się do maleńkiego przedpokoju. Z przyzwyczajenia najpierw spojrzął przez judasza. Nikogo. Typowe, pomyślał. Cholerne dzieciaki. Czekają teraz pewnie piętro wyżej, przekonane, że to naprawdę świetny dowcip. Westchnął ciężko i odwrócił się od drzwi. Nie zrobił nawet kroku, gdy dzwonek zabrzmiał znowu, tym razem głośniej, tuż nad jego głową.

– Poczekajcie tylko, gówniarze, już ja wam dam... – Odwrócił się na pięcie, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz, a jego broda spotkała się z pięścią, która już tam na niego czekała.

George ocknął się z paskudnym posmakiem w ustach i bólem głowy, który niemal doprowadzał go do płaczu. Siedział w salonie, z rękami i nogami przywiązany do jedynego

krzesła w jego mieszkaniu. Ktoś również owinął taśmą jego klatkę piersiową, a także oparcie krzesła, by mieć pewność, że nie zdoła się poruszyć. Tą samą taśmą zakleił George'owi usta. Zrozumiał, że nawet firmy użyteczności publicznej nie posunęłyby się do takich metod, by zyskać nowych klientów, wpadł w panikę. Zaczął gryźć taśmę i rozpaczliwie próbował podnieść się z krzesła.

– Spokojnie, spokojnie – przemówił ktoś cichym, kojącym głosem. – Staraj się oddychać miarowo.

Jednak widok dłoni spoczywającej na jego ramieniu wcale nie uspokoił George'a. Była w gumowej rękawiczce, podobnej do tych, jakie noszą lekarze, lub jakie na filmach zakładają mordercy tuż przed tym, nim zmasakrują swoje ofiary.

George odetchnął głęboko kilka razy i zauważył na stoliku do kawy talerz z resztkami kolacji. Głód ścisnął mu żołądek, choć teraz jedzenie było najmniejszym z jego zmartwień. Obok talerza leżał duży kuchenny nóż z ząbkowanym ostrzem. George wiedział, że to narzędzie nie pochodzi z jego kuchni. W chwili mrozącego krew w żyłach olśnienia zrozumiał, że nikt nie przynosi ze sobą noża, jeśli nie zamierza go użyć.

Pokręcił głową i zaczął płakać. Po jego policzkach i taśmie zakrywającej usta płynęły duże łzy. Czy to już naprawdę koniec? Czas minął tak szybko, a on go zmarnował. W jego życiu nie zdarzyło się nic na tyle ciekawego, by mogło mu to teraz przemknąć przed oczami. Widział raczej krótką, powtarzającą się sekwencję, niczym zapowiedź filmu, który zwiastuje tylko rozczarowanie.

– Weź się w garść – powiedział głos.

George pociągnął nosem. Słyszał pobrzękiwanie garnków w kuchni za ścianą. Para młodych Azjatów. Ich głosy, śmiech. Nie wiedział, jak się nazywają, ale spotkał ich kilka razy na klatce schodowej i pozdrowił skinieniem głowy. Parę razy słyszał przez cienką ścianę, jak się kochają. Raz nawet zwałił konia w rytm cichych pojękiwań kobiety. To był najlepszy seks, jaki przytrafił mu się od długiego czasu. Wspomnienie tamtej nocy rozgrzało jego krocze, obudziło w nim resztki woli walki. Zaczął kołysać się na krześle do przodu i do tyłu, próbował krzyczeć przez taśmę, jednak z jego ust wydobył się tylko przytłumiony jęk, podobny do tego, który słyszał kiedyś za ścianą.

– Dość. – Dłoń w rękawiczce znów spoczęła na jego ramieniu. – Nie męcz się.

George potulnie skinął głową.

Po chwili nieznamy znów przemówił:

– Widzę, że mieszkasz bardzo skromnie, George. Takie wykształcenie. Tyle pieniędzy. Tyle okazji. I te przywileje... Jak to się stało, że tak skończyłeś?

George wzruszył ramionami. Musiał wydmuchać nos. Sam zastanawiał się nad tym wiele razy.

Ręka sięgnęła po nóż. George czuł, że zbiera mu się na wymioty. Czubek ostrza poślaskotał go w kark.

– Wiesz, dlaczego tu jestem?

George pokiwał głową.

– Wiesz, co zrobię?

George znów próbował krzyczeć.

Ostrze pojawiło się przy jego policzku, odbijało się w nim światło sześćdziesięciowatowej żarówki wiszącej pod sufitem.

– Mogę to zrobić, kiedy będziesz już martwy albo kiedy będziesz jeszcze żywy, ale proponowałbym to pierwsze.

Gość George'a wreszcie przed nim stanął i przytknął mu czubek ostrza do nosa. George zrobił zeza, próbując skupić wzrok na nożu. Ostrze odsunęło się o kilkanaście centymetrów od jego twarzy, by mu to ułatwić.

– Masz wybór. Nie jestem sadystą. W odróżnieniu od ciebie.

George otworzył szeroko oczy i gwałtownie pokręcił głową. Oprócz gumowych rękawiczek nieproszony gość miał na sobie przezroczysty foliowy płaszcz podobny do tych, jakie kupują turyści, gdy zaskoczy ich deszcz. Sięgał do samej podłogi i wyglądał absurdalnie.

– Och, teraz byś to powiedział. Ale wtedy... kiedy miałeś okazję...

George poczuł, jak coś naciska na jego ciało, potem przebija skórę i sięga aż do żebra. Zawył z bólu, lecz dźwięk, który wydobył się z jego ust, brzmiał jak postękiwanie człowieka cierpiącego na zatwardzenie.

– Im bardziej będziesz mi to utrudniał, tym gorzej na tym wyjdiesz. Nie mam w tym wprawy, ale chyba uda mi się poderżnąć ci szybko gardło. Nie ruszaj się...

George próbował odetchnąć głęboko, obserwując, jak nóż znika pod jego brodą. Wciąż patrząc w dół, usłyszał, jak coś uderza w płaszcz zabójcy. Znow zobaczył nóż, ale teraz jego głowa spoczywała nieruchomo na piersiach, jakby nie mógł oderwać wzroku od krwi, która wypełniła talerz z kolacją.

2

Inspektor John Carlyle z policji metropolitalnej rzucił magazyn „Vouge” na stolik kawowy i ziewnął. W rogu pochrapywał cicho jego podwładny, sierżant Joe Szyszkowski. Nad głową Joego, na ekranie dużego telewizora, dziennikarz stojący przed pałacem Buckingham mówił, że prawdopodobnie premier wkrótce ogłosi od dawna oczekiwane wybory. Na świecie dzieje się tyle ważnych rzeczy, a on siedzi w prywatnej klinice przy Harley Street i czeka, aż jakiś włoski konował skończy liposukcję brzucha.

– Jak długo to potrwa? – spytał, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Skwaszona recepcjonistka podniosła wzrok znad komputera i spojrzała na niego z irytacją. Obecność policjantów w recepcji kliniki z pewnością nikomu nie poprawiała humoru, nie mówiąc o tym, że recepcjonistka nie mogła przy nich gadać przez telefon z koleżankami i przeglądać Facebooka.

– Doktor powiedział, że pan Boninsegna powinien się wybudzić za kilka minut – powiedziała powoli, jakby rozmawiała z wyjątkowo nierozgarniętym dzieckiem, któremu trzeba wszystko powtarzać kilka razy. – Da panom znać, gdy tylko pacjent zacznie odzyskiwać przytomność.

– Jest pani bardzo uprzejma. Dziękuję. – Komisarz Edmondo Valcareggi z włoskiej policji uśmiechnął się do dziewczyny jak wilk przyglądający się owieczce, którą zamierza zjeść.

Ty stary capie, pomyślał cierpko Carlyle, jesteś pewnie starszy nawet ode mnie. Opieka nad tym starym lubieżnikiem z Rzymu była wyjątkowo niewdzięcznym zajęciem. Obdarzony bujnymi siwymi włosami i ostrymi rysami twarzy Valcareggi wyglądał jak postać z reklamy Ralphi Laurena. Nosił eleganckie ubranie, które kosztowało zapewne co najmniej kilka pensji Carlyle'a. Ciekawe, ile zarabiają włoscy policjanci?

– Jest pan pewny, że ten człowiek za drzwiami to naprawdę Ferruccio Pozzo? – spytał po raz nie wiadomo który. Mężczyzna, który dochodził do siebie po operacji, używał nazwiska Furio Boninsegna.

Valcareggi uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Nie ma co do tego wątpliwości. Jesteśmy pewni. Przeszedł operację plastyczną i

podróżuje z fałszywym paszportem, oczywiście...

– Oczywiście – wtrącił Joe, który przed chwilą się obudził i nalewał sobie kawy z dzbanka stojącego przy recepcji. Upił łyk i uśmiechnął się do recepcjonistki, która ostentacyjnie go zlekceważyła. Sierżant wzruszył ramionami i wrócił na kanapę obok Carlyle'a.

– ...ale mamy wyniki badań DNA – ciągnął Valcareggi. – To na pewno ten sam człowiek. I warto na niego zapolować. Ma kontakty z klanami kalabryjskiej 'Ndranghety. Ucieka od prawie dwóch lat. To jego druga liposukcja. Za pierwszym razem, w klinice w Nicei, prawie go złapaliśmy, ale wyszedł stamtąd godzinę przed naszym przyjazdem.

– Zdarza się. – Joe pokiwał ze współczuciem głową.

– Ale tym razem go dopadniemy. – Valcareggi się rozpromienił. – Bez problemu.

– Środki znieczulające zawsze ich spowalniają – zażartował Carlyle. – Nie wiem, dlaczego nie używamy ich częściej.

Wziął ze stolika kolejne czasopismo i przerzucał bezwiednie kartki, aż natrafił na duże zdjęcie dwóch dobrze ubranych mężczyzn wchodzących w wiek średni, którzy uśmiechali się od ucha do ucha, jakby zdobyli olimpijskie złoto, wygrali dziesięć milionów dolarów i przelecieli Scarlett Johansson, a to wszystko tego samego dnia.

Napis na zdjęciu głosił: *LEPSI OD CIEBIE I WIEDZĄ O TYM.*

Dupki, pomyślał Carlyle, ale zabrał się do czytania.

ZŁOCI BLIŹNIACY WKRAZAJĄ NA SCENĘ Bracia Carlton wkrótce będą rządzili krajem. Eamonn Foinhaven pisze o nowojarystokracji politycznej. Jeden znany jest jako Słoneczny Król, a drugi jako Mroczny Księżę. Nadano im te przezwiska, gdy przewędrowali z boisk Eton College, uznanej od wieków kuźni przywódców, poprzez Uniwersytet w Cambridge do Izby Gmin, a wkrótce do samych bram władzy przy Downing Street 10! Choć w Westminsterze uważa się, że to Edgar Carlton jest przyszłym premierem – prawdopodobieństwo, iż zajmie to stanowisko, rośnie z każdym dniem oraz z każdą kolejną gafą i błędem obecnego szefa rządu – jego młodszy (o dwie minuty) brat Xavier wcale nie kryje się w jego cieniu. Klasa polityczna jest zgodna co do tego, że Edgar ma wszelkie cechy konieczne do objęcia tak ważnego stanowiska: urok, siłę i ochotę do pracy. Xavier, jak można przeczytać w rubrykach plotkarskich i protokołach posiedzeń parlamentarnych, ma mniej zwolenników. Mianowany już przez brata ministrem spraw zagranicznych w gabinecie cieni, Xavier jest coraz bardziej pewny, że będzie miał okazję udowodnić wszystkim niedowiarkom, jak bardzo się mylili. Mówi się nawet, że bliźniacy zawarli tajne porozumienie, zgodnie z którym Edgar wymieni się z Xavierem na stanowisku premiera, gdy będą już pewni wygranej w następnej kadencji. Carltonowie doskonale pasują do nastrojów i potrzeb współczesności, narastającego pragnienia prostego uroku. Dobrze znamy historię ich życia: są synami wielokrotnie opisywanego związku Hamisi Michuki, kenijskiej modelki, która szturmem zdobyła kręgi towarzyskie Londynu lat sześćdziesiątych, oraz sir Sidneya Carltona, rozpustnego magnata, który na początku lat sześćdziesiątych zajmował w kolejnych rządach stanowisko ministra skarbu, dopóki jego kariery nie przerwała niefortunną historią z dwiema striptizerkami z osławionego klubu Cowshed oraz kontakty z gangsterami i innymi przedstawicielami ówczesnego półświatka. Na szczęście chłopcy przejęli po rodzicach ich najlepsze cechy: urodę matki i spryt polityczny ojca. Teraz zamierzają skończyć zarówno z „nową surowością”, jak i wyniszczającym duszę kultem cwaniaka rodem z klasy robotniczej, „dresiarza” – zjawiskami, które od lat dręczą nasz kraj. W niespokojnym XXI wieku Carltonowie są wcieleniem „anty dresiarstwa” walczącego ze wszystkim, co pospolite, wulgarne i brzydkie. Płynąc na fali optymizmu i atrakcyjności, po prostu zostawili politykę za sobą. „Mają niesamowite wycucie ducha czasu – mówi mieszkająca w Chelsea guru nowoczesnego stylu,

Sally Plank. – Ich rówieśnicy są piłkarzami, gwiazdami pop, arystokratami, ale nie politykami. Zdają sobie sprawę, że będąc wiarygodnymi celebrytami, mają sukces w kieszeni, bo jeśli jesteś celebrytą, ludzie wybaczą ci nawet to, że zajmujesz się polityką”. Pierwsi od czasów przedwojennych bracia, którzy być może razem będą kierowali rządem, są wobec siebie bardzo lojalni. – To niemal jak polityczne małżeństwo gejowskie – zauważył jeden z ich znajomych, który nie chciał podać nazwiska. „Rozumieją się bez słów, niemal telepatycznie, i strzegą się nawzajem”. Bracia nie muszą się jednak niczego obawiać. Jeśli nawet członkowie partii mają do nich jakieś zastrzeżenia, w obliczu najnowszych sondaży opinii publicznej nie jest to istotne. Po latach rozczarowań władza znów jest w zasięgu ręki. Cokolwiek by o nich mówić, Edgar i Xavier znaleźli się we właściwym miejscu i czasie. Są młodzi, nowocześni i mają doskonały kontakt ze społeczeństwem.„ Wygrają, to pewne – mówi Martin Max z pressyourbutton.co.uk, czołowej agencji badania opinii publicznej w Wielkiej Brytanii. – Pozostaje tylko pytanie, w jakim stosunku. Partia Carltonów może zdobyć największą przewagę w historii, przebijając nawet 232 miejsca rządu Spencera z początków XIX wieku”. Joe poklepał go w ramię.

– Patrz...

Carlyle podniósł wzrok na ekran telewizora i zobaczył jaguara uwożącego premiera spod pałacu Buckingham.

– No proszę, będziemy mieli wybory – mruknął Joe.

– Wielkie mi zaskoczenie – prychnął Carlyle. – Ten stary dureń zwlekał do samego końca. I tak mu to nie pomoże.

– Na kogo będzie pan głosował? – zainteresował się Valcareggi.

– To pozostanie między mną i urną wyborczą, Edmondo – odparł sztywno detektyw. Podniósł czasopismo, pokazując Włochowi artykuł, który właśnie czytał. – Ale możesz być pewny, że nie poprę tych nadętych cwaniaków.

– Inspektor jest odwróconym snobem. – John roześmiał się.

Valcareggi spojrzał na niego pytająco, najwyraźniej nie zrozumiał tej frazy. Nim sierżant zdążył mu wytłumaczyć, co ma na myśli, obok nich pojawił się zdenerwowany mężczyzna w białym fartuchu. Joe odruchowo sięgnął po kajdanki.

– Panowie – przemówił cicho lekarz – pan... ee... pacjent właśnie się wybudza.

– Doskonale! – Carlyle wstał. – Chodźmy arestować tego odchudzonego gnojka.

3

Kitty Pakenham alias Catherine Sarah Dorothea Wellesley, księżna Wellington (1773–1831), żona marszałka polnego Arthura Wellesleya, pierwszego księcia Wellington, spojrzała dobrotliwie nad kominka w bibliotece i uśmiechnęła się, zapewne rozbawiona tym, że Klub Świętego Jakuba, który nosił również jej imię, nigdy nie przyjmował i nigdy nie zamierzał przyjmować kobiet. Człowiek, któremu się przyglądała, Edgar Carlton, członek parlamentu i lider opozycji, sączył leniwie Cognac de Grande Champagne Extra Old i oglądał na ekranie telewizora serię podobnych do siebie obrazków. Dźwięk został wyciszony – członkowie klubu nie lubili hałasu, szczególnie gdy nadawano wiadomości – ale Edgar znał już tę relację na pamięć. Obecny premier – którego Edgar miał za miesiąc zastąpić – kiedy nie mógł dłużej utrzymać się przy władzy, ogłosił wreszcie, że wybory odbędą się piątego maja. Królowa wyraziła zgodę na rozwiązanie parlamentu w przyszłym tygodniu. Zaczęła się kampania wyborcza.

Edgar upił spory łyk koniaku i pozwolił, by alkohol zatrzymał się przez moment na jego języku. Nagle ogarnęło go znużenie: perspektywa trzech tygodni podróży po całym kraju,

spotkań ze „zwykłymi ludźmi” i błagania o głosy w marginalnych okręgach nie była zbyt zachęcająca. Cholernie tego nie lubił. Wiedział jednak, że nic nie da się z tym zrobić. Ale przynajmniej nie musi się martwić, że na koniec i tak przegra.

Przełknąwszy łyk alkoholu, znów spojrzął na telewizor, na swojego przeciwnika. Z ekranu patrzył na niego zmęczony, przybity mężczyzna w średnim wieku, który nie osiągnął niczego poza tym, że przez kilka lat karmił swoje ego. Mimo że go nie słyszał, rozpoznawał słowa wypowiedane podczas wywiadu telewizyjnego: „Wybory to ważna decyzja. Brytyjczycy są tutaj szefami i to oni tę decyzję podejmą”.

– Myślę, że już to zrobili, przyjacielu. – Edgar się uśmiechnął. Jakby na zawołanie na ekranie telewizora pojawił się wykres przedstawiający wyniki czterech badań opinii publicznej przeprowadzonych tego samego dnia. Pokazywały, że przewaga Edgara wzrosła od dziesięciu do szesnastu procent. Musieliby mnie przyłapać *in flagranti* z parą wykastrowanych chłopców, żebym przegrał, pomyślał. Po prostu nie ma takiej możliwości.

Pozdrowił Kitty, unosząc kieliszek z koniakiem, po czym odwrócił się od telewizora i sycił przez chwilę spokojem pustego pokoju. Nagle uświadomił sobie, że wkrótce nie będzie miał już okazji widywać tego miejsca zbyt często. Klub Pakenham miał prawie dwieście lat. Przez jakiś czas mieściła się tu siedziba główna partii, której teraz przewodniczył. Na przestrzeni dziesięcioleci do klubu należeli tacy ludzie, jak księżęta Walii, pisarz Evelyn Waugh i Joseph White, magnat medialny, który dotarł do dwieście trzydziestego ósmego miejsca na liście najbogatszych ludzi świata, publikowanej w „Sunday Timesie”, nim oszustwo i utrudnianie pracy organom sprawiedliwości zaprowadziły go do więzienia na Florydzie. Skoro im się tu podobało, rozmyślał Edgar, to dlaczego nie miałoby się podobać mnie? Klub Pakenham był jedną z niewielu rzeczy, które dawały mu jakieś poczucie tożsamości. I z pewnością było to jedno z niewielu miejsc, gdzie mógł cieszyć się ciszą i spokojem.

Dostrzegłszy swoje odbicie w lustrze, uśmiechnął się lekko. Czerń się nie starzeje, mówiło stare powiedzenie, które odnosiło się również do niego. Zawdzięczał to swojej matce, czarnoskórej modelce. Nazywano ją afrykańską Audrey Hepburn. Dała mu dobre geny, nieprzeciętną urodę i gęste włosy, dzięki którym nie musiał się obawiać zakoli. Wszystko inne zawdzięczał ojcu, sir Sidneyowi Carltonowi. Tak, naprawdę zasługuje na przydomek Słoneczny Bóg. Przyglądał się jeszcze przez chwilę swojemu odbiciu, po czym skinął z aprobatą głową. Niedawno zrezygnował z długich loków na rzecz bardzo krótkiej fryzury – ostrze numer jeden z tyłu i po bokach, a numer cztery na górze. Styl nowego prezydenta Ameryki. Bliski skrajności, lecz wciąż różny od tego, co mają na głowach kibole albo rekruci: fryzura praktyczna, sportowa i męska, świadectwo opanowania i skupienia. Pasowała też do jego dzisiejszego stroju – spokojnego szarego garnituru, białej koszuli, blad różowego krawata i eleganckich, starannie pastowanych butów. Prawdziwy elegant, bez dwóch zdań! Nie bez powodu przez dwa lata z rzędu trafiał do piątki najlepiej ubranych mężczyzn świata według magazynu „Modern Men’s Monthly”, wyprzedzając takich rywali, jak David Beckham, Daniel Day-Lewis, James McAvoy, Jude Law i, co najważniejsze, swojego brata bliźniaka, politycznego sprzymierzeńca, a czasem rywala.

Z zamyślenia wyrwało Edgara uprzejme chrząknięcie. Odwrócił się i zobaczył, że stoi za nim Murray, jeden z ważniejszych sługusów. Należał do dwunastki specjalnych doradców, zespołu Edgara Carltona. Teraz, gdy Carlton był już bliski przejęcia władzy, zespół rozrósł się do ponad pięćdziesięciu ludzi i wciąż powiększał niemal z dnia na dzień. Murray miał jakieś dwadzieścia osiem, może dwadzieścia dziewięć lat, był absolwentem Cambridge, człowiekiem czarującym, cynicznym i energicznym. Nie ograniczał się do ściśle określonego zakresu

obowiązków, mógł zajmować się public relations, lobbingiem i jeszcze kilkoma rzeczami, o których Edgar nie musiał nawet wiedzieć. Choć był nieco nieokrzesany i miał plebejskie pochodzenie, w trudnej sytuacji potrafił przenieść ciężar walki na stronę przeciwnika.

Oczywiście Murray nie był członkiem klubu, ale czasami trzeba wpuścić najemnego pomocnika do swojej świątyni, by mógł należycie wykonać swoją pracę. Młody mężczyzna przeszedł przez pokój, pozdrowił swojego szefa skinieniem głowy i stanął obok kominka. Następnie wyjął z drogiej skórzanej teczki plik dokumentów i cierpliwie czekał.

Nagle Edgar uświadomił sobie, że Murray wygląda jak klon jego samego sprzed jakichś dwudziestu lat: młodszy, przystojniejszy, bystrzejszy. Nim zdążył na dobre zirytować się tą myślą, poczuł wibracje telefonu, który nosił w kieszeni marynarki. Wyjął go i odczytał SMS. Z uśmiechem machnął komórką przed oczami Murraya, nie dając mu czasu na przeczytanie wiadomości.

– Życzenia powodzenia od mojego starego dyrektora szkoły. To bardzo miłe z jego strony.

– Tak – zgodził się Murray, nieco skonsternowany. Dyrektor jego szkoły, państwowego liceum w Hammersmith, został wyrzucony po tym, jak zrobił dziecko jednej z uczennic. Murray nie miał pojęcia, dlaczego ktoś chciałby utrzymywać kontakty ze swoimi starymi nauczycielami.

– Będę dziewiętnastym absolwentem mojej szkoły, który zostanie premierem – wyjaśnił Edgar. – Oczywiście, jeśli zostanę wybrany. To naprawdę imponująca lista... Wallpole... Eden... Gladstone... MacMillan...

– Rzeczywiście. – Murray skinął głową.

– Jeśli wygram – kontynuował Edgar – wszyscy chłopcy dostaną dzień wolnego, więc bardzo im na tym zależy. – Uśmiechnął się protekcyjnie. – Ale nie uprzedzajmy wypadków.

– Widział pan wyniki sondaży? – spytał Murray, starając się zmienić temat. –

Imponujące.

– Jeszcze miesiąc i będziemy tam. – Edgar się rozpromienił. – Przenoszę się na Downing Street numer dziesięć i zabieram cię ze sobą.

– Oczywiście! – Młodzieniec pochylił lekko głowę, jakby się modlił. Gdy ją podniósł, wydawało się, że gotów jest zapłakać z wdzięczności.

– Więc... – Carlton zniżył głos, choć byli w pokoju sami – dopilnujemy, żeby w najbliższych tygodniach nie popełniono żadnych błędów, tak?

– Tak – odpowiedział szeptem Murray, pochylając się do przodu.

– To czas, w którym musimy być wyjątkowo skupieni i działać w pełni profesjonalnie – dodał Edgar. – Nie możemy sobie pozwolić na najmniejsze potknięcie.

– Oczywiście. – Murray się uśmiechnął. – Doskonale to rozumiem.

– Wiem, Williamie. – Carlton delikatnie dotknął jego ramienia. – Jesteś bardzo bystrym młodzieńcem. Twoi rodzice muszą być z ciebie dumni.

Murray znów skłonił lekko głowę, a Edgar miał przez moment wrażenie, że w jego oczach naprawdę błysnęły łzy.

– Tak, proszę pana – wyszeptał. – Są ze mnie dumni.

– To dobrze – mruknął Edgar. Nieco zmieszany, cofnął się o krok. – Powiedz im, jak ważną pracę tu wykonujesz. Wiem, że mogę na tobie polegać.

Xavier Carlton siedział apatycznie przy stoliku w kuchni, obserwując, jak dłuższa wskazówka ściennego zegara przesuwa się powoli. Wyglądał fantastycznie w stroju kolarskim: obcisłych szaro-czarnych szortach z lycry i zielono-różowej koszulce ozdobionej logo pewnego producenta ciastek z Europy Wschodniej. Jego doradcy powtarzali mu, że nie powinien nosić tej

koszulki, odkąd zespół kolarski sponsorowany przez tego właśnie producenta został przyłapany na dopingu i wyrzucony z wyścigu dookoła Włoch. Ale była to jedyna czysta koszulka, jaką znalazł tego ranka w domu. Poza tym nawet ją lubił. Gdyby tylko nie była taka ordynarna...

Xavier nie rozumiał, dlaczego ta właśnie koszulka miałaby stanowić jakiś problem. Ogromna większość głoszących Brytyjczyków nie interesuje się wyścigami kolarskimi. Jak lubił mawiać Eddie Paris, jego korpulentny guru od public relations, pospólstwo nie ma pojęcia, czym różni się Lance Armstrong od Louisa Armstronga. Albo od Neila Armstronga. Albo... albo od wszystkich innych sławnych Armstrongów, których można by wymienić.

Xavier nie znał się zbyt dobrze na kolarstwie, ale nosił żółtą opaskę „Livestrong” Lance’a, kiedy takie opaski były w modzie. Dawał w ten sposób do zrozumienia, że jest porządnym facetem, współczującym i zaangażowanym w walkę z rakiem.

Innym, choć mniej przydatnym rekwizytem, była właśnie ta koszulka. Całe życie Xaviera wypełniały tego rodzaju rekwizyty. Obok kasku na stole leżała sterta trzydziestu trzech książek w twardych okładkach. Xavier wiedział, że jest ich właśnie tyle, bo je policzył. Dwa razy.

Była to letnia lista lektur Edgara, którą przekazano niedawno wszystkim jego posłom, by poprawić ich wizerunek w oczach wyborców, sprawić, że będą się wydawali bardziej odczytani i w ogóle mądrzejsi. Xavier westchnął. Dziś jedna z tych książek musi trafić do jego sakwy rowerowej. W ten sposób przekona Edgara o swoich dobrych chęciach, czuł bowiem, że brat zaczyna wątpić w jego oddanie wspólnej sprawie. Zapewni również odpowiedni materiał fotografowi „Mail”, który ma zrobić zdjęcie Xavierowi w chwili, gdy ten będzie jechał na rowerze do Izby Gmin. Zgodnie z planem, który ułożył poprzedniego wieczoru z szefem działu politycznego, po kilku mojitos w barze hotelu Chancery Court z jego sakwy ma wystawać coś, co wskaże, że jest erudyta. Całość będzie tworzyła ujmujący obraz – atlety i intelektualisty zarazem – opatrzone podpisem w rodzaju: *Kim jest ten bystrzak?* Media będą miały się czym karmić przez kilka godzin, a on zdobędzie kolejny punkt zbliżający ich do władzy.

Którą więc książkę wybrać? Po raz nie wiadomo który odczytał powoli tytuły, szukając czegoś, co choć trochę by go interesowało.

Philip Bobbit, *Terror i przyzwolenie: Wojna o XXI wiek* Robert Cialdini, *Wywieranie wpływu: Psychologia perswazji* Patrick Cockburn, *Muktada as-Sadr i upadek Iraku* Roger Crowley, *Morskie imperia: Ostateczna bitwa o Morze Śródziemne 1521–1580* Edward Giles i Isabelle Joiner-Jones, *Jak chrześcijański krzyż podbił Londyn* Bill Emmott, *Rywale: Jak walka o władzę między Chinami, Indiami i Japonią ukształtuje następną dekadę* Oczy Xaviera zaszyły mgłą, myśli wyparowały. Boże, to niemożliwe! Książki z jego listy byłyby znacznie przystępniejsze. I miałyby o wiele więcej obrazków. Pomyślał o *Wielkiej księdze penisa*, niedawnym (zartobliwym) prezencie od żony. Tak, gdyby to on układał tę listę, każdy z tytułów przykuwałby uwagę ludzi. Niektórzy mogliby nawet przeczytać któryś z nich.

David Faber, *Monachium 1938: Klęska polityki ustępstw* James Fergusson, *Milion pocisków: prawdziwy pamiętnik armii brytyjskiej w Afganistanie* Laurence Freedman, *Wybór wroga: Ameryka kontra Bliski Wschód* Ashraf Ghani i Clare Lockhart, *Ożywianie upadłych państw: Jak naprawić podzielony świat* Graham Quentin, *Triumf chrześcijańskiego krzyża* Ffion Hague, *Ból i przywilej: Kobiety w życiu Lloyda George’a* Nicholas Henderson, *W zaciszu gabinetu: Wspomnienia sekretarki brytyjskiego ministra spraw zagranicznych* Steve Hilton i Giles Gibbons, *Dobry interes: Twój świat cię potrzebuje* Heidi Holland, *Kolacja z Mugabe: Przemilczana historia* Kate Jenkins, *Politycy i administracja państwowa: Wdrażanie zmian w zderzeniu kultur* Joan Dillinger, *Carlton o Carltonie* Xavier nie pamiętał, kiedy ostatnio czytał jakąś książkę, nie licząc oczywiście *Wielkiej księgi*... Nie sądził, by w całym swoim cholernym życiu

przeczytał w sumie trzydzieści trzy książki. Doradcy dostarczyli mu dwustronicowe streszczenie wszystkich tych pozycji (po dwa wersy na jedną książkę), by mógł cokolwiek powiedzieć, gdyby jakiś wścibski dziennikarz zaczął go wypytywać, ale nawet nie chciało mu się na nie spojrzeć. Peter Jones, *Głosuj na Cezara: Jak starożytni Grecy i Rzymianie rozwiązywali dzisiejsze problemy* Robert Kagan, *Powrót historii i koniec marzeń* John Lucas, *Pięć dni w Londynie* Mark Mazower, *Imperium Hitlera: Życie nazistów w okupowanej Europie* Giles Milton, *Raj utracony: Smyrna 1922, zagłada islamskiego miasta tolerancji* Benny Morris, *1948: Pierwsza wojna izraelsko-arabska* Ernest R. May, *Myśl i czas: Jak decydenci korzystają z historii* Tom Porteous, *Wielka Brytania w Afryce* Samantha Power, *Problem z piekła: Ameryka w epoce ludobójstwa* Ahmed Rashid, *Zstępowanie w chaos: Jak islamski ekstremizm wygrywa wojnę w Pakistanie, Afganistanie i Azji Środkowej* Xavier pomyślał, że tak naprawdę nie ma znaczenia, co wybierze. Nikt przecież nie oczekuje, że przeczyta te książki. Chodziło tylko o stworzenie listy, o przemyślany dobór tytułów. Trzej spośród najstarszych doradców Edgara – czyli tych, którzy mieli więcej niż dwadzieścia pięć lat – przez trzy miesiące przeglądali recenzje książek w „Timesie”, by stworzyć satysfakcjonującą kolekcję. To kolejny przykład inteligentnego działania Carltonów, kolejny majstersztyk PR, podobnie jak lista utworów muzycznych, które Edgar ściągnął z sieci, czy nazwiska ulubionych graczy Premiership: dowód, że słucha muzyki z iPod'a i ogląda piłkę nożną, choćby tylko w telewizji. No i czyta książki, oczywiście.

David Runciman, *Polityczna hipokryzja: Maska władzy od Hobbesa do Orwella i dalej* Candida Slater, *Dobre maniere i niewłaściwe zachowanie: Nieoficjalne zasady dyplomacji* Richard H. Thaler i Cass R. Sunstein, *Krok we właściwym kierunku: Jak podejmować lepsze decyzje dotyczące zdrowia, finansów i szczęścia* Douglas Wass, *Droga ku upadkowi: Brytyjska polityka makroekonomiczna i kryzys MFW w 1976 roku* Tom Wheeler, *Depesze Lincolna: Jak telegraf pomógł Abrahamowi Lincolnowi wygrać wojnę secesyjną* Fareed Zakaria, *Koniec hegemonii Ameryki* Xavier sięgnął po książkę leżącą na samej górze sterty. Pomyślał, że poprosi żonę, by zostawiła resztę w miejscowym biurze organizacji charytatywnej Oxfam. Lilli nie będzie zachwycona, że musi zadawać się z pospółstwem, ale i bez tego mają w domu za dużo rzeczy, a lepiej książki oddać, niż wyrzucić do śmieci. I bezpieczniej. Dziennikarze i inni maniacy regularnie przeszukują pojemniki, szukając czegoś, co mogłoby ich skompromitować. Wyrzucenie książek Edgara byłoby poważnym błędem.

Książka, którą wziął do ręki, była całkiem spora, miała rozmiary połowy pudełka na buty. Zdziwiająco dobrze układała się w jego dłoni. Już czuł się mądrzejszy, choć energii jakoś mu nie przybyło. Wciąż nie miał siły wstać od stołu, oparł się więc wygodniej i zamknął oczy. Dom był pusty, panował w nim cudowny spokój.

Godzinę wcześniej Lilli wyszła do „pracy”. Kilka lat temu dostała synekurę w postaci posady „dyrektora kreatywnego” w sklepie z towarami luksusowymi – takim, gdzie pudełko na spinki kosztuje dwieście funtów, etui na iPod'a dwieście pięćdziesiąt, a torebka tysiąc. Xavier nie miał pojęcia, czym zajmuje się dyrektor kreatywny. Pracę załatwił Lilli jej ojciec z Mediolanu, w zamian za różne bliżej nieokreślone „przysługi”, które wyświadczał głównemu dyrektorowi sklepu. Pewnego wieczoru, po kilku drinkach, Walter Sarfatti powiedział swojemu zięciowi, że dzięki tym „przysługom” dyrektor nie trafił jeszcze do więzienia. Xavier nie do końca w to uwierzył. Wydawało mu się, że we Włoszech nikt nie idzie do więzienia za przestępstwa urzędnicze. I gdyby dyrektorowi naprawdę groziło więzienie, Walter wyciągnąłby od niego znacznie więcej niż tylko pracę dla córki.

Bez względu na to, jak ta „praca” wyglądała, Xavier nie mógł zrozumieć, po co jego żona

chodzi do biura. Z pewnością nie potrzebują pieniędzy. Zarobki Lilli w porównaniu z kosztami opieki nad dziećmi, wydatkami na jej ubrania, spotkania towarzyskie i tak dalej były po prostu nieistotne. Właściwie Xavier mógłby nawet płacić za jej pracę, choć wolałby, żeby dzieci częściej widywały mamę. Ale dzięki pracy Lilli była szczęśliwa i to liczyło się najbardziej. Nieszczęśliwa Lilli tylko przysparzała kłopotów. Sporych kłopotów.

Jednym z problemów związanych z ich trybem życia była ciągła wymiana opiekunek. Pełni entuzjazmu i werwy wracali z różnych zakątków świata – Chin, Turcji, Republiki Południowej Afryki i miejsc, o których Xavier nigdy nawet nie słyszał – by za kilka miesięcy lub nawet tygodni znowu uciec przed trudną rzeczywistością wychowywania potomstwa. W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy zatrudniali już trzy nianie.

Obecna opiekunka pochodziła z Wenezueli i nazywała się Yulexis. Xavier mówił na nią Christmas. Pracowała u nich prawie dwa miesiące i miał nadzieję, że zabawi dłużej niż poprzednie, choćby dlatego, że ma dwadzieścia lat, jest bardzo seksowna (rok przed przyjazdem do Londynu dotarła do półfinału wyborów miss Wenezueli) i chętnie podejmuje się zadań daleko wykraczających poza jej zwykłe obowiązki. Oznaczało to, że Xavier pieprzył ją przy każdej okazji. Wiedział, że dmuchanie opiekunki jest okropnie pospolite, ale nie zamierzał z tego powodu rezygnować ze swoich wyjątkowo przyjemnych przywilejów. Gdyby Christmas wytrzymała jeszcze pół roku, może rok, byłoby idealnie. Gdyby trwało to krócej, byłby okropnie sfrustrowany (z różnych powodów), a gdyby przeciągnęło się ponad miarę, obecność dziewczyny zaczęłaby mu przeszkadzać.

W końcu zebrał siły, by wstać od stołu i przejść do drzwi. W holu stał jego rower, Cannondale Super 6 Dura Ace Compact Road Bike. Ta warta ponad cztery tysiące funtów maszyna przygnębiała Xaviera. Brat namówił go, by jeździł na rowerze do Izby Gmin, demonstrując w ten sposób tężyznę fizyczną partii i jej oddanie ekologii. Od kiedy to wszyscy zrobili się tacy ekologiczni? Cały świat zwariował na tym punkcie i mało kto pamiętał, że jeszcze niedawno, całkiem niedawno, nikt o tym nie mówił i nikt się nie przejmował topniejącymi czapami lodowymi albo losem cholernych niedźwiedzi polarnych. Uważał, że to okropnie nudne. I fałszywe. Był pewny, że takie oszustwo długo się nie utrzyma. Liczył na to.

Z drugiej jednak strony wiedział, że nie stanie się to przed wyborami. Do tej pory musi trwać w trudnej rzeczywistości i znosić świadomość, że poprzeczka została zawieszona bardzo wysoko, za wysoko. Teraz, gdy tylko wsiadał do samochodu, nawet tak wychwalanej hybrydy, słyszał okrzyki: „Hipokryta!”. Cała ta historia z rowerem okropnie mu ciążyła, ale Edgar mówił, że nie może się poddać. Choć każdego ranka jechała za nim limuzyna z szoferem, a w niej wszystkie jego dokumenty i garnitury, wciąż musiał poruszać się na rowerze. Nie rozumiał, dlaczego nie może po prostu rozsiąść się wygodnie na tylnym siedzeniu i podrzemać albo poczytać „Sun” – tym bardziej że jazda na rowerze też może stanowić zagrożenie dla jego wizerunku. Na YouTube pojawiło się kilka filmików pokazujących, jak łamie przepisy drogowe i niemal wjeżdża w przechodniów. Nazwano go „najniebezpieczniejszą rzeczą na dwóch kółkach”, a jakiś żartowniś zamieścił w internecie petycję, w której żądał, by Xavier przesiadł się do samochodu. Xavier sam ją podpisał dwudziestoma pięcioma fałszywymi nazwiskami w nadziei, że może to skłoni Edgara do zmiany decyzji.

Pewnego dnia stało się to, co nieuniknione: ktoś ukradł rower. Xavier był w siódmym niebie. Jednak, ku jego przerażeniu i wbrew rachunkowi prawdopodobieństwa, skradziony pojazd się znalazł. Po prostu nie mógł w to uwierzyć – chyba jako jedyny w Londynie miał rower, który został ukradziony, a potem wrócił do właściciela. Tylko jemu mogło się to przydarzyć. Xavier włożył książkę do sakwy, wymościwszy ją wcześniej polarem, by wystawał

odpowiednio duży fragment okładki. Zgrzytając zębami, zacisnął dłonie na kierownicy i ruszył w stronę drzwi. Jego rower był lekkim jak piórko cudem techniki, wykonanym z wielkim kunsztem. Pierwszą rzeczą, jaką zamierzał zrobić Xavier po wygranych wyborach, to wrzucić to cholerstwo pod autobus i wskoczyć do służbowego jaguara.

4

Po prostu nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Nagi, zaspokojony, leżał na łóżku i sycił się dotykiem chłodnej, białej pościeli. Wiedział z doświadczenia, że spotkania z ludźmi poznanymi na czacie to ruletka. Ale dzisiejszy wieczór był prawdziwym objawieniem. Zamknął oczy i uśmiechając się jak idiota, wspominał łagodny, lecz stanowczy nacisk chłodnego, nieustępliwego silikonu na delikatną skórę i szaloną, cudowną eksplozję, która była zwieńczeniem wieczoru. Dopiero teraz jego tętno i oddech wracały do normalnego tempa. Dotknął stopą ponaddwudziestocentymetrowego, żebrowanego wibratora o nazwie Szklane Serce porzuconego na łóżku. Na samą myśl o tym, co jeszcze może go spotkać, poczuł dreszcze rozkoszy. Ale nawet tutaj, nawet teraz, pozostał pragmatykiem. Nie chciał kusić losu.

– Odwróć się. – Poczul delikatny dotyk palców na jądrach i wilgotny ciepły język na penisie.

– Mam już dość – wychrypiał.

– Odwróć się! – padł na pół żartobliwy, na pół szorstki rozkaz. – To jeszcze nie koniec. Ian otworzył oczy i uśmiechnął się.

– No dobrze. – Westchnął. – Skoro nalegasz.

Przekreślił się na brzuch i schował głowę w poduszkę, pojękując cicho na myśl o czekającej go rozkoszy. Poczul, jak wilgotne dłonie rozsuwają jego nogi. Pozwolił myślom odpłynąć, zanurzyć się w przyjemnej nicości. Chwilę później wrócił do rzeczywistości, gdy między jego pośladki wsunęły się dwa palce i zaczęły delikatnie dotykać jego odbytu. Znów jęknął.

– Zapraszam do środka – wymamrotał w poduszkę. – Jest czysto.

Poddając się powolnym, miarowym pieszczotom, które rozchodziły się falami rozkoszy po całym jego ciele, zasnął. Po jakimś czasie – może kilku minutach, a może po pół godzinie – obudził się nagle, gdy po jego ramionach i plecach spłynął zimny olejek.

– Ach!

– Przepraszam. To tylko olejek z geranium i pomarańczy. Trzeba go było najpierw ogrzać – zabrzmiał troskliwy, spokojny i dojrzały głos. – Śpij.

– Dobrze.

Opadł na poduszkę i rozluźnił się, podczas gdy delikatne dłonie wcierały olejek w jego ramiona. Zamknął oczy i znów zasnął.

– Ian?

Po raz drugi obudziło go jego imię wyszeptane prosto do ucha. Jednocześnie ciepłe dłonie podniosły jego biodra i rozchyliły pośladki. Uśmiechając się do siebie, napiął mięśnie. Pośladki ze stali, pomyślał. Nieźle, jak na faceta w moim wieku. Zapomniał o senności, gdy dłoń zacisnęła się na jego penisie, a Szklane Serce wsunęło do odbytu. Czuł, jak jego skóra napina się niemal do granic wytrzymałości. Wciągnął głośno powietrze, nie mogąc oddzielić bólu od rozkoszy. Odsunął dłoń, sam ujął swój członek i zaczął energicznie poruszać ręką. Po dziesięciu, piętnastu sekundach ustalili wspólny rytm. Gdy zbliżał się do punktu, od którego nie ma odwrotu, nawet nie pomyślał o tym, by dłużej się powstrzymać. Wykonał jeszcze jeden stanowczy ruch i skończył po raz drugi. Tym razem spermy było mniej, ale i tak całkiem sporo.

Sapnął z zadowoleniem i opadł na łóżko, unikając mokrego miejsca.

Sztuczny penis, który wciąż tkwił w jego odbycie, nagle znieruchomiał.

– Ianie? Ty może skończyłeś, ale ja jeszcze nie.

– Rób, co chcesz – odparł, po czym ziewnął i przykrył głowę poduszką. – Ja mam już dość. Możesz robić ze mną, co ci się tylko spodoba.

Wibrator wsunął się w niego głębiej, jakby w geście rozdrażnienia.

– Delikatniej!

– Nie robię ci chyba krzywdy, prawda? – Dłoń pogładziła go łagodnie po karku.

– Nie. No... może troszkę. Uważaj. Postaraj się nie uszkodzić zakończeń nerwowych.

Wibrator wsunął się jeszcze głębiej i znów zaczął miarowo poruszać. Dłoń pieściła jego kark nieco mocniej, jakby chciała, by na chwilę zapomniął o bólu. Ian zerknął na boki, ale nic nie widział, bo nadal miał głowę nakrytą poduszką. Czuł bicie swojego serca, nagły zastrzyk adrenaliny ożywił uśpione już podniecenie. Próbował się podnieść, ale dłoń spoczywająca na jego karku przycisnęła go mocniej do łóżka. Gdy zaczęła ogarniać go panika, sztuczny penis wysunął się z jego odbytu. Uwolnione powietrze wydostało się na zewnątrz z dźwiękiem przypominającym pierdnięcie. Parsknęli śmiechem. Dłoń zsunęła się z jego karku, poczuł za uchem delikatny pocałunek. Opadł na pościel, zamknął oczy i czekał, aż rozszalałe serce wróci do normalnego rytmu.

Kolejny pocałunek.

– Nie martw się. Jeśli Szklane Serce to dla ciebie za wiele, mam coś innego.

– Tylko delikatnie, proszę – mruknął. Widział spod poduszki tarczę zegara. Za pięć trzecia. Za cztery godziny idzie do pracy. Tym razem naprawdę musi już położyć się spać. – Już późno. Może na dzisiaj wystarczy – powiedział, siląc się na swobodny ton. – Powtórzmy to przy najbliższej okazji. Muszę trochę odpocząć. Możesz zostać, jeśli chcesz.

– W porządku. – Czuł, jak materac się ugina, a potem usłyszał tupot bosych stóp na cienkim dywanie. – Muszę iść. Ale mam jeszcze coś, co odpowiednio zakończy tę noc.

Wszystko jedno. On już skończył i był myślami przy jutrzejszym spotkaniu z Chilijczykami handlującymi „specjalną” technologią. Bardzo mili ludzie. Na szczęście nie należą do zbyt wymagających klientów, co w tej sytuacji bardzo mu odpowiadało.

Śnił właśnie o smakowitym angielskim śniadaniu, gdy nagle poczuł w podbrzuszu eksplozję przeszywającego, palącego bólu.

– Co?! – krzyknął, a jego oczy wypełniły się łzami, nim zdążył je otworzyć. Tym razem na pewno pękła mu skóra. Otrzymał jeszcze jeden cios, nim odrzucił poduszkę i odwrócił się na plecy. Na pościeli pod nim rozrastała się ciemna plama. Potem zobaczył przed sobą ostrze ociekające krwią – jego krwią. Powinienem krzyczeć, pomyślał, nim zimny metal przeciął mu policzek, poszerzając jego usta aż do lewego ucha.

– Pomocy! – krzyknął jego umysł, lecz z ust wydobył się tylko bulgot.

Na jego twarz, szyję i tors spadł grad ciosów. Podniósł ręce, by osłonić głowę, wpatrując się jednocześnie jak zahipnotyzowany w zakrwawione ostrze. Wydawało się, że samo unosi się i opada. Próbował je złapać, raz, drugi, trzeci, ale ściągał tylko uderzenia na dłonie i ramiona. Chwycił poduszkę i próbował zasłonić się nią przed atakiem, ale kopniak kolanem w jądra odrzucił go do tyłu. Spadł z łóżka, uderzając głową o stolik, i wylądował na podłodze. Oszołomiony, próbował zwinąć się w kłębek, ale został wciągnięty na łóżko. Może wołał matkę, a może mu się tylko wydawało, że to robi. Wciąż spadały na niego kolejne ciosy, miał wrażenie, że trwa to całą wieczność. Głuchy odgłos uderzeń i posapywanie napastnika nie mogły zagłuszyć szumu klimatyzacji. Gdy Ian po raz ostatni tracił świadomość, nie mógł uwierzyć w swojego

pecha.

5

Yorkshire, czerwiec 1984

– Nie ruszaj się, kochany. To będzie bolało. – Głos wydawał się zmęczony, znudzony. Ani przyjazny, ani zainteresowany.

Posterunkowy John Carlyle, który ukończył niedawno wyższą szkołę zawodową w Hendon, nagle poczuł się bardzo samotny.

– Trochę popiecz. Jeśli zaczniesz się kręcić, będzie gorzej.

– Cholera...

Carlyle skrzywił się i zacisnął powieki. Pot spływający pomiędzy krótko ostrzyżonych włosów mieszał się ze środkiem aseptycznym, którym właśnie polano rozcięcie nad jego prawym okiem. Choć nie miało więcej niż pięć centymetrów długości, wydawało się rozległe i głębokie. Czuł, jak otwiera się i zamyka, gdy poruszał brwiami. Był pewny, że ma dziurę w czaszce. Może wypłynie mi mózg, pomyślał. Zakładając, że jakiś jeszcze mam.

– Nie ruszaj się! Myślałem, że chłopaki z Londynu to prawdziwi twardziele, a byle jaka bitka nie robi na nich wrażenia. – Błady ratownik medyczny w zielonym kombinezonie cofnął się o krok, by podziwiać swoje dzieło. Słońce oświetlało jego odrażającą twarz. Najwyraźniej uznał, że dobrze się spisał, bo przykleił na czole Carlyle'a plaster wielkości pudełka papierosów.

– Skończone – oznajmił.

Carlyle otworzył jedno oko.

– Boli.

– Mówiłem, że będzie bolało.

Ratownik wlał sobie do ust łyk środka antyseptycznego, przepłukał nim usta i wypluł. Podsunął butelkę Carlyle'owi, proponując poczęstunek. Policjant pokręcił głową i odwrócił wzrok, ocierając pot z czoła. Czuł, jak pali go twarz, a nos zatyka jakaś gęsta półpłynna substancja. Tkwił w miejscu, w którym wcale nie chciał być – w środku długiego szeregu segmentów, w jakimś nieszczęsnym szarym miasteczku u podnóża góry, w środku nieszczęsnej szarej Anglii.

Nawet pogoda była nie taka, jak trzeba. Podczas gdy w jego głowie panował mrok, nadciągnęło w końcu słoneczne i upalne lato. Wiatr, który przed kilkoma godzinami przynosił ochłodę, przestał wiać. Cudownie błękitne niebo obiecywało długie letnie wakacje, lody waniliowe z sosem truskawkowym i leżaki na plaży w Brighton. Po drugiej stronie ulicy z radia płynęła *Electric Avenue* Eddiego Granta. Myśl długo i intensywnie, nakazywał sobie Carlyle, a może uda ci się wyobrazić sobie, że jesteś gdzieś indziej. Może. Ale nie na długo.

Prognoza pogody przewidywała, że temperatura sięgnie tego dnia trzydziestu jeden stopni. Wydawało się, że w słońcu jest znacznie wyższa. Pod licznymi warstwami jego wyposażenia bojowego mogło być dobrze powyżej czterdziestu stopni, może nawet czterdzieści pięć. Od czwartej rano spędził kilka godzin w autobusie, a potem ponad sześć stał w pełnym słońcu w jednym szeregu z pozostałymi członkami policyjnego oddziału prewencji. Tuż za nimi ustawili się oddział policji konnej, gotowy wkroczyć do akcji na gwizdek dowódcy. Konie mogły ruszyć na strajkujących bez względu na to, czy Carlyle i jego koledzy zdążą usunąć się z drogi, czy nie.

Czekanie.

Czekanie.

Pieprzone czekanie.

Mógł tylko stać i czekać, wysłuchując co jakiś czas obelg i licząc na to, że w końcu coś się wydarzy i przerwie tę nieznośną nudę.

Powinien się przyzwycząić. Ponad trzystu policjantów zwiezionych autobusami z całego kraju już prawie od tygodnia mieszkało w hangarze bazy lotniczej RAF-u w Syerston. Miasteczko leżało godzinę drogi od Nottinghamshire, w którym tylko dwadzieścia procent górników przystąpiło do strajku, a w Yorkshire, gdzie Carlyle rozpoczął służbę, ponad dziewięćdziesiąt siedem. To oznaczało dziesiątki mniejszych i większych starć w całym hrabstwie i tysiące aresztowań. Pracowali po czternaście godzin dziennie, przez sześć spali, a przez cztery pozostałe myśleli o tym, że woleliby raczej pracować albo spać.

Gdyby nie ten drobny uraz, Carlyle nie potrafiłby nawet odróżnić dzisiejszego dnia od pozostałych. Oderwał język od podniebienia i spróbował przełknąć. Strasznie bolała go głowa, co było gorsze od największego kaca, jakiego zdołał sobie zafundować podczas swojego dwudziestoletniego życia. Gdzieś w głębi jego umysłu rozbrzmiewała w kółko piosenka The Clash *Walczyłem z prawem*. W innych okolicznościach uznałby to za zabawną ironię losu, lecz teraz marzył tylko o tym, by Joe Strummer, Mick Jones i reszta wreszcie się zamknęli.

Carlyle spojrzał na ratownika.

– Masz aspirynę?

Mężczyzna burknął coś niezrozumiale i rzucił mu paczkę tabletek owiniętych w folię. Carlyle wziął dwie, potem jeszcze dwie, a resztę schował do kieszeni. Sięgnął po butelkę z wodą stojącą na niskim murku, na którym siedział, i upił ostrożnie łyk. Bolało go gardło i czuł się tak, jakby lada moment miał zwrócić tabletki. Przełknął ciężko, spychając aspirynę w dół.

– Trzeba to będzie szyć? – spytał z nadzieją. Nie przepadał za szpitalami, ale tego popołudnia chętnie spędziłby kilka godzin w chłodnej sali i z przyjemnością poddał się zabiegom jakiejś atrakcyjnej pielęgniarki.

– Nie ma po co – odparł ratownik, zdejmując gumowe rękawiczki i sięgając do kieszeni na piersiach po papierosy. – Cegła, czy co to tam było, odbiła się od hełmu. Ale będziesz miał ładną bliznę. Dobry bajer na dziewczyny.

– Dzięki. – Carlyle się skrzywił, lecz zanotował w pamięci tę cenną informację. Wszystko, co mogło mu pomóc w kontaktach z dziewczynami, było więcej niż mile widziane. Zastanawiał się, czy będzie musiał zapłacić za nowy hełm. Stary gdzieś poleciał, gdy John upadł, i stał się zapewne trofeum, które wkrótce ozdobi ścianę czyjegoś salonu.

– Zdejmij plaster za kilka dni – powiedział ratownik, jakby wygłaszał wyuczoną formułkę. – Jeśli rana się otworzy, zgłoś się do szpitala. – Spojrzał w głąb ulicy, z której dochodziły wrzaski tłumu. Brzmiało to jak doping kibiców na meczu piłkarskim słyszany z odległości dwóch przecznic od stadionu. – Choć na twoim miejscu nie wybrałbym żadnego z tutejszych – dodał z uśmiechem.

– Rozumiem. – Carlyle skinął głową. Policja nie cieszyła się w tej okolicy szczególną sympatią.

– Nie chciałbyś jeszcze raz dostać w głowę? – spytał ratownik.

– Nie.

– I nie chciałbyś, żeby cię zlinczowali?

– Nie.

Ratownik wyjął z paczki capstana bez filtra. Carlyle uśmiechnął się do siebie, rozpoznawszy logo z żeglarzem. Papierosy Capstan Full Strength (*Dla mężczyzn, którzy lubią smak mocnych papierosów!*) były ulubionym gatunkiem jego dziadka. Odkąd Carlyle sięgał

pamięcią, palce dziadka były żółte od nikotyny, a zapinany na guziki sweter pełen dziur wypalonych przez niedopałki. W jednej ręce zawsze trzymał papierosa, a w drugiej szklaneczkę Johnnie Walkera Red Label. Carlyle nie znał się na tym, ale przypuszczał, że picie i palenie nie wychodziło staruszkowi na zdrowie. Zmarł przed dwoma laty, z trudem dociągnąwszy do sześćdziesiątki, choć wyglądał na dwadzieścia lat starszego.

Ratownik zapalił papierosa i przeciągnął dłonią po ogolonej głowie, ścierając cienką warstwę potu, która niemal natychmiast znowu się pojawiła. Zaciągnął się głęboko, wyjął papierosa z ust, zgiął się wpół i wykaszał wielką bryłę brązowej flegmy i śliny, którą wypuł do rynsztoka, po czym opadł ciężko na tylny próg karetki. W kabinie odezwała się krótkofalówka, ale mężczyzna nie zwrócił na nią uwagi.

Carlyle powiódł wzrokiem wzdłuż ulicy i naliczył jeszcze trzy karetki. Przy każdej stali policjanci lub strajkujący – górnicy, którzy od kilku miesięcy prowadzili coraz bardziej zacięty i coraz bardziej rozpaczliwy spór z rządem – opatrywani przez ratowników. Jeden z policjantów klócił się z fotografem, który właśnie zrobił mu zdjęcie. Zamiast czekać, aż oberwie w zęby albo, co gorsza, aparat zostanie roztrzaskany o asfalt, fotograf odwrócił się na pięcie i odszedł szybkim krokiem, choć najchętniej zapewne puściłby się biegiem. Gliniarz zastanawiał się przez moment, czy go ścigać, jednak doszedł do wniosku, że szkoda zachodu.

Tymczasem w tle wciąż słychać było odgłosy walki: pięć tysięcy policjantów kontra pięć tysięcy strajkujących. Przepychanki, które trwały na kilku akrach bezwartościowej ziemi obok koksowni w zapuszczonym miasteczku Orgreave – około dziesięciu kilometrów na południe od Sheffield, w samowzwańczej Socjalistycznej Republice Południowego Yorkshire – od wielu tygodni nie traciły na sile.

W niebo powoli unosił się dym z samochodu spalonego – przypadkiem lub celowo – przez strajkujących. Ratownik raz jeszcze potężnie się zaciągnął i rzucił papierosa obok naklejki z napisem „Węgiel nie zasilek”, leżącej na chodniku. Zgasił go czubkiem brązowego martensa i poszedł się wysikać do ogrodu sąsiedniego segmentu.

Carlyle się rozejrzał. Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Nie o takiej pracy marzył. Wylał sobie na głowę resztkę wody z butelki i postanowił, że kiedy ta bzdura wreszcie się skończy, wróci do Londynu i nigdy się stamtąd nie ruszy.

Posterunkowy John Carlyle miał numer służbowy V253, jednak jak wszyscy policjanci nie nosił żadnych oznaczeń. Zwykle przed akcją zdejmowali umieszczone na ramionach numery, by potem uniknąć problemów związanych z oskarżeniami o naruszenie swobód obywatelskich. Ta procedura stała się częścią codziennego rytuału, któremu poddawali się, jadąc autobusem na wyznaczony odcinek.

– Dobra, chłopaki – warknął szkocki sierżant, Charlie Ross. – Ściągamy numery i chowamy je do kieszeni. Nie chcemy mieć żadnych problemów, zgadza się?

– Tak jest, panie sierżancie.

– Możecie być pewni, że później nikt nie będzie pluł na waszą ciężką pracę. – Z foteli wokół niego dobiegł pomruk aprobaty. – I pamiętajcie, wszystko, co dzieje się na waszym odcinku, zostaje między wami. Musimy sobie nawzajem pomagać.

– Tak jest, panie sierżancie – odpowiedziały znużone głosy.

W autobusie strasznie śmierdziało. Powietrze było gęste od zapachu potu, brudu i nerwowego wyczekiwania. Carlyle wyjrzał przez okno i próbował oddychać przez usta. Obok niego siedział Dominic Silver, również rekrut z Hendon. Dom był londyńczykiem z krwi i kości, prawdziwym synem East Endu. Mówił cockneyem, a jego twarz prawie zawsze zdobił radosny uśmiech. Był typowym „kumplem”, facetem, którego nigdy nie należy mylić z przyjacielem.

Mimo to Carlyle był zadowolony, że choć tego ranka jedzie w towarzystwie kogoś znajomego.

Dom kołysał się do przodu i tyłu, grając na wymagowanej perkusji, którą zastępowało mu oparcie fotela w rzędzie przed nim. Jak zwykle był naspeedowany. Carlyle też. Dom wiedział, gdzie można dostać najlepszą amfetaminę. Wystarczyło dodać pół łyżeczki do kubka czarnej kawy, żeby dzień stał się znośniejszy. Lepiej być zmęczonym i na haju niż tylko zmęczonym.

Dom przerwał długie perkusyjne solo, szturchnął Carlyle'a i podniósł rękę.

– Panie sierżancie! – zawołał niczym nadaktywny pięciolatek. – Panie sierżancie!

Carlyle przewrócił tylko oczami, dobrze wiedząc, na co się zanosi.

– Tak, synu? – Charlie Ross, gotowy do żartów, uśmiechnął się. Miał pięćdziesiąt lat, zbliżał się do emerytury i był co najmniej dwadzieścia pięć lat starszy od wszystkich policjantów w autobusie. Raczej drobny i chudy, nosił wąsy w kształcie odwróconej końskiej podkowy, a na prawym przedramieniu miał tatuaż przedstawiający japońskiego smoka. W jego oczach zawsze tlił się zły błysk, który znikał tylko wtedy, gdy Charlie upił się do nieprzytomności.

Ciągle podróże po Yorkshire i Nottinghamshire, choć niezwykle męczące, tchnęły w niego nowe życie. Wyglądał dwadzieścia lat młodziej niż trzy miesiące temu, gdy Carlyle go poznał. Sierżant szedł wtedy drogą w pobliżu kopalni Cortonwood, niedaleko miejsca, do którego jechali dzisiaj, i prowadził zatrzymanego górnika do suki.

Dom zadał pytanie powoli i z namaszczaniem:

– Panie sierżancie, czy w gazetach nie pisali ostatnio, że nowy minister spraw wewnętrznych obiecał, że wszystkie wykroczenia popełniane przez obie strony będą traktowane jednakowo surowo, bez strachu i pobłażliwości?

Ten sarkastyczny cwaniak znów czytał „Daily Telegraph”. Nie po raz pierwszy Carlyle zastanawiał się, dlaczego Dom nie robi czegoś, co bardziej pasowałoby do jego niespokojnego ducha i nieprzeciętnej inteligencji. Mógłby z powodzeniem pracować w City i zarabiać kupę pieniędzy, grając na giełdzie. Był po prostu zbyt bystry, żeby marnować się w policji.

Przez autobus przebiegł cichy śmiech. Ci nieliczni, którzy wiedzieli, że Leon Brittan został ministrem zaledwie tydzień wcześniej, mieli gdzieś jego poglądy na ich pracę. To, że Brittan ukończył elitarną szkołę dla chłopców Haberdashers' Aske's Boys' i Trinity College na uniwersytecie w Cambridge, czy też, że był przewodniczącym stowarzyszenia studentów na tej uczelni, a potem zrobił błyskotliwą karierę prawniczą, na tych młodych policjantach nie robiło wrażenia. Wiedzieli, że to nie daje mu prawa do oceniania tych, którzy odwalają za niego brudną robotę.

Charlie włożył kciuki do kieszeni na piersiach i wyprostował się.

– Cóż... – zaczął, przygotowując się do solowego popisu – powiem wam jedno... – Powiodł wzrokiem po autobusie, sprawdzając, czy wszyscy go słuchają. – Istnieją na świecie trzy rzeczy, które nie przydadzą się żadnemu człowiekowi ani zwierzęciu.

Carlyle się uśmiechnął. Słyszał to już kilka razy, ale wiedział, że monolog Charliego i tak go rozśmieszy.

Tymczasem sierżant ciągnął:

– Te trzy rzeczy to: jaja papieża... – Pauza, uśmiechy na twarzach wszystkich policjantów. – Cycki u faceta... – Kolejna pauza i pohukiwania policjantów. – I... – wyjątkowo długa pauza – ...obietnica polityka.

Rozległy się oklaski i wiwaty, młodzi policjanci gwizdali i uderzali pałkami w okna. Charlie uklonił się lekko, a gdy nasycił się już aplauzem, zrobił poważną minę i zaczął przechadzać się między fotelami, wypatrując u swoich podwładnych najmniejszych oznak

strachu lub zwątpienia.

– Te gnojki nie będą nam dzisiaj podskakiwały, zgadza się?

Nerwowy śmiech i kilka radosnych okrzyków:

– Tak jest, panie sierżancie!

– Więc się nie krygujcie. – Ross zachichotał, obserwując, jak pięćdziesiąt metrów dalej zbiera się grupa policjantów na koniach. – Pokażcie im, kto tu rządzi.

– Tak jest, panie sierżancie! – wykrzyknęło już nieco więcej głosów.

– Nie zachowujcie się jak pieprzone cioty, pokażcie tym cholernym komunistom, gdzie ich miejsce!

– TAK JEST, PANIE SIERŻANCIE!

Gdy hałas przycichł, ktoś z tyłu autobusu zapytał:

– Gdzie my jesteśmy, panie sierżancie?

Charlie Ross wyjrzał przez okno.

– Nie wiem. Jakaś DZD.

– DZD?

– Dziura zabita dechami.

Znów odpowiedział mu rechot rozbawionych policjantów.

– A co my tu właściwie robimy, panie sierżancie? – spytał inny głos.

– Tak konkretnie? – dołączył inny.

– Tak naprawdę? – Carlyle się roześmiał.

– Tak właściwie? – dorzucił jeszcze jeden wesołek.

– Co to ma być? – warknął Charlie, krzywiąc się w grymasie udawanego gniewu, choć w rzeczywistości uwielbiał takie przedstawienia. – Dwadzieścia pytań naraz? – Uderzył pałką w bok fotela i spojrzał groźnie na jednego z pytających. – Jesteśmy tutaj, jak dobrze wiecie, żeby pilnować przestrzegania prawa i utrzymywać pieprzony porządek, by ludzie mogli bez przeszkód pracować, żeby chronić niewinnych i... – Znów przerwał na moment, ukazując swój ostatni i najbardziej ujmujący uśmiech tego poranka. – A przede wszystkim, żeby rozpieprzyć kilka pierdolonych łbów.

Głowa bolała go coraz bardziej. Połknął pozostałe aspiryny i wyrzucił opakowanie. Zamknął oczy, próbując odciąć się od światła, które odbijało się od wszelkich możliwych powierzchni i bezlitośnie atakowało jego mózg. Odetchnął kilka razy, głęboko i powoli. Wreszcie jego serce zwolniło do w miarę normalnego tempa. Teraz mógł przynajmniej spokojnie wyliczyć, co mu dokuczają. Przepełniona koszulka pod mundurem praktycznie wtopiła się w jego tors. Pot spływał strumieniem po kręgosłupie i między pośladkami. Jakby na umówiony sygnał odezwały się hemoroidy, a Carlyle poczuł się tak, jakby ktoś wsadził mu w dupę nóż. Czuł w żołądku bolesny ucisk, a na ramionach chłód. Był tak odwodniony, że nie chciało mu się nawet sikać – i dobrze, bo potrzebowałby co najmniej pół godziny, żeby odnaleźć swojego fiuta w całym tym sprzęcie.

Usłyszał stukot kopyt policyjnych koni na asfalcie. W dali rozległ się ryk tłumu, gdy któraś ze stron przypuściła szturm. Carlyle mocniej zacisnął powieki i znów skupił się na oddychaniu.

Po kilku minutach wstał z murka i poczuł, jak uginają się pod nim nogi, a żołądek podchodzi do gardła. Pochylił się i zwymiotował do najbliższego ogródka. Trochę mu ulżyło, więc spróbował zwymiotować jeszcze raz. Włożył palce do gardła, ale nic się nie stało.

Wymęczony usiadł.

Zawroty głowy powoli ustępowały. Włożył do ust jeszcze dwie aspiryny, popił je wodą i

szybko przelknął. Potem wstał i ruszył powoli ulicą, oddalając się od bitewnego zgielku. Policyjny owczarek alzacki, który zgubił gdzieś swojego pana, również szedł wolnym krokiem ulicą, zostawiając za sobą hałas i zamieszanie. Podobnie jak Carlyle wyglądał tak, jakby miał już tego wszystkiego serdecznie dość.

Carlyle szedł przygarbiony i wpatrywał się w ziemię. Gdy nagle w asfalt uderzył kawałek cegły, szybko odskoczył.

– Pierdolony pies!

Podniósł wzrok. Jakies osiem metrów dalej stał dziesięcio, może jedenastolatek, który pokazywał mu środkowy palec. Śmiejąc się ze zdeorientowanego policjanta, dzieciak odwrócił się na pięcie i zaczął biec. Niemal natychmiast potknął się o własne nogi, runął na asfalt i przetoczył, zostawiając za sobą krew, smarki i płacz. Dobrze tak gnojkwowi, pomyślał Carlyle. Miał ochotę dogonić gówniarza i porządnie go kopnąć, ale oparł się pokusie i ruszył dalej.

Szukał cienia, ale bezskutecznie. Po obu stronach ulicy ciągnęły się szeregi identycznych piętrowych segmentów z brukowanymi dziedzińcami i niewielkimi ogródkami od frontu. Była to typowa robotnicza dzielnica, gdzie drzewa należały do rzadkości.

W końcu zdecydował się ukryć w cieniu przerośniętego żywopłotu, wysokiego na dwa metry i szerokiego na pół, w ogrodzie położonym jakies osiem domów od karetki. Przeszedł przez otwartą bramkę, opadł ciężko na łysawy trawnik i wczuł się pod krzew, by choć na chwilę uciec przed bezlitosnym słońcem i światłem.

Obudził go krzyk jakiegoś mężczyzny, a potem odgłosy szamotaniny.

– Puść mnie, ty gnoju...

– Będziesz mnie gryzła, tak?

– Przestań!

– Daj spokój...

– Odwal się!

– Suka!

Po chwili Carlyle uświadomił sobie, że głosy dobiegają z ogrodu trzy domy dalej. Zerwał się na równe nogi i próbował dojrzeć coś przez żywopłot. Po chwili się poddał, wyszedł na ulicę i ruszył w stronę głosów.

Najpierw zobaczył kobietę ubraną w znoszone niebieskie dżinsy i brudną białą koszulkę. Za nią stał spocony policjant w takim samym stroju jak Carlyle. Jego hełm leżał na ziemi, jedna ręka zaciskała się na szyi kobiety, a druga na jej piersi.

Kiedy Carlyle podszedł bliżej, zauważył, że kobieta nie ma biustonosza. Pod cienką tkaniną widać było wyraźnie jej stwardniałe sutki. Carlyle nie miał okazji uprawiać seksu – żadnego rodzaju – od ponad dwóch tygodni i teraz poczuł nagle gorąco w kroczu. Dzięki temu choć na moment zapomniał o bólu głowy, ale tak czy inaczej było mu wstyd i zaczerwienił się.

Tymczasem mężczyzna i kobieta podnieśli na niego wzrok i przyglądali mu się nieufnie. Ona miała z metr sześćdziesiąt wzrostu i krótkie blond włosy. Z pewnością stała po stronie wroga, była jedną z kobiet popierających górników, prawdopodobnie żoną lub dziewczyną któregoś z nich. W jej szarych oczach malowała się nienawiść. Mogła mieć równie dobrze dwadzieścia pięć, jak i pięćdziesiąt pięć lat. Była chuda, wymizerowana i zmęczona, miała ziemistą brzydką cerę, jak wszyscy w tych stronach.

Carlyle nie musiał znać numerów służbowych, by rozpoznać Trevora Millera. Przyjechali tu razem z Londynu na początku swojej tury. Choć nie zawsze pracowali na tym samym odcinku, przez ostatnie trzy dni Carlyle widywał go regularnie. Jakies pięć lat starszy od Carlyle'a, Trevor był napuszonym dupkiem, który bez przerwy opowiadał o tym, czego to on nie

zrobi tym „głupim palantom z północy”. Carlyle widział go rano, kiedy Trevor ścigał jakiegoś koleśka na pasie ziemi niczyjej między policją i strajkującymi. Górnik nosił zabawkowy policyjny hełm pokryty związkowymi naklejkami. Pokazał Millerowi środkowy palec i rzucił się do ucieczki. Policjant ścigał go z pałąką gotową do zadania ciosu, obrzucany wyzwiskami i kamieniami przez innych strajkujących.

To było kilka godzin temu, więc co Miller robi tutaj?

Rozpoznawszy Carlyle’a, Trevor ocenił szybko sytuację i przygotował sobie wytłumaczenie.

– Wszystko w porządku – odezwał się z beznamiętną miną. – Panuję nad sytuacją.

Spojrzał na swoją rękę, która wciąż ścisnęła pierś kobiety i unosiła się i opadała w rytm jej oddechu.

– Co się tu dzieje, Trevor?

– On mnie dotyka – powiedziała kobieta. – Pieprzony oblech.

Carlyle zrobił krok do przodu, Miller krok do tyłu, ciągnąc za sobą kobietę.

– Nie wpieprzaj się do tego, Carlyle – warknął. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt, był od niego o co najmniej dziesięć centymetrów wyższy i dwadzieścia kilogramów cięższy. Mógłby pobić go jedną ręką, jednak Carlyle wiedział, że ma przewagę psychologiczną. Musi tylko dobrze to rozegrać.

Kobieta znów zaczęła się wrywać.

– Zabierz go ode mnie!

Carlyle wszedł do ogrodu.

– Co ona zrobiła?

– Napadła na mnie.

– Pierdol się – warknęła rozwścieczona kobieta. – To ty na mnie napadłeś, złapałeś mnie za szyję i zaczęłeś obmacywać. Jebany zbok.

Carlyle nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy w odpowiedzi na zarzuty kobiety Trevor uśmiechnął się szeroko.

– Trevor – westchnął Carlyle – przecież ona jest od ciebie o połowę mniejsza.

– No i co z tego? – Miller wydawał się szczerze zaskoczony sugestią, że robi coś złego.

– To z tego – wrzasnęła Carlyle – że mogłaby na ciebie napaść tylko wtedy, gdyby miała naładowanego kałasznikowa! Puść ją, do cholery!

Miller patrzył na niego obojętnie. Z czubka nosa zwisiała mu kropelka potu.

– Puść ją!

Miller przesunął się, wdeptując w ziemię jakiś kwiatek. A może chwast. Wpatrzony w przestrzeń, przez kilka sekund zastanawiał się nad prośbą Carlyle’a.

– Pilnuj swoich spraw, palancie – brzmiała jego przemyślana odpowiedź.

Carlyle uznał, że czas na zmianę taktyki. Rozłożył szeroko ręce i przemówił najbardziej filozoficznym tonem, na jaki było go stać:

– Stary, zastanów się tylko. Nie chcesz chyba, żeby ktoś złożył na ciebie skargę. To złamałoby ci karierę.

– Dokonuję aresztowania – burknął Trevor.

– Przez coś takiego możesz stracić pracę. – Carlyle był już tylko jakieś dwa metry od Millera i wciąż się przysuwał.

– Nie zrobiłem nic złego, Carlyle. – Trevor mówił i wyglądał jak mały chłopiec. Mały chłopiec ogromnych rozmiarów.

– Puść ją. Musimy wracać.

– Nie. – Trevor pokręcił głową.

Carlyle zrobił kolejny krok w ich stronę, starając się nie gapić na sutki kobiety, które wydawały się teraz jeszcze większe. Może mam już omamy? – pomyślał.

– Musisz.

Miller zrozumiał wreszcie, że Carlyle nie zamierza odejść. Puścił w końcu pierś kobiety i nieco zwolnił uścisk na jej szyi. Blondynka natychmiast wbiła zęby w jego rękę i ugryzła go najmocniej, jak potrafiła.

– Kurwa! – syknął Trevor.

Policyjny uniform był tak gruby, że prawdopodobnie nie zrobiła mu krzywdy, ale Miller odruchowo ją odepchnął. Kobieta skorzystała z okazji i rzuciła się do ucieczki. Przemknęła obok Carlyle'a i wybiegła z ogródka. Wykazując się niezwykłą sprawnością, w ciągu zaledwie kilku sekund zniknęła za rogiem. Carlyle zdążył tylko obrócić się na pięcie i zauważyć, że ma bardzo zgrabny tyłek.

Trevor toczył wewnętrzną walkę, zastanawiając się, czy rzucić się za nią w pościg. Ostateczną decyzją był brak decyzji. Policjant wzruszył w milczeniu ramionami.

Carlyle stał i zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Ból głowy wracał ze zdwojoną mocą, doszedł więc do wniosku, że znów musi sobie znaleźć jakieś ocienione miejsce.

W końcu Trevor podniósł swój hełm i wyszedł powoli z ogrodu.

– Ty głupi gnoju – syknął, mijając Carlyle'a. – Ty cholerny głupi gnoju, następnym razem pamiętaj, po czyjej jesteś stronie.

6

Inspektor Carlyle nie miał ochoty rozmyślać o swojej piramidalnej głupocie dłużej niż to konieczne, ruszył więc w kierunku, z którego przyszedł zaledwie dziesięć minut temu. Wcale nie pocieszała go świadomość, że nie musi iść daleko. Zgrzytając zębami ze złości, wydłużył krok i starał się nie myśleć o łóżku, w którym mógłby już leżeć. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby zobaczyć policjanta w średnim wieku, który gada do siebie jak obłąkany kloszard, wykorzystał więc okazję i przeklinał głośno swoją bezmyślność. Nie po raz pierwszy w tym roku poszedł do domu, włożył rękę do kieszeni i uzmysłowił sobie, że zostawił klucze w komisariacie i nie może wejść do własnego mieszkania. Nie śmiałyby budzić żony o tak późnej porze, zawrócił więc i ruszył z powrotem do komisariatu Charing Cross.

Utrzymując żwawe tempo, Carlyle przeszedł przez północny kraniec brukowanego placu Covent Garden. To było jego terytorium – zaledwie trzy przecznice na północ od biologicznie martwych wód Tamizy przy moście Waterloo.

Carlyle minął imponującą rezydencję na rogu placu, przy King Street numer czterdzieści trzy, w której mieścił się obecnie flagowy sklep pewnej sieci obuwniczej. W XIX wieku była to jedna z pierwszych w Londynie hal bokserskich. Już wtedy tak często ustawiano walki, że niektóre z nich zamieniały się w farsę. Jeden z najsłynniejszych pojedynków przy King Street zakończył się strasznym zamieszaniem, gdy obaj przeciwnicy padli, nim którykolwiek z nich zadał choćby jeden cios. Nic dziwnego, że rozwścieczeni ludzie chcieli wyładować frustrację na nieuczciwych bokserach. Jeden z nich był na tyle przytomny, że aby uniknąć linczu, udawał niewidomego. Podobno „niewidomy” bokser został uznany za zwycięzcę i odebrał nagrodę.

Carlyle zerknął na plakat reklamujący grę komputerową i potknął się na brukowcu. Gdy odzyskał równowagę, stanął przed naturalnej wielkości wizerunkiem komandosa strzelającego z karabinu maszynowego. Slogan umieszczony na plakacie reklamował „nowy rodzaj wojny”. Tak, tego właśnie potrzeba światu, pomyślał Carlyle cierpko, podejmując przerwany marsz.

Przeszedł koło kościoła Świętego Pawła, znanego jako kościół aktorów. Po jednej stronie świątyni stał sklep z okularami słonecznymi Oakley, a po drugiej bank NatWest. Carlyle pomyślał, że projektant kościoła, Inigo Jones, zapewne czułby dumę z takiego towarzystwa. Bóg pewnie również byłby zadowolony.

Na krawężniku przed ogromnym portykiem kościoła siedział przygarbiony przyszczaty młodzieniec w koszulce Arsenalu. Dwa dręczone bezsennością gołębie, obojętne na jego cierpienia, dziobały w wielkiej kałuży wymiocin lśniącej w złotym blasku latarni. Za młodzieńcem stała jeszcze młodsza dziewczyna w wyzywającej sukience. Wpatrywała się pustym wzrokiem w ciemność, jakby nie miała już siły ani go pocieszać, ani zostawić samego, nim noc dobiegnie końca.

Para nie zwróciła najmniejszej uwagi na Carlyle'a, choć ten spojrział na dziewczynę z przyganą, modląc się w duchu, by za kilka lat jego córka nie znalazła się w podobnej sytuacji.

Dotarłszy do rogu Agar Street, Carlyle podniósł wzrok na potężne gmazysko największego komisariatu policji w Europie. Zajmowało cały kwartał gruntu należącego do najdroższych na świecie i znajdowało się w odległości kilku przecznic na północ od stacji kolejowej, od której wziął nazwę. Był to pozbawiony wyrazu sześciopiętrowy budynek najeżony kamerami monitoringu i wyposażony w nieproporcjonalnie małe okna. Staromodne niebieskie latarnie z napisem „Policja”, rozstawione w kilku punktach wokół budynku, wyglądały na imitacje, którymi w rzeczywistości były. Takie właśnie latarnie stały niegdyś przed wszystkimi komisariatami, przypominając społeczeństwu, że policja zawsze jest gotowa mu służyć. Teraz były tylko dekoracją.

Budynek miał kolor złamanej bieli i zawsze wyglądał na brudny. Jedynym zaskakującym elementem architektonicznym był portyk żywcem skopiowany z pobliskiego kościoła. Nadawał budynkowi wygląd ratusza w jakimś prowincjonalnym mieście, a nie największego komisariatu w Europie.

Charing Cross był jedną ze stu czterdziestu siedzib Policji Metropolitalnej w Londynie. Carlyle pracował tutaj od prawie dziesięciu lat, znacznie dłużej niż w jakimkolwiek innym miejscu. W ciągu poprzednich piętnastu lat miał okazję poznać całkiem sporo innych placówek w mieście i wokół niego – między innymi Shepherds Bush, Southwark, Brixton, Paddington Green i Bethnal Green – które stanowiły kolejne punkty jego „kariery”. Powoli piął się w górę policyjnej hierarchii, awansując najpierw na sierżanta, a potem na inspektora. Zajmował się w tym czasie wieloma rzeczami: drobnymi przestępstwami, handlem narkotykami, oszustwami i morderstwami, miał nawet za sobą krótką i niesławną przygodę z ochroną rodziny królewskiej w pałacu Buckingham.

Carlyle zdawał sobie sprawę, że choć w ciągu ponaddwudziestoletniej służby otrzymał wiele pochwał i wyróżnień, tak naprawdę nigdy nie uważano go za członka zespołu. Nie był „jednym z nas” ani „pewnym człowiekiem”. Zdołał jakoś przetrwać, nie będąc częścią rodziny. Jak to się stało? Jego zwierzchnicy byli tym zapewne równie zdumieni jak on. Na przestrzeni lat zdobył doświadczenie we wszystkich dziedzinach pracy policyjnej, ale w żadnej z nich nie był mistrzem. Zapuścił korzenie, ale czuł się jak drzewo uwięzione w chodniku – bezpieczne, lecz niekoniecznie szczęśliwe.

Wchodząc na schody, zerknął na skromny znak komisariatu Charing Cross Station, umieszczony pod małym i bardzo brudnym herbem królewskim. Nad herbem zwieszała się wielobarwna flaga, która ze względu na miesiąc gejów, lesbijek, biseksualistów i transseksualistów zastąpiła na jakiś czas flagę państwową. W holu było prawie pusto, tylko w rogu leżał mężczyzna pogrążony we śnie.

Walter Poonoosamy, znany powszechnie jako Pies, był pijakiem i utrapieniem miejscowych policjantów albo lokalną znakomitością, w zależności od punktu widzenia. Przewisko Pies wzięło się stąd, że miał w zwyczaju nagabywać turystów spacerujących bez celu po placu i prosić ich o pomoc w znalezieniu jego labradora o imieniu Lucky. Wyjaśniał, że Lucky jest towarzyszem jego życia i że właśnie zaginął. Oczywiście takie zwierzę nigdy nie istniało, pasowało jednak do wizerunku wiernego przyjaciela kloszarda. Ta wzruszająca opowieść, połączona z nieprzeciętnymi zdolnościami aktorskimi Psa i wytrwałością, jaką okazywał w obliczu dręczącego pragnienia, zwykle wystarczała, by poruszyć czule struny w sercach naiwnych turystów, którzy nieświadomie pokrywali koszt zakupu kilku półtoralitrowych butelek cydru Diamond White, ulubionego trunku Psa. Jak głosiła miejska legenda, jedno z takich rozdzierających przedstawień poruszyło pewną Amerykankę z Wyoming tak bardzo, że wręczyła zdumionemu kloszardowi pięćdziesiąt funtów i powiedziała mu, by „kupił sobie nowego psa”.

Przechodząc przez hol, Carlyle poczuł duszący smród ekskrementów, co tłumaczyło, dlaczego nikt jeszcze nie wygonił śpiącego pijaka. Zauważył też, że wszyscy omijają to miejsce szerokim łukiem, co w tych okolicznościach wydawało się całkiem zrozumiałe. Krzywiąc się z obrzydzeniem, podszedł do recepcji, gdzie sierżant dyżurny – Dave Prentice, sympatyczny mężczyzna w średnim wieku – podawał właśnie gumowe rękawiczki niezadowolonemu i zaspanemu funkcjonariuszowi PCSO[1], którego Carlyle nie widział wcześniej na oczy. Na kontuarze stała duża butla ze środkiem dezynfekującym, a na podłodze mop i wiadro ciepłej wody wymieszanej z solidną dawką środka odkażającego. Ekipa sprzątająca przychodzi dopiero o szóstej trzydzieści, co oznaczało, że to właśnie PCSO musi ją teraz zastąpić. Funkcjonariusze PCSO, czyli społecznego wsparcia policji, byli ochotnikami, którzy pomagali policjantom w wolnym czasie. Jako że nie mieli prawa zatrzymywać podejrzanych, śmiano się z nich i nazywano plastikowymi policjantami. To właśnie oni, znudzeni i pozbawieni motywacji, odpowiadali za większość przypadków naruszeń prawa dokonywanych przez personel policji metropolitalnej, takich jak pijackie burdy i wykroczenia drogowe. Co roku zwalniano około dwudziestu funkcjonariuszy PCSO. Carlyle starał się mieć z nimi jak najmniej do czynienia.

– Pospiesz się i zabierz go stąd – burknął Prentice, wiedząc, że Pies na pewno nie trafi do celi. Odkąd zarząd aresztów Policji Metropolitalnej opublikował raport z wyliczeniem, że koszt jednej nocy spędzonej w kiciu przez zatrzymanego to oszałamiająca kwota sześciuset sześćdziesięciu siedmiu funtów – znacznie więcej niż noc w hotelu Dorchester (trzysta dziewięćdziesiąt pięć) lub w Ritzu (trzysta dziewięćdziesiąt) – pojawiły się naciski, by, jeśli to tylko możliwe, unikać aresztowań. Dlatego komisariat Charing Cross udzielał gościny tylko celebrytom i groźnym przestępcom. Psa nie przyjąłby też żaden szpital, należało mu więc znaleźć jakieś inne miejsce do spania.

– Zaciągnij go za róg i połóż w jakiejś bramie – zasugerował Prentice. – Gdy dojdzie do siebie, sam trafi do domu.

PCSO burknął coś w odpowiedzi i założył gumowe rękawiczki. Nawet nie zwrócił uwagi na Carlyle’a, gdy ruszył powoli w stronę chrapiącego pijaka. Carlyle życzył mu w myślach powodzenia i stanął przy kontuarze recepcji.

Prentice spojrzał na niego zaskoczony.

– Już wróciłeś, John?

– Zapomniałem cholernych kluczy. – Carlyle się skrzywił.

Sierżant pokiwał ze współczuciem głową, choć zapewne wcale go to nie obchodziło.

– Pech.

– Wiem. Już prawie byłem w domu, kiedy się zorientowałem – wyjaśnił Carlyle należycie posępnym tonem. – Gdybym zadzwonił, Helena by się wściekła – dodał. – Alice idzie przecież rano do szkoły.

Prentice znów pokiwał głową. Sam miał troje dzieci, dwie dziewczynki i chłopca, więc dobrze znał trudy rodzinnego życia. Mieszkał w pobliżu Theydon Bois, miasteczka na północno-wschodnich obrzeżach Londynu, obok Epping Forest, które służyło z braku jakiegokolwiek oświetlenia ulicznego. Jako że miejsce to dzieliło od Charing Cross Station około dwudziestu pięciu kilometrów, co przekładało się na ponad pół godziny jazdy pociągiem, Dave bez wahania obudziłby żonę i dzieci, gdyby zorientował się pod drzwiami domu, że zapomniał kluczy.

Nagle Carlyle wyczuł za plecami czyjąś obecność. Odwrócił się i zobaczył chudego dwudziestokilkuletniego mężczyznę o jasnych włosach i zbolącej minie, który zbliżał się do recepcji. Był ubrany w elegancki, czarny, jednorzędowy garnitur i starannie wyprasowaną białą koszulę. Kiedy podszedł do kontuaru, Carlyle zauważył maleńki szary napis „Garden” wyszyty na kieszeni na piersiach. Garden był drogiem hotelem butikowym, odległym zaledwie o dwie minuty marszu od Charing Cross. Mieścił się przy St. Martin’s Lane, niedaleko Trafalgar Square. Stanowił ulubione miejsce spotkań pomniejszych celebrytów i dziennikarzy z plotkarskich gazet. Zawsze pełno tam było zarozumiałców, którym wydaje się, że robią wyjątkowo ważne rzeczy.

Młody mężczyzna zignorował Carlyle’a, bez słowa wręczył Prentice’owi białą kopertę i odwrócił się, by wyjść.

– Chwileczkę. – Carlyle położył rękę na ramieniu gościa. – Co to jest?

Mężczyzna przystanął i spojrzał na niego obojętnie.

– Pewnie list.

– Co pan powie – mruknął Carlyle. Wziął od Prentice’a kopertę i spojrzał na adres wypisany odręcznie wielkimi czarnymi literami: DO RĄK WŁASNYCH OFICERA DUŻYRNEGO, KOMISARIAT CHARING CROSS. Znów spojrzał na przybysza.

– Kto panu to dał?

– Główny konsjerż. – Mężczyzna wzruszył ramionami, jakby to było oczywiste.

Carlyle natychmiast się zjeżył. Może i czasem robił głupie rzeczy, ale nie lubił, gdy traktowano go jak głupka. Spojrzał gniewnie na mężczyznę, który cofnął się o krok i oparł plecami o kontuar.

– Jak się pan nazywa? – warknął inspektor.

– Brolin. Anders Brolin. Pochodzę ze Szwecji.

– Poważnie? – Carlyle spojrzał na Prentice’a i odchrząknął. – Chodzący stereotyp. Prentice tylko uniósł brwi.

– Słucham?

– Nieważne. – Carlyle zmierzył faceta od stóp do głów. – Skąd dokładnie pan pochodzi?

– Ze Skanii.

Ta nazwa niczego Carlyle’owi nie mówiła.

– Skąd?

– To region na południu kraju – odpowiedział Brolin powoli i wyraźnie, zarówno ze względu na geograficzną ignorancję Anglików, jak i to, że rozmawiał z dwoma policjantami. – Urodziłem się w mieście Ystad.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

Wydawało się, że na wzmiankę o domu Brolin nieco poweselał.

– Jest przyjemne, ale bardzo spokojne. Nic się tam nie dzieje. – Prawie się uśmiechnął, szybko jednak wrócił do poważnej miny. – Policjanci nie mają tam dużo pracy.
– W odróżnieniu od Londynu.
– W odróżnieniu od Londynu. Tutaj jest za dużo... – Brolin umilkł na moment, szukając właściwego słowa.
– Za dużo palantów – podsunął Carlyle.
– Tak. – Młodzieniec wreszcie się uśmiechnął. – O wiele za dużo.
– No dobrze... – Carlyle pomachał kopertą. – A co z tym?
– Ja nie mam z tym nic wspólnego – odparł Brolin, mimowolnie odwracając się do drzwi.
– Robię tylko, co mi każą.
– Jak my wszyscy. – Prentice zachichotał.
– Niedługo kończy się moja zmiana – dodał Brolin. – Może po prostu zobaczcie, co tam jest.

– Dobra. – Carlyle westchnął, myśląc o tym, że jego zmiana skończyła się już pół godziny temu. Ostatnio już dwa lub trzy razy zapomniał kluczy. Może jego umysł już się zestarzał, może zaczął tracić pamięć krótkotrwałą? Powinien chyba zawsze nosić ze sobą drugi komplet. Tak, to dobry pomysł. Musi to sobie zapamiętać.

Przed oczami stanął mu obraz żony śpiącej smacznie w cudownie ciepłym łóżku. Potem widok ten zaczął się powoli, bezlitośnie zacierać, aż całkiem zniknął. Carlyle znów westchnął ciężko, rozdarł kopertę i wyjął z niej kartkę.

– Zobaczmy, co tu jest napisane, a potem obaj będziemy mogli pójść do domu – powiedział. Położył pustą kopertę na blacie i rozłożył kartkę.

Był to hotelowy papier listowy całkiem dobrej jakości, gruby szary arkusz z nazwą hotelu i adresem e-mailowym u góry. Napis sporządzony tym samym charakterem co adres głosił: CIAŁO W 329. NIE PIERWSZE I NIE OSTATNIE. Poniżej znajdowało się kilka ciemnych plam przypominających krew. Gęsta ciecz wsiąkła w papier, ale jeszcze nie wyschła.

Carlyle pokazał kartkę Prentice'owi, a potem Brolinowi.

– Wie pan coś o tym? – spytał.

– Nie – odparł Brolin chmurnie. – Mówiłem już.

Carlyle wiedział, że ten list to na dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent bzdura, na którą zmarnują tylko czas. Nawet jeśli w pokoju rzeczywiście leżą jakieś zwłoki, to sprawa może być podejrzana, ale niekoniecznie związana ze zbrodnią. W minionym roku komisariat Charing Cross odnotował siedem „podejrzanych” przypadków śmierci, z których pięć uznano za morderstwo. Wszystkie te sprawy zostały należycie rozwiązane. Żadna z nich nie miała nic wspólnego z turystyką lub hotelami. Do połowy obecnego roku zarejestrowali już sześć podejrzanych zgonów. Pięć z nich uznano za akt zbrodni, szósty wciąż nie został wyjaśniony. Doświadczenie podpowiadało Carlyle'owi, że tajemniczy list to idiotyczny żart. Wiedział aż za dobrze, że ludzie potrafią robić nieprawdopodobnie głupie rzeczy. Co gorsza, zwykle uchodzi im to na sucho, podczas gdy inni bezskutecznie się za nimi uganiają lub muszą po nich sprzątać.

Oczywiście tak czy inaczej musi to na wszelki wypadek sprawdzić. Widział już przed sobą kilka zmarnowanych godzin i opadły mu ręce. Zacisnął zęby, by zapanować nad złością.

– Lepiej, żeby to nie był głupawy żart kogoś z waszych popieprzonych gości – warknął, podnosząc list i wskazując go palcem. Wiedział, że za chwilę puszcza mu nerwy, uratował go jednak Prentice, który położył mu dłoń na ramieniu i lekko ścisnął. Carlyle skinął głową, wdzięczny za tę interwencję. Dobrze rozumiał, co sierżant ma na myśli: nie zabijaj

posłańca, nawet jeśli wygląda na kretyna.

Brolin podniósł ręce w obronnym geście.

– Ja tylko wam to przyniosłem.

Carlyle podrapał się po głowie.

– Tak, słusznie. – Odetchnął głęboko i rzucił list na blat obok koperty. – Lepiej to schowaj, Dave, na wypadek gdyby to jednak była prawda. Ściągnij tu któregoś posterunkowego, pójdziemy tam i rozejrzemy się. – Spojrzał na Brolina. – Pan tutaj poczeka. Zaraz wrócę, zabiorę tylko klucze.

7

Hotel Garden przy St. Martin's Lane, tuż obok Trafalgar Square, był biurowcem z lat sześćdziesiątych, który na początku lat dziewięćdziesiątych sprzedano meksykańskiemu miliarderowi Jeronimo Borgettiemu. Borgetti zatrudnił modnego amerykańskiego projektanta, niejakiego Allana Walla, który zamienił biurowiec w luksusowy hotel butikowy. Dla miliardera był to miły dodatek do portfolio inwestycji na całym świecie, a przy tym własny kątek w mieście, w którym często prowadził interesy. Garden starał się być taaak baaardzo stylowy, że zwykli śmiertelnicy pokroju Carlyle'a nie mogli w nim liczyć na gościnę. Inspektor zawsze musiał najpierw spytać o cenę, a to oznaczało, że nie mógł sobie pozwolić na coś takiego.

Czekając na głównego konsjerżę, Carlyle stał w żółto-zielonym holu i znów rozmyślał o tym, że powinien być już w łóżku. Nawet o tak późnej porze do hotelu wchodził i wychodził niekończący się strumień ludzi. Zdaniem Carlyle'a wszyscy wyglądali na zbyt pewnych siebie i zbyt z siebie zadowolonych. Raz po raz dolatywały go śmiechy z położonego na tyłach budynku baru, który zamykano dopiero za pół godziny. Carlyle zastanawiał się ponuro, jacy ludzie wychodzą się napić o wpół do trzeciej w nocy, w poniedziałek. Przypuszczał, że młodzi i bogaci, którzy nie muszą się martwić, że za kilka godzin idą do pracy.

Stukając czubkiem buta w nieskazitelnie czyste beżowe płytki, sprowadzone z Portugalii, Carlyle wziął broszurę reklamową hotelu i odruchowo ją powąchał. Była ciężka i pachniała bogactwem. Przerzucając kartki, uśmiechał się na widok marketingowych sloganów w rodzaju „całkowicie oryginalny miejski kurort”, „nowy paradygmat” i „przejaw kulturowego ducha czasu”. Starannie wydana i zapewne droga broszura potwierdzała tylko, że Garden nie jest miejscem dla niego, choć właściciele zapewne wcale by się tym nie przejęli. Niezbyt szykowny policjant w średnim wieku z pewnością nie należał do kręgu docelowych klientów ekskluzywnego hotelu, który zwracał się do „wędrownego szczerpu obywateli świata, krążących nieustannie między Londynem, Paryżem, Mediolanem, Nowym Jorkiem, Los Angeles i podobnymi miejscami...”.

Właściwie Carlyle bywał tu dość często z Heleną, nim jeszcze się pobrali. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych regularnie chodzili do starego kina Lumiere, które mieściło się w podziemiach hotelowego budynku. Raz wybrali się też do baru, ale wizyta ta poczyniła tak wielkie spustoszenie w portfelu Carlyle'a, że od tamtej pory zawsze przygotowywał sobie jakąś rozsądną alternatywę. Nawet teraz, po dwudziestu latach, wspomnienie tamtego rachunku przyprawiało go o dreszcz grozy.

Zupełnie inaczej miała się sprawa z kinem Lumiere. Carlyle wspominał je z czułością, a nawet z nostalgią. Jego ówczesna dziewczyna, a obecna żona, zabierała go tam na francuskie filmy w rodzaju *Betty Blue* czy *Kochankowie z Pont-Neuf*. Czekając na konsjerżę, Carlyle pomyślał o tamtych czasach po raz pierwszy od wielu lat. Popołudniowe seanse w pustym kinie. Cudowne. Cudowne i dawno zapomniane. Teraz w podziemiach hotelu mieściła się siłownia.

Cierpliwość nie była mocną stroną Carlyle'a. Wkrótce przyłapał się na tym, że stuka obcasem w podłogę holu z coraz większą siłą i złością. Minęło już pięć minut, a inspektor zastanawiał się właśnie, czy może powinien na kogoś nawrzeszczyć, gdy zza filara wyłonił się Alex Miles, który ucisnął mu dłoń i uśmiechnął się oficjalnie.

– Inspektorze... – Nim jeszcze Miles skończył wymawiać to słowo, uśmiech zniknął z jego twarzy. Na nogach miał drogie, wypolerowane buty z brązowej skóry, ubrany był w świeżo wyprasowane dżinsy, śnieżnobiałą koszulę i kraciatą marynarkę. Wyraźnie dawał Carlyle'owi do zrozumienia, że skończył już pracę i dlatego jego czas jest jeszcze cenniejszy niż zwykle.

– Alex... – Carlyle spojrzał na niego obojętnie, z kolei dając mu do zrozumienia – jeśli w ogóle musi to zaznaczać o tej porze – że to wizyta ściśle służbowa. Co istotniejsze, w ten sposób informował Milesa, że zapisuje przy jego nazwisku kolejny debet na liście osób i przysług, którą zawsze miał w głowie.

– Przepraszam, że musiał pan czekać. – Alex Miles pokornie schylił głowę, jakby uznawał swoją winę i prosił o wybaczenie. – To była naprawdę ciężka noc. Mieliśmy problemy z ludźmi Carltona Jacksona...

– Tego boksera? – spytał Carlyle. Jackson był amerykańskim bokserem wagi ciężkiej, który niedawno przyleciał do Londynu na walkę. Nim doszło do pojedynku, został aresztowany za pijaństwo i agresywne zachowanie oraz napaść na policjanta. – Myślałem, że go deportowali.

– Jeszcze nie. – Miles się uśmiechnął. – Tak czy inaczej, opanowaliśmy sytuację.

– To dobrze. – Carlyle skinął ze zniecierpliwieniem głową. – A teraz przejdźmy do rzeczy...

– Tak. – Miles znów się uklonił. Carlyle zastanawiał się przez moment, czy konsjerż ma jakieś japońskie korzenie, czy też – co bardziej prawdopodobne – robi sobie z niego jaja. Miles stanął prosto i zaczął się bawić guzikiem marynarki. – W czym mogę panu pomóc?

Jako główny konsjerż hotelu Garden Miles już od ponad pięciu lat zajmował się najważniejszymi i najbardziej wymagającymi gośćmi. Przynajmniej raz lub dwa razy w roku znajdował się w kręgu zainteresowań inspektora, mieli więc okazję się spotkać. Carlyle opisałby go jako dalekiego znajomego. Ze względu na charakter swojej pracy Miles stykał się zarówno z prawymi i wybitnymi obywatelami, którzy zazwyczaj nie interesowali Carlyle'a, jak i prawdziwymi kryminalistami, którzy dawali inspektorowi zajęcie, a zarazem zatruwali mu życie.

Miles bez wątplenia na co dzień łamał prawo, szczególnie jeśli chodzi o narkotyki i prostytucję. Robił to jednak w taki sposób i w takim środowisku, że jego występki nie miały dla Carlyle'a większego znaczenia. Obaj zdawali sobie sprawę, że społecznie akceptowane zachowania wciąż ewoluują i zwykle wykraczają poza literę prawa.

Podobnie jak Miles, Carlyle uważał, że przede wszystkim należy pilnować własnych interesów. To przekonanie stanowiło dobrą wspólną płaszczyznę dla ich znajomości, a przy tym wymagało minimum myślenia i minimum działania.

Jak każdy dobry policjant Carlyle bardzo rzadko zwracał sobie głowę obsesjami i dziwactwami bogatych ludzi. Wiedział, że kiedy w grę wchodzi duże pieniądze, sprawiedliwość jest tylko częściowo ślepa. Uważał też, że aby poradzić sobie z bogaczami i ich poczuciem wyjątkowości, najlepiej po prostu ich ignorować. To pragmatyczne podejście przejął od swojego ojca, który powtarzał: „Gdy wiesz, że nie wygrasz, nawet nie zaczynaj”. Po ponad czterdziestu latach pobytu na tej planecie i ponad dwudziestu latach służby Carlyle odstępował od tej zasady tylko w sytuacjach ekstremalnych... takich jak morderstwo.

Jak każdy dobry konsjerż Miles znał wszystkie dojścia i potrafił wszystko załatwić. Był to zresztą podstawowy wymóg w jego pracy, bo „wędrowny szczerp” korzystający z usług hotelu

potrafił być bardzo wymagający. Umiał również zdobyć szczegółowe, aktualne i wiarygodne informacje o klientach, którymi czasem interesował się Carlyle. Gdy tylko Miles przekonał się, że inspektor jest pragmatykiem i nie przeszkadzają mu potrzeby jego „szczepu”, chętnie robił z nim interesy. I tak nawiązali luźną więź, jedną z setek tego typu relacji, które każdy utrzymuje w życiu zawodowym.

Stali teraz we czterech przy głównym stanowisku pracy konsjerża, mahoniowym biurku w stylu regencji w rogu holu. Choć częściowo zasłaniała je wielka sofa, nie dało się ukryć, że w ogóle nie pasuje do reszty wystroju. Do Carlyle'a i Milesa dołączył przygłupi portier, Brolin, oraz przystojny, lecz niedoświadczony i nieśmiały młodzieniec, posterunkowy Tim Burgess.

Burgess, który przyszedł tu z Carlyle'em z komisariatu, był wyraźnie onieśmielony – peszyło go zarówno bogate otoczenie, jak i to, że za sprawą munduru wyróżnia się spośród hotelowych gości. Za ledwie minutę lub dwie po tym, jak wszedł do holu, stał się obiektem zainteresowania podchmielonej kobiety w średnim wieku, która przechodziła właśnie z baru do windy i obdarzyła go namiętym, drapieżnym spojrzeniem. Carlyle o mało nie parsknął śmiechem, widząc, jak Burgess czerwieni się po uszy. Wcale by się nie zdziwił, gdyby kobieta podeszła do posterunkowego, przerzuciła go sobie przez ramię i zabrała na górę. Zmartwiały ze strachu Burgess z pewnością nie stawiałby oporu. Bogu dzięki, że mam wsparcie, pomyślał Carlyle. Miejmy nadzieję, że morderca – jeśli w ogóle był tu jakiś morderca – wyszedł już z hotelu. Rzucił broszurę na biurko i odwrócił się do Milesa.

– Brolin powiedział ci o liście? – zapytał.

– Tak. – Miles skinął głową. – Przedziwna sprawa. Myśli pan, że to jakiś żart?

– Prawdopodobnie. – Carlyle uśmiechnął się lekko. – Znając waszą klientelę...

Miles ściągnął brwi.

– Jest pan chyba zbyt surowy, panie inspektorze – powiedział. – Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się nic podobnego.

– No tak, to jakaś odmiana po demolowaniu pokoi, sraniu przez okno i biciu dziwek. – Carlyle pokiwał głową, robiąc aluzję do poprzedniego incydentu, gdy jedna z osób towarzyszących znanemu amerykańskiemu aktorowi trafiła spod opieki pana Milesa prosto w gościnne ramiona pana Carlyle'a. I z powrotem... nim wkroczyła prokuratura i, co istotniejsze, media.

– Ostatnio i takie rzeczy zdarzają się rzadziej – odparł Miles, jakby nieco rozczarowany. – Jeszcze jedna z konsekwencji kryzysu.

– Czytałem o tym. – Carlyle obdarzył konsjerża złośliwym uśmiechem pracownika sfery budżetowej, który dobrze wie, że powszechny kryzys finansowy to nie jego problem – przynajmniej dopóki jakiś cholerny polityk nie zacznie dobierać się do jego emerytury. A skoro kryzys utemperował też paru rozrabiaków, to należy się z niego cieszyć. *Schadenfreude* nie mogła jednak trwać długo. Inspektor wiedział, że tacy ludzie wcześniej czy później zawsze jakoś sobie poradzą. – To muszą być trudne czasy dla waszych klientów.

Miles wznosił oczy do nieba.

– Tak, kryzys bardzo nam dokucza.

– No dobrze. – Carlyle westchnął, wracając do tematu. – Zachowajmy to dla siebie, dopóki tam nie zajrzemy. Kto dał wam ten list?

Miles wskazał głową biurko.

– Leżał na blacie. A na nim dwadzieścia funtów. Byłem wtedy w barze, więc nie wiem, kto to zostawił.

– Co z kamerami? – Carlyle nie dostrzegł co prawda ani jednej, wiedział jednak, że

muszą być gdzieś ukryte. – Nagrały coś?

– Może.

Carlyle kazał Burgessowi zanotować, że w razie potrzeby powinni sprawdzić nagrania z kamer ochrony, po czym odwrócił się do konsjerża.

– Kiedy to było?

Miles się skrzywił.

– Może jakieś dwie godziny temu.

– Nie sprawdziłeś, co jest w środku?

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Zdumiewający brak ciekawości – mruknął Carlyle.

– Kiedy dostają coś takiego, zakładam, że nie chcą wiedzieć, co zawiera – wyjaśnił

Miles.

Carlyle pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Więc przynieśliście to do nas dopiero po godzinie?

– Byliśmy zajęci. Właśnie dotarła do nas grupa chińskich turystów z samolotu, który spóźnił się sześć godzin. Ich bagaż wysłano do Reykjavíku. Ekspres z Heathrow miał awarię. Wie pan, jak to jest, inspektorze.

– Pewnie tak – odpowiedział Carlyle, którego ani trochę nie obchodził fatalny stan brytyjskiej infrastruktury transportowej. Gdzieś z otchłani jego pamięci wypłynął utwór *W domu jest turystą* grupy Gang of Four. Jeśli wyjeżdżasz za granicę, sam prosisz się o kłopoty. Lepiej zostać w domu. Z pewnością mają mnóstwo ciekawych rzeczy do obejrzenia w Chińskiej Republice Ludowej – czy to jeszcze jest Republika Ludowa? Spojrzał pytająco na Milesa.

– Masz jeszcze tego dwudziestaka?

Konsjerż pokręcił głową.

– Wpadłem do Epoki na szybkie macchiato, przy okazji kupiłem też paczkę marlboro.

Carlyle pomyślał, że tego właśnie powinien się spodziewać. Sprawa byłaby zbyt prosta, gdyby Miles zatrzymał pieniądze. Na szczęście prawdopodobnie leżą jeszcze w kasie kawiarni. O tej porze nikt nie prosiłby o resztę w dwudziestkach. Odwrócił się do Burgessa i wysłał go do Epoki po banknot. Hotel od kawiarni dzieliło zaledwie dwadzieścia metrów, zakładał więc, że młody posterunkowy trafi tam bez problemu, a po drodze nie zostanie okradziony ani zgwałcony.

Carlyle odprowadził Burgessa wzrokiem, po czym jeszcze raz rozejrzał się po holu. Zrobiło się znacznie spokojniej, hałas dobiegający z baru przycichł, wyglądało na to, że nawet najtwardsi balangowicze opadli już z sił.

– No dobrze. – Westchnął. – Czas na spotkanie z menedżerem.

Miles odsunął się od biurka i poprowadził inspektora w głąb holu, obok filarów i różnych urządzeń elektrycznych.

– Dziś w nocy dyżur ma Anna Shue – powiedział, wskazując głową zmęczoną brunetkę w hotelowym uniformie, która właśnie wysiadała z windy. Miała włosy związane w kucyk, co nadawało jej dość surowy wygląd. Wrażenie to pogłębiał brak makijażu – zawsze duży plus w oczach Carlyle’a.

Przesunął się do przodu.

– W porządku. Zostań tutaj. Dopilnuj, żeby Brolin też się stąd nie ruszał... i trzymał gębę na kłódkę – powiedział do konsjerża i ściągnął brwi. – Jeśli się okaże, że to jakaś bzdura,

wszyscy o tym zapomnimy, a ty będziesz mi winien jeszcze jedną przysługę.

Miles cofnął się teatralnie o krok i przybrał pozę wyrażającą zdumienie.

– Jeszcze jedną przysługę?

– Zgadza się.

– A jeśli to nie bzdura?

– To tych przysług będzie o wiele więcej.

– Rozumiem. – Miles westchnął ciężko.

– Doskonale! Zuch chłopak! – Carlyle poklepał go lekko po ramieniu. – Idź na papierosa.

Jeśli nie wrócę za pięć minut, to znaczy, że będziemy musieli zacząć oficjalne przesłuchania.

Anna Shue, która wyglądała na wyjątkowo zmęczoną i udręczoną, wcale się nie zdziwiła, gdy nagle stanął przed nią Carlyle. Alex Miles pewnie wcześniej poinformował ją o całej sprawie. Nie miało to większego znaczenia, ale zirytowało inspektora. Dlaczego ludzie nie potrafią trzymać gęby na kłódkę? Takie zachowanie dowodziło tylko, że na Milesie raczej nie można polegać.

Gdy już się sobie przedstawili, Carlyle przeszedł za Shue do recepcji, którą obsługiwała teraz młodsza i ładniejsza blondynka. Shue rzuciła do niej kilka słów w jakimś obcym języku, rosyjskim lub polskim, a może nawet fińskim. Dziewczyna natychmiast zniknęła, wpuszczając na swoje miejsce menedżerkę, która wystukała coś na klawiaturze komputera. Przez kilka sekund patrzyła na ekran komputera, po czym podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer trzysta dwadzieścia dziewięć. Po dobrych piętnastu sekundach odłożyła słuchawkę i spojrzała na Carlyle'a.

– Nie odbiera? – spytał.

Skinęła głową.

– Pewnie śpi.

Inspektor ściągnął brwi. Nie lubił, gdy ktoś wciskał mu kit.

– Naprawdę myśli pani, że nie obudziłby się po tylu dzwonekach?

Menedżerka zastanawiała się nad tym przez moment.

– Owszem, jeśli coś zażył albo... jest zajęty.

– Ale zameldował się sam?

Shue znów spojrzała na ekran.

– Tak.

Carlyle czekał, aż powie coś więcej, ale ona patrzyła tylko w milczeniu na komputer.

– I?

– W pokoju trzysta dwadzieścia dziewięć mieszka pan Ian Blake – odezwała się po sekundzie, jakby ocknęła się z głębokiego snu. – Zameldował się o dziewiętnastej dwadzieścia pięć. Tuż po dwudziestej pierwszej poprosił o coś do jedzenia i butelkę szampana. Zamówił budzenie na siódmą trzydzieści jutro, a właściwie dziś.

Carlyle doszedł do wniosku, że wszystkie te informacje są bezużyteczne. Niepotrzebnie odkładają nieuniknione, czyli wizytę w pokoju trzysta dwadzieścia dziewięć. Odetchnął głęboko.

– Dobrze, w takim razie złożmy wizytę panu...

– Blake'owi.

– Blake'owi. Muszę zajrzeć do tego pokoju.

Shue ściągnęła brwi.

– Jest pan pewny, inspektorze?

To także stanowiło część jego pracy: pokonywanie niechęci ludzi, którzy nie chcieli mieszać się do trudnych spraw, wciąganie ich w to bagno, w którym sam musiał się taplać.

Czasem robił to z niekłamaną przyjemnością, ale nie dzisiaj. Dziś postępował tylko zgodnie z procedurą.

Menedżerka wyjęła z szuflady biurka kartę magnetyczną i pokazała ją Carlyle'owi.

– Cóż...

Inspektor opuścił wzrok, starając się ukryć uśmiech. „Jest pan pewny?”. Słyszał to pytanie milion razy. Jest policjantem, na miłość boską. Oczywiście, że jest pewny.

– Może skończyć się na tym, że niepotrzebnie wyciągniemy gościa z łóżka.

– Owszem, tak się właśnie może stać.

Ożywiła się nieco, błędnie zakładając, że Carlyle podziela jej punkt widzenia.

– Albo... – dodał inspektor z uśmiechem – możemy zignorować coś poważnego, na przykład morderstwo.

Shue cofnęła się o krok, zirytowana, jakby właśnie próbował złapać ją za tyłek.

Carlyle zignorował jej oburzenie.

– Chyba rozumie pani, co w tej sytuacji jest ważniejsze, prawda? – spytał retorycznie.

W milczeniu wjechali windą na trzecie piętro. Shue poprowadziła go korytarzem oświetlonym małymi lampkami umieszczonymi przy podłodze, podobnymi do świateł awaryjnych w samolocie. Otaczała ich głęboka, niesamowita cisza, gruby niebieski dywan tłumił odgłos kroków. Carlyle pomyślał, że tak właśnie wyglądają sceny, które mają pokazywać środek nocy w wielkim mieście, choć ze względu na brak okien w korytarzu równie dobrze mogłyby to być środek dnia.

Shue skręciła w prawo, w krótszy ślepy korytarz na tyłach hotelu. Mieściło się tutaj sześć pokoi, trzy po jednej i trzy po drugiej stronie. Menedżerka stanęła przed drzwiami opatrzonymi tabliczką z numerem trzysta dwadzieścia dziewięć. Na tacy przy drzwiach leżały resztki jedzenia i stała butelka po szampanie.

Shue wskazała głową etykietę.

– Krug, rocznik tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty piąty. Naprawdę dobry. Butelka kosztuje pięćset funtów.

Carlyle wzruszył ramionami.

Przez moment stała nieruchomo, z kartą magnetyczną w uniesionej ręce.

– Boże – wyszeptała, odwracając się do Carlyle'a – mam nadzieję, że ma pan rację.

– Co takiego? – spytał rozbawiony inspektor. – Ma pani nadzieję, że on naprawdę nie żyje?

– Nie. – Shue uśmiechnęła się blado. – Wie pan, co mam na myśli. Jeśli on śpi... albo ma gościa... – Wydawała się naprawdę zaniepokojona.

Pomimo zmęczenia i wbrew swojej naturze Carlyle odetchnął głęboko i spróbował okazać menedżerce nieco zrozumienia.

– Pewnie widziała pani w tej pracy przeróżne rzeczy, prawda?

– Nie. – Cofnęła się o krok, dziwnie zakłopotana. – Niezupełnie. Zajmuję się tym dopiero od pół roku.

Carlyle uznał, że szkoda jego czasu i sił na takie pogaduszki, wyprostował się więc i przybrał oficjalny ton, którego używał tylko w podobnych sytuacjach.

– Proszę się nie obawiać, to zwykła policyjna procedura. Jeśli okaże się, że to pomyłka, wezmę na siebie pełną odpowiedzialność za wszelkie konsekwencje.

Zastukał delikatnie do drzwi i policzył do dziesięciu. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, zastukał mocniej i znów odczekał dziesięć sekund. Nadal nic. Uśmiechnął się znacząco do Shue.

– Proszę otworzyć drzwi i odsunąć się.

Menedżerka wypełniła jego polecenie. Carlyle powoli uchylił drzwi i wszedł do maleńkiego przedpokoju. Po lewej miał pustą szafę, po prawej łazienkę, a przed sobą pokój. Oświetlała go tylko lampa stojąca na podłodze w przeciwnym rogu. Inspektor dostrzegł stopę w skarpetce wystającą z krawędzi łóżka. Nie słyszał chrapania ani odgłosów świadczących o tym, że ktoś uprawia w pokoju seks. Zamknął za sobą drzwi i wszedł głębiej, by potwierdzić to, co już wiedział.

List nie był głupim żartem.

8

Uniwersytet w Cambridge, czerwiec 1984

Życie jest krótkie, ale dzień długi.

Znaki były wszędzie. Nie dało się ich przegapić. Był sto sześćdziesiąty dziewiąty dzień roku. Minęło sto sześćdziesiąt dziewięć lat, odkąd Anglicy triumfowali pod Waterloo. Nadszedł czas historycznych wydarzeń. Czas przeznaczenia. A przede wszystkim czas bólu.

Tu i teraz kończył się letni semestr, rok akademicki i studenckie życie. Czekał na nich wielki świat, gotowy obdarzyć ich pieniędzmi, prestiżem i władzą. Oczywiście musi z tym poczekać, aż będą gotowi. To ich święte prawo. Od małego uczono ich, że to świat czeka na dżentelmenów, a nie odwrotnie.

Oddają wolność za władzę. Będzie im jej brakowało.

Świętowali już od ponad trzydziestu godzin, wciąż zmieniali bary i przyjęcia, raz po raz natykając się na tych samych ludzi. Teraz, gdy złapali drugi oddech, wrócili do jego pokoi na wielki, długo oczekiwany finał.

Trwało spotkanie klubu.

Zaczęło padać. Upalny dzień kończył się burzą z piorunami. Pogoda podkreślała jeszcze atmosferę *fin du siècle 'u*. Zmywali z siebie przeszłość, przygotowując grunt dla przyszłości. Smutni, zmęczeni, ale wyczekujący.

Widok, który rozciągał się przed jego oczami, przypominał pornograficzną, filmową wersję książki *Szkolne dni Toma Browna*, wyreżyserowaną przez Tinto Brass. *Kaligula* tego włoskiego króla erotyków zajmował poczesne miejsce w jego kolekcji porno – stojącej w rogu pokoju wysokiej niemal na półtora metra stercie kaset VHS, które gromadził od lat. Na ekranie sąsiadującego z kasetami telewizora leciał wyciszony film *Salon Kitty*, a z nieprawdopodobnie drogiego zestawu stereo firmy Bang & Olufsen płynęły dźwięki piosenki *She Works Hard for The Money* Donny Summer.

Wszyscy wpatrywali się w środek pokoju, gdzie na uprzątniętym kawałku podłogi o wymiarach mniej więcej dwa i pół na półtora metra leżało na brzuchu nagie ciało. W powietrzu mieszały się zapachy potu, ekskrementów, nasienia i marihuany. Choć wszystkie okna były otwarte, niebieski dym unoszący się na wysokości głów nadal był tak gęsty, że przesłaniał kopię *Mulholland Drive* Hockneya wiszącą na przeciwległej ścianie. Ktoś upadł na szklany stolik do kawy, a potem zepchnął jego kawałki w kąt. Wszędzie walały się puste butelki po szampanie i wódce Absolut. Spod sofy wystawał kawałek niedojedzonej pizzy.

Przygotowywali swoją ofiarę od trzech lat. Trzy lata poszukiwań i urabiania prowadziły do tej właśnie nocy. Teraz w ciągu trzech godzin i trzech minut zamierzali dokonać dzieła zniszczenia. Ich śliczny Ikar poleciał zbyt blisko słońca. Teraz miał spaść na ziemię i wrócić tam, gdzie jego miejsce, do pospólstwa. Uświadomić sobie, że pofrunął za wysoko.

Dzień jest krótki, ale życie długie.

Gdy zrobił krok do przodu, rozległ się ryk aprobaty. Czuł się jak gladiator wkraczający na arenę, pewny wygranej i otoczony powszechnym szacunkiem. Po grze wstępnej rozsunął nogi Ikara, pochylił się do przodu i wsunął do środka. Zaczął poruszać się do przodu i do tyłu, początkowo łagodnie, jakby trochę niepewnie, a potem z coraz większą siłą i dumą. Wkrótce znaleźli wspólny rytm, ich oddechy się złączyły. Czując reakcję drugiej strony, przyspieszył tempo. Tak, to będzie dobre. Więcej niż dobre. To będzie... ideał.

Sine metu.

Bez strachu.

Sięgnął do penisa Ikara, ciepłego, aksamitnego i przyjemnie twardego, i bez przekonania próbował doprowadzić go do orgazmu, przestał jednak, gdy tylko rozległy się pierwsze gwizdy. Nie zważając na wrzaski i pohukiwania, odrzucił do tyłu majestatyczną czarną grzywę. Czuł kropelki potu zbierające się na jego czole i suchość w ustach. Miał wrażenie, że serce lada moment wyskoczy mu z piersi, że każde uderzenie może być ostatnim. Musiał przypominać sobie o oddychaniu. Dzięki połączonemu działaniu szampana Krug, marihuany o nazwie Libańskie Złoto i azotynu amylu mógł się nieco zrelaksować, a zarazem przeżywać wszystko jeszcze intensywniej. Wiedział, że uśmiecha się idiotycznie, ale nad tym nie panował. Właśnie tego zawsze pragnął. Właśnie tu było jego miejsce. W centrum wydarzeń. U steru. Na szczycie. Coraz głębiej, tam, gdzie nie musiał już dłużej zastanawiać się nad swoimi poczynaniami.

Tu mógł tylko być, nie działać.

Cały świat ograniczał się teraz tylko do nich dwóch. Wszystko inne zamieniło się w nicłość. Piosenka Duran Duran *The Reflex*, odtwarzana z taśmy magnetofonowej, brzmiała tak, jakby dochodziła gdzieś z górnych warstw atmosfery, podobnie jak śmiechy i pokrzykiwania widzów. Półmrok pokoju został daleko z tyłu, podczas gdy on uniósł się wysoko ponad swoje ciało i patrzył na bezkształtną masę, w którą się zamienił.

Bolesne jęki dobiegające z dołu częściowo przywróciły mu świadomość. Powietrze wyleciało z odbytu chłopca z odgłosem przypominającym potężne pierdnięcie, co wywołało kolejną salwę śmiechu widowni. Zapach gówna wypływający z jego zdobyczy budził obrzydzenie i jednocześnie go podniecał. To był zapach strachu. Zepsucia. Porażki. Pochylił się i wciągnął powietrze.

Połąskotał chłopca po jądrach, jednocześnie napierając przedramieniem na jego kark. Nigdy nie czuł się tak twardy, ani tak silny, nigdy nie miał takiej władzy. Oto właśnie chodziło. W tym momencie był Johnem Travoltą.

Był Tonym Manero.

Czytał gdzieś, że podczas kręcenia *Gorączki sobotniej nocy* Travolta tak bardzo się nakręcał, że natychmiast po skończeniu zdjęć chciał zerznąć Jane Fondę, największy symbol seksu na świecie. Znał to uczucie. Ale Jane Fonda trochę się już postarzała, więc wolałby Helen Mirren. Albo Kathleen Turner. A najlepiej obie. I całą resztę. Dawajcie tu wszystkich. Ułóżcie ich przed nim. W tym momencie nie było na świecie osoby, której nie chciałby pieprzyć: mógł zrobić to z każdym, natychmiast.

Mógłby to robić bez końca. Chciał to robić bez końca.

– Kończ wreszcie! – wrzasnął jakiś pijany głos.

Ktoś zachichotał.

– Inni czekają, zapomniałeś?

– Pospiesz się!

Coś odbiło się od jego pleców. Ktoś wylał mu na głowę piwo.

– Pieprzyj się dla Anglii!

- To gwałt na Lukrecji... część druga...
 - Chyba za bardzo mu się to spodobało...
 - Pieprzony zbok...
 - Kończ, pedale!
- Znów chichoty.
- Kończ albo z niego złaż!

Powinien się skoncentrować. Przekroczyć metę, mieć to za sobą. Musi wejść jeszcze głębiej, poczuć to przyjemne drgnienie w kroczu, które mówiło, że nie ma już odwrotu. Tę chwilę, kiedy gotów jesteś wystrzelić i z radością przeleciałbyś wściekłego pitbulla, żeby to osiągnąć. Jeszcze kilka ruchów i się doczekał. Jęknął głucho i skończył. Świat eksplodował milionami gwiazd, które wypełniły jego umysł. Wrzaski i wiwaty osiągnęły apogeum. Pochylił się w ostatniej pieszczocie, nim kilka rąk odciągnęło go do tyłu.

Doczołgał się do sofy w rogu pokoju, zamknął oczy i słuchał, jak kolejny szczęśliwiec zaczyna swoją turę. Jego penis, wysmarowany kałem, wciąż cudownie pulsował. Zacisnął na nim dłoń i zaczął go pieścić. Kiedy poczuł, że znów twardnieje, pozwolił mu opaść. Podniósł z podłogi frak i okrył się nim.

Leżał zjednoczony z wszechświatem. Sygnały dochodzące do jego przysadki mózgowej wyzwoliły cały strumień endorfin, które wraz z krwią krążyły po jego ciele, wypełniały go uniesieniem i zadowoleniem. To była prawdziwa rozkosz. Wiedział, że nawet jeśli będzie żył jeszcze sześćdziesiąt... siedemdziesiąt... osiemdziesiąt lat, nic już tego nie przebije. Gdy będzie leżał na łożu śmierci, przypomni sobie tę chwilę i uśmiechnie się, podczas gdy jego żona – jakaś młoda ślicznotka, żona numer dwa lub trzy – oraz gromada dzieci i wnuków będą mu się przyglądali z rozpaczą i zdumieniem.

Widownia znów wrzasnęła radośnie, gdy następny młodzieniec zszedł z Ikara i wciąż bardzo podniecony poruszał ręką w szalonym tempie. Podniósł wzrok i zobaczył strugę spermy leącą w stronę drzwi.

– Sprzątaczką nie będzie zadowolona! – pisnął ktoś, gdy gęsta ciecz spadła na drewnianą podłogę.

Kątem oka dostrzegł rozbawioną minę brata. Mieszkanie było w strasznym stanie, podłogę pokrywała warstwa odłamków szkła, alkoholu, jedzenia i Bóg wie czego jeszcze. Wyglądało to tak, jakby szalała tu banda naszprycowanych szympansów uzbrojonych w uzi. Ale to nie miało znaczenia. Jego sprzątaczką musi sobie jakoś z tym poradzić, nie ma innego wyjścia. Dlatego właśnie płaci jej półtora funta za godzinę, co uważał za stawkę więcej niż hojną. Tego wieczoru nie obchodziło go to ani trochę. Nie myśląc o jutrze, leżał nieruchomo, dyszał jak pies i sycił się najlepszym seksem, jaki kiedykolwiek przeżył. Lepszym od wszystkiego, co jeszcze przeżyje.

Dzień minął, życie jest krótkie.

Przeciętny członek szczepu globtroterów, stanowiącego klientelę hotelu Garden, miał tyle pieniędzy, że mógł palić nimi w piecu, nie oczekiwał więc, że za tak śmiesznie małą kwotę jak trzysta funtów dostanie pokój większy niż komórka na węgiel. Pokój trzysta dwadzieścia dziewięć był mały, ale doskonale zaprojektowany. „Prosty, spokojny, praktyczny i czysty – a zarazem inteligentny, stylowy i zaskakujący” – tak opisano wystrój hotelowych pokoi w broszurze, którą przeglądał Carlyle. Tak, ktoś na pewno poczuł się tutaj zaskoczony, pomyślał inspektor, wyjmując z kieszeni komórkę i dzwoniąc do komisariatu.

Zakończył rozmowę i wzdrygnął się. Klimatyzacja w pokoju wciąż działała, więc temperatura z pewnością spadła poniżej piętnastu stopni. Mężczyzna, na którego patrzył Carlyle, był nagi, leżał na brzuchu na łóżku nieproporcjonalnie dużym w stosunku do rozmiarów pokoju. Wydawało się, że jest mniej więcej w wieku inspektora, ma około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu i jak na swoje lata trzyma się całkiem nieźle. Oczywiście jeśli nie liczyć tego, że jest martwy. Carlyle zauważył też, że facet z tyłu ma nieco dłuższe włosy, a na czubku głowy przerzedzone. Jego ubrania wisiały na oparciu krzesła („krzesła firmy Lucite, zaprojektowane w renomowanej paryskiej szkole designu Ecole Nissim de Camondo”). Pod krzesłem stały drogie mokasyny, zwrócone czubkami do zaciągniętych i zbryzganych krwią zasłon.

Carlyle ogarnął spojrzeniem cały pokój i doszedł do wniosku, że widywał już gorsze rzeczy. Tutaj jego uwagę przykuł nóż, lśniący w bladym świetle wpadającym z kuchni. Wyglądał jak typowy nóż kuchenny, tyle że wystawał z tyłka ofiary, tworząc w ten sposób nowy punkt odniesienia w historii londyńskiej przestępczości.

– Ktoś naprawdę dobrał mu się do dupy – mruknął Carlyle, nie mogąc oprzeć się pokusie. Pochylił się nad martwym mężczyzną i przyjrzał uważnie napisowi na trzonku noża. Znajdował się na nim również maleńki rysunek przedstawiający dwa stojące obok siebie i złączone ludziki, które w sumie miały tylko dwie ręce i trzy nogi. Ludzik po prawej trzymał rękę w górze, w pozie przypominającej egipskie hieroglify. Przedziwne logo, pomyślał Carlyle. Obok rysunku znajdowała się nazwa firmy: Zwilling & J.A. Henckels. Poza tym narzędzie wyglądało jak normalny nóż, który można kupić w każdym sklepie z wyposażeniem kuchennym. Inspektor pomyślał jednak, że trzeba będzie koniecznie sprawdzić jego pochodzenie.

Usłyszawszy ciche pukanie do drzwi, Carlyle przeszedł do przedpokoju. Otworzył drzwi, za którymi stała uśmiechnięta sympatyczna blondynka, Susan Phillips. Pracowała w komisariacie Holborn, z którego o tej porze można było dojechać do hotelu Garden w pięć minut. Od piętnastu lat była etatowym patologiem policji metropolitalnej, Carlyle miał więc okazję współpracować z nią już co najmniej kilkanaście razy.

– Dzień dobry, inspektorze – powiedziała z irytująco pogodnym uśmiechem. – Podobno masz coś dla mnie.

– Dzięki, że przyjechałaś – odparł Carlyle, otwierając szerzej drzwi. Pomyślał, że wygląda na zmęczoną i nieco starszą niż trzydzieści siedem lat, ale zachował to spostrzeżenie dla siebie. Jest przecież środek nocy, a on sam też nie wygląda zbyt pięknie bez względu na porę dnia.

– Nie ma sprawy. Mogę wejść?

– Może najpierw ja wyjdę – zaproponował Carlyle. – Będziesz miała więcej miejsca. Nie chcę ci psuć zabawy, ale sprawa jest chyba dość prosta.

Wyszedł na korytarz i skinieniem głowy pozdrowił dwóch techników z ekipy kryminalistycznej. Kilka metrów dalej stała Anna Shue z posterunkowym Burgessem. Młody policjant wyglądał na zadowolonego z siebie, udało mu się bowiem odzyskać dwudziestofuntowy banknot, który Alex Miles zostawił w kawiarni Epoca.

Carlyle zamienił z nim kilka słów, powierzając mu kolejne zadanie, a potem przyglądał się przez chwilę poczynaniom techników, którzy na kilka godzin zajęli hotelowy pokój.

Być może drzemał, a być może tylko rozmyślał, gdy do rzeczywistości przywołało go pukanie do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, do pokoju wszedł pracownik obsługi, który wiozł na wózku śniadanie złożone z jajecznicy, kawy, tostów, ciastek z owocami i samych owoców. Wepchnął wózek w głąb pokoju i odwrócił się na pięcie. Carlyle zdołał wymamrotać

„dziękuję”, nim mężczyzna zniknął za drzwiami, starannie unikając kontaktu wzrokowego ze stróżem prawa i porządku.

Uświadomiwszy sobie, że od ponad dwunastu godzin nie miał niczego w ustach, Carlyle chłonął wzrokiem stojące przed nim jedzenie. Był ogromnie wdzięczny Annie Shue za to, że udostępniła mu pusty pokój obok pokoju trzysta dwadzieścia dziewięć, gdzie mógł odpocząć i spokojnie zorganizować początek śledztwa, ale jeszcze wdzięczniejszy był za śniadanie. Napełnił filiżankę gorącą kawą i wypił ją jednym haustem, parząc sobie gardło. Właśnie taką kawę lubił, gorącą i mocną. Czuł, jak kofeina rozchodzi się po jego organizmie, gdy nalał drugą filiżankę i zastanawiał się, czy dodać trochę cukru. Inspektor był łasuchem – mógł bez problemu wymienić dziesięć ulubionych cukierni w promieniu jednego kilometra od placu – zrezygnował więc z jajecznicy i zabrał się do ciastek. Siedząc na nierównym łóżku, łyknął kawy, odgryzł kawałek ciastka z wiśnią i zaczął je z lubością przeżuwać. Uznał, że może nie jest wyjątkowo pyszne, ale całkiem niezłe, sięgnął więc po następne.

Podczas gdy technicy kryminalistyczni pracowali na miejscu zbrodni, Burgess oficjalnie przesłuchał Alexa Milesa i pozostałych pracowników hotelu. Powtórzyli to, co mówili wcześniej, a nie było tego dużo. Obudzono też przerażonych i zirytowanych gości z sąsiednich pokoi, ale oni również zeznali, że nie widzieli ani nie słyszeli niczego podejrzanego. Ku widocznej uldze menedżera Carlyle zgodził się nie pukać do bardziej oddalonych drzwi na trzecim piętrze wcześniej niż przed siódmą trzydzieści. Wiedział, że to i tak nic nie da, więc bez problemu przystał na tę propozycję.

Poza tym od momentu znalezienia ciała niewiele się wydarzyło. Technicy obejrzeni pobieżnie banknot zabrany przez posterunkowego Burgessa z kawiarni. Nie znaleźli niczego interesującego, więc odesłano go do Laboratorium Kryminalistycznego Scotland Yardu w Hendon, na północy Londynu, na dokładniejsze badania. Potem Alex Miles przekazał im nagrania z kamer hotelowej ochrony.

W pewnym momencie Carlyle uświadomił sobie, że tak naprawdę to Miles pełni funkcję przedstawiciela hotelu. Brak ochrony w tak ekskluzywnym przybytku rzucał się w oczy. Po kilku mniej lub bardziej bezpośrednich pytaniach Shue przyznała, że szef ochrony jest nieobecny i „przesłuchuje” dwie kostarykańskie dziwki, które chciałyby u nich „pracować”.

Ciało zabrano do kostnicy przed godziną. Wykonawszy swoją pracę, Susan Phillips wróciła do komisariatu Holborn, by przeanalizować zebrane dane i sporządzić wstępny raport. Tymczasem technicy badali pokój za pomocą swoich specjalistycznych narzędzi. Zapakowali i wysłali do Hendon także resztki jedzenia, nóż, ubrania i kilka innych drobiazgów znalezionych w hotelu. Szczegółowe wyniki miały trafić na biurko Carlyle’a w ciągu dnia, prawdopodobnie po południu. Wizytówki znalezione w kieszeni marynarki ofiary oraz prawo jazdy potwierdziły, że mężczyzna rzeczywiście nazywał się Ian Blake i był dyrektorem zarządzającym firmy o nazwie Aletheia Consulting. Carlyle pamiętał, że Aletheia to imię jakiegoś greckiego boga lub bogini, nie miał jednak pojęcia, czym właściwie zajmowała się firma. Prawdopodobnie nie miała to większego znaczenia. Inspektor zamierzał wkrótce odwiedzić osobiście współpracowników Blake’a, a właściwie jego byłych współpracowników, lub wysłać tam swoich ludzi. Wiedział, że wszyscy w firmie będą zaszokowani i przerażeni, że przedstawią zmarłego jako człowieka bliskiego świętości i nie powiedzą niczego, co mogłoby mu się przydać.

Wypił kawę i zjadł drugie ciastko. Spojrzał na trzecie, ale po kilku chwilach wewnętrznych zmaganiń rozmyślił się. Odstawił pustą filiżankę na tacę, rozsiadł się wygodniej na łóżku i cicho beknął.

Kofeina nieco go otrzeźwiła i pomogła się skupić. Nie wstając z łóżka, sięgnął do

kieszeni po swoją najnowszą zabawkę – blackberry 8820. Przenośny komputer, niewiele większy od pudełka papierosów, był jednym z pierwszych dwustu, jakie rozdano na próbę pracownikom policji metropolitalnej, od stopnia inspektora wzwyż. Carlyle nie należał do wielbicieli nowych technologii, ale nie był też ignorantem. Zabiegał o to urządzenie przez dziewięć miesięcy, a kiedy już je dostał, namówił policyjnych informatyków, by nauczyli je komunikować się z jego komputerem i siecią. Na razie nie korzystał z niego zbyt często, ale zdawał sobie sprawę, że być może dzięki temu gadżetowi będzie mógł spędzać mniej czasu w biurze, postanowił więc się z nim nie rozstawać.

Wpisawszy hasło, uruchomił przeglądarkę i wpisał słowo „Aletheia”. Odnalazł stronę firmy, z której wynikało, że Aletheia zajmuje się „doradztwem strategicznym” i oprócz Londynu ma jeszcze biura w Nowym Jorku i Dubaju. Wlepiając oczy w drobny druk, rozwinął listę dyrektorów i kliknął na życiorys Blake’a.

Ian Blake, lat 47, zrewolucjonizował model doradztwa, gdy w 1993 roku założył firmę Aletheia Consulting. Jego doświadczenia (ponad dwadzieścia lat w branży) skupiały się na zarządzaniu reputacją i rozwijaniu strategii biznesowych szczególnie dynamicznych firm i osób.

Doświadczenia te obejmują szeroki zakres działań dotyczących rynków i transakcji kapitałowych, w tym nadzór nad finansowaniem korporacyjnym, fuzje i przejęcia, zarządzanie kadrami i działania związane z globalnym zarządzaniem. Ian współpracuje z wieloma zarządami – od małych firm po duże korporacje i organizacje pozarządowe – wszystkich sektorów i rynków, skupiając się na zintegrowanej komunikacji strategicznej. Uzyskał tytuł MBA w Londyńskiej Szkole Biznesu oraz tytuł magistra na INSEAD[2] w Paryżu.

Bardzo pouczające, pomyślał Carlyle. Może właśnie dlatego zginął – ktoś poczuł się urażony stylem tej notki, która tak bezlitośnie kaleczyła język angielski. Jeszcze przez moment wpatrywał się bezmyślnie w ekran, po czym kliknął na link „Klienci” i przejrzał listę obejmującą klub piłkarski, dwa uniwersytety, dwa banki i kilka dużych firm handlowych. Było tam też sporo nazw, które nic Carlyle’owi nie mówiły, zapomniał jednak o nich wszystkich, gdy dotarł do trzech pozycji na samym końcu listy: *Biuro Burmistrza Londynu, Policja Metropolitalna i Związek Zawodowy Policjantów*. Cholera, pomyślał, tego mi tylko brakowało – trupa z koneksjami.

Od patrzenia na mały ekran – a może od kofeiny – rozboleła go głowa. Kliknął na „Zamknij” i schował blackberry do kieszeni. Oparłszy się pokusie ściągnięcia butów, co znacznie utrudniłoby mu walkę z sennością, Carlyle położył się na łóżku i zamknął oczy. Niemal natychmiast poczuł wibracje na piersiach. Usiadł prosto i wyjął komórkę. Na ekranie widniało imię „Helen”, co oznaczało, że dzwoni jego żona i że musi odebrać.

– Nie wróciłeś na noc do domu? – Żona inspektora wydawała się co najmniej równie zmęczona jak on, co nieco dodało mu sił.

– Tak. – Westchnął. – Coś mnie zatrzymało.

– Coś interesującego, czy to co zwykle? – Po tylu wspólnych latach Helen dobrze знаła charakter jego pracy i przywykła do tego, że mąż czasem znika z domu o dziwnych porach, więc w ich rozmowie nie było ani cienia złości.

– Martwy facet w pokoju hotelowym.

Ziewnięcie.

– Podejrzone?

– O tak – odparł Carlyle ze śmiertelną powagą. – Mnóstwo krwi i narzędzie zbrodni.

Wyczuł, że dopiero teraz jego żona zaczyna się budzić, i pożałował, że nie leży w łóżku obok niej.

- Poważnie?
- Oczywiście. Inaczej by mnie tu nie było.
- Biedak. – Helen też westchnęła, całkiem już rozbudzona. – To pewnie będzie

zajmująca sprawa.

– Może... – Carlyle się uśmiechnął. Przymiotnik „zajmujący” nie należał do języka policji. Wiedział, do czego prowadzi ta rozmowa. Czuł, że zaczyna mu się kurczyć mózg, i że musi jak najszybciej się rozłączyć.

- Lepsze to niż te pierdoły, którymi zajmowałeś się ostatnio.
- Jestem pewny, że to podniesie pana Blake’a na duchu.
- Kogo?
- Ofiarę.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu słowo „ofiara” nie spodobało się Helen.

– To nie twoja wina, że on nie żyje.

– Wiem o tym – odpowiedział Carlyle łagodnie. Nie chciał irytować żony. Będzie miał na to mnóstwo czasu później, teraz wolał zająć się czymś innym. – Chodzi mi tylko o to, że moje zadowolenie w pracy w niczym mu już nie pomoże.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, a kiedy się odezwała, w jej głosie nie było już oburzenia.

– Tak, jego nic już nie obchodzi. Ale dla ciebie będzie to interesujące. I może ambitniejsze?

– Zobaczymy. – Często prowadzili takie rozmowy. Irytowało go to, że Helen wymaga od jego pracy więcej niż on sam.

– Wiesz, co mam na myśli – dodała z nutą rozdrażnienia.

– Jasne – odparł szybko. – Oczywiście. – I naprawdę wiedział. Praca to praca, bez względu na to, czy jest się handlarzem narkotyków, listonoszem, alfonsem, czy księdzem. Dla policjanta im gorsza zbrodnia, tym lepiej.

– Wszystko w porządku? – spytała Helen.

Carlyle przyjął gałązkę oliwną.

– Tak, jasne.

Helen najwyraźniej uznała, że nie zamierza poświęcać więcej czasu na poprawianie nastroju swojego męża.

– No dobrze, a co z rankiem? – spytała.

Co z rankiem? Carlyle poczuł lekki niepokój. O czym znowu zapomniał? Starał się nie wpaść w panikę.

– Co masz na myśli?

– Będiesz mógł odwiedzić Alice? – odezwała się po krótkiej pauzie Helen. – Wiesz, że dziś rano mam w pracy ważne spotkanie.

Carlyle jęknął i opadł ciężko na łóżko. Dziś miał mieć wolne, a rano powinien zawieźć Alice do szkoły. Zgodził się na to już przed kilkoma tygodniami. Jak zwykle przemawiało przeciw temu wiele argumentów, ale Helen jak zawsze postanowiła po prostu je zignorować.

Zazwyczaj to ona zawoziła córkę do szkoły, a potem jechała przez całe miasto do Paddington, do międzynarodowej charytatywnej organizacji medycznej Avalon, gdzie pracowała jako dyrektor administracyjny. Carlyle wiedział, że codziennie spędza dwie do trzech godzin, przedzierając się przez miasto. Bez wątplenia było to bardzo uciążliwe, ale taką zawarł umowę. On musi robić swoje.

Ten rano. Carlyle w końcu sobie przypomniał. Helen miała bardzo nieprzyjemne

spotkanie dyscyplinarne, chodziło o jakiegoś lekarza, który podobno wykorzystał seksualnie swoją współpracownicę. Takie problemy były powszechne w tego rodzaju organizacjach – najwyraźniej przyciągały sporo ludzi, którzy kryjąc się pod maską współczucia, wykorzystywali swoich podwładnych lub miejscowych mieszkańców, choć przecież mieli im pomagać. Carlyle był zaszokowany, gdy Helen mu o tym opowiedziała. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że to całkiem sensowne: gdzie indziej tacy ludzie mogli znaleźć tyle dogodnych okazji, podejmując przy tym minimalne ryzyko? Carlyle nie miał pojęcia, w jaki sposób ktoś zamierza rzucić światło na to, co naprawdę wydarzyło się między dwójką ludzi na jakiejś górze w Afganistanie, a tym bardziej, jak może z tym coś zrobić. Nawet w Londynie takie sprawy należały do wyjątkowo trudnych – mało kto decydował się wnieść skargę, a jeszcze rzadziej dochodziło do skazania winnego. Nie rozumiał, jak jego żona może w ogóle mieć nadzieję, że pozna prawdziwą naturę tego małego dramatu. Uważał, że całe to dochodzenie to tylko forma liberalnego masochizmu, ale dobrze wiedział, że powinien zachować takie myśli dla siebie.

Nie zazdrościł Helen tego, co musi zrobić w pracy. Ale w jakiej sytuacji stawia to jego? Carlyle zawsze cieszył się na te pół godziny spędzone z Alice, gdy odprowadzał ją do centrum sztuki Barbican, gdzie mieściła się renomowana prywatna szkoła dla dziewcząt, która pochłaniała niepokojąco dużą część ich dochodów. Carlyle ogólnie nie był zwolennikiem prywatnej edukacji, ale przemawiał do niego argument, że dzięki nauce w szkole wyłącznie dla dziewcząt Alice jeszcze przez ładnych parę lat nie będzie kontaktowała się zbyt często z chłopcami.

Nie oznaczało to, że miał cokolwiek do powiedzenia w tej kwestii. To była zbyt ważna decyzja. Jeszcze przed urodzeniem Alice Helen oświadczyła, że ich córka powinna chodzić do prywatnej szkoły, jeśli tylko uznają (to znaczy ona uzna), że tak właśnie będzie dla niej najlepiej. Kiedy tak uznali (uznała), Carlyle mógł się pożegnać z piętnastoma tysiącami funtów rocznie (i to po odliczeniu cholernego podatku), których tak naprawdę nie mieli.

Na szczęście Alice uwielbiała swoją szkołę, a za to Carlyle zapłaciłby chętnie znacznie więcej niż piętnaście tysięcy. Jego zasady musiały więc koegzystować z rodzicielskimi obowiązkami. Teraz mógł tylko mieć nadzieję i modlić się, by przy najbliższej sposobności Alice uzyskała najwyższe, z dostępnych, stypendium. W jej szkole o stypendia mogli się ubiegać uczniowie, którzy skończyli jedenaście lat, więc Carlyle odliczał dni do tej daty, narażając się na niewybredne docinki żony.

W drodze do szkoły kupowali śniadanie, a inspektor słuchał refleksji Alice na różne tematy, od zwierząt domowych (dlaczego ona nie ma jeszcze żadnego) przez drugą wojnę światową (dlaczego Japończycy wspierali Niemców?), wampiry (dlaczego nie umierają?) po płyn do płukania ust (pewnego dnia Alice poinformowała go, że chciałaby spróbować różnych kolorów, bo jest „ładna przygód”). Carlyle nie potrafił sobie wyobrazić czegoś, co robiłby chętniej niż spacerowanie po ulicach Londynu i słuchanie zwierzeń córki. Żył w strachu przed tym nieuniknionym dniem – odległym zapewne o trzy, może cztery lata – kiedy Alice nie pozwoli, by którekolwiek z rodziców odprowadziło ją do szkoły i oświadczy, że pójdzie tam sama z koleżankami. Bóg jeden wie, do czego może ją wtedy doprowadzić żądza przygód.

Tak, w kwestii obowiązków rodzicielskich jego sytuacja była jasna. Z drugiej strony jego mózg gorączkowo szukał odpowiedzi. Najlepiej właściwej.

Helena dobrze wiedziała, co oznacza jego milczenie.

– John?

Groźba odwetu wisiała w powietrzu, więc odetchnął głęboko.

– Jasne. Daj mi pół godziny. Za chwilę będę w domu. Przyniosę ci nawet kawę.

– Dobrze. Dzięki – odpowiedziała Helen, choć w jej głosie pobrzmiwała raczej nieufność niż wdzięczność. – Z przyjemnością napiję się latte... i zjem rogalika z czekoladą.

– Nie ma problemu. Do zobaczenia.

Carlyle zakończył rozmowę i rzucił telefon na kołdrę. Tylko dzięki ogromnej sile woli zwlekł się z łóżka i poszedł do łazienki. Może wziąć prysznic? Nie cierpiał tego lepkiego brudu, który pokrywał go po nocy spędzonej w pracy. Ostatecznie uznał jednak, że nadużyłby w ten sposób gościnności hotelu. I straciłby zbyt dużo czasu. Na razie wystarczy, że porządnie się wysika. Kiedy skończył, zajął do muszli i uznał, że jego mocz jest zbyt ciemny. Muszę pić więcej wody, pomyślał, zasuwając rozporek. Potem podszedł do umywalki i ochlapał sobie twarz. Kiedy się wytarł, spojrzął w lustro, z którego patrzyło na niego to samo plebejskie oblicze co zawsze. Poruszył ramionami i spróbował się wyprostować. Pocierając zarost na policzkach, zauważył, że pojawia się w nim coraz więcej siwych włosów. Nie będę się dzisiaj golił, postanowił. To dobrze zrobi mojej skórze. Spojrzął sobie głęboko w oczy. Często nie czuł się dobrze we własnej skórze, ale tego ranka o tym nie myślał. Uznał, że nie jest to właściwa pora na te introspekcyjne bzdury. Pomimo zmęczenia czuł się dobrze, a przynajmniej całkiem nieźle, jak na kogoś, kto miał za sobą nieprzespaną noc. Nieźle jak na kogoś w moim wieku, kto ma za sobą nieprzespaną noc, dodał w myślach.

Posprzątawszy pobieżnie resztki śniadania, Carlyle wypchnął wózek na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Drzwi pokoju trzysta dwadzieścia dziewięć również były zamknięte i zaklejone biało-niebieską taśmą z napisem „Policja – nie wchodzić”. Inspektor wiedział, że będą musieli okupować ten pokój jeszcze co najmniej kilka dni. Niewykluczone, że dopiero za tydzień pozwolą go wyczyścić pracownikom hotelu, ale przy obecnym, kryzysowym obłożeniu nie powinno to stanowić większego problemu. Carlyle jeszcze raz rozejrzał się po korytarzu i ruszył do windy. Ciemne i ciche wnętrze wyglądało dokładnie tak samo jak pięć godzin temu.

Zmierzając w stronę wind, Carlyle sięgnął do kieszeni po telefon i wybrał numer. Tak jak się spodziewał, odpowiedziała mu poczta głosowa. Poczekał na sygnał i zostawił wiadomość: „Joe, już po siódmej. Wstawaj, ty leniwy draniu! Mamy nową sprawę. Kiedy w końcu wyleziesz z łóżka, skontaktuj się z komisariatem, a wszystko ci powiedzą. Potem zadzwoń do mnie, dobrze? Wszystko jest pod kontrolą. Teraz muszę już iść, wrócę do Charing Cross za kilka godzin. Możemy wtedy wyskoczyć na lunch do Il Buffone. W tym czasie możesz robić to, co oczywiste, ale przede wszystkim sprawdź, czy wiadomo coś o sprawach, w których ofiara miała nóż w dupie. Pozdrów Anitę i dzieciaki. Do zobaczenia”.

10

Shepherds Bush, Londyn W12, marzec 1985

Carlyle ułożył się wygodniej na sofie, starając się jednocześnie ignorować Barbarę Edwards, playmate 1984 roku, która puszczała do niego oko z mocno wysłużonego egzemplarza „Playboya” leżącego na szklanym stoliku do kawy. Z ciężkim sercem oderwał wzrok od bujnych piersi Barbary i spojrzął najpierw na plakat piłkarza West Ham, Clyde’a Besta, wiszący za telewizorem, a potem na sam telewizor, w którym leciały właśnie południowe wiadomości BBC. Ponure twarze górników mówiły, że ich strajk nareszcie, ostatecznie i oficjalnie dobiegł końca. Była to długa i powolna śmierć, a ludzie wlokący się do pracy nie mieli już nawet sił, by wznosić okrzyki protestu. Wiedzieli, że po przegranej wojnie także w okresie pokoju mogą się spodziewać jedynie rozciągniętej w czasie klęski.

Policjanci również nie świętowali zwycięstwa. Wielu z nich traktowało pracę w terenie

jako miłą odmianę od codziennej rutyny, zdążyli polubić poczucie braterstwa broni i dreszczyk emocji towarzyszący starciom z tłumem. Nikt nie narzekał też na dodatkową zapłatę za nadgodziny. Teraz muszą wrócić do szarej rzeczywistości.

Carlyle pomyślał ponuro, że dla niektórych ta szara rzeczywistość może się okazać gorsza od wszystkiego, czego doświadczyli, walcząc z górnikiem. Kilka dni wcześniej IRA ostrzelała z moździerza komisariat policji w Newry, zabijając dziewięciu irlandzkich policjantów. Irlandia Północna była daleko, ale IRA atakowała też Londyn. W ciągu ostatnich kilku lat w mieście dokonano serii zamachów bombowych. Ostatni z nich, wybuch bomby w Harrodsie, miał miejsce w grudniu 1983 roku, zginęło wtedy sześć osób niewinnych ludzi. Praca policjanta wydawała się bardziej niebezpieczna niż kiedykolwiek.

Terrorysty wciąż byli niepokonani, ale górnicy ponieśli ostateczną klęskę. Carlyle nie brał udziału w walkach z protestującymi od Bożego Narodzenia. Strajk był już dla niego tylko odległym wspomnieniem. Po kilku miesiącach patrolowania ulic Shepherds Bush i Hammersmith wreszcie czuł się jak normalny gliniarz. Wkrótce miał zostać przeniesiony na południowy brzeg rzeki, do Southwark. Chętnie przystał na tę przeprowadzkę, uznawszy, że zmiana otoczenia dobrze mu zrobi.

Teraz musiał jeszcze wykorzystać tydzień urlopu, ale już po dwóch dniach zaczął się nudzić. Kiedy więc dostał wiadomość od Dominica Silvera, który chciał się z nim umówić na pogaduchy, nie wahał się ani chwili.

Ostatni raz widział Doma pół roku wcześniej, w pobliżu kopalni Maltby, na wschód od Rotherham. Po długiej i wyczerpującej zmianie grali na chodniku w kulki jak mali chłopcy. Niedawno zdobyte kulki już miały dla nich wartość sentymentalną: górnicy ciskali nimi w policjantów podczas jednej z bardziej zażartych potyczek.

– Cudownie. – Dom się roześmiał, wygrywając kolejną partię i odbierając Carlyle'owi kilka funtów. – Jeśli jedyna ich broń to te kulki, to nie mamy się czym martwić. Są naprawdę zdrowo walnięci.

Siedząc w nowej garsonierze Doma, spoglądając z zazdrością na jego gazetki porno i nowy dwudziestocalowy telewizor Philipsa, Carlyle zastanawiał się, skąd jego kumpel ma na to wszystko pieniądze. Na pewno nie z gry w kulki ani nawet z policyjnych nadgodzin. Carlyle wciąż mieszkał z rodzicami w Fulham. Nie byłoby go stać nawet na drewniany wychodek w Londynie i w promieniu stu kilometrów od miasta. Wynajem też nie był tani. Mieszkanie Doma stanowiło luksus, który pozostawał daleko, daleko poza jego zasięgiem. Kawalerka na ostatnim piętrze wiktoriańskiej kamienicy musiała kosztować co najmniej dwadzieścia tysięcy, co dla dwudziestokilkuletniego chłopaka było ogromną sumą. Na pewno żaden bank nie dałby takiego kredytu zwykłemu posterunkowemu.

– Głupie gnoje. Już dawno powinni zrozumieć, co się święci. – Dom stał w drzwiach, ubrany w koszulkę reklamującą tournée Vana Morrisona, i wskazywał jointem telewizor. Carlyle pomyślał, że jego kumpel powoli zamienia się w starego hipisa. Co stało się z punkiem? Gdzie podział się ich ulubiony The Clash?

Trawa pachniała całkiem przyjemnie, ale Carlyle odmówił, gdy Dom chciał go poczęstować. Nie przepadał za marihuaną – bolała go po niej głowa i zbierało mu się na wymioty. Wolał, gdy narkotyki dodawały mu energii, a nie spowalniały.

Dom podniósł jointa do ust i zaciągnął się chciwie. Na ekranie telewizora pojawił się jeden z przywódców związkowych i zaczął mówić o „godności”, „solidarności” i „potrzebie dalszej walki”. Wydawał się tak przybity i udręczony, jakby lada moment miał wybuchnąć płaczem.

– Idioci! – warknął Dominic. – Osły, które prowadzą lwy.
– Czy gdyby lwy naprawdę były lwami, pozwoliłyby się prowadzić osłom? – spytał Carlyle.

– Bystrzak. – Dom znów się sztachnął.
Carlyle wzruszył ramionami.
Dom próbował puścić kółko z dymu, ale tylko się zakrztusił.
– Mówię poważnie... – wykasłał. – To bardzo dobre pytanie, Johnny... Przesuń się.
Carlyle przesiadł się na skraj sofy, a Dom klapnął obok niego. Przez kilka następnych minut wpatrywali się w telewizor, nie mówiąc ani słowa. W końcu w dzienniku zaczęto omawiać inne tematy. Nelson Mandela odrzucił propozycję rządu RPA, który obiecał wypuścić go na wolność, jeśli wyrzeknie się walki zbrojnej.

– Błąd, staruszkę – stwierdził Dom nonszalancko.
– Gdyby się zgodził, straciłby wiarygodność – zauważył z powagą Carlyle.
– Wiarygodność jest przereklamowana – rzucił ostro Dom. – Siedzi w kiciu od ilu... dwudziestu lat? Ma teraz pewnie sześćdziesiątkę z hakiem.
– Jakoś tak.
Dom machnął jointem w stronę telewizora.
– Powinien wykorzystać okazję. Gdy wyjdzie, Botha i jego kumple będą skończeni. Nawet ta dziwka Thatcher go nie powstrzyma. – Zaciśnął dłoń w pięść. – Nelson! Jesteś lwem! Czas zarzyść!

Poglądy polityczne Doma były co najmniej równie zaskakujące, jak jego bogactwo. Carlyle nigdy wcześniej nie słyszał, by rozmawiał o czymkolwiek poza dziewczynami i piłką nożną. Nawet jeśli winna temu była trawa, nie zachowywał się jak Dom, którego Carlyle niegdyś znał. A już na pewno nie zachowywał się jak gliniarz.

Carlyle czuł, że od dymu zaczyna mu się kręcić w głowie. Wstał powoli z sofy, podszedł do okna i otworzył je na oścież. Owionęło go cudownie świeże powietrze, odetchnął głęboko.

Dominic spojrział na niego.
– Odchodzę z policji – oznajmił.
Carlyle o mało nie uderzył głową w futrynę.
– Co robisz?
– Mam już dość tych bzdur – powiedział Dom, rozglądając się za popielniczką. – To nie dla mnie. Odchodzę.
– Twoja rodzina nie będzie zachwycona. – Carlyle wiedział, że ojciec Dominica jest policjantem. Podobnie jak wuj. Faceci w rodzinie Silverów nie umieli robić nic innego.
– To moja decyzja – odrzekł Dom stanowczo, gasząc energicznie jointa na spodku, który znalazł w końcu pod sofą.
– I co będziesz robił?
– Zajmę się interesami. A właściwie to skupię się na interesach, które już prowadzę.
– A cóż to za interesy? – spytał ostrożnie Carlyle, choć wcale nie chciał usłyszeć odpowiedzi.
– Szukam pomocy.
Starając się nie okazywać, jak bardzo mu to schlebia, zadał kolejne pytanie. Tym razem bardzo chciał usłyszeć odpowiedź, nawet gdyby miała mu się nie spodobać.
– Dlaczego ja?
– A dlaczego nie? – Dom zapatrzył się w przestrzeń i dodał po chwili: – Znam cię. Wiem, że jesteś uczciwy. Wiem, że można ci zaufać. I wiem, że nie nadajesz się na gliniarza. –

Dom najwyraźniej spodziewał się tego pytania i odpowiedział na nie zaskakująco trafnie.

– Jak to, nie nadaję się na gliniarza?

Dom uśmiechnął się chytrze.

– Daj spokój, John. Wiesz dobrze, że powinieneś to potraktować jak komplement, a nie zarzut. Żaden z nas się do tego nie nadaje. Nie wierzymy przecież w te wszystkie bzdury. Nie umiem w to grać i ty też nie. Jeśli zostaniesz, dopieprzą ci jeszcze bardziej, niż robili to do tej pory.

Carlyle oparł się o parapet.

– Ale ja jestem gliniarzem – powiedział z naciskiem, bardziej by przekonać samego siebie niż Doma.

– Taa... jasne.

– To była moja decyzja – dodał Carlyle, starając się, by zabrzmiało to naprawdę przekonująco. – I ani trochę jej nie żałuję. – Miał już chwile wątplenia, wiele takich chwil, ale nie zamierzał nikomu o tym mówić. – Odkąd skończyła się ta granda z kopalniami, o wiele bardziej mi się to podoba. Chcę to robić.

Dom położył nogi na sofie i przeciągnął się jak kot.

– Nie rozumiesz? Zawsze tak będzie. Zawsze coś się spieprzy. Teraz byli górnicy, następnym razem będą hutnicy albo dokerzy, albo organizacje antyrasistowskie, albo studenci... albo... wszystko jedno. Zawsze będzie jakiś wróg. Nie umiemy... nie umiejemy bez nich żyć. Zawsze trzeba się będzie z kimś bić.

– Może – mruknął Carlyle z powątpiewaniem. – Ale na pewno nie na taką skalę jak w zeszłym roku. Nie jak w Orgeave. – Odruchowo podniósł rękę i dotknął blizny na czole, pozostałości po uderzeniu cegłą.

– Spójrz prawdzie w oczy. Zawsze będziesz odwalał za kogoś brudną robotę. – Dom wziął ze spodka skrzeta i zaczął ugniatać go między palcami. Spojrzał na Barbarę i uśmiechnął się do siebie. – A jak tam sprawa Millera?

Zaskoczył go tym pytaniem. Carlyle od kilku miesięcy nie myślał o Trevorze Millerze. Nie przypuszczał też, że Dom słyszał o ich małym nieporozumieniu z zeszłego lata i o jego konsekwencjach.

Ku zdumieniu i konsternacji Carlyle'a kobieta z tamtego ogrodu w Orgeave, Jill Shoesmith, wniosła pozew do sądu i domagała się odszkodowania za napaść. Odszukała Millera przez Carlyle'a (niestety zapamiętała jego nazwisko). Carlyle był jedynym świadkiem, więc jego zeznania miały kluczowe znaczenie. Oczywiście – i oczekiwaną – reakcją byłoby oczyszczenie Trevora z zarzutów, ale Carlyle nie miał ochoty tego zrobić, głównie dlatego, że Trevor był skończonym dupkiem. Wystarczyło odpowiednio „zinterpretować” to, co widział wtedy w ogrodzie, i gdyby chodziło o jakiegoś sympatyczniejszego znajomego, Carlyle zrobiłby to bez wahania. Zrobiłby to też dla Millera, gdyby tylko ktoś zechciał go do tego przekonać – oczywiście nie sam Miller, ale ktoś z firmy.

Jednak firma nie chciała nic o tym wiedzieć. Kiedy Carlyle poprosił o radę swojego dowódcę z Shepherds Bush, usłyszał tylko jakieś wymijające, mętne tłumaczenia. Im dłużej trwała rozmowa, tym bardziej udręczoną minę miał komendant. Po kilku minutach zdobył się na słaby uśmiech, powiedział, że Carlyle na pewno podejmie „właściwą decyzję”, i bezceremonialnie wypchnął go z gabinetu, po czym szybko zamknął drzwi. Tak wyglądał pierwszy kontakt Carlyle'a ze stylem – a właściwie brakiem stylu – zarządzania kadrami w policji metropolitalnej.

W końcu Carlyle skorzystał z rady ojca – nie kłam, ale nie mów też całej prawdy – i

złożył najkrótsze i najbardziej rzeczowe zeznanie, jakie mógł złożyć. Zrobił to w przeświadczeniu, że policja po prostu wypłaci Shoemsmith parę funtów i jak najszybciej zapomni o całej tej historii. Był zaskoczony i przerażony, gdy kilka tygodni później okazało się, że sprawa trafi do sądu, a wobec Trevora zostanie wszczęte postępowanie dyscyplinarne. Proces mógł ciągnąć się miesiącami, a nawet latami. Co gorsza, Miller mógł stracić pracę. Carlyle martwił się tym nie tyle ze względu na Trevora, ile na samego siebie. Gdyby inny gliniarz stracił pracę z jego winy, Carlyle musiałby się pożegnać z marzeniami o jakiegokolwiek karierze w policji.

Nie zamierzał jednak opowiadać Domowi o tym, jak sam utrudnia sobie życie.

– Złożyłem zeznanie i po sprawie – odpowiedział wymijająco.

Dom uśmiechnął się szeroko.

– I co powiedziałeś w tym zeznaniu?

– Opisałem to, co widziałem. Że Trevor obmacywał tę kobietę, a potem ona uciekła.

– Zła odpowiedź! – Dom pokręcił głową. – Powinieneś być dać sobie z tym spokój, John.

Carlyle wzruszył ramionami, wiedząc, że jego kumpel ma rację, i przeklinając – nie po raz pierwszy – własną głupotę.

– Ale to właśnie widziałem – bronił się bez przekonania.

– Może chciał ją aresztować?

– Może. Ale nie robił tego. Po prostu się do niej dobierał.

– A ty jesteś rycerzem na białym koniu, który przyjechał uratować tę zdzirę? – Dom pokręcił głową. – Bardzo szlachetnie z twojej strony.

Carlyle miał już dość tego protekcyjnego tonu.

– Nie wiesz, czy jest zdzirą. A nawet gdyby była, to co? Powiedziałem tylko, co widziałem. Nie dodawałem niczego od siebie, nie interpretowałem, bo ściągnąłbym na tego fiuta więcej kłopotów, niż on sam na siebie ściągnął.

Dom zeskoczył z sofy i zaczął wymachiwać rękami.

– Powinieneś być mu pomóc, idioto.

– Nikt inny jakoś mi tego nie wypomina – odparł chmurnie Carlyle, choć wiedział, że Dominic ma rację.

– Takie wieści szybko się rozchodzą. Będziesz miał przechłapanie, synu.

– Miller jest dupkiem. Posunął się za daleko.

– To nie ma znaczenia. Jeśli tego nie rozumiesz, nie powinieneś pracować w firmie. To ich gra, ich reguły. Poza tym słyszałem, że ma dostać awans.

– Co? – Carlyle na moment zaniemówił ze zdumienia. – Chyba sobie żartujesz.

– Dlaczego miałbym żartować z czegoś tak poważnego? – Dominic wzruszył ramionami.

– Trevor Miller, choć jest skończonym gnojem, dostał w czasie strajków dwie pochwały. Ma przyjaciół.

– Przyjaciół?

– Tak, przyjaciół, którzy dopilnują, żeby cała ta historia przycichła, bez względu na to, czy twoja zdzira dostanie jakieś pieniądze, czy nie. Trevor nic na tym nie straci. W odróżnieniu od ciebie.

– Kurwa mać!

– Otóż to. – Dom westchnął. – Jeśli ktoś dostanie przez to po dupie, to tylko ty. Spójrz prawdzie w oczy, John, nie umiesz grać w zespole. – Uśmiechnął się. – Przynajmniej nie w policji. Dobrze więc, że mogę ci zaproponować inną pracę.

– Jaką? – spytał Carlyle, choć i tym razem nie chciał poznać odpowiedzi.

– Chodzi tylko o zorganizowanie paru rzeczy, trochę zarządzania. – Jego kumpel

uśmiechnął się szeroko. – To i owo.

Carlyle dobrze wiedział, o czym mowa.

– To dla ciebie szansa, żeby wejść w coś dużego, w coś dochodowego. – Dom uniósł brwi. – I co ty na to?

Carlyle spojrział na niego, na jego zuchwały uśmiech i rozszerzone źrenice. Powinien się ogolić i ostrzyc. Miał rację co do Trevora Millera, ale Carlyle wiedział, że sam musi sobie jakoś poradzić z tym bałaganem. Praca z handlarzem narkotyków nie jest najlepszym wyjściem z sytuacji.

– Muszę iść – powiedział, siląc się na uśmiech. – Przemyślę to.

Dom wzruszył ramionami.

– Dobra. Daj mi znać, co wymyśliłeś, zanim wrócisz do pracy.

– Jasne.

Carlyle ruszył do drzwi.

– Świetnie... – Dom pomachał mu na pożegnanie. Obaj wiedzieli, że Carlyle nie odezwie się do niego przed wyznaczonym terminem.

Idąc Percy Road, Carlyle uświadomił sobie, że coraz bardziej boli go głowa. Świat wokół niego lekko się kołysał. Przystanął i próbował odetchnąć głęboko, lecz tylko wciągnął do płuc chmurę spalin.

11

W średniowieczu barbakan był ufortyfikowaną bramą, okrągłą budowlą wysuniętą przed mury zamku lub miasta. Począwszy od XVI wieku, ze względu na rozwój techniki wojskowej i użycie połowych armat, coraz rzadziej wznoszono takie budowle. Dlatego trudno było zrozumieć, dlaczego centrum sztuki o nazwie Barbican znajdowało się w centrum Londynu, w rejonie zbombardowanym podczas drugiej wojny światowej. Korporacja City of London, która zarządzała dzielnicą biznesową stolicy, zbudowała centrum w 1982 roku, jako dar City dla narodu. Lata osiemdziesiąte nie były jednak najlepszym okresem dla architektury, Barbican przybrał więc formę betonowego zigguratu, olbrzymiej piramidy o tak skomplikowanej strukturze, że trzeba było wymalować na ziemi różnokolorowe strzałki, by bywalcy teatrów i turyści nie pogubili się w labiryncie przejść i pomostów. Nic dziwnego, że później uznano go za najbrzydszy budynek Londynu.

Wszystko to niewiele obchodziło małą Alice Carlyle, która dobrze wiedziała, dokąd idzie, i nie potrzebowała złotych strzałek, by trafić do celu. Teraz stała obok taty na pomoście, dziesięć metrów nad ziemią, i popijała sok jabłkowy z kartonu. Po chwili podała karton Carlyle'owi i włożyła do ust ostatnie hosomaki z tacy łososiowego nigiri, które kupili po drodze. Była to część śniadaniowego rytuału, który rodzice Alice odprawiali codziennie według jej szczegółowych zaleceń. To właśnie ona rządziła w domu Carlyle'ów, sprowadzając rodziców do roli służących. Jak wiadomo, wielu rodzicom trudno wyzwolić się spod dyktatury dziecka, można jedynie pocieszać się myślą, że nie trwa ona wiecznie.

Carlyle dokończył słabiutką latte, która ku jego irytacji była zaledwie letnia, choć jak zawsze wyraźnie prosił o „bardzo gorącą”. Zdenerwowany nieudolnością bułgarskich baristów i niskim poziomem obsługi w ogólności, przechylił się przez barierkę i spojrział na położoną w dół Szkołę dla Dziewcząt Miasta Londyn. Znajdowała się w odległości około dwustu pięćdziesięciu metrów, po drugiej stronie stawu wielkości połowy boiska piłkarskiego. Znana powszechnie jako City, wyglądała raczej jak mała podstawówka z lat siedemdziesiątych, podobna do tej, do której Carlyle uczęszczał trzydzieści lat i kilka pokoleń temu. Nie miał

pojęcia, dlaczego zbudowano ją właśnie tutaj, w tym dość ponurym miejskim otoczeniu, jednak spoglądając na rozbrykane, wesołe dzieciaki, cieszył się, że tak się właśnie stało.

W zależności od grafiku i aktywności przestępców Carlyle miał okazję odprowadzać córkę do szkoły najwyżej trzy lub cztery razy w miesiącu. Wiedział, że powinien maksymalnie to wykorzystać. To był ich „wolny” czas, w którym mogli po prostu być ze sobą, a Carlyle nie wyobrażał sobie, co mógłby polubić bardziej niż te wspólne spacerunki do szkoły. Miał wrażenie, że Alice w ogóle o tym nie myśli, ale nie dbał o to. Dla dzieciaków liczy się tylko czas. Albo im go dajesz, albo nie. Masz okazję być z nimi do momentu, gdy odejdą, a potem zostajesz sam. Nie można tego udawać, dzieląc życie na czas spędzony dobrze i źle. To bzdura wymyślona przez klasę średnią. Albo to robisz, albo nie.

Poranek sownie wynagrodził mu noc spędzoną w towarzystwie trupa. Alice zjadała sushi, świeciło piękne słońce, miasto tętniło życiem, wszystko wydawało się jeszcze piękniejsze niż zwykle. Carlyle odwrócił się i spojrzął na plakat obwieszający rychłe otwarcie wystawy awangardowych projektantów mody z Litwy. Nigdy nie słyszał o Helmucie i Karlu. Przypominali mu nieco modniejszą wersję Gilberta i George’a, wiekowych angielskich artystów, znanych z zabawnych dzieł o tytułach takich jak *Gówniana Wiara*, *W Gównie* czy *Pieprzone Życie*. Przesunął wzrok niżej i przeczytał opis wystawy:

Helmut i Karl uznawani są powszechnie za czołowych geniuszy postmodernistycznego przemysłu mody. Dom Helmuta i Karla to najlepsze dzieła projektantów od roku 1984 do dnia dzisiejszego, ukazane w najnowszej instalacji, która zajmuje niemal całą galerię Esterhaus na czwartym piętrze centrum. Do głównych atrakcji wystawy należy słynna kolekcja Chińska Lalka z 1992 roku. Popularna supermodelka Madison Smith ubierze się w dwanaście wysadzanych klejnotami sukien – będzie miała na sobie 120 kilogramów haute couture, wartych ponad 60 milionów dolarów. „Przywozimy do Londynu odę do indywidualności i wyjątkowości, mówią projektanci. Niedostępność to najważniejsza cecha mody. Sztuka nie może być zbyt łatwa, zbyt dostępna. My pokażemy wam prawdziwą sztukę”. Słowa „wyjątkowo” i „nieдоступny” znów przywiodły Carlyle’owi na myśl hotel Garden i opisy zawarte w broszurze reklamowej. Na ziemi żyje ponad siedem miliardów ludzi, więc dlaczego wszyscy tak bardzo chcemy być wyjątkowi? – zastanawiał się. Jednym z ulubionych wyrażen jego żony, zapożyczonym od Freuda, był „narcyzm drobnych różnic”. Używała go zwykle, gdy drażniła się z nim, mówiąc o kulturze plemiennej i głupocie podobnych mu kibiców piłkarskich. Czy to właśnie było przyczyną śmierci Iana Blake’a? Narcyzm? Pragnienie jakiegoś wyjątkowego doświadczenia? Zanotował w głowie te pytania i jeszcze raz rzucił okiem na plakat Helmuta i Karla. Uznał, że nie jest to wystawa, którą koniecznie chce zobaczyć. Tuż obok znajdowała się reklama Blossombomb, pierwszych perfum autorstwa tej samej pary. Tutaj przekaz był znacznie prostszy – prawie naga kobieta w sugestywny sposób wymachiwała butelką perfum. Po bzdurach przychodzi czas na zwykły handel, pomyślał Carlyle. Czy na świecie istnieje ktoś, kto nie ma własnego zapachu? Spojrzął na Alice, która wciąż pogryzała sushi. Widziała już zapewne więcej reklam niż on do trzydziestki. Były wszędzie, napastliwe, niewybredne, niestrudzone. Co o tym sądzi i co z tego rozumie? Carlyle i Helena mówili jej, że reklama służy głównie do wciskania ludziom rzeczy, których nie potrzebują. Czasem ta prawda do niej docierała, czasem nie. Blossombomb nie stanowi na razie problemu, ale wkrótce to może się zmienić.

Spojrzał na zegarek. Ósma pięćdziesiąt dwie. Weszli do otwartej strefy dziesięciu minut przed dziewiątą, kiedy można było zostawić dziewczynki na szkolnym podwórku. Carlyle wiedział, że się nie spóźnią, ale nie przyjdą też zbyt wcześnie.

– Chodźmy – powiedział łagodnie. – Czas na nas.

– Tak, tato. – Alice skinęła głową, wręczając mu pustą plastikową tacę. Wypiła resztkę soku i oddała puste opakowanie ojcu, chodzącemu śmietnikowi. Wzięła z ziemi plecak i ruszyła w stronę schodów.

Carlyle szedł za nią z rękami pełnymi śmieci. W pobliżu nie było żadnego kosza – zlikwidowano je, by jakiś terrorysta nie ukrył w nich bomby. Pomyślał, że właściwie nie miałby nic przeciwko temu, gdyby ktoś zdecydował się wysadzić w powietrze wystawę Helmuta i Karla.

– Uważaj na schodach! – zawołał.

– Tak, tato! – odpowiedział mu zirytowany cienki głosik, którego właścicielka zniknęła mu na moment z oczu.

Gdy znaleźli się na dole, stanęli przed kościołem pod wezwaniem Świętego Idziego, patrona żebraków i kalek. Była to jedna z nielicznych świątyń w Londynie, które przetrwały zarówno wielki pożar w 1666 roku, jak i drugą wojnę światową. Stojąc przed łagodnym obliczem świętego, Carlyle pocałował córkę. Dawno już uzgodnili, że to ostatnie miejsce, w którym rodzice mogą okazywać jej czułość, wystarczająco odległe od wejścia, by Alice nie czuła się zawstydzona w obecności koleżanek.

– Miłego dnia.

– Odbierzesz mnie po południu? – spytała dziewczynka, wycierając policzek, w który ją pocałował.

– Nie. Muszę wracać do pracy. Bardzo bym chciał, ale jestem zajęty. Mama cię odbierze.

– To dobrze. Lubię wracać z mamą – oświadczyła Alice radośnie, ku sporemu rozczarowaniu Carlyle'a. Przeszła jakieś pięć metrów w stronę szkoły, potem jednak przystanąła i odwróciła się do niego.

– Czy on nie żył?

– Kto?

– Ten człowiek wczoraj w nocy. Mama mówiła, że właśnie dlatego nie wróciłeś do domu.

– Tak. – Jak zwykle w takich sytuacjach Carlyle opowiedział o wszystkim w wielkim skrócie, ale nie próbował ignorować jej pytania albo zmieniać tematu. Alice, podobnie jak jej matka, nie lubiła uników. Była bardzo rzeczową dziewczynką. W wieku czterech lat poinformowała rodziców i koleżanki, że Święty Mikołaj jest „istotą z mitów i legend”. Biorąc pod uwagę stopień jej rozwoju i dojrzałości, była już trzy lub cztery, a może nawet pięć lat starsza od niego, gdy był w tym samym wieku. To olbrzymia różnica, a Carlyle wiedział, że będzie się tylko powiększać.

– Ktoś go zabił? – spytała rzeczowo. Jej mina mówiła: „Możesz powiedzieć mi prawdę, to nic takiego”.

– To się jeszcze okaże – skłamał Carlyle.

Alice przyjrzała mu się uważnie.

– Ale dowiesz się tego?

– Tak.

– I wtedy ten ktoś pójdzie do więzienia?

– Ten, kto to zrobił? Tak. Takie jest założenie.

– Żeby nie mógł znów tego zrobić?

– Tak. Takich ludzi wsadza się do więzienia, żeby uchronić przed nimi pozostałych. – Zastanawiał się nad tym przez moment. – Może kiedy będą w więzieniu, zrozumieją, że zrobili coś złego. To najlepszy sposób, żeby po wyjściu na wolność nie popełnili tego samego błędu.

– Ale to nie zdarza się często? – spytała Alice.

– Trudno powiedzieć. – Carlyle się roześmiał. – Trudno powiedzieć.

Dziewczynka rozmyślała o tym jeszcze przez moment.

– To dobrze, że go złapiesz. Możesz opowiedzieć mi o tym dzisiaj wieczorem. Cześć! – zawołała i ruszyła do wejścia.

– Cześć!

Alice wbiegła do szkoły, pozdrawiając swoją nauczycielkę, panią Matterface, która pełniła dyżur przy bramie, i rozejrzała się po placu zabaw, wypatrując koleżanek. Carlyle odprowadził ją wzrokiem, upewniając się, że dotarła na miejsce cała i zdrowa. Wysłał Helen SMS, że misja zakończyła się sukcesem, i jeszcze przez minutę stał przy bramie. Jakiś spóźnialski zdążył wślizgnąć się do środka, zanim zamknięto drzwi i oficjalnie zaczął się dzień nauki. Zadowolony z dobrze wykonanej pracy, Carlyle odwrócił się i ruszył w stronę stacji metra.

Odprowadziwszy Alice do szkoły, Carlyle wrócił do domu, by przespać się choć kilka godzin. Mieszkali w ponadosiemdziesięciometrowym mieszkaniu na trzynastym piętrze Winter Garden House, z oknami wychodzącymi na południe, na rzekę, i z widokiem na centrum sztuki South Bank, London Eye i Big Bena. Winter Garden House był piętnastopiętrowym blokiem z lat sześćdziesiątych, mieścił trzydzieści lokali i stał przy Macklin Street, przy północnym końcu Drury Lane. Mieszkanie kupił teść Carlyle’a w 1984 roku, za szesnaście tysięcy funtów. Wykazując się doskonałym wyczuciem czasu, zmarł na rozległy zawał pięć miesięcy przed narodzinami Alice. Matka Helen chętnie im je oddała, sama bowiem wyprowadziła się stamtąd wiele lat temu. Tuż po tym, jak jej córka skończyła szkołę, porzuciła męża i przeniósła się do Brighton, uroczego nadmorskiego miasteczka odległego o godzinę drogi od Londynu. Gdyby nie ten korzystny zbieg okoliczności, mieszkaliby daleko od Covent Garden, a Carlyle musiałby spędzać pół dnia w chronicznie niedofinansowanych i zawodnych środkach transportu miejskiego.

Obudził się tuż przed trzynastą. Leżał przez chwilę, zbierając myśli, w końcu wstał, wziął prysznic, ubrał się i wyszedł. Po drodze wstąpił do Il Buffone, maleńkiej włoskiej kawiarni w stylu lat pięćdziesiątych, na drugim końcu Macklin Street. W środku starczyło miejsca tylko na bar i trzy boksy, które mogły pomieścić najwyżej po sześć osób. Goście lokalu mogli zaryzykować i jeść w towarzystwie obcych albo usiąść przy jednym z małych stolików na ulicy i nawdychać się za darmo spalin.

Carlyle wolał siedzieć w środku, pod starym plakatem zwycięskiego Juventus z 1984 roku. To była drużyna Trapattoniego i Platinięgo, nadludzkich istot z innego czasu. Zdaniem Carlyle’a nawet w najbardziej pracowite dni warto było poświęcić kilka chwil na rozmyślanie o ich osiągnięciach.

Minęła już pora lunchu, więc w Il Buffone było prawie pusto. Dwóch biznesmenów popijało latte, dyskutując o szansach powodzenia jakiegoś dużego przedsięwzięcia. Obaj palili papierosy, bezczelnie łamiąc wprowadzony rok wcześniej zakaz. Carlyle spojrzał pytająco na Marcella, właściciela lokalu, lecz ten wzruszył tylko ramionami i odwrócił się do ekspresu Gaggia.

– *Ciao. Buongiorno. Come stai?* – spytał.

– Wszystko w porządku, Marcella – powiedział Carlyle do jego pleców. – A u ciebie?

– Dobrze! – Marcella starał się przekrzyknąć syk ekspresu. – Cathy pojechała dzisiaj do swojej mamy, więc jestem sam, ale daję sobie radę. Co zjesz? Lunch czy śniadanie?

Trudna decyzja. Carlyle zwykle przychodził tu rano, więc wybór lunchu wymagał

dodatkowego namysłu. Nie miał na to ochoty ani czasu, więc poprosił o śniadanie.

– To co zwykle? – spytał Marcello.

– *Si, grazie.*

Wyczerpawszy cały zasób znanego mu włoskiego słownictwa, które z trudem gromadził przez długie lata, Carlyle skinął z szacunkiem głową Platiniemu i Trapattoniemu, po czym usiadł w ostatnim boksie, gdzie czekał na swoją codzienną porcję podwójnego macchiato z dużym ciastkiem z rodzynekami.

Marcello Aversa przyjechał do Londynu ponad trzydzieści lat temu, na tygodniowe wakacje. W tym czasie zdążył zakochać się w Angielce, zaręczyć z nią i znaleźć sobie pracę. Carlyle zawsze był pod wrażeniem tej niezwyklej historii. Trzydzieści lat później Marcello wciąż był mężem Cathy i zbliżał się powoli do końca kariery, podczas której prowadził różne kluby, restauracje i bary w północnym Londynie i na West Endzie.

Cztery lata temu wynajęli tę kawiarnię, by ułatwić swojej córce start w biznesie. Jednak rzeczywistość wypełniona codziennym wstawaniem o piątej trzydzieści, obsługą klientów i kontaktami z różnymi urzędami okazała się zbyt trudna dla młodej dziewczyny. Zrezygnowała po niecałym miesiącu. Podobno ostatnio wędrowała z plecakiem po Chile. Marcello i Cathy musieli więc sami zająć się kawiarnią, by pokryć koszty najmu, cały czas mieli jednak nadzieję, że znajdą kogoś, kto uwolni ich od tego ciężaru.

Żona i córka Carlyle'a były stałymi bywalczyniami kawiarni. Marcello i Cathy hołubili Alice, co oznaczało, że Helen ich uwielbiała. To z kolei oznaczało, że Carlyle czuł się zobowiązany bywać tam co najmniej raz dziennie. Nigdy nie rozmawiali o jego pracy, ale po pewnym czasie Carlyle zaczął im pomagać w rozwiązywaniu różnych biurokratycznych problemów, które przydarzały im się zdecydowanie zbyt często. Jedyną wadą tej sytuacji było to, że Marcello nigdy nie chciał wziąć od niego pieniędzy. Carlyle musiał go dosłownie zmuszać do ich przyjęcia. Było to nieco krępujące, ale mniej krępujące niż wykorzystywanie uprzejmości Włocha.

Marcello postawił przed nim kawę i olbrzymie ciastko, po czym otworzył okna, by wypuścić nielegalny dym. Wracając za bar, zabrał prawie puste filiżanki stojące przed biznesmenami, jakby chciał dać im do zrozumienia, że powinni już iść. Puścił oko do Carlyle'a i zniknął w maleńkiej kuchni na tyłach lokalu.

Inspektor upił tyk macchiato i przyjrzał się ciastku. Było to prawdziwe dzieło sztuki, niemal równie duże jak stare winylowe single, grube na półtora centymetra i pokryte lukrem. Marcello codziennie zamawiał pół tuzina takich ciastek w koszernej piekarni Grodzinskih na północy Londynu, głównie z myślą o Carlyle'u, który wpadał do niego i zjadał drugie śniadanie, jeśli tylko pozwalał mu na to czas.

Traktował to jak rytuał, z którym nie można się spieszyć. Zgodnie ze swoim zwyczajem Carlyle pokroił ciastko na cztery części i zastanawiał się przez chwilę, w jakiej kolejności je zjeść. Bez wątplenia wymagało to jeszcze jednej kawy, opróżnił więc filiżankę i zamówił u Marcella drugą podwójną macchiato. Kiedy ją dostał, sięgnął po pierwszy kawałek ciastka. Właśnie go ugryzł, kiedy drzwi kawiarni się otworzyły.

– Jak tam sprawy z martwymi gejami?

Carlyle przełknął i uśmiechnął się.

– Cześć, Joe.

Podniósł wzrok i spojrzał na sierżanta Joego Szyszkowskiego, który wsunął się właśnie do boksu i usiadł naprzeciwko niego. Trzymał pod pachą wczesne wydanie popołudniówki, a w jego oczach migotały iskry podniecenia. Carlyle z trudem oparł się pokusie i nie spytał sierżanta,

gdzie się, do cholery, podziewał przez ostatnie czternaście godzin.

– Napijesz się czegoś?

– Co podać? – spytał Marcello zza kontuaru.

– Dzięki, Marcello, jadłem lunch – odparł Joe. – Ale chętnie napiłbym się latte.

– Już się robi.

– Aha, zanim zapomnę – dodał Joe. – Dzwonił do mnie Valcareggi.

– I cóż takiego Edmondo miał ci do powiedzenia? – mruknął Carlyle. Miał nadzieję, że nie będzie znów musiał ścigać po Londynie jakichś włoskich mafiosów.

– Podobno w więzieniu pod Rzymem zasztyletowali tego faceta, którego aresztowaliśmy – oznajmił Joe.

– Pozza? – prychnął Carlyle. – Przynajmniej nie będzie już się martwił swoją nadwagą.

– Pewnie nie – zgodził się z nim Joe. Sięgnął po menu i przejrzał je z uwagą.

Carlyle zmierzył wzrokiem swojego sierżanta, wsłuchując się jednocześnie w szum ekspresu. Joe miał jakieś sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, parę kilo nadwagi, ciemne długie włosy i wiecznie rozbawioną minę. Wyglądał jak nieco większa wersja aktora Jacka Blacka. Pracowali razem już od ponad czterech lat. Carlyle'a nigdy nie interesowało pochodzenie jego współpracowników, ale w czasie wspólnej pracy zdążył się sporo dowiedzieć o Joem. Joseph Leon Górka-Szyszkowski był synem polskich imigrantów, urodził się i wychował w Portsmouth, a potem przyjechał do Londynu, by studiować geofizykę w Imperial College. Z niezrozumiałych dla Carlyle'a powodów po ukończeniu studiów postanowił wstąpić do policji.

Polacy mieli już w Londynie ustaloną pozycję. Wielu z nich, gdy zaczął się kryzys, wróciło do domu, ale nadal uważano ich za wzorzec jakości, solidności i usług wartych swojej ceny w budownictwie, hydraulice i innych dziedzinach gospodarki. Dostarczali też czasem piłkarzy i wielu, wielu księży. Jednak podobnie jak członkom każdej mniejszości etnicznej, łatwiej przychodziło im znaleźć pracę w zawodach cywilnych, niż dostać się do zamkniętego, konserwatywnego świata policji. Carlyle spotkał w policji metropolitalnej tylko jednego „polskiego” policjanta, i był nim właśnie Joe. Prawdę mówiąc, nie było to imię świadczące o tym, że należy do jakiegokolwiek mniejszości. Joe był całkowicie zasymilowany, choć z pewnością nigdy nie pozwolono by mu przyłączyć się do masonów, tej dość komicznej tajnej organizacji (albo „społeczności z tajemnicami”, jak sami woleli o sobie mówić) z „wszechwidzącym okiem” i mottem *Ordo ab Chao*, „Porządek z chaosu”, która z niezrozumiałych powodów przyciągała wielu policjantów.

W brytyjskiej policji pracowało około dwudziestu jeden tysięcy siedmiuset sierżantów, ale Carlyle znał tylko jednego, który potrafił zaśpiewać brytyjski hymn zarówno po polsku, jak i w hindi. Joe miał żonę hinduskę, Anitę. Ta międzynarodowa para nadała swoim dzieciom, Williamowi i Sarze, najbardziej angielskie imiona, jakie tylko przyszły im do głowy. Mimo to zostało w Joem trochę prawdziwie i niezaprzecalnie polskich cech: posępność, pesymizm i katolicyzm. To właśnie za sprawą swojego pochodzenia Joe patrzył na świat z pewną dozą obojętności, ironii i – co równie ważne – fatalizmu, do których mógł odnosić się Carlyle. Inspektor i sierżant dobrze się ze sobą dogadywali i ufali sobie nawzajem.

– Co wiedzą? – spytał, obserwując, jak Joe teatralnym gestem rozkłada na stole „Evening Standard Post”.

– A jak myślisz? – odpowiedział pytaniem Joe.

– Wszystko?

Joe skinął głową.

– Wszystko.

Począł, aż Carlyle przyjrzy się dobrze wielkiemu nagłówkowi na pierwszej stronie, który głosił: KRWAWE HORROR W EKSLUZYWNYM HOTELU.

– Wiedzą o nożu i liście, znają godzinę śmierci – ciągnął Joe. – I zastanawiają się, czy zbrodnia miała podłoże seksualne. – Wziął gazetę, odwrócił ją do siebie i spojrzał na artykuł. – Cytuję: Nasze źródła sugerują, że morderczy atak nosił znamiona eksperymentu seksualnego, dokonanego pod wpływem narkotyków, który zakończył się tragedią. – Złożył gazetę i nią pomachał. – Eksperyment seksualny dokonany pod wpływem narkotyków? – Westchnął teatralnie. – To były czasy...

– Mów za siebie – rzucił Carlyle z uśmiechem.

– To się nazywa pierwszorzędne dziennikarstwo – prychnął Joe. – Wiesz co, wydaje mi się, że ta gazeta naprawdę się poprawiła, odkąd kupił ją ten były agent KGB.

– Lepiej, żeby była narzędziem propagandy Kremla niż naszego kretyńskiego burmistrza – odparł cierpko Carlyle. – Kto to napisał?

Joe rozłożył gazetę i spojrzał na podpis pod artykułem.

– Jakaś Fiona Singer-Cavendish.

– Nigdy o niej nie słyszałem.

– Ja też nie. – Joe wzruszył ramionami. – Ale najwyraźniej ma dojścia. Dziwię się, że nie mają jeszcze zdjęcia, na którym oglądasz odbył tego faceta.

– Poczekaj na następny numer. – Cholerny Alex Miles, pomyślał Carlyle. Ten gnojek sprzedałby wszystko za kilkaset funtów. – Wiedzą o liście?

– Owszem. Ale nie wiedzą chyba, że trafił do Charing Cross. Bogu dzięki! Nie wiedzą też – albo o tym nie piszą – co w nim było.

– Naprawdę myślisz, że to jakaś gejowska afera? – spytał Carlyle.

Joe wznosił oczy do sufitu.

– Może. Wydaje mi się, że nóż wsadzony w dupę to dość czytelna, choć prostacka aluzja seksualna.

Carlyle uniósł brwi.

– To może znaczyć cokolwiek. Albo nic.

– Tak, jasne – mruknął Joe. – Przekaz jest oczywisty: Chcę cię pieprzyć prosto w dupę...

– Pewnie tak – zgodził się Carlyle. Wiedział, że kiedy Joe jest w podobnym nastroju, właśnie takie podejście jest najlepsze. Zwykle było to jedyne możliwe podejście.

– ...kiedy będziesz już trupem – dokończył Joe.

– Tak, to brzmi sensownie – znów zgodził się Carlyle dla świętego spokoju.

– Moim zdaniem ta historia z daleka śmierdzi jakimś gejowskim melodramatem – podsumował Joe z uśmiechem.

Marcello postawił na stole kawę dla Joego i wrócił za bar. Carlyle pomyślał o artykule w popołudniówce i poczuł, jak zapął do pracy nad tą sprawą opuszcza go szybciej niż dziwka z Old Compton Street, której zapłacono z góry. Teraz widział przed sobą tylko ciężką harówkę.

– A co nas to właściwie obchodzi? – zastanawiał się głośno. – To żadna różnica, czy chodzi o gejów, czy nie.

Wydział Zbrodni Gejowskich został rozwiązany trzy lata temu. Teraz takie sprawy trafiały do jednego worka. W tym przypadku do jego worka.

Joe opadł na oparcie kanapy i westchnął głośno.

– Niezupełnie.

– A co z SWZ? Może oni się tym zajmą?

W policji metropolitalnej działało jedenaście specjalistycznych wydziałów zbrodni. Najważniejszy był Wydział Zbrodni i Ciężkich Przestępstw. Zwykle przejmował śledztwa dotyczące wszystkich interesujących morderstw. Z definicji oznaczało to sprawy, których nie rozwiązano w ciągu kilku godzin.

– Nie liczyłbym na to. – Joe pokręcił głową. – Mają masę roboty. Połowa siedzi teraz w Belgravii i zajmuje się sprawą arabskiego miliardera, który w marcu wyskoczył z balkonu swojego apartamentu w Mayfair.

Carlyle skinął głową. Słyszał o tej historii.

– Facet prowadził interesy na całym świecie, więc muszą często wyjeżdżać za granicę – dodał Joe. – Każdy chce uszczknąć coś dla siebie, dlatego nie spieszy im się z zamknięciem śledztwa.

– Jasne – mruknął Carlyle. Zagraniczne podróże oznaczały uwolnienie się od rodzinnych obowiązków i mnóstwo dobrze płatnych nadgodzin. Co więcej, wcale nie oczekiwano konkretnych rezultatów takich podróży. Uznano, że miliarder padł ofiarą płatnego zabójcy, który ukrywa się gdzieś na Bliskim Wschodzie, poza zasięgiem brytyjskiej policji. Każdy gliniarz chciałby pracować przy takiej sprawie.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, to my musimy się tym zająć – podsumował Joe.

– My?

– Cóż, na pewno ty, mistrzu. – Joe uśmiechnął się szeroko. – Ale jak zwykle pewnie będę musiał ci pomóc... chociaż troszkę.

Carlyle pochylił głowę.

– Jest pan zbyt uprzejmy.

– Nie oczekuję wyrazów wdzięczności. – Joe lekko się skłonił. – Może po prostu spróbowałibyśmy to jak najszybciej rozwiązać?

– Dobry pomysł. – Carlyle podrapał się po brodzie i spojrzał na sierżanta z udawaną powagą. – Nikt nie zgłosił się dziś rano do komisariatu, żeby przyznać się do morderstwa?

Joe Szyszkowski udawał, że zastanawia się nad tym przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Nie.

– Nie pojawiły się jakieś nowe tropy, kiedy spałem?

Joe ściągnął brwi, jakby próbował przypomnieć sobie coś ważnego.

– Nie – odparł w końcu.

– No dobra, koniec wygłupów. – Carlyle starał się wykrzesać z siebie choć odrobinę zapалу do pracy nad tą sprawą. – Co z nożem?

– Ładna rzecz. Żadnych odcisków. W samym Londynie można go kupić w kilkuset miejscach, zakładając oczywiście, że zabójca zrobił to niedawno.

– Chcemy to sprawdzać? – spytał Carlyle.

– Już się tym zajmuję.

Carlyle skinął głową i przeszedł do następnego punktu.

– Widziałeś list?

– Tak.

– I co o tym myślisz?

– Zabójca chce, żebyśmy wiedzieli, dlaczego to zrobił.

– Rozumiem. Znalazłeś jakieś podobne sprawy?

– *Modus operandi* w tej sprawie wydaje się wyjątkowy – zaczął Joe uczonym tonem. – W tym roku do tej pory w Londynie zaszytowało dwadzieścia osiem osób. W zeszłym roku

takich zabójstw było osiemdziesiąt sześć. Większość to kłótnie rodzinne albo bójki dzieciaków na osiedlach komunalnych.

Carlyle parsknął lekceważąco. Morderstwa w afekcie albo morderstwa z głupoty. Obie kategorie okropnie go nudziły.

– Sprawdzamy resztę – kontynuował Joe – ale wygląda na to, że dotąd nie spotkaliśmy się z niczym podobnym.

– Widziałeś nagrania ochrony z hotelu?

– Tak. – Joe upił łyk kawy. – Nic ciekawego, choć tuż przed twoim przyjściem jakiś amerykański bokser i jego groupies pobili się z obsługą. – Sierżant uśmiechnął się szeroko. – Jednej z dziewczyn ktoś rozerwał bluzkę. Nie miała stanika.

Carlyle obdarzył go spojrzeniem, które mówiło jednoznacznie: „Zajmijmy się pracą, dobrze?”.

– Wyglądało to dość zabawnie, ale zrobiło się straszne zamieszanie. Kazałem chłopakom w komisariacie przejrzeć to jeszcze raz, ale wątpię, czy coś znajdą.

– Dobra – mruknął Carlyle rozczarowany. – Dopilnuj, żeby nie wrzucili cycków tej grupie na YouTube. A co z samą ofiarą?

Joe spojrzął w sufit i zaczął recytować z pamięci, jak uczeń podstawówki odpowiadający na lekcji.

– Jak wiesz, nazywał się Ian Blake. Miał czterdzieści pięć lat. Mieszkał w Chelsea, nasza ekipa już tam jest. Pracował w tej najszlachetniejszej z branż, public relations, w firmie, która nazywa się... jakoś tam. – Joe wyjął z kieszeni kawałek papieru i spojrzął na notatki, które sporządził w komisariacie. – Aletheia. Mają biuro w pobliżu Park Lane.

– Aletheia była boginią prawdy – wyjaśnił Carlyle. – Córką Zeusa.

Joe uniósł brwi.

– A skąd to wiemy?

– Bo powiedziała mi to Alice, kiedy odprowadzałem ją dziś rano do szkoły.

– Zuch dziewczyna!

– Tak jest – zgodził się ochoczo Carlyle. – Ostatnio zaczęła się interesować mitologią grecką.

– Dobrze wiedzieć, że przynajmniej jeden członek rodziny Carlyle’ów okazuje zainteresowanie kulturą – skwitował Joe z uśmiechem.

Carlyle udał święte oburzenie.

– Nie będę wysłuchiwał takich rzeczy od faceta, którego dzieci całymi dniami grają na Nintendo DS. – On także się uśmiechnął. – I które nawet nie wiedzą, jak wygląda książka.

– Po prostu idą z duchem czasu, szefie – odparł pogodnie Joe. – Nie chcemy, żeby inne dzieciaki się z nich śmiały, prawda?

– Pewnie nie. No dobra, co z tą Aletheią?

– Faceci z PR – parsknął Joe. – Co za nazwa! Chyba nie wiedzą, co to ironia.

– Tak – zgodził się z nim Carlyle. – Apate byłaby znacznie lepszym wyborem.

– A to kto taki? – spytał Joe, chętnie podejmując grę.

– Bogini oszustwa i zdrady.

– O, to dobre. Tak czy inaczej, PR-owcy nie tylko nie wiedzą, co to ironia, ale są też gadatliwi i lubią się chwalić. I dobrze, bo dzięki temu możemy szybko stworzyć obraz ofiary.

– Naprawdę?

– O tak. Zdjęcie Blake’a i jego życiorys to jedna z ważniejszych pozycji na stronie firmy.

– Widziałem to.

– Jest też na Facebooku.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – Carlyle westchnął. – I cóż mówi nam to niezrównane źródło informacji?

– W skrócie?

– Tak, bardzo proszę, sierżancie. – Inspektor skinął głową w nadziei, że usłyszy coś ciekawego. – W pieprzonym skrócie.

– Cóż, Blake był HDWP. Albo przynajmniej chciał za takiego uchodzić.

– Kim?

– HDWP to heteroseksualny, dumny, wolny mężczyzna po trzydziestce.

Carlyle pokręcił tylko głową, dowiedziawszy się o tym kolejnym wymyśle mediów.

– Czyli coś w rodzaju mężczyzny metroseksualnego?

– Może. Coś w tym rodzaju. Nie wiem.

– W odróżnieniu od retroseksualnego, na którego kobiety nawet nie spojrzą.

– Cóż, może nie będziemy tym razem rozmawiali o twoich problemach? – zaproponował Joe. – Nie wszystko kręci się wokół ciebie, wiesz? Gdybyś choć trochę interesował się kulturą, wiedziałbyś, że idolem HDWP jest George Clooney.

– No dobra. – Carlyle niechętnie wrócił do poważnego tonu. – Ale skoro był dumny i heteroseksualny, to odrzucamy hipotezę o motywach gejowskich.

– Może to w sobie tłumil? – Joe się skrzywił. – Albo nie chciał się ujawnić. Może ta poza HDWP to tylko zasłona dymna?

– Daj spokój, teraz ludzie już nie ukrywają takich rzeczy. Weź choćby mamę Sanoxby’ego.

– No tak. – Joe zachichotał. Sierżant Chris Sanoxby z komisariatu Savile Row stał się z dnia na dzień znakomitością policji metropolitalnej, gdy jego matka, siedemdziesięcioletnia Agnes O’Halloran, zmieniła orientację i po czterdziestu pięciu latach małżeństwa zostawiła jego ojca dla sześćdziesięciosiedmioletniej przyjaciółki. Sanoxby długo nie mógł otrząsnąć się z szoku. Niemal przez rok był na urlopie zdrowotnym, a potem przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Jak na ironię jego pożegnalna impreza odbyła się w najbardziej gejowskim pubie w Soho.

– Biedak. – Westchnął Carlyle ze współczuciem.

– Na morzu zdarzają się gorsze rzeczy. A wracając do pana Blake’a, to moim zdaniem nie powinieneś być taki radykalny.

– Dlaczego nie?

– Bo niektórzy ludzie chętnie pieprzą wszystko – zauważył filozoficznie Joe.

– Urocze.

– Wiem.

– Mimo wszystko to nie jest dobry argument na poparcie twojej teorii.

– No nie wiem... – Joe najwyraźniej nie miał ochoty zrezygnować ze swojej hipotezy. – Może kiedy dogadzał swoim gejowskim słabościom, odezwała się w nim natura HDWP i coś się popieprzyło. Może było tak, jak napisali w gazecie: seksualna zabawa, która źle się skończyła.

– Ale to raczej nie pasowałyby do listu, prawda?

– Owszem... – Joe zastanawiał się nad tym przez chwilę. – Choć może ktoś chce w ten sposób naprowadzić nas na fałszywy trop. Odwrócić uwagę od prawdziwych motywów?

– To wskazywałoby raczej na morderstwo z premedytacją, a nie w afekcie.

– Niekoniecznie. Może zabójca wpadł na ten pomysł na poczekaniu.

– No nie wiem... – Carlyle kręcił głową z powątpiewaniem. – To tylko domysły. Co

jeszcze mówi nam Facebook?

– Że Blake był dandysem i wiecznym chłopcem. Miał dobrze ponad czterdzieści lat, a zachowywał się jak dwudziestolatek. Lubił jazdę na nartach, Kate Nash i mojito...

– Kto to jest Kate Nash?

Joe przewrócił oczami.

– Postaraj się choć trochę być na czasie, staruszk. To piosenkarka, gwiazda miesiąca – albo nanosekundy – sprzed roku czy dwóch.

– Nigdy o niej nie słyszałem. – Carlyle nie potrafiłby wymienić nazwiska żadnej piosenkarki od czasów Kate Bush.

– Ja znam tylko nazwisko – przyznał Joe. – Dzieciaki mają chyba jej płyty, ale nigdy jej nie słyszałem. Ale prawdopodobnie zarobiła już więcej, niż my zarobimy przez całe życie... obaj.

Carlyle odchrząknął z irytacją. Nie cierpiał zagłębiać się w te wszystkie niepotrzebne bzdury z życia ofiar, które odkrywał podczas śledztwa. Nie mógł się nadziwić, jak ludzie potrafią marnować czas. Musieli zablokować w komisariacie dostęp do Facebooka, bo przeglądało go zbyt wielu pracowników, blokując dostęp do sieci. Dwa razy sieć w komisariacie padła. Prawdopodobnie winni temu byli pracownicy obsługi technicznej, a przynajmniej taką miał nadzieję. A poza tym, czy Facebook nie wyszedł już z mody? Helen, która uważała się za najbardziej towarzyskiego i obytego z komputerami członka ich rodziny, założyła sobie konto, ale po tygodniu przestała się nim interesować. Carlyle po cichu się z tego cieszył, prawie tak samo jak z tego, że on sam nigdy nawet nie pomyślał o założeniu konta. Miał dość problemów z prawdziwym życiem, więc tworzenie wirtualnego byłoby czystym szaleństwem. Poza tym internet może być bardzo niebezpieczny – jedna z ich przyjaciółek właśnie się rozwodziła, bo mąż zostawił ją dla dziewczyny poznanej w sieci.

Carlyle wstał, wyjął portfel i podał Marcellowi pięć funtów. Poczekał na resztę i wrzucił ją do puszek na napiwki.

– No dobrze – zaczął, odwracając się do Joego – wygląda na to, że robimy jakieś postępy. Chodźmy teraz do mieszkania Blake'a.

– Nie da rady. Zanimbyśmy tam dojechali, już musielibyśmy wracać.

– Dlaczego? – zdziwił się Carlyle.

– Na konferencję prasową.

Inspektor spojrzał na niego z irytacją.

– Jaką znowu konferencję?

Joe wstał i rozłożył szeroko ręce.

– A jak myślisz, dlaczego jestem dziś taki elegancki?

Carlyle przyjrzał się swojemu współpracownikowi. Dopiero teraz zauważył, że Joe zamienił swoje zwykłe ubranie – brudne dzinsy i bawełniany podkoszulek – na ciemnoszary garnitur z Marksa & Spencera, pomiętą białą koszulę i rdzawoczerwony krawat.

Joe zapiął marynarkę i spojrzał wymownie na szefa.

– Oczywiście nie mam się co porównywać z Paulem Smithem. To prawdziwa klasa.

Zgadza się, pomyślał Carlyle. Zerknął na swoje odbicie w oknie i skinął z aprobatą głową. On sam ubrany był w granatowy garnitur od Paula Smitha z jednorzędową marynarką, który kupił kilka lat temu za siedemdziesiąt pięć funtów w sklepie Oxfam przy Drury Lane. Jako jedyny element jego garderoby, o który naprawdę dbał, garnitur prezentował się jeszcze całkiem nieźle. Carlyle pogratulował sobie w duchu, że nie zdecydował się tego dnia na alternatywne rozwiązanie, czyli podkoszulek z The Clash i dzinsy. Gdyby ktoś przyjrzał się uważnie

garniturowi, zauważyłby, że tu i ówdzie jest już nieco przetarty, ale i tak przewyższał o kilka klas wszystkie jego pozostałe ubrania. Poza tym wpisywał się w nową kampanię szefa policji metropolitalnej, który postanowił walczyć z niechlujstwem swoich podwładnych.

– Powinieneś być się ogolić – zauważył Joe.

– A ty powinieneś być się ogolić starannie – odparował Carlyle.

Joe uśmiechnął się szeroko.

– A co z krawatem?

– Nie przeciągaj struny – warknął inspektor i zamknął oczy. – Dlaczego właściwie organizujemy tę konferencję?

– Bo Simpson tego chce.

Komisarz Carole Simpson była ich szefową. Jej biuro mieściło się w komisariacie Paddington Green, a do Charing Cross wpadała w razie potrzeby lub gdy nadarzała się okazja. Wiecznie zagoniona, była o pięć, sześć lat młodsza od Carlyle'a i w odróżnieniu od niego mogła realistycznie zakładać, że przed emeryturą zdąży jeszcze wspiąć się o trzy, cztery szczeble kariery.

Carlyle znał ją od prawie dziesięciu lat. Pozbawiona jakichkolwiek obciążeń z przeszłości, pojawiła się w Metropolitan Police niedługo po tym, jak on trafił do Charing Cross. Musiał przyznać, że była bardzo operatywna. Umiała się znaleźć w każdej sytuacji, nieustannie parlała do przodu i w roli menedżera czuła się jak ryba w wodzie. Potrafiła być czarująca – pod warunkiem, że miała do czynienia z mężczyzną w określonym wieku (dziesięć do piętnastu lat starszym od niej) i czegoś od niego chciała.

Ale komisarz Carole Simpson rzadko chciała czegoś od inspektora Carlyle'a. Tak naprawdę ich stosunki nie układały się najlepiej. Simpson frustrowało zachowanie inspektora, który jej zdaniem uparcie odmawiał udziału w jej grze, a do tego nie potrafił ukryć tego, co do niej czuje. Carlyle z kolei był wściekły, że komisarz chce wciągnąć go w misję, której celem jest jej sukces i chwała.

Simpson działała Carlyle'owi na nerwy. Jakoś tak się zawsze składało, że wspólne dobro zbiegało się z interesami pani komisarz. Uważał jej podejście do pracy za introwertyczne, niemal obłąkane. Była zbyt pochłonięta robieniem kariery, by przejmować się czymkolwiek innym. Jego zdaniem Simpson łączyła w sobie skrajny egoizm ze świadomością złotej rybki, dlatego podchodził do niej nieufnie i bez sympatii. Musiał się jednak zachowywać jak profesjonalista i gdy się skupił i popracował nad samodyscypliną, jakoś ją tolerował, byle tylko ich drogi nie krzyżowały się zbyt często. W takich sytuacjach Carlyle zawsze miał wrażenie, że w końcu nie wytrzyma i powie otwarcie, co o niej myśli, a to przekreśliłoby wszelkie szanse na utrzymanie choćby pozorów normalnych relacji.

– Dlaczego Simpson chce organizować konferencję prasową? – Carlyle zaczął masować sobie skronie w nadziei, że być może przegoni w ten sposób narastający ból głowy.

– Kto wie? – Joe wzruszył ramionami. – Media już wiedzą o tej historii, więc pewnie chce wykorzystać okazję.

Carlyle spojrział na sierżanta.

– Skoro media i tak już o wszystkim wiedzą, to co nam po tej pieprzonej konferencji?

Joe znów wzruszył ramionami.

– Wiesz, jaka ona jest.

– O tak. – Carlyle pokiwał głową.

– Dla niej każda reklama jest dobra.

Inspektor spojrział na zegarek.

– O której ma się zacząć?
– O piętnastej trzydzieści. Już powiedziała dziennikarzom, że tam będziesz. Ja jestem tylko małym bonusikiem.

Carlyle zgrzytnął ze złością zębami. Zabawy z medialnym cyrkiem mogą tylko utrudnić im pracę. Konferencje prasowe były drogą ucieczki ludzi bezmózgich lub zdesperowanych. Na razie nie mogli się zaliczyć do żadnej z tych grup.

– I co tam mamy mówić? – spytał.

Joe wypił ostatni łyk kawy.

– Nic nadzwyczajnego. Powiemy im to, co już wiedzą. Zaapelujemy do sprawcy tej straszliwej zbrodni, żeby oddał się w nasze ręce. Poprosimy świadków, żeby się do nas zgłosili. Ble, ble, ble. Uspokoimy społeczeństwo.

– Społeczeństwo tego potrzebuje?

– Raczej nie.

– Żadnych oznak masowej paniki?

– Nie.

– Całe szczęście... – mruknął Carlyle, analizując w myślach sytuację. Dziesięć, może nawet pięć lat temu pomyślałby: pieprzyć to, i poszedł sobie, zostawiając Simpson samą z dziennikarzami. Lecz starszy, dojrzały Carlyle był spokojniejszy. Albo bardziej zmęczony. Wiedział, że istnieją pewne granice tego, co może mu ująć na sucho, nim zaczną się różne procedury dyscyplinarne, a jego życie zawodowe legnie w gruzach. Dlatego zamierzał pójść na konferencję, zakładając jednocześnie, że to Simpson będzie rozmawiała z dziennikarzami. To jej przedstawienie, jej godzina chwały. Niech się pokaże, skoro tego właśnie chce.

– Wracajmy do komisariatu – powiedział. – Po konferencji pojedziemy do mieszkania Blake'a. W tym czasie przeczytam wszystko, co trzeba.

Zapowiadał się długi i ciężki dzień pracy. Carlyle potrzebował wartościowego prowiantu. Pochylił się nad kontuarem.

– Marcello, zapakuj mi jeszcze jedno ciastko – poprosił z uśmiechem. – Zabiorę je ze sobą.

12

„Centrum prasowe” komisariatu Charing Cross mieściło się w dużej, pozbawionej okien piwnicy, której prawie nigdy nie używano do innych celów. Zawsze było tam zimno, a w powietrzu unosił się zapach nieświeżego jedzenia z pobliskiej kantyny. Ostry blask świetlówek był kolejnym elementem, który miał sprawić, by przedstawiciele mediów nie pozostawali w tym miejscu dłużej niż to konieczne. Przed podestem, który mógł pomieścić sześć osób, stało dwadzieścia krzeseł. Za podestem wisiało duże logo policji metropolitalnej, pod nim zaś wypisane wielkimi literami motto: *Pracujemy razem dla bezpieczniejszego Londynu*. Z tyłu sali znajdowało się miejsce na kamery telewizyjne, a w rogu ministudio, gdzie po konferencji można było przeprowadzić wywiad jeden na jednego.

Konferencja prasowa Simpson przyciągnęła sporą grupę dziennikarzy. Był redaktor działu kryminalnego z „Evening Standard”, redaktor jednej z miejscowych bezpłatnych gazet, facet z newswire'a i reporter miejscowej stacji radiowej. Telewizję reprezentowali wysłannicy London Tonight ITV oraz BBC London. Jak zwykle wszyscy chcieli narobić trochę szumu i tchnąć życie w sprawę, która po piętnastu godzinach zaczynała powoli odchodzić w zapomnienie. Z drugiej strony nie była to historia tak spektakularna, by dziennikarze szczególnie się nią ekscytowali. Londyn nie jest może światową stolicą zbrodni, ale nie jest też miejscem,

gdzie zabójstwo samo w sobie budzi większe zainteresowanie. Dla mediów śmierć to element konieczny, by materiał był ciekawy, ale żeby wiadomość o zbrodni znalazła się na pierwszych stronach gazet, redaktorzy potrzebują czegoś ekstra: seksu, motywów rasistowskich, narkotyków, dzieci albo współczesnej żyły złota, czyli udziału celebrytów.

Simpson, Szyszkowski i Carlyle weszli do sali drzwiami za podestem, pięć minut po wyznaczonej godzinie. Przywitała ich obojętność dziennikarzy, którzy rozmawiali ze sobą albo przez komórki, rozwiązywali sudoku lub drzemali. Simpson postukała w ustawiony przed nią mikrofon, ale okazało się, że jest wyłączony. Odchrząknęła więc i przemówiła głośno:

– Dzień dobry...

Przerwała, bo po drugiej stronie sali otworzyły się drzwi. Wszyscy odwrócili się w tę stronę i zastygli w bezruchu, ujrawszy prawdziwą gwiazdę. Dziennikarka BBC, Rosanna Snowden, ubrana była w kostium Chanel, który przewyższał o klasę wszystko, co mieli na sobie pozostali uczestnicy konferencji. Opalenizna (być może sztuczna, ale nie w nazbyt oczywisty sposób), zimne brązowe oczy i wielka blond fryzura nadawały jej wygląd gwiazdy telenoweli z lat osiemdziesiątych. Carlyle oceniał ją na jakieś trzydzieści lat. Po szeroko nagłośnionym wypadku na nartach, który na miesiąc wykluczył ją z pracy w telewizji i uniemożliwił ćwiczenia na siłowni, bez wątpienia przybyło jej kilka kilogramów. Radziła sobie z tym jednak bez kompleksów i zachowywała się w sposób, który mówił: „Nie muszę być szczupłą, żeby być sexy”. Miała twarz, którą uważał za „neutralną” – ani przyjazną, ani wrogą, zawsze gotową dostosować się do sytuacji. Carlyle nie nazwałby jej jednak kameleonem, bo zawsze była zbyt skupiona na doraźnym celu – autoreklamie – by dopasowywać się do okoliczności.

Dopiero po dłuższej chwili mężczyźni obecni na sali pozbierali się na tyle, by wrócić do bieżącego tematu. Simpson dała im na to czas.

– Dzień dobry, Rosanno – powiedziała, jakby знаła dziennikarkę od lat. – Miło nam cię gościć.

Snowdon uśmiechnęła się, skinęła głową i usiadła w pierwszym rzędzie.

Po tej krótkiej przerwie Simpson przedstawiała swoich współpracowników i odczytała przygotowane wcześniej oświadczenie, które nie zawierało co prawda żadnych nowych informacji, ale zajęło większość czasu przeznaczanego na konferencję. Dziennikarze robili notatki i kiwali uprzejmie głowami – z wyjątkiem reportera z „Evening Standard”, który albo był głuchy, albo miał poważne problemy z koncentracją.

Gdy tylko Simpson skończyła czytać oświadczenie, Snowden odwróciła się do Carlyle’a.

– Czy to prawda, że dowiedział się pan o morderstwie z listu, inspektorze? – spytała, uśmiechając się słodko.

Carlyle zeszywniał.

– Nie zamierzamy dodawać niczego do informacji, które podaliśmy już do publicznej wiadomości – wyrecytował standardową formułkę.

Snowdon nie dawała za wygraną:

– Ale wiemy już, że był jakiś list... więc bylibyśmy bardzo wdzięczni za wszelkie informacje, które ubarwiłyby nieco tę historię.

Carlyle zmusił się do uśmiechu.

– Rozumiem, że ubarwianie wiadomości to część pani pracy – odrzekł spokojnie – ale ja również muszę wykonywać jak najlepiej swoją. Na tym etapie naprawdę nie mamy już nic do dodania.

Wyczuwał irytację Simpson, ale uważał, że powinien bronić swojego stanowiska. Cała ta konferencja miała przecież, przynajmniej oficjalnie, służyć dobru jego śledztwa.

Pozostali dziennikarze milczeli, ciekawi, czym skończy się ten mały sparring. Snowden uznała, że warto spróbować jeszcze raz.

– Przepraszam, że muszę powtórzyć to pytanie, inspektorze, ale...

– Ale i tak pani to zrobi – przerwał jej Carlyle.

W tym momencie Simpson uznała, że musi interweniować. Nie mogła pozwolić, by Carlyle zepsuł jej występ.

– Myślę, że powiedzieliśmy już wszystko na ten temat – oświadczyła, wykrzywiając twarz w sztucznym uśmiechu. – Czy są jeszcze jakieś pytania? – spytała stanowczym tonem i rozejrzała się po sali. Po krótkiej pauzie dodała: – Żadnych? Dobrze. Dziękuję wszystkim za przybycie. Oczywiście będziemy państwa informowali o postępach w śledztwie. Jeśli ktoś sobie życzy, chętnie udzielę wywiadu. – Powiodła wzrokiem po publiczności, niemal błagając, by ktoś skorzystał z jej oferty. – Może najpierw BBC?

Widząc, że nikt jakoś nie kwapi się do przeprowadzenia z nią wywiadu, pani komisarz popędziła na drugi koniec sali, by pokazać się przed kamerami. Nim tam dotarła, piwnica i tak już była prawie pusta. Dziennikarze prasowi musieli przygotować artykuły, a ekipa ITV składała sprzęt. Producent już wyszedł, co oznaczało, że nie zamierzają rozmawiać z Simpson.

Carlyle, który przyglądał się temu z podwyższenia, zauważył, że kamerzysta BBC spogląda niepewnie na Snowden, jakby chciał zapytać: „Naprawdę tego potrzebujemy?”. Snowden skinęła głową, a mężczyzna skrzywił się lekko i zamontował kamerę na statywie, by zrobić zbliżenie Simpson. Przywykł do tego: wywiad „na wszelki wypadek”, który przede wszystkim ma uszczęśliwić przepytywanego.

Podczas gdy kamerzysta przygotowywał sprzęt, Snowden i Simpson wymieniły się wizytówkami, a potem zaczęły rozmawiać ze sztucznym ożywieniem. Carlyle zastanawiał się, czego dotyczy ta rozmowa, przypuszczał jednak, że nie sprawy Blake’a. Snowden nie była dziennikarką w ścisłym tego słowa znaczeniu. Właściwie nie była dziennikarką w żadnym znaczeniu tego słowa, a tylko karierowiczką, która postrzegała każdą wiadomość i każdą ofiarę jako kolejny krok na drodze do realizacji celu, czyli osiągnięcia statusu prawdziwej celebrytki, żony zadowolonego z siebie bankiera i obiektu stałego zainteresowania kolorowych magazynów. Simpson również nie była prawdziwą policjantką. Carlyle wątpił, czy w ciągu ostatnich dziesięciu czy nawet dwudziestu lat pracowała w terenie. Była tylko politykiem w mundurze.

Krótko mówiąc, obie były kobietami interesu, które rozpoznały w sobie bratnie dusze. Bardziej chodziło tu o nawiązywanie kontaktów niż o przekazywanie wiadomości lub szukanie winnego zbrodni.

Carlyle zszedł z podestu i zbliżył się do kamery, by posłuchać wywiadu. Przez kilka minut Snowden zadawała łatwe pytania, a Simpson mogła spokojnie powtarzać to, co mówiła podczas konferencji.

– Doskonale. – Snowden skinęła głową, gdy Simpson po raz trzeci z rzędu podała tę samą informację.

Pani komisarz rozpromieniła się jak uczeń, który dostał właśnie pochwałę od ulubionej nauczycielki.

– Mam jeszcze tylko jedno, ostatnie pytanie.

Simpson uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Czy rozmawiała pani o tym z burmistrzem?

Na twarzy pani komisarz odmalowała się konsternacja.

– Przepraszam, ale... – Odruchowo sięgnęła do mikrofonu, powstrzymała się jednak, nim zdążyła go wyłączyć.

– Proszę się nie denerwować – powiedziała Snowdon łagodnie. – Burmistrz był dobrym przyjacielem zamordowanego, chciałam więc wiedzieć, jak zareagował na tę wiadomość.

Simpson wciąż wyglądała na skonsternowaną.

– Przepraszam – powtórzyła. – Nic mi o tym nie wiadomo.

– Rozumiem. – Snowdon spojrzała na kamerzystę. – Na tym skończymy. Dziękuję pięknie, wyszło doskonale. – Uśmiechnęła się do pani komisarz. – Proszę się nie martwić tą ostatnią odpowiedzią. Nie wykorzystam jej.

Simpson, wyraźnie przybita, skinęła głową i ruszyła do wyjścia, starannie unikając kontaktu wzrokowego z Carlyle'em.

Burmistrz Londynu, pomyślał inspektor. Jego osoba już po raz drugi pojawiała się w tym śledztwie, a to oznacza, że musi stać się jego częścią. No, staruszkę, musisz uważać. Bardzo uważać.

13

Uniwersytet w Cambridge, marzec 1985

Robert Ashton zamknął książkę *Narodziny angielsko-niemieckich antagonizmów 1860–1914* i wstał z biurka. Okropnie chciało mu się pić, ale nie sięgnął po wysoką, wąską szklankę z wodą, która stała na rogu blatu, obok sterty podręczników i kartek. Tępy ból narastający tuż za oczami łączył się z odrętwieniem, które nie opuszczało go nawet po tylu miesiącach.

Wąska smuga słonecznego blasku przecisnęła się między zasłonami i oświetliła kawałek wytartego dywanu. Był piękny wiosenny dzień. Anglia wyglądała wreszcie tak, jak powinna, jasna, świeża, pełna słońca. Z podwórka dochodził radosny śmiech.

Pokój numer dwanaście znajdował się na trzecim piętrze Darwin Hall, jednego z akademików dla studentów uniwersytetu w Cambridge. Ashton dzielił duże mroczne pomieszczenie z innym studentem, francuskim obibokiem o imieniu Nicolas, który wyjechał już na Wielkanoc, choć do świąt zostało jeszcze dziesięć dni zajęć. Robert wcale się tym nie zmartwił, lubił być sam. Wziął szklankę i przeszedł przez pokój, uważając, by nie nadepnąć na książki rozrzucone po podłodze. Zatrzymał się i spojrzał w wielkie lustro zawieszane nad kominkiem. Przechylił głowę i przyglądał się przez chwilę twarzy, której już nie rozpoznawał. Potem spokojnie, bez pośpiechu, rzucił szklankę w lustro, rozbijając je na drobne kawałki. Z bijącym sercem stał jeszcze przez moment bez ruchu, jakby chciał się upewnić, że jego odbicie naprawdę zniknęło. Potem uświadomił sobie, że coś kłuje go w policzek. Ostrożnie wyciągnął spod lewego oka mały kawałek szkła i wrzucił go do kominka, po czym starł kroplę krwi.

Za drzwiami dobiegały dźwięki *Drugiej symfonii* Mahlera. Robert wiedział, że to z pokoju pewnego niezrównoważonego niemieckiego studenta, który prawie bez przerwy słuchał tego samego utworu. Odwrócił się do biurka, wyjął spod sterty książek trzy koperty i ułożył je obok siebie wzdłuż krawędzi blatu. Szara koperta A4 zaadresowana do profesora Boxa zawierała esej opisujący przyczyny wybuchu drugiej wojny światowej. Spóźnił się z nim jeden dzień – po raz pierwszy w życiu nie dotrzymał terminu – ale wiedział, że to dobra praca, zasługująca na najwyższą ocenę. Wiedział też, że Box, który ma bzika na punkcie terminowości, zapewne nawet nie spojrzy na jego esej, ale tak czy inaczej zamierzał go wysłać. Dwie pozostałe koperty były mniejsze, włożył do nich pocztówki z reprodukcjami prac Howarda Hodgkina, które kupił tydzień wcześniej w Muzeum Fitzwilliana. Pierwsza z nich, ukazująca obraz zatytułowany *Krwawienie*, przeznaczona była dla jego psychiatry, nerwowej kobiety, która wydawała się

jeszcze bardziej poruszona jego przeżyciami niż on sam. Druga, z reprodukcją obrazu *Żaloba*, została zaadresowana do Suzy. Na żadnej z kartek nie napisał ani słowa. Traktował je jako swego rodzaju przeprosiny. Zdawał sobie sprawę, że są żałośnie skąpe, ale go to nie obchodziło. Adresatki mogły je przyjąć albo nie.

Upewniwszy się, że wszystko jest gotowe, Robert Ashton rozsunął zasłony i otworzył drzwi prowadzące na mały balkon zawieszony nad prostokątnym dziedzińcem. Wzdrygnął się, gdy owiał go chłodny wiosenny wiatr. Słońce zniżało się już nad budynkami po drugiej stronie dziedzińca. Przysłonił oczy dłonią, chroniąc je przed oślepiającym blaskiem. Kamienna balustrada miała około stu dwudziestu centymetrów wysokości i dwadzieścia centymetrów szerokości. Robert ziewnął, wspiął się na nią i rozejrzał. Dwanaście metrów niżej toczyło się normalne życie, ludzie chodzili na wykłady lub z nich wracali. Na środku placu rósł duży dąb. Obok niego na trawie siedziała prześliczna dziewczyna w towarzystwie dwóch chłopców, którzy zabiegali o jej względy.

Ashton czekał całą wieczność, aż dziewczyna spojrzy w górę i go zobaczy. Gdy wreszcie to zrobiła, wyprostował ramiona i rozłożył szeroko ręce. Czując ogromną ulgę, słuchał przez moment jej krzyku niesionego wiatrem. Potem zrobił krok do przodu, prosto w dwunastometrową przepaść.

14

Carlyle pochlebiał sobie, że nie interesuje się szczególnie polityką. Jednak nawet on dobrze wiedział, kim jest Christian Holyrod, zwany również bohaterem Helmandu, głównie przez tabloidy. Holyrod cieszył się takim zainteresowaniem prasy, o jakim inni politycy mogli tylko marzyć. Dwa lata wcześniej był majorem Holyrodem, dowódcą drugiego Batalionu Pułku Księcia Wellingtona (motto: *Virtutis Fortuna Comes*, czyli „Szczęście sprzyja odważnym”), jednego z pierwszych oddziałów brytyjskich, które pojechały do prowincji Helmand w południowo-zachodnim Afganistanie, by zamienić życie Terry’ego Talibana w piekło.

Przemiana Holyroda z niedocenianego bohatera w znanego polityka zaczęła się w dniu, w którym amerykańska ekipa filmowa przyjechała do Afganistanu, by nagrać dokument o operacji Mechaniczna Pomarańcza, misji mającej na celu zatrzymanie przywódcy terrorystów w jego odosobnionej pustynnej bazie. Misja okazała się kłapą, chłopcy Holyroda wpadli w pułapkę i musieli szybko się wycofać, ale wymiana ognia i chaos towarzyszący odwrotowi doskonale prezentowały się w telewizji. Drżący, kręcony z ręki obraz majora, który jednocześnie krzyczał: „Odwrót, odwrót!”, strzelał całymi seriami z karabinu szturmowego SA80-A2 i próbował odciągnąć do tyłu ранego rekruta, były bardziej poruszające niż najlepsze produkcje Hollywood. Trafiły do wszystkich serwisów informacyjnych w Wielkiej Brytanii, nim jeszcze puszczone je w USA. Przez niemal dwa dni był to najczęściej oglądany film na YouTube – miał ponad czterdzieści pięć milionów wyświetleń na całym świecie. Holyrod z dnia na dzień stał się prawdziwym celebrytą. Zaproponowano mu prowadzenie programu radiowego, dostał swoją rubrykę w pewnej gazecie, zatrudnił agenta i otrzymał ponad sto propozycji małżeństwa.

Ministerstwo Obrony początkowo bardzo chętnie chwaliło się majorem i ułatwiało mu kontakty z mediami, traktując jego historię jako jedną z niewielu „dobrych wieści” dotyczących przedsięwzięcia od samego początku skazanego na klęskę. Holyrod też chętnie udzielał się w różnych mediach, jednak coraz częściej wyrażał obawę, że minister obrony nie docenił trudności zadania, jakim była walka w Afganistanie. W wywiadach z coraz większym pesymizmem mówił o „ogólnej sytuacji”. Kiedy powiedział pewnej miłej dziennikarce z „Sunday Express”, że „cała ta operacja wzięła w łeb”, wezwano go do Londynu na „konsultacje”. Wrócił na front, ale

wkrótce znów został odwołany, gdy obsztorcował przed kamerą ministra spraw zagranicznych wizytującego brytyjskie wojska i zarzucił mu, że rząd Jej Królewskiej Mości nie wspiera jego „chłopców”.

Oczywiście media chłonęły to wszystko niczym gąbka. Podobnie jak opinia publiczna. Z badań wynikało, że Holyrod cieszy się poparciem niemal dziewięćdziesięciu procent społeczeństwa. Żaden polityk nie mógł się z nim mierzyć. To była życiowa szansa majora, musiał tylko zdecydować, jak ją wykorzystać.

W tym momencie do gry włączyli się znajomi politycy Holyroda. Jego szwagrem był niejaki Edgar Carlton, poseł, lider opozycji i w powszechnym przekonaniu przyszły premier. Zasięgnawszy opinii swoich doradców, Edgar przekonał szwagra, by wyrównał rachunki i stanął do walki z prawdziwymi wrogami – obrzydliwymi, tchórzliwymi liberałami, którzy w ostatnich latach dominowali w Whitehall.

Po kilku telefonach, kilku zawołanych pogróżkach i otwartych obietnicach Holyrod został oficjalnym kandydatem Carltona na burmistrza Londynu. Po kolejnych sześciu miesiącach kampanii prowadzonej pod hasłem „Zmiana, która wiele zmienia”, wygrał przytłaczającą większością głosów ze swoją poprzedniczką, zmęczoną kobietą, która wyglądała tak, jakby chciała jak najszybciej uciec ze swojego stanowiska. Holyrod tylko raz widział uśmiech na jej twarzy – w powyborczy wieczór, gdy ogłoszono jej klęskę.

Uważa się powszechnie, że pierwsze sto dni to okres kluczowy dla każdego nowo wybranego urzędnika. Właśnie w tym czasie nowa miotła wymiata do czysta i pokazuje swoje możliwości. Potem jest już tylko gorzej. Przez ponad trzy miesiące Holyrod każdego dnia zabierał się do pracy z poczuciem, że powinien coś robić. Nie miał jednak pojęcia, co by to mogło być. Tymczasem im mniej robił, tym większym cieszył się poparciem, a im większe miał poparcie, tym częściej postrzegano jego rządy jako zapowiedź zwycięstwa i przejęcia władzy przez Edgara Carltona. W obliczu nadchodzących wyborów Holyrod miał być żywym dowodem na to, że partia opozycyjna dojrzała do rządzenia.

Kiedy operator wyjął dysk z kamery i po raz drugi zaczął składać sprzęt, Carlyle podszedł do Rosanny Snowdon.

Dziennikarka przyglądała mu się z kwaśnym uśmiechem.

– Chyba nie chce pan, żebyśmy porozmawiali także z panem, prawda, inspektorze?

– Nie, nie – odparł pospiesznie, podnosząc ręce i przysuwając się bliżej. – To nie dla mnie. – Dyskretnie wciągnął zapach jej luksusowych perfum. – Zostawiam to innym.

– Bardzo rozsądnie.

– Zastanawiam się tylko... – zaczął inspektor swobodnym tonem – co takiego łączyło pana Blake’a i burmistrza.

– Och, to nic ważnego – odparła Snowdon, chowając notes do olbrzymiej torebki i wyciągając z niej szpanerską komórkę. – Znali się ze studiów. To drobny szczegół, więc nic dziwnego, że jeszcze do niego nie dotarliście.

– A skąd pani o tym wiedziała?

Snowdon wzruszyła ramionami.

– To jedna z rzeczy, które po prostu się wie.

Carlyle rozważał przez moment, czy zapytać ją o związki biura burmistrza z Aletheią, firmą Blake’a, postanowił jednak tego nie robić.

– Napisze pani o tym?

– Wątpię. Zastanawiałam się, czy to może zaciekać ludzi, ale w końcu uznałam, że nie. Poza tym i tak pewnie nie miałabym czasu, żeby mówić o takich szczegółach. – Powiesiła sobie

torebkę na ramieniu i wyciągnęła rękę do Carlyle'a. – Miło było pana poznać, inspektorze – powiedziała, wolną ręką wybierając numer na komórce. – Ale muszę wracać do studia i przygotować materiał. Mam nadzieję, że się panu spodoba.

Nim Carlyle zdołał coś odpowiedzieć, szła już do wyjścia i rozmawiała przez telefon.

15

Carlyle siedział na bardzo ładnej kremowej sofie w salonie małego, lecz starannie urządzonego mieszkania Iana Blake'a w Lennox Garden w Chelsea. Ta ekskluzywna, jedna z najdroższych w Londynie dzielnic, leżała zaledwie półtora kilometra od miejsca, w którym urodził się Carlyle. Apartament był mniejszy od mieszkania Carlyle'a, ale co najmniej dwa lub nawet trzy razy droższy. Nawet po ostatnim gwałtownym spadku cen nieruchomości musiał być wart około miliona funtów. Takie lokale po prostu nigdy nie wychodziły z mody.

Policjanci i technicy, którzy przez ostatnie trzy godziny badali mieszkanie, spakowali już swoje rzeczy i pojechali do komisariatu. Nie wspomnieli, by udało im się znaleźć coś naprawdę interesującego, ale Carlyle był pewny, że wykonywali swoją pracę dokładnie i rzetelnie. Na potwierdzenie tego, co opisano w raporcie toksykologicznym, policjanci znaleźli niewielki zapas marihuany ukryty w pudełku po butach w szafie. Nic nie wskazywało na to, by pan Blake traktował narkotyki jako coś więcej niż rozrywkę.

Trudy minionej nocy dawały o sobie znać i Carlyle miał coraz większy problem z koncentracją. Próbował rozmyślać o tym, co zje na kolację, bo Helen i Alice na pewno już zjadły, a on musi radzić sobie sam. Przypominał sobie, co mają w lodówce i co może dotrwać do czasu, gdy wróci do domu. Nic nie pobudzało jego wyobraźni, wyglądało więc na to, że czeka go wizyta w sklepie.

W rogu pokoju migotała wielka plazma. Carlyle wyłączył dźwięk i czekał na lokalne wiadomości. Sofa była bardzo wygodna. Rozsiadł się i ziewnął.

– Obudź się! Już jest.

Joe wziął ze stolika pilota i włączył dźwięk, po czym usiadł obok Carlyle'a i rzucił pilota między nich.

Minutę później było już po wszystkim. Relacja ograniczyła się do kilku zdań wypowiedzianych pośpiesznie przez Rosannę Snowdon, stojącą przed hotelem Garden. Carlyle zauważył, że rozpięła jeszcze jeden guzik bluzki, odsłaniając naprawdę imponujący dekolt. W materiale pokazano również zdjęcie ofiary i dziesięciosekundową migawkę z należycie posępną Simpson mówiącą o „brutalnej i niepotrzebnej zbrodni”.

– Wygląda na zmęczoną – skomentował Carlyle.

Joe tylko odchrząknął w odpowiedzi.

Snowdon zakończyła relację słowami: „Śledztwo trwa”. Carlyle nie powiedział ani słowa, ale pojawił się na ekranie. Kiwał energicznie głową, wsłuchany w słowa Simpson. O sierżancie Josephie Szyszkowskim, mężczyźnie w garniturze z Marksa & Spencera, nikt nawet nie wspominał. Podobnie jak o burmistrzu.

Carlyle wyłączył telewizor i rozejrzał się po pokoju.

– Miałeś rację... HDWP.

– Co?

– Nie wygląda to na mieszkanie geja, co?

Obaj patrzyli przez chwilę w zamyśleniu na dzieło Helmuta Newtona, ogromną czarno-białą fotografię nagiej blondynki stojącej obok motocykla.

– Mógłbym mieć coś takiego w domu – oświadczył w końcu Joe.

- Mówisz o tej babce czy o zdjęciu?
- Wystarczyłoby zdjęcie.
- Pani Szyszkowska na pewno byłaby z ciebie dumna, gdyby to słyszała.
- Joe poprawił się na sofie, ale nie zamierzał wstawać.
- Człowiek zawsze może sobie pomarzyć. Tak naprawdę nie chcemy, żeby marzenia się spełniły, bo inaczej nie byłyby już marzeniami.
- Hm... Ładnie z tego wybrnąłeś, żołnierzu.
- Anita dobrze wie, że znam swoje ograniczenia... Prawie tak dobrze jak ona.
- Jasne – prychnął Carlyle. Próbował podnieść się z sofy, ale bez przekonania. – Więc na czym stoimy, twoim zdaniem? Znaleźliśmy coś przydatnego?
- Raczej nie. Właściwie żadnych rzeczy osobistych, prawda? Żadnych zdjęć, notesów z adresami i tak dalej. Jego telefon był w pokoju hotelowym. Blackberry zniknął.
- A wiemy, że w ogóle miał blackberry?
- Tak, potwierdzili to w jego biurze. Wygląda na to, że każdy szanujący się PR-owiec musi to mieć.
- Więc myślisz, że zabrał go zabójca?
- Może.
- Możemy go namierzyć? – Carlyle w tym momencie dotarł do granic swojej wiedzy o współczesnej technice. – Zasadniczo to telefon, prawda?
- Tak, ale jest wyłączony. Sprawdziłem.
- Carlyle zastanawiał się nad tym przez chwilę.
- Jeśli ktoś go zabrał, to widocznie jest mu do czegoś potrzebny. Możemy więc założyć, że w końcu go włączy?
- Niekoniecznie. Może włączyć aparat, ale nie uruchamiać łączności. Wtedy ma dostęp do informacji zapisanych w pamięci, jednak nie może wysyłać ani odbierać e-maili. Biznesmeni korzystają z takiej opcji, kiedy używają telefonów w samolotach.
- Dobrze wiedzieć – mruknął sennie Carlyle. Używał blackberry od ponad trzech tygodni, ale wciąż niewiele o nim wiedział. Nie należał do ludzi, którzy czytają instrukcje obsługi. Urządzenie albo działa, albo trafia do szuflady. Jeśli chodzi o blackberry, gdy tylko nauczył się korzystać z poczty elektronicznej i sprawdzać najnowsze wiadomości piłkarskie (niekoniecznie w tej kolejności), dał sobie spokój z całą resztą. Jego zdaniem wszystkie pozostałe funkcje były zbytecznym dodatkiem, przekleństwem współczesnego przemysłu elektronicznego.
- Wstał i ruszył w stronę okna.
- To mieszkanie przypomina pokój hotelowy. Wygląda na to, że niczego tu nie znajdziemy. Co mówili ludzie z jego firmy?
- To co zwykle. Szok, przerażenie, zdumienie.
- Możliwe, że zabił go któryś ze współpracowników?
- Raczej nie, ale nadal zbieramy zeznania. Na razie żadnych rewelacji. Pracuje tam tylko trzydzieści pięć osób i żadna nie powiedziała o nim złego słowa. Podobno Blake był bardzo bezpośredni. Doskonale radził sobie z klientami. Umiał nawiązywać znajomości. Nikomu się nie naraził, dobrze traktował pracowników niższego szczebla. Zdecydowanie oddzielał życie prywatne od zawodowego. Wiedzą, że nie był żonaty, ale poza tym niewiele mogą o nim powiedzieć.
- Dobra, pogadaj z nimi jutro rano i spróbuj dowiedzieć się czegoś o klientach.
- Dobrze. – Joe skinął głową. – Zaczynają dość późno, więc choć raz mogę zawieźć

dzieciaki do szkoły. Anita się ucieszy.

– Fajnie. A co z byłymi współpracownikami?

– Mało prawdopodobne. Firma działa dopiero od kilku lat. Żaden z ważniejszych menedżerów jeszcze nie odszedł. W tej branży jest chyba tak, że rozkręcasz interes, a potem sprzedajesz go jakiemuś większemu graczowi. Przez jakiś czas jesteś pewnie zarobiony po uszy, ale gdy tylko kasa trafi na twoje konto, możesz sobie odpuścić. Oni jeszcze nie dotarli do tego etapu.

– A co z szeregowymi pracownikami?

– Tu też nie znaleźliśmy niczego ciekawego. – Joe westchnął. – To taka firma, gdzie sekretarki odkładają parę funtów, a potem lecą do Australii na wędrowną z plecakiem. Reszta to młode bystrzaki skupione na karierze.

Carlyle zadał kolejne pytanie z listy, która pojawiła się w jego głowie.

– Co robił Blake, zanim założył tę firmę?

– Nie wiem. Jeszcze sprawdzamy.

– Bliscy krewni?

– Żadnych. Rodzice nie żyją. Jedynek.

– Partnerka?

Joe wskazał gestem ręki pokój, w którym siedzieli.

– Jak widać nie.

– Sąsiedzi?

– W tym budynku jest sześć mieszkań. Udało nam się porozmawiać z lokatorami z trzech. Szukamy reszty.

– I co?

– I nic.

– Cholera! – zaklął Carlyle. – Naprawdę nic nie masz?

Joe wzruszył ramionami.

– Prawdę mówiąc, nie. Wiemy, że mieszkał tu od ośmiu lat, ale sąsiedzi niewiele mogli o nim powiedzieć. Uprzejmy, spokojny i tak dalej.

– Samochód?

– Ładna sztuka. Audi Q-siedem. Stoi w podziemnym garażu.

– Sprawdzony?

– Tak. Nie znaleźli niczego ciekawego.

– Kamery?

– Nie ma. Ani w środku, ani na zewnątrz.

Carlyle uniósł brwi.

– Wiem. Najwyraźniej niektórzy lokatorzy uważają, że to obciach – skomentował Joe.

– Typowe. – Carlyle ziewnął. – Pół miliona kamer w całym Londynie, ale ani jednej tam, gdzie akurat by się przydała.

– Zawsze tak jest. – Joe zdołał w końcu podnieść się z sofy. – Mamy, co mamy. Może na dzisiaj skończymy?

– Doskonały plan – mruknął Carlyle, który wrócił do rozmyślań o tym, co zje na kolację.

Pilot przeleciał tuż obok ekranu i rozbił się o ścianę, wyłączając jednocześnie telewizor. Kilka głębokich oddechów stłumiło frustrację, ale tylko odrobinę. Gdy tylko ta Snowden otworzyła usta, stało się jasne, że jest jedną z tych głupich lalun, które powinny najwyżej udzielać wywiadów w kolorowych czasopismach. Jej materiał był naprawdę beznadziejny – żadnego kontekstu, żadnej głębi, żadnej refleksji. Nic dziwnego, że coraz mniej ludzi płaci

abonament.

Oddychaj!

Czy naprawdę tak trudno zrozumieć, co się dzieje?

Oddychaj!

Z drugiej strony ci dziennikarze powtarzają tylko to, co mówi im policja. Skoro policja nie ma o niczym pojęcia, to dlaczego oni mieliby być lepsi?

Oddychaj!

Nie ma sensu płakać nad tym, co się stało. Skoro ludzie nie potrafią połączyć kilku prostych wskazówek, trzeba im pomóc. Następnym razem przekaz będzie tak oczywisty, że nawet ta banda idiotów go zrozumie.

Eva Hollander stała w kuchni z wielkim kieliszkiem Château Puisserguier St Chinian w ręku. Dominic Silver nie lubił, gdy jego żona piła o tej porze – nie chciał, by dzieci nabrały przekonania, że alkohol to napój jak każdy inny i że można go pić codziennie – ale nie zamierzał robić z tego problemu. Żadne z piątki ich dzieci i tak nie widziało teraz swojej mamy – wszystkie rozbiegły się po różnych częściach domu, by uniknąć mycia zębów, buzi, układania do snu i tak dalej. Gdy wytężył słuch, słyszał dźwięki gry *Call of Duty 3* przemieszane z piosenką Abby. Wszyscy czuli się szczęśliwi i bezpieczni pod wspólnym dachem. Istna rodzinna sielanka. Najlepsza rzecz na świecie.

Zjeść makaron czy płatki? Dom wciąż się nad tym zastanawiał, gdy Eva postukała go w ramię.

– Patrz – powiedziała, wskazując mały telewizor umocowany pod szafką kuchenną. – John Carlyle.

Włączyła dźwięk i oboje obejrzeni wiadomości do końca. W tym czasie Dominic zdecydował się na makaron.

– Wydawał się bardzo ponury – zauważyła Eva, podnosząc kieliszek do ust.

– Zawsze taki jest – odparł Dom, który zaglądał właśnie do lodówki.

– Wygląda na to, że pracuje nad jakąś wyjątkowo paskudną sprawą.

– To jego zawód. – Dom wyjął paczkę makaronu i zamknął lodówkę. – Robi to już wystarczająco długo. To jego wybór. Po prostu to lubi.

– Ciekawe, co słyhać u Helen i Alice? – zastanawiała się Eva. – Dawno ich nie widzieliśmy.

Dom otworzył paczkę makaronu i wsypał połowę zawartości do garnka.

– Zadzwoń do nich – rzucił przez ramię. – Może kiedyś do nas wpadną. Dzieciaki się ucieszą.

– Chyba dobrze poszło...

Na razie, pomyślał Christian Holyrod. Spojrzał na młodego i niedoświadczonego doradcę, który stał przy jego biurku. Czy powinien był mówić mu o Blake'u?

– ...ważne, że nikt o panu nie wspomniał...

Zapach owocowego płynu po goleniu, który bił od chłopca, przyprawiał go o ból głowy.

– Zostaw mnie na chwilę, dobrze? – To nie była prośba. – I zamknij za sobą drzwi.

Doradca opuścił gabinet z lekko nadąsaną miną. Burmistrz wyjął z szuflady biurka butelkę Tullibardine z 1994 roku i szklankę, którą napełnił niemal po brzegi. Oparł się wygodnie, położył nogi na biurku i nim upił pierwszy łyk, rozkoszował się przez chwilę bogatym aromatem whisky. Słodko-gorzki napój poślaskotał go w gardło i przywiódł na myśl watę cukrową. Holyrod znów umoczył usta, a potem wypił całą szklankę jednym długim haustem. Zamknął oczy i wsłuchał się w ciszę.

Carlyle siorbnał łyk letniej kawy i wgrzył się w ciastko, które zabrał od Marcella. Na trzecim piętrze komisariatu nie było już nikogo oprócz pracowników ekipy sprzątajacej, którzy snuli się leniwie między biurkami i omiatali je z kurzu. Inspektor odłożył resztkę ciastka na serwetkę i wziął długopis, który leżał na notesie formatu A4, obok klawiatury komputera. Na górze strony, na środku, napisał IAN BLAKE i obwiodł oba wyrazy prostokątną ramką. Poniżej umieścił imię i nazwisko burmistrza: Christian Holyrod. Przez chwilę wpatrywał się w żółtawy papier, szukając natchnienia. Nadszedł czas składania poszczególnych elementów łamigłówki w całość, a tę właśnie część swojej pracy Carlyle lubił najbardziej. Po tylu latach spędzonych w policji wciąż czuł dreszczyk podniecenia, gdy wyruszał w podróż, która wcześniej czy później zawsze prowadziła go do samego jądra sprawy. Jak to robił – za biurkiem czy na ulicach miast – nie miało większego znaczenia, liczyła się sama podróż.

– No dobra... – Włożył do ust ostatni kawałek ciastka, popił go kawą i zaczął stukać w klawiaturę. Wszedł na Google i wpisał BLAKE + HOLYROD. Na ekranie pojawiła się informacja *Wyniki 1–10 z około 12000 (0,09s)*, a Carlyle odruchowo kliknął na pierwszy link, artykuł prasowy zatytułowany *Klub Merrion: młodzi, bogaci i pijani*. Poczekał, aż artykuł załaduje się do końca i szybko go przeczytał. Dowiedział się, że zarówno Blake, jak i Holyrod byli członkami ekskluzywnego stowarzyszenia studentów Uniwersytetu Cambridge, słynącego z pijaństwa i złego zachowania. Klub wziął swą nazwę od ulicy w Dublinie, przy której urodził się książę Wellington, choć nie wyjaśniono, dlaczego jego członkowie dokonali takiego właśnie wyboru. Artykuł skupiał się przede wszystkim na opisie aktów wandalizmu dokonanych przez pijanych studentów. Uwagę Carlyle'a przykuło kilka zdań zamieszczonych na samym dole strony: *Wieczór uważali za udany dopiero wtedy, gdy zdemolowali restaurację. Noc spędzona w celi była dla członków klubu normą. Normą było także dręczenie każdego, kto ściągnął na siebie gniew klubowiczów.*

Co konkretnie oznacza „dręczenie”, Carlyle mógł się tylko domyślać. Spojrzał na fotografię umieszczoną pod artykułem. Stojący przed jakimś okazałym gmaszyskiem chłopcy ubrani byli w marynarki, mieli rozwichrzone, opadające na oczy włosy i zarozumiałe uśmiechy przyklejone do twarzy. Carlyle pomyślał, że wyglądają jak statyści z teledysku Spandau Ballet albo przybysze z odległej przeszłości. Zdjęcie zostało zrobione niecałe trzydzieści lat temu, ale równie dobrze mogło pochodzić sprzed stu trzydziestu lat. Pod fotografią znajdowała się lista członków klubu w 1984 roku: George Dellal, Ian Blake, Nicholas Hogarth, Edgar Carlton, Xavier Carlton, Christian Holyrod, Harry Allen, Sebastian Lloyd.

Carlyle dwa razy przeczytał osiem nazwisk.

– A niech to szlag...

Wpatrywał się w zdjęcie jeszcze przez długą chwilę. Blake stał z tyłu, po prawej, Holyrod, obecny burmistrz Londynu, pośrodku, z cygarem w ręku. Przed nim ustawili się bracia Carltonowie – Edgar, lider opozycji, i Xavier, minister spraw zagranicznych w gabinecie cieni. Ciekawe, kim są pozostali? – zastanawiał się Carlyle. Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze się okaże, że jest wśród nich nowy papież i jakiś książę. Jasne, establishment zawsze trzyma się razem – właśnie dlatego jest establishmentem – ale to zakrawa na absurd.

Carlyle zapisał w notesie sześć nowych nazwisk, a przy Holyrodzie i Carltonach postawił małe krzyżyki. Potem wyłączył internet, podwinął rękawy i odetchnął głęboko kilka razy, szykując się do zmagania z wewnętrzną siecią policji. Brytyjska policja słynęła z beznadziejnych systemów komputerowych, przez które na przestrzeni lat prześliznęła się prawdopodobnie bliżej

nieokreślona liczba przestępców. Słynna afera sprzed kilku lat, kiedy to z winy kulejącego systemu nie zatrzymano w porę szkolnego dozorca, który zabił potem dwie uczennice, skłoniła władze do stworzenia Krajowej Bazy Danych Policji, łączącej wszystkie czterdzieści trzy oddziały w Anglii i Walii. Jednak baza wciąż nie była kompletna, a Carlyle, świadomy, że przeszukiwanie całego kraju będzie zbyt ambitnym przedsięwzięciem, postanowił ograniczyć się do Londynu. To także nie było proste, musiał bowiem wydobyć informacje z różnych systemów komputerowych używanych przez policję metropolitalną. Wielu starszych stażem policjantów w ogóle z nich nie korzystało, Carlyle uważał jednak, że mimo wszystkich swoich niedoskonałości stanowią prawdziwą skarbnicę informacji, które pomogły mu rozwiązać wiele spraw.

Wpisawszy nazwisko i hasło, wszedł do bazy danych policji, gdzie mógł znaleźć szczegółowe opisy najważniejszych śledztw w sprawie zabójstw, prowadzonych na terenie stolicy. Mógł wyłączyć z poszukiwań Blake'a, Holyroda i braci Carltonów, wprowadził więc do wyszukiwarki cztery pozostałe nazwiska: Delal, Hogarth, Allen i Lloyd. Określiwszy czas wyszukiwania na ostatnie pół roku, odczekał kilka sekund, nim na ekranie pojawił się napis BRAK WYNIKÓW.

Carlyle spróbował jeszcze raz, tym razem przeglądając sprawy z ostatnich dwóch lat. Znów kilka sekund oczekiwania.

I znów napis BRAK WYNIKÓW.

No tak, mógł się tego spodziewać. Spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że Alice poszła już spać i że nie zobaczy się z nią tego wieczoru. Nie spiesz się, przykazał sobie. To może być kluczowy moment. Przypomnił sobie list: *Nie pierwsze i nie ostatnie*. Ktoś w tej bazie danych musi być powiązany z Blake'em. Warto spróbować i poszukać dokładnie. Wyjął z kieszeni marynarki komórkę i wysłał Helenie SMS, że wróci później, po czym wstał sprzed komputera i poszedł się wysikać. Wracając, kupił w automacie następną kawę i przeszedł się dwa razy wokół sali, by rozprostować nogi i oczyścić umysł.

Gdy usiadł przy biurku, wciąż czuł się okropnie zmęczony, zebrał jednak siły i starał się skupić.

– Do trzech razy sztuka – wymamrotał, spoglądając na swoje zapiski. Miał okropny charakter pisma, czasami sam nie mógł go odcyfrować. Wrócił do artykułu, który znalazł w internecie, i po raz kolejny odczytał nazwiska członków klubu, upewniając się, że dobrze je przepisał. Jęknął głucho, uświadomiwszy sobie, że zgubił jedno „l” w nazwisku Dellal. Wpisał je ponownie do wyszukiwarki i nacisnął „enter”. Wciąż przeklinał swoje niedbalstwo, gdy na ekranie wyświetliła się informacja:

Dellal, George Edward Hazlett Urodzony: 16.09.1963 Zmarły: 12.02.2010 Przyczyna śmierci: liczne rany kłute Śledztwo prowadzi: S. Sparrow Status: otwarte – Stary dobry Sam Sparrow.
– Carlyle się uśmiechnął. – No to mamy cię...

Inspektor Sam Sparrow pracował w komisariacie Enfield na północy Londynu. Był prostolinijnym, rzeczowym policjantem młodszym o jakieś pięć, może sześć lat od Carlyle'a, choć zebrał już niemal tyle samo pochwał i wyróżnień co on i miał zdecydowanie lepsze widoki na dalszą karierę. Pracowali razem pod koniec lat dziewięćdziesiątych, gdy Sparrow prowadził śledztwo w sprawie tureckich handlarzy narkotyków w Wood Green pod Londynem. Kiedy Turcy wtargnęli na teren swojej konkurencji na wschodzie, Carlyle, wówczas pracownik komisariatu w Bethnal Green, został wciągnięty w wyjątkowo brutalny i krwawy konflikt. Współpraca układała się doskonale, a po półrocznej harówce Carlyle dostał pochwałę i awans. Przez jakiś czas był na fali. Wydawało się nawet, że jego „problemy zawodowe” zostaną rozwiązane raz na zawsze. Tym nadziejom położył jednak kres konflikt z wyjątkowo głupim

komisarzem, ale Carlyle nadal uważał tamten okres za najlepszy w swojej karierze.

Sięgnął po komórkę i wybrał numer Sparrowa.

– Tak? – rzucił ostry głos po kilku sygnałach.

– Sam?

– Tak. – W tle było słycać inne głosy, dzieciaki albo telewizję.

– Mówi John Carlyle. Przepraszam, że zawracam ci głowę w domu.

– Nie ma sprawy. Co u ciebie? – Sparrow wydawał się zmęczony i rozkojarzony.

– Dobrze. A u ciebie?

– W porządku. Co mogę dla ciebie zrobić?

Carlyle wyczuł, że zadzwonił trochę nie w porę, więc od razu przeszedł do rzeczy:

– George Dellal.

Sparrow czekał na więcej. Nie doczekawszy się, spytał:

– Co z nim?

– Mam chyba coś podobnego.

– Tak? – Sparrow nie wydawał się zaintrygowany.

– Wiesz, chodzi o sprawę tego Blake’a.

– Wybacz, ale od paru dni nie ma mnie w pracy – odparł ze znużeniem Sparrow. –

Teściowa jest w szpitalu. Rodzinny dramat.

– Przykro mi to słyszeć.

– Nie przejmuj się – powiedział Sparrow tonem sugerującym, że wolałby raczej siedzieć w pracy i radzić sobie z cudzym nieszczęściem niż ze swoim. – Takie rzeczy się zdarzają. Co z tym Blakiem?

Carlyle nie chciał mówić mu za dużo i przynajmniej na razie zachować swoje hipotezy dla siebie.

– Też go zakłuli. O co chodziło w sprawie Dellala?

Carlyle nastawił uszu, czekając, aż jego kolega otrząśnie się na chwilę z rodzinnego dramatu i wygrzebie z pamięci szczegóły śledztwa.

– George Dellal. Znalezione go martwego w jego mieszkaniu. Sąsiedzi skarżyli się na smród. Wyglądało to paskudnie. – Sparrow zrobił pauzę, jakby nie miał nic więcej do powiedzenia.

– Nie przypominam sobie, żeby pisali o tym w gazetach – powiedział Carlyle, próbując wyciągnąć od niego coś więcej.

– Staraliśmy się zachować dyskrecję. Informacja trafiła tylko do lokalnych gazet, w „Standardzie” napisali krótką wzmiankę. Od tamtej pory nic się nie działo. Na szczęście rodzina też nie chciała rozgłosu.

Sparrow znów zamilkł. Carlyle wiedział, że jeśli sprawa nadal jest otwarta, to nie może wyglądać dobrze. Nie chciał tego wypominać Sparrowowi – nikt nie chce być kojarzony z nierozwiązanymi sprawami – ale zależało mu na szczegółowych informacjach.

– A jak to wygląda teraz? – spytał od niechcienia.

– Żadnej broni. Żadnych tropów. Właściwie nadal nic nie wiemy, więc nie ma się czym chwalić.

– Jasne. – Masz szczęście, że Simpson nie wisi ci nad głową, pomyślał Carlyle. Szef Sparrowa, komisarz Jack Izzard, był bardziej normalny. – Jeszcze jedno, był tam jakiś list?

Sparrow się roześmiał.

– To na pewno nie było samobójstwo – powiedział, opacznie zrozumiawszy pytanie. – Nie, nie było żadnego listu.

– Rozumiem.

– Myślisz, że to może mieć jakiś związek z tym twoim facetem? – spytał Sparrow. Hałas w tle przybrał na sile. Carlyle słyszał teraz wyraźnie płacz dziecka i krzyk kobiety, która kazała mu się kłaść do łóżka.

– Jeszcze nie wiem.

– Posłuchaj, John – Sparrow wyraźnie się spieszył – muszę kończyć. Za parę dni wracam do pracy. Gdybyś czegoś potrzebował, to wiesz, gdzie mnie szukać. I jeśli znajdziesz coś interesującego, daj mi znać. Powodzenia.

– Dzięki. – Carlyle odłożył słuchawkę i zapisał w notesie trzy punkty:
1. Klub Merrion
2. 6 możliwości – Carlton × 2, Holyrod, Sebastian Lloyd, Nicholas Hogarth, Harry Allen
3. Totalny paszтет

Potem zadzwonił do Joego Szyszkowskiego.

Po pięciu, sześciu, siedmiu sygnałach Joe w końcu odebrał.

– Cześć, szefie.

– Siedzisz? – spytał Carlyle.

– Jasne. Dlaczego? – Joe wydawał się rozluźniony, jakby wypił do kolacji parę kieliszków wina. W odróżnieniu od mieszkania Sparrowa u niego panowała cisza. Dzieciaki Joego na pewno były już w łózkach.

– Sprawy posunęły się trochę do przodu – oznajmił inspektor. – Mam dobrą i złą wiadomość.

– W takim razie poproszę najpierw o tę dobrą – odparł Joe pogodnie.

– Wiemy, kto będzie następną ofiarą.

– Doskonale! – Joe cierpliwie czekał na resztę, wiedząc, że Carlyle zaraz powie więcej i że nie ma potrzeby go poganiać.

– A przynajmniej możemy ograniczyć grupę potencjalnych ofiar do sześciu osób – dodał Carlyle.

– Z siedmiu milionów do sześciu osób. Całkiem nieźle – zgodził się Joe. – A co jest w takim razie tą złą wiadomością?

– Jedna z tych osób to burmistrz.

– Burmistrz? – wyjęczał Joe. – Londynu?

– Nie, kurwa, Kairu – prychnął Carlyle. – Jasne, że Londynu!

– Burmistrz Londynu.

– To właśnie powiedziałem.

– To teraz powiedz mi, że żartujesz. Proszę.

– Niestety nie i...

– Boże – przerwał mu Joe – jest jeszcze jakieś „i”?

– Więc jedną z tych osób jest nasz kochany burmistrz – mówił powoli Carlyle. – A kolejną, jak wynika z aktualnych sondaży, przyszedł premier.

– Jesteś pewny, że to nie jakaś prowokacja albo głupi żart? – spytał Joe. – Skąd to wszystko wiemy?

– Ian Blake studiował w Cambridge, tak?

– Zgadza się. Skończył z wyróżnieniem filozofię, politologię i ekonomię, standardowy program klasy rządzącej.

– Brawo – mruknął Carlyle. – No więc kiedy Blake nabijał sobie głowę wiedzą, by zdobyć te imponujące tytuły, był członkiem Klubu Merrion.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Do dzisiaj ja też nie.

– Domyślam się, że nas by raczej do tego klubu nie zaprosili.

– Nie, Klub Merrion był – a może nadal jest – stowarzyszeniem młodych palantów, którzy lubią się upijać.

– Więc my się nie łapiemy – uznał Joe.

– Zgadza się. W tym wypadku bogaty znaczy naprawdę bogaty, cholernie dziany.

– Cudownie.

– Zasadniczo chodziło o to, żeby się schlać do upadłego, porzucać jedzeniem, zniszczyć trochę mebli, może też przelecieć kelnerkę czy sprzątaczkę, jeśli jeszcze ktoś miał na to siłę. Na końcu płacili za zniszczenia pięćdziesiątkami.

– Kiedy to było?

– Na początku lat osiemdziesiątych.

– Blake skończył studia w osiemdziesiątym czwartym.

– Zgadza się. W tamtym roku do klubu należał też Blake i niejaki George Dellal. Do tego Holyrod, Carltonowie i kilku innych. Dellal zginął podobnie jak Blake kilka miesięcy temu.

– Zbieg okoliczności?

– Nie sądzę – odparł Carlyle. – Prawdopodobieństwo, że w danym roku zostaniesz zabity w Londynie, jest jak jeden do dwudziestu pięciu tysięcy. Tutaj mamy dwóch członków klubu brutalnie zamordowanych w odstępie kilku miesięcy.

– Więc mamy coś w rodzaju połączenia *Powrotu do Brideshead z Piątkiem trzynastego*?

– Coś w tym rodzaju.

– Ale jazda. – Joe zachichotał. – Edgar Carlton i Christian Holyrod? Cudowny duet.

– Jasne. Chyba dla upośledzonych faszystów, którzy czytają „Daily Mail”.

– Hej, Anita czyta „Daily Mail” – skarcił go Joe.

– Powinna się nad sobą zastanowić – mruknął Carlyle.

– Jakie są szanse, że śledztwo obejmie tych dwóch? – spytał Joe, poważniejąc.

– Mniej więc takie samo, że my zginiemy w tajemniczych okolicznościach – odrzekł pośpiesznie Carlyle.

– Simpson na pewno nie będzie zachwycona – zauważył Joe.

– Zawsze to jakieś pocieszenie. – Carlyle westchnął. – Choć niewielkie.

– Więc co teraz robimy?

– Prześpijmy się z tym – zaproponował inspektor. – I nikomu ani słowa. Musimy być bardzo ostrożni. Żadnych pisemnych raportów, żadnych e-maili... przynajmniej dopóki się nie dowiemy, o co tu, kurwa, chodzi.

– Jasne.

– Jutro pójde z tym do Simpson. Lepiej załatwiać takie sprawy osobiście. Potem będziemy musieli porozmawiać z tymi dżentelmenami. Może oni nam powiedzą, dlaczego ktoś może chcieć pozbawić ich życia.

Carlyle wyszedł ze stacji metra Edgware Road i ruszył w stronę komisariatu Paddington Green. Przystanął na moment przy wyjściu, czekając, aż jego wzrok przywyknie do mroku. Nie musi się spieszyć. Simpson praktycznie codziennie siedzi w swoim biurze do późnej nocy. Nigdy nie potrafiła przyjmować złych wiadomości, więc Carlyle wcale nie miał ochoty jej ich przekazywać.

Kiedy zbliżał się do komisariatu, jak zawsze uderzyła go bezwstydną brzydota budynku. Paddington Green był paskudnym betonowym kłosem z lat sześćdziesiątych, przy którym nawet

Charing Cross wydawał się szczytem finezji. Klasyczne dzieło szkoły architektonicznej „mamy to w dupie” jeszcze bardziej przygnębiło inspektora. Pięć minut później, gdy siedział przed drzwiami gabinetu Simpson, sięgnął po czasopismo leżące na sąsiednim krześle. Przerzucił kilka stron i zorientował się, że to ten sam magazyn, który czytał w klinice przy Harley Street, czekając, aż Ferruccio Pozzo wybudzi się po operacji. Odnalazł odpowiednią stronę i wrócił do artykułu *Złoci bliźniacy wkraczają na scenę*, którego nie zdążył wtedy przeczytać.

Obaj bracia ciężko pracują, by stworzyć wizerunek ludzi przyjaznych i ujmujących. Obaj są dobrze zbudowani (Edgar ma 183 centymetry, a Xavier 186 centymetrów wzrostu) i niezwykle przystojni. Obaj mają żony cudzoziemki (Edgar Rosjankę, a Xavier Włoszkę) oraz imponującą liczbę ślicznych i nad wiek rozwiniętych dzieci (odpowiednio czworo i troje). Kolejnym członkiem tej dynastii jest przyrodnia siostra bliźniaków, żona ich politycznego sprzymierzeńca, Christiana Holyroda, byłego żołnierza, obecnego burmistrza Londynu. Jego zeszłoroczny sukces wyborczy postrzegany jest powszechnie jako zapowiedź zwycięstwa Edgara. Sophia jest pochłonięta opieką nad pięciorgiem dzieci, które urodziła Holyrodowi podczas ich ośmioletniego małżeństwa, ale nadal uważa się ją za jedną z najważniejszych i najbardziej wpływowych postaci na scenie politycznej. Zeszłoroczna kartka bożonarodzeniowa, w postaci zdjęcia trzech rodzin na meczu polo, była tak naprawdę syntezą programu wyborczego partii. Carlyle podniósł wzrok, gdy drzwi gabinetu Simpson się otworzyły. Wyszła z niego młoda kobieta. Nie przedstawiła się, ale inspektor przypuszczał, że jest asystentką szefowej.

– Przepraszam, że musi pan czekać.

– W porządku. – Carlyle się uśmiechnął. Przygotował się na długie czekanie, więc nie widział problemu. Asystentka Simpson była pulchną dwudziestokilkulatką, o szelmowskich szarych oczach. Nosila przyciągający wzrok jaskrawozielony stanik, doskonale widoczny pod przezroczystą białą bluzką.

Pozwoliła mu gapić się na niego przez kilka sekund.

– Mogę pana czymś poczęstować?

– Nie, dziękuję.

– Gdyby pan jednak czegoś potrzebował, proszę dać mi znać.

Uśmiechnęła się i zniknęła w gabinecie.

Carlyle zachował stanik w banku miłych myśli i wrócił do lektury artykułu.

Bracia Carltonowie to modelowy przykład eleganckiej, modnej, wykształconej i dowcipnej elity, która może pokonać liberalów na ich własnym polu. Trzymają więc swoje drogie auta w garażach (Edgar ma porsche cayenne, a Xavier nie jedno, lecz dwa maserati), ale starają się, by fotografowano ich tylko wtedy, gdy jeżdżą przyjaznymi środowisku hybrydami Prius. Xavier zainteresował się również kolarstwem – jak twierdzą niektórzy, na żądanie brata – i regularnie jeździ do Izby Gmin na rowerze. „Dzięki temu znów czuję się jak w Eton – mówił ostatnio Xavier. – W najszczęśliwszym okresie mojego życia. Poza tym jazda na rowerze pozwala mi spojrzeć na świat z innej perspektywy, daje wolność i pozwala wyzwolić się z więzów nadopiekuńczego państwa, które chce zabić naszego ducha i odrzeć nas z indywidualizmu”. Przyjemności takie jak wyjazdy pod namiot (to coś zupełnie innego niż obozy harcerskie: pomyślcie tylko, że pijecie chablis w brezentowym domu za pięć tysięcy funtów, rozmawiacie z asystentem przez iPhone’a i surfujecie po sieci), festiwale muzyczne i wakacje na brytyjskim wybrzeżu znajdują ogromne uznanie w oczach Carltonów. Czasy są może trudne, ale oni śmieją się recesji w twarz. Ich hasłem przewodnim jest jakość życia. Czy to wszystko to tylko fikcja? Oczywiście, że tak. Ale skoro wszystko jest fikcją, to nic nią nie jest. Czym jest rzeczywistość, jeśli nie snem? Drzwi znów się otworzyły. Tym razem z gabinetu wypadła

Simpson i popędziła korytarzem, nie zwróciwszy na niego uwagi. Wróciła niecałą minutę później.

– Przepraszam, że każe ci czekać, John. To już nie potrwa długo.

Nie czekała na jego odpowiedź. On nawet nie otworzył ust, zbyt zaniepokojony tym, że zwróciła się do niego po imieniu.

Ten obraz życia politycznego i rodzinnego jest tak idealny, że nawet „kwestia rasy”, jedyna przeszkoda, która zdaniem bardziej konserwatywnych komentatorów mogłaby powstrzymać ich pochód ku władzy, została zneutralizowana. Jak wynika z ostatniego sondażu przeprowadzonego dla magazynu „Political Stud”, 42 procent respondentów nawet nie wie, że bracia są czarni. Jak ujął to niedawno Edgar: „Nie jestem czarny, jestem uprzywilejowany”. Carlyle poczuł w kieszeni na piersiach znajomą wibrację i wyjął telefon.

– Jak idzie? – rzucił.

– Bez rewelacji, szefie – odparł Joe. Sądząc po dźwiękach w tle, albo już poszedł do domu, albo oglądał Cartoon Network w biurze. – Rozmawiałeś z Simpson?

– Jeszcze czekam. Coś nowego w mediach?

– Nic. Cisza.

– To dobrze. Zadzwoń do ciebie zaraz po spotkaniu.

– Dobra.

– Pozdrów Anitę i dzieciaki.

Carlyle zakończył rozmowę i schował telefon do kieszeni. Szczęściarz, pomyślał. Też chciałbym być już w domu.

Oczywiście żaden z braci nigdy tak naprawdę nie pracował. Po ukończeniu studiów w Cambridge przez kilka lat zajmowali się podrózkami i zakładaniem rodziny, a potem trafili do Parlamentu. W tym czasie Edgar spędził rok w Towarzystwie dla Wolności, Postępu i Innowacyjności, obecnie ulubionym zespole doradców partii. Ówczesni współpracownicy Edgara sugerują, że obce było mu pojęcie pięciodniowego dnia pracy, ale mimo to został współautorem broszurki zatytułowanej Na południe: rzecz o wewnętrznej migracji w Wielkiej Brytanii, w której twierdził, że miasta północy, takie jak Liverpool i Newcastle, straciły w znacznej mierze rację bytu i ze względu na upadek prywatnego sektora gospodarki nie są już w stanie generować bogactwa. Zdaniem autorów mieszkańcy takich zapomnianych przez Boga i ludzi miejsc powinni przenieść się na południe, choćby do Oksfordu czy Cambridge, gdzie mieliby większe szanse na znalezienie pracy i rozwój zawodowy. Nie trzeba chyba dodawać, że publikacja wywołała prawdziwą burzę. Później partia wyparła się tych poglądów i z pewnością nie włączy ich do programu wyborczego. Znowu zawibrował telefon. Tym razem był to SMS od Heleny.

„Już zjadłyśmy, więc musisz radzić sobie sam. x”.

Carlyle zignorował burczenie w brzuchu i skupił się na artykule.

Wydaje się, że w obliczu zbliżających się wyborów nikt nie powstrzyma Edgara i Xaviera Carltonów od realizacji ich politycznych ambicji. Jak mówi jeden z ich byłych współpracowników: „Nigdy nie wątpiliśmy, że kiedyś to oni będą rządzą krajem”. Twierdzenie śmiało, ale prawdziwe. Jeśli wcześniej ktoś miał wątpliwości, teraz z pewnością się ich wyzbył.

Carlyle odłożył gazetę i zamyślił się. Artykuł wcale nie poprawił mu humoru. Co on ma zrobić z tymi ludźmi, do cholery? Carltonowie na pewno nie będą chcieli mieć nic wspólnego z tą sprawą, nawet gdyby okazało się, że są w samym jej środku. Ludzie ich pokroju nie osiągają tego, co osiągnęli, martwiąc się takimi drobiazgami jak śledztwo w sprawie morderstwa. W najlepszym razie go zignorują. A w najgorszym? Kto wie?

Wygląda na to, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Musiał czekać ponad godzinę, więc gdy w końcu zaproszono go do gabinetu Simpson, była dziewiętnasta trzydzieści pięć. Asystentka włożyła płaszcz i zbierała się do wyjścia. Tym razem nie obdarzyła go uśmiechem. Zerkając na szefową, wzięła torebkę i ruszyła do drzwi.

Kiedy Carlyle wszedł do gabinetu, uświadomił sobie, że jeszcze nigdy tu nie był. Gdyby jednak chciał szukać jakichś elementów definiujących charakter Simpson, toby się rozczarował. Oprócz mebli gabinet był praktycznie pusty, jeśli nie liczyć zdjęcia mężczyzny w średnim wieku, prawdopodobnie jej męża. Simpson siedziała za biurkiem i zapisywała coś w notesie. Wskazała ręką krzesło, nawet nie podnosząc wzroku na Carlyle'a. Pomyślał, że zachowuje się jak ktoś, kto zrobił już wszystko, co sobie zaplanował, a teraz wybiera się na jakieś wykwintne przyjęcie w towarzystwie ludzi znacznie ciekawszych od niego.

Pięć minut później, gdy wyjaśnił jej, jaka jest sytuacja, wyglądała zupełnie inaczej. Tak jak przypuszczał, nie przyjęła tej informacji spokojnie. Słuchając go w milczeniu, zaciskała dłonie i przygryzała wargę. Wydawało się, że postarzała się o dziesięć lat. Carlyle miał wrażenie, że lada moment wybuchnie płaczem. Ten widok sprawił, że od razu poczuł się lepiej.

Gdy się uspokoiła, powiedziała:

– John, wiesz, jak bardzo musimy być ostrożni?

– Tak.

– Zdajesz sobie sprawę, jak... delikatna jest ta sytuacja?

Nie, kurwa, ani trochę, pomyślał Carlyle.

– Oczywiście.

– Kto jeszcze o tym wie?

– Mój sierżant. Nikt inny.

– To dobrze. Nikt inny nie może się dowiedzieć – wyszeptała cicho Simpson, spoglądając na niego groźnie. – Jeśli coś wycieknie do prasy, urwę ci jaja... i Szyszkowskiemu też.

Oszczędź mi tych pierdół, westchnął w duchu Carlyle.

– Jasne – rzucił krótko.

Komisarz popatrzyła na niego uważnie.

– Nie domyślasz się, kto to zrobił? Albo dlaczego?

Podchwytliwe pytanie, które wymagało jednoznacznej odpowiedzi.

– Nie.

Simpson nie wyglądała na zaskoczoną.

– Cóż, w takim razie może powinnam sprawdzić, co mogę zrobić, by pomóc ci pchnąć tę sprawę do przodu.

– Byłbym bardzo wdzięczny.

– Moi ludzie skontaktują się z pozostałymi członkami Klubu Merrion i poinformują ich o sytuacji. Zobaczymy, co da się zrobić.

Moi ludzie? Mówi jak polityk, a nie policjant, pomyślał Carlyle. Skinął głową w milczeniu. Najwyraźniej zaczynało do niej docierać, że być może sytuacja wcale nie jest taka dramatyczna. Być może będzie miała okazję wyświadczyć przysługę kilku najważniejszym ludziom w stolicy, a tym samym w całym kraju. Gdyby wszystko poszło dobrze, mogłaby się spodziewać kolejnego awansu.

– Kiedy już się z nimi skontaktuję – mówiła Simpson – tobie też będzie łatwiej do nich dotrzeć.

– Dziękuję – odparł Carlyle obojętnie.

- To bardzo ważni ludzie, więc musimy traktować ich w odpowiedni sposób.
- Oczywiście.

Simpson znów zmierzyła go wzrokiem, szukając jakichś oznak sarkazmu lub złośliwości w zachowaniu jednego z najmniej lubianych przez nią oficerów. Niczego takiego nie znalazła, postanowiła więc zmienić taktykę.

– Z drugiej strony, dzięki temu burmistrz, premier i jego brat będą wiedzieli, że ich ochrona powinna wzmóc czujność.

– On jeszcze nie jest premierem – zauważył Carlyle.

– Tak. – Simpson odchrząknęła, zirytowana, że dała się przyłapać. – Freudowskie przejęzyczenie.

– Nietrudno o nie. – Carlyle się uśmiechnął.

– Zgadza się. Wkrótce oczywiście będzie premierem. I to raczej wcześniej niż później.

Śledzisz sondaże?

Carlyle wykonał nieokreślony ruch ręką.

– Nigdy jeszcze nie miał tak dużej przewagi. – Wydawała się tym naprawdę podekscytowana.

– Myślałem, że traci poparcie – odparł Carlyle złośliwie. Przypomniał sobie, że rano czytał coś na ten temat w „Timesie”.

– Ty zawsze masz jakieś dziwne źródła. – Skrzywiła się. – Nieważne. Jest muirowanym kandydatem.

– Ale to niczego nie zmienia, prawda?

– W jakiej kwestii?

– W kwestii tego, jak będziemy prowadzili śledztwo.

– Oczywiście, że nie – odparła Simpson sztywno. – Chodzi mi tylko o to, że jeśli zabójca rzeczywiście poluje na tych pozostałych sześciu panów, nie będzie mógł zbliżyć się do przynajmniej trzech z nich. Wszyscy mają ochronę, możemy więc założyć, że są bezpieczni.

– Chyba że morderca zmieni *modus operandi*.

Simpson zignorowała jego uwagę.

– Musimy więc skupić się przede wszystkim na trzech pozostałych. Kiedy już uda mi się z nimi skontaktować.

– Jasne.

– Pamiętaj, media w żadnym razie nie mogą się o tym dowiedzieć. Nie pozwolimy, by ta historia zakłóciła wybory. Wiesz, że obwiniano by policję. Wszyscy byśmy na tym stracili. Może powinniśmy wydać jeszcze dziś *Notę tajności*?

– Dobry pomysł. – Carlyle zmusił się do uśmiechu. – Ale może nie musimy uciekać się do takich środków?

Noty tajności, wydawane przez Komisję Doradcą do spraw Mediów, zabraniały wydawcom ujawniania informacji w określonych sprawach ze względu na „bezpieczeństwo narodowe”. Sprawa była poważna, ale nie na tyle, by mogła zagrozić bezpieczeństwu kraju.

– Nota nie wydaje mi się właściwym rozwiązaniem, a to nie jest sprawa dla komisji – dodał. – Ale moglibyśmy skorzystać z pomocy Stowarzyszenia Wydawców. To właśnie zrobiła rodzina królewska, kiedy jeden z młodych książąt wyjechał do Iraku.

– Należą mu się brawa za odwagę.

– Lepsze to niż tarzanie się w rynsztoku pod nocnym klubem – mruknął Carlyle, przypominając sobie inne hobby młodego następcy tronu.

– Co takiego?

– Nic, nic.
– Nie możemy sobie teraz pozwolić na brak koncentracji, inspektorze – powiedziała Simpson z nutką przygany.
Carlyle puścił jej słowa mimo uszu i mówił dalej:
– Wydawcy mogą się zgodzić na dobrowolne „porozumienie” w zamian za dodatkowe informacje później.
Simpson zastanawiała się nad tym przez chwilę.
– Musiałabym to uzgodnić z ich ludźmi – oznajmiła w końcu. „Ich ludzie”, czyli świat Carltonów.
Sprawa coraz bardziej się komplikuje, pomyślał Carlyle.
– Na razie musimy unikać jakichkolwiek przecieków. I oczywiście im szybciej to rozwiążemy, tym mniej będziemy mieli problemów. Chcę, żebyś codziennie składał mi ustny raport. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, daj mi znać, a to załatwię.
– Dziękuję – odrzekł Carlyle, zmuszając się do spojrzenia jej w oczy.
– John – Simpson obdarzyła go jednym z najbardziej fałszywych uśmiechów, jakie widział w życiu – zawsze możesz na mnie liczyć, wiesz o tym, prawda?
– Tak, i bardzo to doceniam – skłamał Carlyle.
– Doskonale. Cieszę się – odpowiedziała kłamstwem Simpson. Wzięła gazetę leżącą na biurku i zaczęła czytać. Carlyle potraktował to jako sygnał, że powinien już iść, co chętnie uczynił.

Gdy Carlyle wrócił do komisariatu, był w znacznie lepszym nastroju niż przed spotkaniem z Simpson. Idąc Edgware Road na południe, w stronę Marble Arch, uświadomił sobie, że jest w dzielnicy zamieszkałej przez imigrantów z północnej Afryki i że w związku z tym może liczyć na ogromny wybór kaw i ciastek. Minął kilka kawiarni i stoliki stojące na chodniku, przy których siedzieli mężczyźni w szarawarach i długich koszulach, pałący wielkie szysze. Skręcił w prawo i przeszedł przez północny kraniec Connaught Square, spoglądając na uzbrojonych po zęby policjantów, którzy strzegli nieprawdopodobnie drogiej rezydencji byłego premiera, kupionej kilka lat przed tym, nim opuścił swoje stanowisko. Obecny premier miał coraz większe problemy i rzeczywiście wyglądało na to, że Edgar Carlton wkrótce zajmie jego miejsce. Carlyle pomyślał, że wszystkie kariery polityczne kończą się porażką, z tym że niektóre szybciej niż inne. Wiedział, że rok po tym, jak Carlton dostanie posadę, o którą tak bezwstydnie zabiega, poparcie dla jego partii spadnie na łeb, na szyję. Ludzie będą chcieli poprzedniego premiera, choć teraz tak bardzo go nienawidzą. Co za gówniana robota. Już chyba lepiej być policjantem.

Pięćdziesiąt metrów dalej Carlyle usiadł przed Cafe du Liban i zamówił gęstą, mocną, czarną kawę doprawioną kardamonem oraz bardzo słodkie ciasto. O tej porze lokal był prawie pusty, gdyż pracownicy biur poszli już do domów, a nie przyszli jeszcze miejscowi, którzy pili tu po kolacji kawę i plotkowali. Delektując się ciszą i spokojem, Carlyle próbował przeanalizować ostatnie wydarzenia i zastanowić się, co powinien zrobić w najbliższym czasie, nie mógł jednak zebrać myśli i skupić się na jednej kwestii.

Przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń, a potem jego uwagę przyciągnął karzeł gawędzący ze sprzedawcą czasopisma „Big Issue” na rogu ulicy. Wymachiwał rękami, a sprzedawca drapał się po brodzie i kiwał głową. Jestem w jednym z dziwniejszych filmów Davida Lyncha, pomyślał Carlyle, szukając w kieszeniach blackberry i komórek. Skoro nie może poukładać sobie informacji w głowie, to może uda mu się to zrobić za pomocą elektronicznych gadżetów.

Okazało się, że jedyną rzeczą godną uwagi jest wiadomość głosowa od Rosanny Snowdon, pozostawiona na jego „służbowej” komórce (w odróżnieniu od „prywatnej”, na kartę). Snowdon mówiła coś o nowych informacjach „w sprawie” i prosiła, by do niej zadzwonił. Zastanawiał się, skąd wzięła jego numer. Wiadomość została nagrana o szesnastej dwadzieścia, uznał więc, że jest już po pracy i nie będzie zawracał jej głowy. Zadzwoni do niej jutro i przekona się, co wie. Carlyle postrzegał dziennikarzy jako ludzi dostarczających informacji, a nie tych, którym należy informacje przekazywać. Dlatego nawet ich lubił. Rozumiał zasady gry, Rosanna zapewne też. W odpowiednim czasie oboje chętnie podzielił się tym, czym mogą się podzielić.

Carlyle już chciał schować telefon do kieszeni, lecz ten zawibrował w jego dłoni. SMS poinformował go, że ma kolejną wiadomość głosową. Zirytowany, wybrał numer poczty i przyłożył telefon do ucha.

„To jest wiadomość dla inspektora Johna Carlyle’a. Nazywam się Harry Allen. Chciałem porozmawiać z panem o Ianie Blake’u...”

– Kurwa! – Carlyle natychmiast zadzwonił pod numer, z którego wysłano wiadomość.

„Przepraszamy, numer, pod który dzwonisz, jest w tej chwili niedostępny. Nie możemy...”

– Cholera jasna. – Carlyle spojrzął na telefon z rezygnacją, niedowierzaniem i nienawiścią, po czym jeszcze raz odtworzył nagraną wiadomość.

„To jest wiadomość dla inspektora Johna Carlyle’a. Nazywam się Harry Allen. Chciałem porozmawiać z panem o Ianie Blake’u. W tej chwili nie ma mnie w kraju, ale powinienem być w Londynie w przyszłym tygodniu. Zadzwonię do pana po powrocie”

– Kiedy wracasz? – syknął Carlyle, patrząc na telefon. – Kiedy, kurwa, wracasz? To jest śledztwo w sprawie morderstwa, na miłość boską! Co się z wami dzieje, ludzie?

Przejrzał listę nieodebranych połączeń i znalazł „numer nieznaną” sprzed trzech minut. Jak mógł to przegapić? Ta cholerna maszyna po prostu nie zadzwoniła. Miał ochotę rzucić aparat pod przejeżdżającą taksówkę, oparł się jednak pokusie i zastanawiał się, czy może jakoś ten telefon namierzyć. Był pewny, że Joe przynajmniej zdobędzie dla niego numer Allena. W końcu go znajdą. Ważne, że ktoś chce z nim rozmawiać.

Dostał wreszcie kawę i spory kawałek bakławy. Schował telefon do kieszeni, skupił się na czekającej go uczcie i zapomniał na chwilę o trudach mijającego dnia.

Zgodnie z instrukcją range rover vogue SE zatrzymał się w miejscu oznaczonym numerem U3A28 na parkingu przy Horseferry Road w Westminsterze, zaledwie kilka przecznic od pałacu westminsterskiego. Nicholas Hogarth zgasił silnik i wyłączył płytę Coldplay, której słuchał po drodze. Jazda z Heathrow trwała krócej, niż przypuszczał, i dotarł na miejsce piętnaście minut przed czasem. Odpiął pas bezpieczeństwa i siedział w milczeniu, słuchając bicia swojego serca i trzasków stygnącego silnika.

Po kolejnym szesnastogodzinnym dniu pracy był wyczerpany, ale i upojony. Cztery filizanki espresso w samolocie (i jeszcze jedna na lotnisku) przyniosły pożądaną efekt. Cieszył się, że w końcu wrócił do Londynu. Restrukturyzacja Banku Dżugaszwili szła jak po grudzie. Rosja w dużym stopniu wciąż jest Dzikim Zachodem globalnego kapitalizmu. Wszędzie panuje chaos. W czasach, gdy rynki finansowe przeżywają zapaść, utrzymanie wysokich notowań banku na trzech giełdach jednocześnie – spory wyczyn nawet w czasach dobrej koniunktury – trwało znacznie dłużej, niż powinno trwać. Planował, że ta podróż potrwa zaledwie trzy dni, a utknął za

granicą na prawie dwa tygodnie. Jego rosyjscy klienci też doprowadzali go do szaleństwa, ale tym razem przynajmniej mu zapłacili, miał więc kolejny powód, by się zabawić.

Nicholas lubił się bawić. Żona spodziewała się go dopiero za dwanaście godzin. Po raz pierwszy od długiego czasu mógł choć przez chwilę nacieszyć się wolnością.

Na najwyższym piętrze parkingu panowała cisza. Pod betonowym sufitem jarzyły się z rzadka rozsiane świetlówki. Większość miejsc była pusta, nie widział też żadnych ludzi. Zaciskając dłonie na kierownicy, kołysał się w fotelu w przód i w tył. Czuł, jak na myśl o tym, co za chwilę nastąpi, do jego żył wpływa potężna porcja adrenaliny.

Za pół godziny będzie pieprzył zupełnie nieznaną osobę. To najlepsza część tych spotkań: oczekiwanie na rychły, pewny, zachłanny seks. Egzotyczny seks. Dziwny seks. Poniżający seks. Drogi seks. Seks, który kręci się tylko wokół niego.

Właśnie temu służy Serenissima.

Serenissima była szwajcarską agencją, z którą trzy lata temu skontaktował go znajomy biznesmen w Zurichu. Agencja gwarantująca niezapomniane przeżycia. Korzystał z jej usług co kilka miesięcy, zwykle na zakończenie trudnej podróży biznesowej, takiej jak ta, albo gdy jego normalne życie stawało się już nieznośnie nudne.

Agencja była niewidzialna. Wystawiała rachunki jednemu z jego partnerów handlowych w Liechtensteinie, więc koszty ginęły w tysiącach transakcji, które co roku przechodziły przez księgi rachunkowe jego firmy.

Pozwalał, by to Serenissima wszystko organizowała. Motto agencji brzmiało: „Bez ograniczeń, bez zahamowań, bez uprzedzeń”. On ustalał tylko, kiedy, a oni – gdzie i jak. I kto.

Mógł to być ktokolwiek, mężczyzna lub kobieta, w wieku od osiemnastu do siedemdziesięciu lat. To także stanowiło część przyjemności, jaką czerpał z tej gry. Oczywiście gdy już poznał swojego gościa, mógł powiedzieć „nie, dziękuję”, ale w takiej sytuacji tracił okazję... i pieniądze. Zawsze przyjmował to, za co zapłacił, dzięki czemu nauczył się jednej rzeczy: nie sądź po pozorach. Ładne dziewczyny były miłe, ale najmniej zaangażowane, najmniej pomysłowe, najmniej chętne. Największą rozkosz przeżył ze stukilogramową sześćdziesięciodwuletnią Murzynką, która od razu wskoczyła mu na fiuta i ujeżdżała go przez trzy godziny. Potem przez kilka dni miał kłopoty z chodzeniem. Kiedy rozmyślał o tym później, doszedł do wniosku, że był to prawdopodobnie najlepszy seks w jego życiu, lepszy niż z peruwiańskimi trojczkami, które pieprzył pewnego razu w Chiclayo. Próbował umówić się z nią jeszcze raz, ale mu nie pozwolono. Agencja Serenissima trzymała się zasady, że każde spotkanie jest tylko jednorazową przygodą.

Inna zasada agencji brzmiała: „Żadnych sztucznych ograniczeń czasowych – ty kończysz, oni odchodzą”. Dobrze wiedział, czym grozi zbytne podniecenie. Jedno ze spotkań trwało zaledwie pięć minut. Chłopak celowo doprowadził go do końca w rekordowo krótkim czasie. Gnój wypluł jego spermę, ubrał się i wyszedł, nim Hogarth uświadomił sobie, co się właściwie stało. To było chyba jedno z najdroższych obciążnięć w historii.

Od tamtej pory zawsze odpowiednio się przygotowywał. Aby dopełnić części rytuału poprzedzającego spotkanie, sięgnął do schowka i wyjął z niego paczkę chusteczek higienicznych. Potem wziął z tylnego siedzenia ormiański magazyn pornograficzny, który kupił po drodze, i ułożył go na desce rozdzielczej. Westchnął z zadowoleniem, rozsunał rozporek i zabrał się do pracy.

Po kilku minutach nieskomplikowanej przyjemności i szczęśliwym zakończeniu wyrzucił zużyte chusteczki przez okno. Czuł się zaspokojony i zastanawiał się, czy pojechać po prostu do domu. Nim doszedł do jakichś konkretnych wniosków, rozległ się trzask otwieranych drzwi, a na

fotel pasażera wsunęła się drobna postać. Dostrzegł fragment odsłoniętego ciała i usłyszał skrzypienie skórzanego ubrania.

– Widzę, że zaczęłeś beze mnie – powiedział gość z rozbawieniem.

– Właś... – Hogarth urwał w pół słowa i wciągnął głośno powietrze, gdy zimna ręka zamknęła się delikatnie na jego obnażonym członku.

– Pozwól, że tylko ja będę mówić. Usiądź prosto, patrz przed siebie.

Zrobił to, co mu kazano, gdy zimną dłoń zastąpiło coś innego. Zamknął oczy i zrelaksował się. Czuł, jak powoli znów wstępuje w niego życie.

Kilka minut później oralne pieszczoty nagle się skończyły. Otworzył oczy, ale nie mógł skupić wzroku.

– Wysiadaj.

Powoli wykonał polecenie.

– Stań z przodu. Ręce oprzyj o maskę. Rozstaw nogi.

Hogarth przeszedł przed samochód, spoglądając na swoje odbicie w lakierze. Czuł, jak dłonie rozpinają jego pasek i zsuwają w dół jego spodnie, a potem slipy. Jedna z dłoni wsunęła się między jego nogi i zaczęła pieścić jądra. Coś zimnego połaskotało go w odbyt. Znów był twardy, gotów eksplodować. Nie spiesz się, pomyślał. Zwolnij.

Eksplozja nastąpiła jednak w jego karku, a nie w kroczu. Próbował odepchnąć się od samochodu, lecz najpierw ktoś uderzył jego głowę w maskę. Z rozbitego nosa trysnęła krew, która zmieszała się ze łzami. Czuł, jak uginają się pod nim nogi. Świat przed jego oczami zamienił się w niewyraźną plamę, a potem wszystko utonęło w ciemności.

– Pobudka!

Hogarth odzyskał przytomność, gdy ktoś wylał mu na głowę butelkę wody. Oszołomiony i przerażony pulsującym bólem dopiero po chwili przypomniał sobie, co się stało. Gdy świat w końcu przestał wirować wokół jego obolałej głowy, stwierdził, że leży twarzą na masce samochodu, z rękami podniesionymi nad głowę, jakby w geście poddania. Maskę wciąż była ciepła, co oznaczało, że stracił przytomność stosunkowo niedawno. Jego nos wypełniał nieprzyjemny mdlący zapach. Jęknął i próbował się podnieść, lecz bez rezultatu.

Był przyklejony.

Dosłownie.

– Nie szarp się, bo zrobisz sobie krzywdę.

Gdy udało mu się w końcu skupić wzrok, zobaczył nóż leżący na masce. A obok niego małą fotografię. Nie mógł ruszyć głową, więc nie widział jej dobrze, ale domyślał się, co przedstawia. Czyjaś dłoń zacisnęła się na nożu, a Hogarth napiął całe ciało, czekając na cios.

– Pomóż mi – wyszeptał, by po raz ostatni usłyszeć swój głos. – Pomóż mi.

Przestępując z nogi na nogę i starając się nie zasnąć, Carlyle odsunął się od ciała, najdalej jak mógł, nie na tyle jednak, by wyjść na mięczaka. Spojrzał na Joego Szyszkowskiego, który rozmawiał z jednym z policjantów pilnujących miejsca zbrodni. Z tej odległości smród bijący od ofiary był naprawdę okropny. Inspektor czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, i choć raz cieszył się, że nic nie jadł.

Dochodziła piąta rano. Carlyle był w fatalnym nastroju. Ci cholerni studenci, którzy wynajęli pod nim mieszkanie, obudzili go o drugiej pieprzonymi gramami komputerowymi. W ciągu ostatnich kilku tygodni zrobili to po raz trzeci albo czwarty. Przez całą noc grali w *Mercenaries: World in Flames* albo *Call of Duty: World at War*. Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, Carlyle naprawdę był przekonany, że w budynku wybuchła bomba. Wcale nie poczuł się lepiej, gdy uświadomił sobie, że to tylko gra. Miał wrażenie, że wprost pod jego łóżkiem

toczy się trzecia wojna światowa. Gdy schodził na dół, by ich uspokoić, studenci pokornie przepaszali i wyłączali komputery. Kilka dni później zabawa zaczynała się od nowa. To, że Carlyle jest policjantem, nie robiło na nich wrażenia. Inspektor zaczął się poważnie zastanawiać, czy aresztować za coś tych małych gnojzków. Albo jeszcze lepiej, poprosić Dominica Silvera, żeby przysłał do nich kogoś, kto porozbija im komputery i połamie palce.

Carlyle naprawdę potrzebował snu – jeśli spał krócej niż siedem godzin, następnego dnia był w kiepskiej formie. Tej nocy nie przespał nawet godziny. Gdy tylko zamknął oczy, zadzwonił telefon. Joe zabrał go o czwartej i po niecałych dziesięciu minutach dojechali na miejsce zbrodni.

Ciało zidentyfikowano na podstawie dokumentów znalezionych w range roverze. Spomiędzy pośladków ofiary wystawał dobrze im znany nóż. Smuga zakrzepłej krwi ciągnęła się na długości kilku metrów, a tuż obok zadziwiająco długi pas wymiocin.

Podszedł do niego Joe.

– Dlaczego on tu jeszcze jest? – spytał Carlyle.

– Przykleili go do samochodu – wyjaśnił Joe, tłumiąc chichot. – Lakier będzie do niczego.

– Co?

– Jest przyklejony do maski. Znaleźli wielką butłę superglue. – Wskazał gestem policjantów przy samochodzie.

– Cudownie.

Carlyle wiedział, że superglue to dla policji znacznie większy problem, niż większość ludzi mogłaby przypuszczać. Pewnego razu wezwano go do mieszkania, w którym mężczyzna na wózku inwalidzkim umarł z głodu, bo miał sklezione zęby. Koroner uznał, że zgon nastąpił z niewyjaśnionych przyczyn, ale Carlyle jeszcze przez długi czas zastanawiał się, co się tam właściwie stało. Czy to był wypadek, czy samobójstwo? Mężczyzna miał swoje zęby, więc jak mógł je skleić przez przypadek? Gdyby rzeczywiście zrobił to celowo, wybrałby naprawdę straszliwą śmierć. Może zrobił mu to ktoś inny? Carlyle rozmyślał o tym do późnej nocy, ale nigdy nie udało mu się znaleźć logicznego wytłumaczenia. Innym razem musiał poradzić sobie z facetem, który złamał warunki zwolnienia za kaucją i przykleił się do swojej dziewczyny, licząc, że w ten sposób uniknie aresztowania. Carlyle zawiózł oboje do komisariatu, oskarżył kobietę o utrudnianie pracy policji i jak najszybciej uciekł, by nie kazano mu ich rozdzielać.

– Jak myślisz, dlaczego ktoś to zrobił? – spytał sierżanta.

– Pewnie, żeby utrzymać go w tej pozycji – odparł Joe. – Żebyśmy znaleźli go właśnie w takim stanie, z nożem wystającym z dupy.

– Tak samo jak Ian Blake. I podobnie jak George Dellal.

– Tak, ten sam *modus operandi*. Inny nóż, ale metoda ta sama.

Carlyle zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Jak zamierzają go odkleić?

– Właśnie rozmawiają o tym z patologiem i technikiem kryminalistycznym. To nie będzie łatwe. Próbowali już wody z mydłem, ale bez skutku. Ktoś proponował zmywacz do paznokci, ale nikt nie ma nawet małej buteleczki. Teraz zastanawiają się, czy wezwać straż pożarną.

– Na pewno im się uda – mruknął Carlyle. – Chodźmy, zanim tu przyjadą.

Poczuł, jak w kieszeni jego marynarki wibruje telefon. Wyjął go i spojrział na ekran, na którym pojawił się napis „Numer nieznan”. Pewny, że to Simpson, nie odebrał i schował telefon do kieszeni.

– Jak on to właściwie zrobił? – zastanawiał się głośno, wskazując głową miejsce zbrodni.
– Posmarował mu dłonie klejem i przyłożył do maski – wyjaśnił Joe, na którym widok zmasakrowanego ciała nie zrobił większego wrażenia. – I jedną stronę twarzy.

– Rozumiem.

– Przykleił mu też kutasa. – Joe w końcu nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

Pomimo wczesnej godziny, smrodu i całej reszty Carlyle również się uśmiechnął.

– Poważnie?

– Podobno tak – wykrztusił Joe, ocierając oczy. – Do znaczka na osłonie chłodnicy. – Wyszczerył zęby w uśmiechu i skrzywił się jednocześnie. – Aż tak dokładnie mu się nie przyglądałem, ale wiem o tym od kogoś, kto musiał to zrobić.

Carlyle znów zerknął na miejsce zbrodni. Rzeczywiście wyglądało to tak, jakby facet próbował zerznąć swojego range rovera. Jak można tak traktować brykę za siedemdziesiąt tysięcy funtów?

Jeden z mężczyzn dyskutujących o problemie kleju odłączył się od grupy i podszedł do nich.

– Joe?

– Jak leci, Matt? – przywitał się z nim Joe. – To mój szef, inspektor John Carlyle. Szefie, to sierżant Matt Parkin.

– Inspektorze. – Parkin wyciągnął do niego rękę.

– Miło mi pana poznać – powiedział Carlyle, ściskając jego dłoń. – Pomimo okoliczności.

– Tak, nie wygląda to ciekawie – zgodził się sierżant.

– Joe trochę mi o tym opowiadał. Co wiemy?

– Ciało znaleziono około drugiej w nocy. Te wymioty to ślad po kobiecie, która go zobaczyła. Musiała chyba wyrzygać połowę tego, co waży.

– Nieźle – mruknął Joe.

– Na podstawie dokumentów, które znaleźliśmy w samochodzie, zidentyfikowaliśmy go jako Nicholasa Hogartha – ciągnął Parkin. – Wczoraj wieczorem przyleciał z Moskwy. Zabrał samochód z parkingu na Heathrow i przyjechał prosto tutaj.

– Możemy być pewni, że tak właśnie zrobił?

– Tak. – Parkin pokiwał głową. – Wiemy, że wjechał do płatnej strefy w centrum Londynu tuż przed północą, a na ten parking tuż po północy.

– Gdzie mieszka jego rodzina? – chciał wiedzieć Carlyle.

– W Highgate.

– Więc wcale nie było mu po drodze?

– Nie. Najwyraźniej miał w planie jakieś dodatkowe zajęcia. Znaleźliśmy kilka zużytych chusteczek higienicznych. Wygląda na to, że pan Hogarth zdążył przynajmniej zrobić sobie dobrze, zanim opuścił ten padół.

– Rozumiem. – Carlyle’a chyba już nic nie mogło zdziwić. – Jakież ślady narkotyków?

– Jeszcze niczego nie znaleźliśmy.

– Czy oprócz tej kobiety, która go znalazła, ktoś coś widział?

– O ile nam wiadomo, nie było żadnych świadków. O tej porze raczej nikt się tu nie kręci.

– Kamery ochrony?

– Po dwanaście na każdym poziomie i po jednej w każdej z trzech wind. Trzy obejmują miejsce, w którym stoi range rover. Ale ktoś posmarował obiektywy tych trzech kamer i jednej

w windzie wazeliną. Wygląda na to, że sprawa została dokładnie zaplanowana. Sprawdzamy pozostałe kamery na parkingu i kilka na pobliskich ulicach, ale to trochę potrwa.

– W porządku. Byłbym wdzięczny, gdybyście informowali nas o wszystkim na bieżąco.

– Jasne. Znaleźliśmy jeszcze to. – Parkin wręczył Carlyle’owi małą zapinaną torebkę z przezroczystej folii. W środku znajdowało się lekko prześwietlone zdjęcie wielkości karty do gry, obwiedzione białą ramką. Przedstawiało uśmiechniętego młodego mężczyznę w dżinsach i podkoszulku, zrobione latem, gdzieś za miastem. – Tkwiło za wycieraczką na przedniej szybie range rovera.

Carlyle przyjrzał się uważnie zdjęciu i podał je Joemu. Potem zwrócił się do Parkina:

– Będziemy potrzebowali kilku kopii.

– Nie ma problemu – odparł sierżant.

– Zadzwoń do ciebie po południu – powiedział Joe.

Carlyle po raz ostatni spojrzął na ciało.

– Dziękuję za pomoc – rzekł do Parkina. – Proszę mi powiedzieć, gdzie o tej porze dostaniemy w tej okolicy przyzwoitą kawę?

19

Southwark, Londyn, listopad 1985

Posterunkowy John Carlyle siedział przy oknie taniej całodobowej kafejki, w połowie drogi między Elephant & Castle i Mostem Londyńskim, i wpatrywał się w przestrzeń. Kawiarnię prowadziła rodzina Libańczyków, którzy parę lat wcześniej uciekli z Bejrutu przed wojną domową. Po kilku godzinach patrolowania ulic Southwark, młody posterunkowy wcale nie był pewny, czy dobrze zrobili.

Po przeciwnej stronie stołu siedział jego nowy partner, posterunkowy Kevin Slate, sympatyczny idiota z Manchesteru, który wpychał właśnie do ust kanapkę z bekonem i głośno ją przeżuwał. Carlyle wbił wzrok w pusty kubek po kawie i starał się nie zwracać uwagi na mlaskanie Slate’a ani na gęsty sos spływający po jego brodzie. Mieli za sobą sześć godzin dziesięciogodzinnej zmiany. Potem Carlyle będzie miał trzy dni wolnego. Nie jakieś zwykłe trzy dni. Zbliżał się bardzo ważny weekend. Carlyle był zakochany.

Ta daam! Carlyle się zakochał! Uśmiechnął się, wspominając, jak do tego doszło. Pewnego wolnego dnia, mniej więcej tydzień temu, włóczył się po West Endzie bez celu i bez grosza przy duszy. Przystanął na Leicester Square i patrzył na plakat filmu *Rocky IV*, który miał pojawić się w kinie Empire w styczniu, gdy nagle lunął deszcz. Kryjąc się przed ulewą, pobiegł St. Martins Street i wszedł do księgozbioru podręcznego biblioteki westminsterskiej. Za stertą książek, przy biurku obok drzwi, siedziała najładniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widział. Kiedy podniosła wzrok, ich spojrzenia się spotkały i Carlyle miał wrażenie, że nagle wszedł w inny wymiar. Próbując odzyskać równowagę ducha, potknął się o kosz na śmieci. Gdy dziewczyna tłumiała śmiech, podszedł do wolnego krzesła i przez następną godzinę gapił się na nią znad starego numeru „Tygodnia Rolniczego”. Kiedy w końcu zaczęła się zbierać, podszedł do niej i przedstawił się.

Zgodziła się z nim spotkać o siedemnastej przed stacją metra Leicester Square. Londyn stał przed nimi otworem. Teraz musiał tylko coś wymyślić. Coś naprawdę dobrego. W żadnym wypadku nie mógł tego spieprzyć. Był pewny, że gdyby to zrobił, Helen Kennedy nie dałaby mu drugiej szansy.

Z rozmyślań wyrwało Carlyle’a potężne beknięcie partnera. Slater skończył kanapkę i

wybierał się po następną.

– Na pewno nie chcesz? – spytał, wymachując pustym talerzem. – Są pyszne.

– Nie. – Carlyle pokręcił głową i odwrócił się do okna, tam szukając romantycznej inspiracji. W środku nocy na Trinity Street nie mógł jednak znaleźć niczego ciekawego wśród małych sklepów i zakładów usługowych. Ulica była pusta, nikt na niej nie parkował, w ciągu ostatnich dziesięciu minut nie przejechał ani jeden samochód.

To była trudna, bezlitosna okolica o burzliwej, pełnej przemocy przeszłości i niepewnej przyszłości. Prawie sześćdziesiąt lat temu, podczas strajku generalnego, policja toczyła bitwy z robotnikami o rzut kamieniem od miejsca, w którym teraz siedział. Zaledwie dwa miesiące temu, w pobliskim Brixton, w wyniku zamieszek zginęła jedna osoba, a pięćdziesiąt zostało rannych. Ponad dwieście aresztowano. Rozruchy zaczęły się po tym, jak policja przypadkowo postrzeliła pewną Jamajkę, matkę sześciorga dzieci, która została sparaliżowana od pasa w dół. Na północ od Tamizy, na osiedlu Broadwater Farm w Tottenham, wciąż obowiązywał stan wyjątkowy, konsekwencja zamieszek, podczas których zamordowano posterunkowego, czterdziestoletniego ojca trojga dzieci. Inny policjant został postrzelony. Pewien miejscowy polityk cieszył się, że policja dostała „porządne lanie”. Tutaj ciągle działo się coś takiego.

Carlyle często o tym rozmyślał, patrolując ulice tej dzielnicy. Odkąd rozmawiał z Dominikiem Silverem, minęło już prawie dziewięć miesięcy. Oczywiście nie przyjął propozycji pracy, ale nie mógł zapomnieć jego słów: „Zawsze będziesz odwałał za kogoś brudną robotę”. Carlyle musiał przyznać, choć tylko przed sobą, że cholerny Dominic Silver prawdopodobnie miał rację.

Slater wrócił z drugą kanapką i kubkiem herbaty, gdy na ulicy pojawili się dwaj biali młodzieńcy zmierzający powoli w stronę kawiarni. Obaj mieli sporo ponad metr osiemdziesiąt, byli barczyści i umięśnieni. Zatrzymali się przed oknem kawiarni i spojrzeli na policjantów siedzących w środku. Dopiero wtedy Carlyle zauważył, że jeden z nich trzyma w ręce cegłę. Sekundę później okno eksplodowało, pokrywając Carlyle’a drobinami szkła. Slater przewrócił się do tyłu wraz z krzesłem, nie wypuszczając kanapki. Zostawiając partnera na podłodze, a krótkofalówkę i hełm na stole, Carlyle wybiegł na ulicę i rzucił się w pościg.

Krzyczał do napastników, żeby się zatrzymali, nie zdziwił się jednak, gdy go zignorowali. Bieganie w policyjnych butach było prawdziwą udręką. Prawie natychmiast zabrakło mu tchu. Musisz więcej ćwiczyć, przykazał sobie w duchu. Ciężko dysząc, zebrał wszystkie siły i przyspieszył. Nie doganiał uciekających mężczyzn, ale i nie oddalał się od nich. Pokonawszy pięćdziesiąt metrów, skręcili w alejkę w prawo. Carlyle obejrzał się przez ramię, nie dojrzał jednak Slatera. Zaklął w duchu, ale w tej sytuacji nic nie mógł na to poradzić. Lekko pochylony skręcił w prawo, potknął się i poleciał prosto na stertę worków ze śmieciami ułożonych pod ścianą. Przetoczył się na plecy i leżał przez chwilę bez ruchu, łapiąc oddech. Trafiłem do rynsztoka, pomyślał, patrząc na gwiazdy. Albo tam, gdzie powinny być gwiazdy. Kątem oka widział zbliżające się postacie.

Ktoś stanął obok niego. Usłyszał brzęk metalu uderzającego o cegłę.

– Wstawaj!

Carlyle powoli usiadł. Jeden z worków pękł i ze środka wysypały się zepsute owoce. Zdjął z munduru zgniłą skórę banana i rzucił ją w stronę głosu. Potem dźwignął się na nogi i spojrzął na mężczyznę, który stał przed nim. Dwaj pozostali opierali się o ścianę.

– Cześć, Trevor.

Trevor Miller uderzył kawałkiem rurki gazowej o nogę. W półmroku wydawał się większy i brzydszy, niż Carlyle go zapamiętał.

– Ostrzegałem cię, Carlyle. Dlaczego w ogóle gadałeś z prawnikiem tej zdziry? Dlaczego mnie wrobiłeś?

Carlyle miał wrażenie, że serce lada moment wyskoczy mu z piersi.

– Dlaczego nie zostawiłeś jej w spokoju?

Miller bez słowa zrobił krok do przodu i uderzył go rurką w żebra. Carlyle runął na ziemię, skręcając się z bólu.

– Złamałeś mi karierę.

– Jesteś dużym chłopcem, Trevorze. – Carlyle podniósł się powoli i spojrzał w głąb alejki. – Musisz ponieść odpowiedzialność za swoje czyny. Moim zdaniem tak czy inaczej nigdy nie zostałeś komisarzem.

Trevor dostrzegł jego spojrzenie.

– Nikt ci nie pomoże – warknął, wymachując rurką. – Wszyscy wiedzą, że jesteś skończonym chujem. Wielu ludzi się ucieszy, kiedy spuszcze ci wpierdol. Pogódź się z tym.

Carlyle doszedł do wniosku, że jedyną szansą jest ucieczka. Na drodze do głównej ulicy stał tylko Miller. Jego goryle jakieś dziesięć metrów dalej palili papierosy i nie zwracali na nich uwagi. Jeśli uda mi się okiwać Trevora, zyskam parę metrów, pomyślał Carlyle. Kto wie, może nawet pojawi się ten kretyń Slater. Może chociaż wezwał pomoc.

Carlyle wiedział, że być może będą szybsi od niego, ale na razie nie zamierzał się tym martwić. Rzucił się do przodu, udając, że biegnie na prawo, lecz w ostatniej chwili odepchnął się lewą nogą i ruszył w lewo. Wywiedziony w pole Miller wrzasnął wściekle. Carlyle usłyszał świst rurki, która przemknęła nad jego głową, a potem opadła z brzękiem na bruk. Uchylił się, ale nie zwolnił nawet na ułamek sekundy. Cholera! – pomyślał, dobiegając do zakrętu. Uda mi się! W tym samym momencie jego prawa stopa natrafiła na skórę od banana. Carlyle stracił równowagę, poleciał na ścianę i runął prosto w stertę śmieci leżącą przy ulicy. Kroki za jego plecami ucichły i zamieniły się w szyderczy śmiech. Ktoś kopnął go w plecy, a potem między nogi tak mocno, że zobaczył gwiazdy. Czuł, jak silne ręce łapią go za stopy i ciągną w mrok alejki. Tym razem mógł tylko zwinąć się w kłębek i czekać. Kolejne uderzenie trafiło go tuż za lewym uchem. Nim stracił przytomność, pomyślał jeszcze, że nadal nie ma pojęcia, dokąd powinien zabrać Helen.

20

– Kto prowadzi śledztwo?

– Emm... – William Murray spojrzał na swojego szefa, a gdy ten skinął przyzwalająco głową, pochylił się nad stołem i przemówił do telefonu konferencyjnego: – Inspektor Carlyle. Pracuje w komisariacie Charing Cross – dodał, zerkając do notatek.

– Ale na konferencji prasowej była jakaś kobieta. – Z głośnika dobiegł głos Xaviera, ledwie słyszalny na tle ulicznego hałasu.

Klub Merrion znów działał. W pewnym sensie. Tego ranka nikt nawet nie myślał o drogich alkoholach i złym zachowaniu. Pozostali przy życiu członkowie klubu zorganizowali telekonferencję, by omówić trudną sytuację, w której nieoczekiwanie się znaleźli. Murray i Edgar byli w Klubie Pakenham w centrum Londynu, a Xavier prowadził kampanię wyborczą gdzieś w Surrey. Christian Holyrod również brał udział w kampanii, podczas gdy Sebastian Lloyd i Harry Alen przebywali za granicą.

– Kobieta, która zorganizowała wczoraj konferencję prasową... – Murray znów zajrzał do notatek – to komisarz Carole Simpson. Jest szefową inspektora.

– Simpson na pewno nam pomoże – zauważył Holyrod. – Jej mężem jest Joshua Hunt,

dyrektor McGowan Capital.

Murray spojrział na Edgara, sprawdzając, czy ten rozpoznał nazwisko. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, wyszeptał:

– To członek Watahy.

– Nie używaj tego określenia – warknął Edgar, szybko wyciszając telefon. Watahą nazywano grupę inwestorów z City, którzy na początku roku ofiarowali partii na kampanię co najmniej milion funtów. Informacje o tym, kto ile przekazał, zostały podane do publicznej wiadomości, co stanowiło część prowadzonej przez partię Edgara polityki finansowej przejrzystości. Niestety, fakt, że w czasach szalejącego kryzysu niektórzy członkowie Watahy ofiarowali ponad trzy miliony funtów, nie został dobrze przyjęty przez prasę, a odgłosy tej awantury wciąż nie cichły. Edgar potrzebował pieniędzy, ale nienawidził tego rodzaju kłopotów. Spojrzął z przyganą na Murraya, jak na uczniaka, który zaraz zostanie ukarany chłostą.

– Nigdy tak o nich nie mówimy – syknął. – Nawet między sobą.

– Tak – odparł cicho Murray, patrząc na swoje ręce.

Edgar czuł, że gniew już go opuszcza.

– Lepiej trzymać język za zębami, chyba to rozumiesz. – Uśmiechnął się.

– Tak – powtórzył pokornie Murray.

– Nie używaj języka mediów – dodał Edgar. – To tylko pomoże im nas zniszczyć.

Murray skinął głową i wrócił do tematu:

– Tak czy inaczej, możemy dotrzeć do komisarz Simpson za pośrednictwem pana Hunta, co z pewnością jest nam na rękę. Choć ona może to uznać za konflikt interesów.

– Zwyczajny zbieg okoliczności – prychnął Edgar. – Poza tym teoretycznie to nie jest jej sprawa, zgadza się?

– Tak – potwierdził Murray, kładąc uszy po sobie. – Śledztwo prowadzi ten Carlyle.

– Ale to ona kontaktuje się z mediami?

– Owszem – potwierdził Murray. – Na to wygląda.

– Edgarze? Jesteś tam? – Do rozmowy włączył się Sebastian Lloyd, który wdrapywał się właśnie na jakąś górę w Chile czy w Peru. Tak czy inaczej, mógł czuć się bezpieczny. – Za moment muszę się rozłączyć.

Edgar włączył mikrofon.

– Tak, przepraszam. Krótko mówiąc, możesz być pewny, że poradzimy sobie z tym problemem, i że zrobimy to tak szybko i skutecznie, jak to tylko możliwe.

Po krótkiej pauzie odezwał się Harry Allen:

– W porządku, Edgarze, ale pamiętaj, że to dotyczy nas wszystkich i że nie chodzi tu tylko o twoją pieprzoną karierę.

– Już się tym zajmujemy – zapewnił Xavier, wyraźnie urażony.

Edgar po raz pierwszy pomyślał, że niektórzy z jego tak zwanych kumpli być może nawet na niego nie zagłosują. Pokręcił z irytacją głową i pochylił się nad mikrofonem.

– Xavier mówi prawdę, już się tym zajmujemy. I masz rację, to dotyczy każdego z nas. Dlatego załatwimy to szybko i skutecznie, dla dobra wszystkich członków klubu. Miło było z wami pogadać, panowie. Jeśli będziemy musieli znów zorganizować coś podobnego, William da wam znać. Ale nie martwcie się, możecie uznać sprawę za załatwioną. – Nie czekając na odpowiedź, rozłączył się. Potem zamknął oczy i opadł na oparcie fotela.

– Dobrze poszło – zaryzykował Murray.

– Tak. – Carlton ziewnął. – Ale ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję... potrzebujemy, są tego rodzaju problemy. Muszę wrócić do kampanii, pojechać w teren, jak Xavier i Christian.

- Tak. – Murray pokiwał głową.
- I musimy odciągnąć uwagę ludzi od sondaży.
- Tak.
- Albo jeszcze lepiej – przeprowadzić nowe.
- Tak.
- Takie, które pokażą nam dokładnie to, co chcemy.
- Tak.

Od trzech dni poparcie dla partii Edgara spadało, co oznaczało, że jego przewaga nad przeciwnikiem zbliża się do wartości jednocyfrowej. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, druga strona wyraźnie nabierała rozpędu. Należało to zatrzymać. I to szybko. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje, gdy walczy o swoją polityczną egzystencję, jest afera związana z wielokrotnym morderstwem.

– Szkoda, że nie możemy mieć większego zaufania do ludzi, którzy zajmują się tym śledztwem. – Edgar westchnął. Nie mógł zrozumieć, dlaczego policja jeszcze podkręca zainteresowanie mediów, organizując konferencję prasową. Jak można być tak nieudolnym w kontaktach z dziennikarzami? Ale cóż, co się stało, to się nie odstanie. – Czy ta Simpson zna... kontekst sprawy?

Murray wydał usta i głośno wypuścił powietrze.

– Nie, chyba nie. Wygląda na to, że policja jeszcze nie skojarzyła faktów. Oczywiście musimy założyć, że wcześniej czy później to się zmieni.

– A co z tym Carlyle'em? Powinniśmy się go pozbyć? Dopilnować, żeby ktoś inny przejął śledztwo?

– Na razie to chyba nie będzie konieczne – odparł Murray. – W razie potrzeby Simpson się nim zajmie.

– No dobrze, a co właściwie o nim wiemy?

Asystent Edgara zajrzał do notatek.

– Cóż... to dość dziwna historia. – Przerzucił kilka kartek. – Jest londyńczykiem. Wstąpił do policji w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku, pracował w różnych komisariatach, dostał kilka pochwał. Ale nie miał żadnych spektakularnych osiągnięć, a od paru lat jego kariera stoi w miejscu. Wygląda na to, że nie potrafi się dopasować. Kiedy przenosi się w nowe miejsce, na początku idzie mu całkiem nieźle, ale potem zawsze coś się psuje. Po ostatnim incydencie dano mu wyraźnie do zrozumienia, że powinien pomyśleć o emeryturze.

Brzmi nieźle, pomyślał Carlton.

– Co się stało?

– Nie wiadomo, dlaczego kilka lat temu przydzielono go do ochrony rodziny królewskiej.

– Dziwny wybór. Wiemy dlaczego?

– Pewnie jakaś urzędnicza pomyłka. Tak czy inaczej, pewnego razu miał pilnować młodych księżąt, kiedy wypełniali swoje obywatelskie obowiązki w Pomegranate.

– Dobrze znam to miejsce. A właściwie byłem tam kilka razy.

Uważał, że ten klub nocny w Chelsea pomimo horrendalnych cen przypomina szkolną dyskotekę, odwiedzał go jednak regularnie, gdyż ze względu na obecność członków królewskiego rodu było to szalenie modne miejsce. Nie miał też nic przeciwko temu, by w gazetach pojawiały się jego zdjęcia w towarzystwie „chłopców” – dwóch księżąt, którzy nie mogli się zdecydować, czy chcą bawić się w żołnierzy, czy w playboyów. Inną zaletą klubu Pomegranate było to, że jego żona, Anastazja, nigdy by się tam nie wybrała.

– Po trzeciej w nocy – ciągnął Murray – podopieczni Carlyle'a wytoczyli się z klubu, jak

zwykle zalani w sztok.

– Cóż – Carlton westchnął – każdy ma prawo do odrobiny zabawy.

– Oczywiście. Ale potem jeden z chłopaków wdał się w bójkę z fotoreporterem.

Carlton ziewnął.

– I cóż w tym dziwnego?

– W tym nic, ale podobno Carlyle wcale się nie spieszył z interwencją. Pozwolił nawet, żeby dziennikarz – wielki chłop, który służył w armii RPA i w Legii Cudzoziemskiej – dał księciu parę klapsów. Dopiero kiedy chłopak skapał się we własnej krwi i rzygowinach, odciągnął go na bok.

– Hmm... – Carlton przeszukiwał przez chwilę odległe zakamarki pamięci. – Chyba pamiętam te zdjęcia. Moim zdaniem wyglądało to jak typowa noc Jego Książęcej Mości.

– Przeprowadzono śledztwo, ale nie można mu było niczego udowodnić. Książę chciał, żeby Carlyle wyleciał z pracy, ale uznano, że mogłaby się z tego zrobić prawdziwa afera, szczególnie gdyby interweniował związek zawodowy policjantów.

– Jasne. Najgorszy związek zawodowy na świecie – zauważył Carlton.

Sam już dawno postanowił, że nie pozwoli, by jego rząd wchodził w konflikty z policjantami. Lepiej nie kusić złego i tak dalej.

– Ostatecznie po prostu usunęli Carlyle'a z królewskiej ochrony i przywrócili go do normalnej służby.

– Więc ten Carlyle to republikanin? – Carlton pokręcił z niedowierzaniem głową. – Jak to w ogóle możliwe, że taki człowiek trafił do policji?

– Nie do końca wiadomo – odparł Murray. – Ogólnie uważa się, że jak na policjanta ma trochę zbyt liberalne albo... przeintelektualizowane poglądy.

– Chcesz powiedzieć, że za dużo myśli? – Edgar wydał usta. – Tego nam jeszcze brakowało. Jak to się stało, że to właśnie on prowadzi tę sprawę?

Murray wzruszył ramionami.

– W instytucji tak dużej jak policja zawsze trafi się kilku takich dziwaków.

Edgar westchnął z irytacją i spojrzął na zegarek. Wkrótce musi iść do Izby Gmin.

– Co jeszcze wiemy o tym inspektorze prócz tego, że w ogóle nie można na nim polegać? Ma jakąś rodzinę? – spytał, patrząc na Murraya surowo. – Pewnie powiesz mi teraz, że żyje w hipisowskiej komunie z kochankiem o imieniu Gerald, który prowadzi spółdzielnię zajmującą się wyplataniem koszy.

Murray się skrzywił.

– Nie. Ma żonę i córkę.

– Pierwsze małżeństwo?

– Tak. Jego żona pracuje w organizacji charytatywnej o nazwie Avalon. Wysyłają lekarzy do krajów Trzeciego Świata, proszą o datki, narzekają na „imperializm” i tak dalej.

– A dzieciak?

– Chodzi do szkoły City w Barbican.

– Dobra szkoła. – Carlton pokiwał z uznaniem głową. Sam miał czwórkę dzieci, dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Wszyscy chodzili do najlepszych prywatnych szkół w Londynie.

– Droga – skomentował Murray.

– Na pewno. – Carlton się wzdrygnął. Czesne jego dzieci było sporym wydatkiem, nim jeszcze zaczął się kryzys. Bóg jeden wie, jak sobie z tym radzi ten nieszczęsny Carlyle, choć ma tylko jedno dziecko. – Parę lat temu zastanawialiśmy się, czy wysłać dziewczynki do Barbican – dodał. – Już wtedy czesne było naprawdę zabójcze. Rozumiem, że córka Carlyle'a dostaje

stypendium?

Murray pokręcił głową.

– Nie, na razie płacą całość. Stypendium przyznają w tej szkole dzieciakom, które skończą jedenaście lat. Carlyle w odpowiednim czasie na pewno będzie się o nie ubiegał, ale teraz musi płacić wszystko.

– To musi być spore obciążenie dla rodzinnego budżetu. Nic dziwnego, że nasz inspektor nie chce rezygnować z pracy. Policyjna emerytura na pewno mu nie wystarczy, jeśli młoda...

– Alice.

– Jeśli młoda Alice nie dostanie jednak stypendium. Wyobraź sobie tylko, że musiałby zabrać ją z Barbican i przenieść do jakiejś państwowej szkoły. Co za koszmar! Pani Carlyle na pewno nigdy by mu tego nie wybaczyła. – Umilkł na chwilę, rozmyślając nie po raz pierwszy o tym, że znacznie łatwiej zdobyć władzę w państwie niż w domu. – Tak czy inaczej, dobrze, że nie wybrali łatwego rozwiązania. Że chcą dla córki jak najlepiej. Że są zwolennikami prywatnej edukacji. Może jednak możemy liczyć na ich głosy.

21

Clement Hawley był człowiekiem renesansu żyjącym na początku XXI wieku. Spekulował na trudnych rynkach walutowych londyńskiego City, a w wolnym czasie zajmował się lukratywnym handlem środkami farmaceutycznymi o działaniu relaksacyjnym. Dzięki nieprzeciętnym talentom handlowym i towarzyskim mógł w pełni wykorzystać powiązania między tymi dwoma światami. Chłopcy z City lubią zarabiać pieniądze i zażywać narkotyki – obie te rzeczy w dużych ilościach i czasem jednocześnie. Clement zawsze chętnie pomagał realizować ambicje swoich klientów na obu tych polach.

Młody panicz Hawley przed ponad piętnastoma laty ukończył szkołę średnią dla chłopców sir Johna Lyndona w Canterbury, potem przez jakiś czas wałęsał się po plażach Tajlandii i Goa, by w końcu trafić do rozkwitającego sektora usług finansowych w Londynie. Tutaj, w jasnym, lśniąącym, neutralnym, krótkoterminowym i zapatrzonym w siebie świecie finansów odnalazł wreszcie swoje powołanie. Zajął się handlem walutami i wypełnił niszę rynkową, jaką był obrót egzotycznymi jednostkami w rodzaju tureckich lir, libańskich funtów i izraelskich szekli. Kursy tych walut zmieniały się gwałtownie po każdym zamachu bombowym lub nalocie na Bliskim Wschodzie, a tych, jak wiadomo, nie brakuje. Nie liczyło się, co idzie w górę, a co w dół – dopóki cokolwiek się działo, można było handlować, a tym samym zarabiać, i to głównie na cudzych pieniądzech.

Handel na Foreksie przynosił całkiem przyzwoite zyski, ale znacznie mniejsze niż handel narkotykami. Hawley sprzedawał głównie trawę, ecstasy i kokainę kilkudziesięciu bliższym i dalszym znajomym. Przestrzegał jednak pewnych zasad: nie handlował crackiem, ulubionym narkotykiem prawdziwych degeneratów, ani nie sprzedawał niczego osobom spoza kręgu znajomych albo takim, którzy nie mieli rekomendacji kogoś z jego obecnych klientów. Ogólnie rzecz biorąc, był to bardzo lukratywny układ, a Clement bez trudu zgarniał rocznie trzysta tysięcy funtów. Po dodaniu zysków z handlu walutami suma ta sięgała niemal pół miliona.

W Londynie pracowało mnóstwo dilerów pokroju Clementa. Policja traktowała większość jak swoich sprzymierzeńców, z którymi należało raczej wymieniać się informacjami, a nie ich zamykać. Aresztowanie nie miałooby większego sensu, bo natychmiast znalazłby się ktoś na ich miejsce. Lepiej było wykorzystywać ich do pracy w terenie.

Clement został aresztowany tylko dwa razy, raz za pijaństwo i agresywne zachowanie, a

drugi raz za posiadanie. Przy tej pierwszej okazji, trzy lata temu, trafił do Charing Cross, gdzie Carlyle, po krótkiej, ale szczerzej rozmowie dotyczącej ekstazy o wartości tysiąca funtów, znalezionej w jego kieszeniach, wypuścił go na wolność bez żadnych zarzutów (ale i bez narkotyków). Gdy osiem miesięcy później aresztowano go w Camden Town, Hawley skorzystał z prawa do jednego telefonu i natychmiast zadzwonił po inspektora. Carlyle uważał, że zgromadził wystarczający kredyt w „Banku Hawleya”. Teraz nadszedł czas na małą wypłatę.

Ulubionym miejscem Hawleya była Brick Lane, w centrum podupadłej części wschodniego Londynu, na wschód od Spitalfields Market i niecałe pięć minut marszu od biur Banku Australii przy Liverpool Street, gdzie pracował. Była to jedna z najbiedniejszych dzielnic w kraju, znana głównie z tego, że gościła kolejne fale imigrantów przybywających do Wielkiej Brytanii – Hugenotów, Irlandczyków i Żydów. Tutaj też miało miejsce drobne, ale istotne wydarzenie w historii Wielkiej Brytanii, tak zwana bitwa na Cable Street, czyli starcie brytyjskich antynazistów z Brytyjską Unią Faszystów, do którego doszło w 1936 roku. W ostatnich latach dzielnica została zdominowana przez imigrantów z Bangladeszu i zastąpiona z hinduskich restauracji. Carlyle nie znał dobrze tej okolicy, ale tak typowe dla niej nieustanne zmiany, krzątanie i rozgardiasz były właśnie tym, co czyniło z Londynu prawdziwą metropolię. Jako londyńczyk inspektor uważał więc, że ma z nią wiele wspólnego.

Przy Brick Lane działało niegdyś ponad dwadzieścia pubów. Lokale o nazwach takich jak Duke's Motto, Jolly Butchers, Seven Stars, Monkey's Tackle[3] rywalizowały o kilka brzęczących funtów z robotniczej kieszeni. Teraz, gdy kilka drinków kosztowało dobrze ponad trzydzieści funtów, utrzymał się tylko jeden z nich, Frying Pan[4]. Pozostałe zamieniono w bardziej dochodowe interesy: chińskie i hinduskie restauracje, kawiarnię, salon fryzjerski, bary szybkiej obsługi, sklep ze sprzętem kajakarskim (kto pływa kajakiem w centrum Londynu?), kantor i świątynię jakiejś religii, o której Carlyle nigdy nawet nie słyszał. Znalazła się tam również siedziba biura podróży oferującego wycieczki śladami Kuby Rozpruwacza, który był lokalną znakomitością.

Najemcy lokali z alkoholem ostatnimi czasy nieźle dostali w skórę, padając ofiarą niższych opłat celnych, zakazu palenia, wyższych podatków i absurdalnie taniego piwa z supermarketów. Niektórzy mieszkańcy uważali, że zamykanie pubów to symboliczna śmierć londyńskiego ducha wspólnoty. Carlyle, który rzadko poddawał się takim nostalgicznym uczuciom, uważał to za bzdurę. Zniknięcie tych spelunek z beznadziejną obsługą i mnóstwem papierosowego dymu należało jego zdaniem uznać za sukces. Nie zamierzał tęsknić za fałszywą serdecznością East Endu, podszytą uprzedzeniami i agresją. Przez ostatnią dekadę co roku zamykano w Londynie ponad sto pubów, ale Carlyle nie zauważył jakiegoś wielkiego niedoboru tych lokali. Oznaczało to, że ludzie pokroju Clementa Hawleya wciąż mieli gdzie prowadzić swoje interesy.

Carlyle próbował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni był w pubie, jeśli nie musiał tego robić w związku z pracą. Przypuszczał, że jakieś trzy lata temu. Pewnie poszedł tam, żeby zobaczyć, jak Fulham przegrywa z jakimiś innymi nieudacznikami, bo nie mógł sobie pozwolić na subskrypcję kanału, na którym pokazywano ten mecz. Teraz siedział przy stoliku oddalonym od drzwi i trzymał w ręce szklankę whisky Jameson bez lodu. Oprócz niego w lokalu było jeszcze kilku gości, którzy popijali piwo i nie zwracali uwagi jeden na drugiego. Inspektor rozsiadł się wygodnie i cierpliwie czekał.

Clement Hawley był młody i energiczny. Był też nieprzewidywalny. Gdy tylko wszedł do pubu, rozejrzał się, szukając swoich stałych klientów. Niemal natychmiast dostrzegł Carlyle'a i błyskawicznie zawrócił. Trudno powiedzieć, dlaczego chciał uciec. Wiedzieli przecież, gdzie

pracuje, upewnili się, że już tu dzisiaj był. Musiał też w miarę szybko wrócić do swojego biura, żeby zamknąć transakcje, które otworzył rano. Na pewno wolał rozmawiać z Carlyle'em tutaj, w pubie, niż na tyłach banku.

Dlaczego więc próbował uciec? Może chodziło o towar, który miał w kieszeniach. Może była to kwestia bandyckich genów. A może zwykła głupota. Tak czy inaczej, nie uciekł daleko. Gdy tylko zbliżył się do wyjścia, w drzwiach stanął Joe, który obrócił go w miejscu i pchnął lekko w stronę swojego szefa. Carlyle uśmiechnął się do siebie. Lubił, gdy chociaż takie drobne rzeczy szły zgodnie z planem.

Hawley wzruszył z rezygnacją ramionami i pozwolił zaprowadzić się do stołu Carlyle'a. Miał około trzydziestu pięciu lat, ale zachował chłopięcy wygląd i sylwetkę. Z odległości kilku metrów wyglądał jak świeżo upieczony absolwent, który dopiero zaczyna karierę. W sumie nieźle się trzymał jak na faceta, który ma dwie stresujące prace.

– Inspektorze... – przywitał się nieśmiało.

– Clement.

Carlyle spojrzął za jego plecy na dwóch młodzieńców z City, którzy właśnie pojawili się w drugim końcu lokalu. Kupili po piwie i przyglądali się Clementowi, próbując ocenić sytuację. Może teraz ubić z nimi interes czy nie?

Carlyle odwrócił się do Hawleya i wskazał głową sąsiednie krzesło. Handlarz dobrze wiedział, co zobaczył inspektor, zwalczył więc pokusę i nie spojrzął na swoich klientów. Nie zamierzał też siadać.

– Prawdę mówiąc, trochę się spieszę.

Carlyle zacisnął dłoń na szklance.

– Siadaj! – warknął.

Clement wykonał polecenie, a Joe usiadł obok niego.

– Wygląda na to, że straciłeś właśnie klientów – zauważył Carlyle, obserwując, jak dwaj młodzi biznesmeni w rekordowym tempie opróżniają szklanki i wychodzą. Może jednak uda im się przeżyć popołudnie bez wspomagaczy.

– No cóż. – Clement się uśmiechnął. – Wie pan, jak to jest, raz się zyskuje, raz traci.

– Owszem. Ale ty nie chcesz stracić więcej niż to konieczne, co?

– Oczywiście, inspektorze. Jestem do pańskich usług. W czym mogę pomóc?

– Przede wszystkim opróżnij kieszenie i oddaj towar Joemu. Potem chciałbym z tobą chwilę pogadać.

– Inspektorze! – zaprotestował Clement, krzywiąc się z bólu jak ośmiolatek, któremu po raz ostatni przypomniano, że ma się kłaść do łóżka. Zrobił jednak, co mu kazano. Joe schował narkotyki do kieszeni marynarki, nawet nie rzuciwszy na nie okiem.

– Rozumiem, że nie ma mowy o pokwitowaniu?

Kiedy ani Carlyle, ani Joe nie odpowiedzieli na to pytanie, Clement odetchnął głęboko i przez kilka sekund masował sobie kark. Takie nękanie przez policję było frustrujące, ale zarazem wpisane w ogólny biznesplan jako część kosztów. Kiedy Hawley odwrócił się do Carlyle'a, miejsce grymasu bólu na jego twarzy zajął filozoficzny spokój.

Inspektor uznał, że czas przejść do rzeczy.

– Co tam u twojego brata? – zagadnął.

– U Paula? Wszystko w porządku. – Clement wydawał się najpierw zaskoczony, a potem zaniepokojony. – Chyba że wy chcecie mi powiedzieć coś innego.

– Nie, nie – zapewnił go w pośpiechu Carlyle. – Nic z tych rzeczy.

– To dobrze – uspokoił się Clement.

– Nadal jest w Cambridge?
– Tak. Wreszcie dostał pracę. Nie mógł się otrząsnąć z szoku. Jest asystentem czy kimś takim.

Paul Hawley był osiem albo dziewięć lat starszy od Clementa. Zaczął studia w latach osiemdziesiątych i został na uczelni. Clement był z niego dumny, podobnie jak prawie wszyscy mający w rodzinie nauczycieli akademickich. Ludziom, którzy niewiele o tym wiedzą, wydaje się, że świadczy to o genach inteligencji.

– Zrobił w końcu doktorat? – zainteresował się Carlyle.

– Zajęło mu to zaledwie siedemnaście lat! – Clement się skrzywił. – *Kultura picia we wczesnym średniowieczu*. Można ją znaleźć na Amazonie, ale chyba jeszcze nie trafiła na listę bestsellerów.

– Może nie powinienes być tak długo go finansować – odrzekł Carlyle z uśmiechem. Clement wyjawiał mu kiedyś, że pokrywa wydatki swojego brata do wysokości pięciu tysięcy funtów miesięcznie.

– Ha! – parsknął Clement. – To się nie zmieni. Może i ma pracę, ale ciągle nie ma pieniędzy. Wie pan, ile zarabia?

Carlyle wzruszył ramionami.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Szesnaście tysięcy. Rocznie!

– Cholera! – Joe pokręcił głową.

Clement rozłożył ręce w geście rozpaczony.

– Wyobrażacie to sobie? Szesnaście tysięcy. Na cały rok! To nawet nie jest przeciętna płaca. Po co się w ogóle męczyć dla czegoś takiego?

Carlyle też pokręcił głową ze szczerym niedowierzaniem. Nawet on zarabiał więcej, właściwie kilka razy więcej. Próbował obliczyć w myślach swoją roczną płacę, ale trwało to zbyt długo, więc dał sobie spokój.

– Próbuję dowiedzieć się czegoś o klubie Merrion. To takie pijackie stowarzyszenie dzianych studentów Cambridge. Paul pewnie nie był nigdy jego członkiem, co?

Zrozumiawszy, że Carlyle'a nie interesuje jego osoba, Clement się rozluźnił.

– Słyszałem o Merrionie. To nie jest żadne tajne stowarzyszenie czy coś w tym rodzaju. Ale Paula nigdy by tam nie zaprosili. „Dziani” to nie jest właściwe określenie. To sama śmietanka, najbogatsi z najbogatszych. Paul nie miałby żadnych szans, żeby tam trafić. Mało kto ma.

– Ale mógł spotkać kogoś z tych ludzi? – dopytywał się Carlyle. – Może znał kogoś z członków klubu?

– Może. – Clement wzruszył ramionami. – Cambridge to małe miasteczko. Bardzo małe w porównaniu z Londynem. A co właściwie chcecie wiedzieć?

– Nie twój interes – uciął Joe. – Chcemy tylko tam pojechać i pogadać z Pauliem. Nic poważnego, tylko kilka pytań. Możesz go poprosić, żeby tam na nas czekał?

– Jasne. – Clement znów wzruszył ramionami. – Zajęcia skończyły się w zeszłym tygodniu, ale on jeszcze tam jest. Żeni się z jedną ze swoich studentek, więc remontują dom.

– Czy to nie jest nielegalne? – spytał Joe. – Mam na myśli pieprzenie swoich studentek, a nie remontowanie domu. Czy to nie narusza etyki akademickiej, relacji student–wykładowca i tak dalej?

– Możliwe, ale ona przeniosła się z mediewistyki na dziennikarstwo, więc chyba mu się upiekło. To Serbka, dwadzieścia lat młodsza od niego. Ma niesamowite ciało. Szczęściarz z tego

Paula.

– Ja mu tam nie zazdroszczę – oznajmił Joe.

Święte słowa, pomyślał Carlyle. Bez względu na ciało.

– Z dziewczynami ze wschodniej Europy trzeba uważać – dodał Joe, dzieląc się łaskawie mądrością Polaka ożenionego z Hinduską. – Są fantastyczne, niektóre z nich to najładniejsze kobiety na świecie, ale nie starzeją się ładnie. Przechodzą z trzydziestki do sześćdziesiątki w ciągu trzech lat. Zanim skończy trzydzieści pięć, będzie wyglądała starzej od niego.

– Nie wiem, czy wtedy będzie go to jeszcze obchodziło. – Clement westchnął.

– Daj nam numer Paula, zadzwonimy do niego, kiedy będziemy się tam wybierali – powiedział Carlyle, którego ta rozmowa zaczynała nudzić. – I powiedz mu, że to nic ważnego, tylko kilka ogólnych pytań. Nie musi się niczego obawiać, to nie będzie żaden test.

Kiedy Clement poszedł do banku, żeby tu kupić parę miliardów, a tam sprzedać kolejnych kilka i wspomóc w ten sposób światowe rynki walutowe, Carlyle siedział w rogu lokalu i zastanawiał się, co zrobić z resztą popołudnia. Joe wrócił do komisariatu, żeby zaprotokołować towar Clementa (każdy drobiazg przydaje się na koniec roku, kiedy trzeba wykazać się skutecznością) i przygotować się do jutrzejszego wystąpienia w sądzie. Co prawda posiedzenie odwoływano już trzy razy, ale tym razem mogło być inaczej. Carlyle także myślał o powrocie do domu albo pójściu na siłownię. Uświadomiwszy sobie, że wciąż stoi przed nim whisky, opróżnił szklankę jednym haustem. Przez moment zastanawiał się nad następną, w końcu jednak zrezygnował i ruszył do wyjścia, wstępując po drodze do toalety.

Gdy znalazł się na dworze, oblepiło go brudne, parne popołudnie. Czuł, jak pot perli się na jego czole. Niedaleko ktoś rozkopywał ulicę i warkot młota pneumatycznego jeszcze bardziej zirytował inspektora. Wciąż próbując ułożyć sobie w głowie jakiś plan, wyjął z kieszeni „prywatny” telefon. Nokia 2630 była najtańszym i najpopularniejszym modelem aparatu na kartę dostępnym na rynku. Carlyle kupił go za gotówkę i doładowywał za gotówkę w przypadkowych punktach oddalonych zarówno od jego mieszkania, jak i od pracy. Nie pokazywał jej w towarzystwie, a numer znało tylko kilka osób. Mimo to co trzy lub cztery miesiące zmieniał zarówno aparat, jak i kartę SIM. Nie gwarantowało to pełnej dyskrecji, ale przynajmniej miał pewność, że nikt nie kontroluje jego rozmów. Dzięki temu mógł cieszyć się choć odrobiną prywatności, a to warte było dodatkowego zachodu i kosztów.

Przeszedł przez ulicę, stanął na rogu Brick Lane i Chicksand Street i zaczął przesuwac palcem wzdłuż listy nazwisk. Zatrzymał się przy DS i nacisnął guzik.

Reakcja była natychmiastowa.

– Tak?

– Dominic? To ja. – Nikt inny nie mówił do niego „Dominic”.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – Ton jego głosu był neutralny, może nie nieufny, ale i nie serdeczny.

– Chciałbym pogadać.

– O czym?

– Chodzi mi tylko o kilka ogólnych informacji. Nic związanego z tobą.

– Dlaczego nie pogadasz ze swoim kumplem Clementem?

Boże, skąd on może o tym wiedzieć? Jest jakimś pieprzonym telepatą?

– Już z nim rozmawiałem. Przesuwam się po prostu w górę łańcucha pokarmowego.

W głośniku rozległo się westchnienie i jakieś przytłumione dźwięki w tle.

– Dobra, spotkajmy się tam gdzie zawsze, za godzinę.

Spotkali się z Simpson w pokoju na czwartym piętrze Portcullis House, wartego dwieście

trzydzieści pięć milionów funtów biurowca dla posłów, położonego naprzeciwko Izby Gmin, po północnej stronie mostu Westminster. Ze względu na bliskość wyborów biurowiec był prawie pusty. Na szczęście wyglądało na to, że pani komisarz gotowa jest zrobić wszystko, czego od niej zażądata. Od razu obiecała im całkowitą blokadę informacji w mediach, „lepszą niż wtedy, gdy premier...”.

Edgar przerwał jej łagodnym machnięciem ręki.

– I tak wszyscy o tym wiedzieli – powiedział.

– Może w Westminsterze – odparła uprzejmie. – Ale do mediów nic się nie przedostało.

– A kogo obchodzi, czy coś jest w mediach, skoro wszyscy twoi znajomi i tak o tym wiedzą? – parsknął Xavier.

– Owszem – przytaknęła nerwowo Simpson, gotowa mimo wszystko bronić swojej pozycji. – Ale tutaj sytuacja wygląda trochę inaczej.

– Rzeczywiście. – Edgar uśmiechnął się łaskawie.

Xavier obserwował, jak jego brat przechodzi na tryb wyborczy. Widział to już mnóstwo razy w sytuacjach, gdy potrzebowali czyjejś pomocy. Czas rzucić trochę ochłapów maluczkiem.

– Ma pani całkowitą rację. – Edgar uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– W rzeczy samej. – Xavier skinął głową.

– W najlepszym interesie wszystkich zamieszanych w tę nieszczęsną i trudną sprawę, szczególnie ofiar i ich rodzin, leży jak najszybsze zakończenie śledztwa – ciągnął Edgar. – Dlatego całkowita blokada informacji to rzeczywiście dobre rozwiązanie.

– Tak – zgodziła się z nim Simpson.

– To ułatwi pani ludziom złapanie tego szaleńca.

– Już im to wyjaśniłam – zapewniła pani komisarz.

– Jestem pewny, że nasi ludzie też będą mogli pani pomóc – dodał łagodnie Edgar.

Nasi ludzie.

Simpson w milczeniu przyjęła zawołaną wiadomość, że William Murray będzie śledził poczynania Carlyle’a i informował o wszystkim Edgara.

– Ten inspektor Carlyle – zaczął Edgar swobodnym tonem – wydaje się dość... nietypowy.

Simpson w końcu podniosła głowę i próbowała się uśmiechnąć, choć wyglądała tak, jakby cierpiała na zaparcie.

– Miewał różne problemy, to prawda. Szczerze mówiąc, niektórzy uważają inspektora za „odwróconego” snoba z kompleksami. Nie jest powszechnie lubiany i między nami mówią... – Przerwała na moment i spojrzała na polityków, chcąc wierzyć w ich dyskrecję.

– Oczywiście – odrzekł Edgar – nic, co tu dziś powiemy, nie wyjdzie poza naszą trójkę. Ja też to słyszałem, pomyślał Xavier, uśmiechając się szyderczo.

– Więc między nami mówią – kontynuowała Simpson – można śmiało założyć, że inspektor zbliża się powoli do emerytury. Jak już zapewne wiecie, panowie, na przestrzeni lat wiele razy popadał w konflikty z przełożonymi.

– Chyba wolelibyśmy tego uniknąć, prawda? – wtrącił Xavier.

– Oczywiście – przytaknęła Simpson, zwracając się do Edgara, co wkurzyło jego brata. – Ale odsuwając go na tym etapie od śledztwa, tylko narobiliśmy sobie problemów. Ludzie zaczęliby zadawać kłopotliwe pytania.

– Święte słowa – zgodził się Edgar, gromiąc brata spojrzeniem.

– Poza tym Carlyle ma spore osiągnięcia, jeśli chodzi o kwestie czysto zawodowe.

Zamknął już wiele spraw, więc jest spora szansa, że i tym razem szybko się z tym upora. Jeśli

nie, jeśli pójdzie w niewłaściwym kierunku, łatwiej będzie go usunąć...

– To bardzo rozsądne podejście – zauważył Edgar przymilnie. – Dziękujemy, naprawdę nas pani uspokoiła. Zostawiamy tę sprawę w pani kompetentnych rękach.

22

Brixton, Londyn, czerwiec 1987

Ziewając szeroko, Larry Guthrie szedł Mostyn Road w stronę kawiarni New World. Był piękny dzień, temperatura sięgała dwudziestu pięciu stopni, wiał lekki wiatr, a po błękitnym niebie tylko co jakiś czas przemykała biała puszysta chmurka. Taki dzień powinien napełniać ludzi radością życia, ale siedemnastoletni Larry nie zwracał uwagi na pogodę. Poprzedniej nocy poszedł spać bardzo późno i teraz chętnie spędziłby w łóżku jeszcze kilka godzin. Sen musiał jednak poczekać. Teraz Larry był głodny. I powinien trzymać się terminów. Po południu znów szedł do pracy, a w jego branży nie można wziąć urlopu i schować się pod kołdrą. Klienci potrzebują towaru na sobotni wieczór, więc się spieszył. Miał nadzieję, że kilka naleśników i kawa pozwolą mu przewyciężyć zmęczenie. Obiecał też sobie, że następnego dnia w ogóle nie wstanie z łóżka.

Westchnął ciężko i spojrzął na dwóch chłopców, którzy dokazywali na huśtawkach w Mostyn Gardens. Jeszcze kilka lat temu robił to samo. Za kilka lat, jeśli nie wcześniej, oni będą robili to co on. Larry wcisnął ręce głębiej w kieszenie bluzy z kapturem, spuścił wzrok i przyspieszył kroku. Wpatrzony w chodnik, nie widział mężczyzny, który szedł prosto na niego. Nie widział też, jak mężczyzna wyciąga broń i mierzy w jego brzuch.

Pistolet wystrzelił z ogłuszającym hukiem. Larry podniósł ręce do uszu, zamiast do brzucha, nawet nie poczuwszy, że został trafiony. Kiedy osunął się na chodnik, ogarnęła go cisza. Słyszał tylko bicie swojego serca i pulsowanie krwi w skroniach. Mrugał raz po raz, próbując skupić wzrok na lufie pistoletu, która zawisała zaledwie piętnaście centymetrów nad jego twarzą. Zastanawiał się, czy zobaczy nadlatującą kulę. Gdy broń drgnęła, natychmiast zapadł w ciemność.

Posterunkowy John Carlyle przyglądał się poczynaniom ekipy kryminalistycznej i zastanawiał, co właściwie powinien zrobić. Czuł się jak piąte koło u wozu, albo ujmując sprawę dosadniej, jak wolny fiut na weselu dziwki. Przez chwilę po prostu stał i patrzył na zbryzgane krwią buty Larry'ego Guthriego, wystające spod ciemnozielonej płachty, którą ktoś narzucił niedbale na jego ciało. Rozpoznał najnowszy model nike'ów, który widział niedawno w magazynie „Face”, i poczuł ukłucie zazdrości. Takie rzeczy były poza jego zasięgiem. Ulubione buty miejscowych gangów, takich jak Young Thugs, Cartel Boys, Alligator Crew czy Gang Superstar, nie trafiły nawet jeszcze do sprzedaży w Wielkiej Brytanii i trzeba je było sprowadzać ze Stanów Zjednoczonych po kilkaset dolarów za parę. Obserwował w milczeniu, jak jeden z techników ściąga obuwie z bosych stóp Guthriego i wkłada je do worka z materiałem dowodowym. Przynajmniej umarł w butach, pomyślał Carlyle, uśmiechając się ponuro.

Jednego z detektywów stojących przy ciele w końcu zirytowała jego beczynność.

– Nie stój tak i nie gap się jak cielę na malowane wrota! – krzyknął. – Rusz tyłek, idź na drugą stronę ulicy i zapukaj chociaż do kogoś.

Carlyle z ociąganiem ruszył w stronę sierżanta, który organizował przesłuchiwanie potencjalnych świadków.

Dziesięć minut później jakiś starsuszek wylewał przed nim swoje żale.

– Zrobiło się tu naprawdę okropnie – narzekał. – Zupełnie jak na wojnie. Co noc słyhać

jakieś wrzaski i ryki, czasami też strzały. Bandy dzieciaków krzyczą na siebie w ulicznym slangu. Nikt nie czuje się tu bezpiecznie. Kiedy człowiek wychodzi na ulicę, musi mieć oczy dookoła głowy. Najbardziej szkoda mi rodzin z małymi dziećmi. – Wskazał ciało Guthriego. – Jak to wytłumaczyć sześciolatкови? To prawdziwa hańba, a wy ludzie powinniście wreszcie coś z tym zrobić.

Carlyle potakiwał bezmyślnie.

„Wy ludzie?”

Dzięki.

Zauważył, że w jednym z pobliskich okien wisi plakat GŁOSUJCIE NA PARTIĘ PRACY i zdziwił się, że nikt jeszcze go nie zdjął. Minęły już dwa dni, odkąd Margaret Thatcher po raz trzeci z rzędu odniosła przygniatające zwycięstwo w wyborach. Zdaniem mediów wszyscy byli teraz „dziećmi Thatcher”. Już prawie nie pamiętał, jak wyglądało życie przed Żelazną Damą, nie za bardzo też potrafił sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało po jej odejściu – jeśli kiedykolwiek odejdzie.

Kilka godzin i kilkadziesiąt przesłuchań później był zgrzany, głodny i zmęczony. Mnóstwo ludzi słyszało krzyki i policyjne syreny, mnóstwo uważało, że okolica schodzi na psy, i wszyscy zgadzali się co do tego, że policja nic z tym nie robi. Nikt jednak nie widział, ani nie słyszał niczego, co mogłoby się przydać w śledztwie. Był szczęśliwy, gdy jego zmiana dobiegła wreszcie końca, a gdy sierżant zaproponował mu nadgodziny, bez wahania odmówił. Carlyle musiał wziąć prysznic i coś zjeść. Za kilka godzin zabierał Helen na film *Harry Angel* i już cieszył się na udany wieczór. A sierżant i cała reszta mogli go pocałować w dupę.

Carlyle od czterech miesięcy pracował w komisariacie przy Brixton Road. Choć okolica była jeszcze bardziej niebezpieczna niż w Shepherds Bush i Southwark, bardzo mu się tu podobało. W szatni ktoś napisał na ścianie *Jak w Fort Apache*. Całkiem trafne porównanie, biorąc pod uwagę to, że zamordowanie członka lokalnego gangu w biały dzień, w środku dzielnicy, traktowano tu niemal jak pospolite przestępstwo.

Nawet tutaj, w nawykłym do zbrodni Brixton, wiadomość, że broń, z której zabito Larry’ego Guthriego, to Browning BDA, wywołała w szeregach policji spore podniecenie. BDA był nowoczesnym pistoletem półautomatycznym kalibru 9 mm, produkowanym w Belgii, bronią bardzo drogą i wyszukaną jak na bandę miejscowych chuliganów. Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że zabójca zostawił go na miejscu zbrodni. Nowoczesna broń w rękach chuliganów to jedna rzecz, ale broń w rękach kryminalistów na tyle dobrze wyposażonych i bogatych, że mogli ją tak po prostu wyrzucić, to coś zupełnie innego. W komisariacie plotkowano, że zabicie Guthriego ma oznaczać początek nowej serii zbrodni związanych z narkotykami, która sprowokowałaby do działania miejscowych i krajowych polityków, zawsze szukających prostych odpowiedzi i rozwiązań.

Dobrze, że to nie mój problem, pomyślał Carlyle, wychodząc z komisariatu tuż po osiemnastej. Młody posterunkowy uważał, że wygląda całkiem nieźle w swojej najlepszej czarno-szarej koszulce polo Fred Perry, czarnych lewisach 501 i nowych martensach. Miał jeszcze sporo czasu, przeszedł więc powoli Brixton Road, a potem skręcił w Coldharbour, by kupić coś do jedzenia. Stał właśnie na skrzyżowaniu, czekając na zielone światło, gdy zatrąbił na niego jakiś kierowca.

– John!

Podniósł wzrok i zobaczył Dominica Silvera, który wychylał się z okna dość wysłużonego pomarańczowego forda capri.

– Wsiadaj! – krzyknął, otwierając drzwi od strony pasażera. Światła się zmieniły, a

kierowcy stojący za Dominikiem zaczęli głośno dawać wyraz zniecierpliwieniu. – Pospiesz się!

Carlyle podbiegł do niego i wskoczył do samochodu. Kiedy zapinał pas, Dominic ruszył z piskiem opon, wysuwając jednocześnie rękę przez okno i pokazując kierowcom z tyłu środkowy palec.

– Dobrze cię widzieć, stary! – Dom uśmiechnął się szeroko, kładąc obie ręce na kierownicy. – Kawał czasu, co?

– Ciebie też – odparł Carlyle, patrząc przed siebie. Zastanawiał się, czego Dom od niego chce. I dlaczego tak skwapliwie wskoczył do jego auta? Nie widzieli się od ponad roku, a ta część Londynu leżała daleko od terenu Doma. Carlyle uświadomił sobie z ciężkim sercem, że nie będzie to spotkanie towarzyskie.

– Masz chwilę? – spytał Dominic, skręcając na wschód, w stronę Blackheath.

Carlyle ostentacyjnie spojrział na zegarek. Umówił się z Helen za niecałe dwie godziny przy stacji metra Brixton, a film zaczynał się pół godziny później.

– Mam jakąś godzinę – powiedział.

– Świetnie. Wybierzemy się na małego drinka.

Jak na sobotni wieczór ruch na ulicach był niewielki. Niecałe dwadzieścia minut później siedzieli w ogródku piwnym Railway Arms w Blackheath Village. Carlyle nie pił dużo, ale po całym dniu ciężkiej pracy z przyjemnością sączył chłodne piwo. Przy sąsiednim stoliku rozmawiały z ożywieniem dwie ładne dziewczyny w krótkich spódniczkach i kusych bluzkach. Carlyle zmierzył je taksującym spojrzeniem. Nic szczególnego, ale warto spojrzeć. Czując, jak alkohol powoli dociera do jego mózgu, rozluźnił się i czekał na to, co Dom ma do powiedzenia.

Po kilku minutach Dom odstawił szklankę.

– Wiesz, co to był Wielki Smród? – spytał.

Carlyle zastanawiał się nad tym przez sekundę.

– Nie.

– Zapomniałem, że nie uważałeś w szkole. – Dom uśmiechnął się szelmowsko.

Carlyle skrzywił się tylko i upił łyk piwa.

– Wielki Smród miał miejsce w tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym roku. Ścieki wypuszczane do Tamizy cuchnęły wtedy tak okropnie, że nawet politycy z Izby Gmin nie mogli tego znieść. Zażądali natychmiastowych działań i wtedy właśnie przyszedł im – i nam – z pomocą wielki Joseph Bazalgette.

– Kto?

– Główny inżynier Miejskiej Rady Robót. Poświęcił siedem lat na budowę systemu kanałów i przepompowni długości dwóch tysięcy kilometrów.

– Będę o tym pamiętał, kiedy pójde do kibla. – Carlyle zastanawiał się, do czego Dom zmierza.

– To było naprawdę niesamowite przedsięwzięcie.

– Historia gówna. – Carlyle napił się piwa. – Fascynujące. Nie pamiętam, żeby uczyli nas o tym w szkole.

– Wiem. To naprawdę skandal. Joseph Bazalgette był naprawdę wielkim londyńczykiem. W roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym otrzymał tytuł szlachecki, ma też niewielki pomnik na Victoria Embankment. Uważam, że to bardzo mało jak na takiego geniusza. Każdy idiota może dostać tytuł szlachecki. Wiesz, że wszyscy dyrektorzy gabinetu ministra dostają je automatycznie? Co oni takiego robią?

Carlyle wzruszył ramionami. Zapomniał już, jak Dom potrafi się rozpędzić, gdy wejdzie na jakiś interesujący go temat.

– To samo dotyczy sędziów z odpowiednim stażem – ciągnął Dom. – I generałów, i ambasadorów. Joseph Bazalgette, człowiek, który rozprawił się z tym gównem, zasługuje przynajmniej na pomnik na Parliament Square. Mogliby też nazwać jego imieniem jakiś most albo... coś.

– I jakie to wszystko ma znaczenie? – przerwał mu Carlyle z uśmiechem.

– Bardzo duże, panie posterunkowy – odparł niezrażony Dom. – Otóż jednym z największych pomników, jakie zostawił po sobie Bazalgette, jest oczyszczalnia ścieków Abbey Wood. Co więcej, to całkiem niedaleko stąd.

– I?

– I tam właśnie znajdziecie ciało.

Carlyle się rozejrzył. Dziewczyny poszły. Upewniwszy się, że nikt ich nie słyszy, spojrzął na Doma i syknął ze złością:

– Jakie znowu ciało, kurwa?

– Ciało muppeta, który zastrzelił dziś rano Larry'ego Guthriego. Jest w jednym z odstojników. Przepraszam, więcej nie mogę ci powiedzieć.

– Guthrie? – powtórzył Carlyle, zbierając myśli. – Ale to było zaledwie osiem godzin temu.

Dom wzruszył skromnie ramionami.

– Zareagowaliśmy... zareagowali szybko. Nikt nie chce, żeby to wymknęło się spod kontroli. Obie strony straciły żołnierza. Reszta rachunków wkrótce zostanie wyrównana. Czas z tym skończyć i pracować dalej. Te kowbojskie bzdury tylko psują interesy.

– Więc to zabójstwo miało związek z narkotykami?

W odpowiedzi Dom wznosił oczy do nieba.

– Jak się nazywał ten muppet? – spytał Carlyle, sięgając po piwo.

Dom opróżnił swoją szklankę.

– A czy to ma jakieś znaczenie?

– Ten facet naprawdę to zrobił?

– Oczywiście.

– Jakież dowody?

– Na jego ubraniu jest krew Guthriego. Oprócz jego własnej, oczywiście.

Carlyle ostrożnie odstawił szklankę na stół i spojrzął prosto w oczy Doma.

– Ty chyba nie...

– Nie wygłupiaj się!

– Więc dlaczego mi to mówisz?

– Trzeba to było uporządkować. Nie musisz... nie chcesz znać szczegółów. W ten sposób wszyscy tylko zyskają: ty się wykażesz, a ja doprowadzę do zakończenia śledztwa i będę miał u swoich duży plus. Ludzie się dowiedzą, że sprawa jest załatwiona i rachunki wyrównane, a ulice Wielkiej Brytanii znów będą trochę bezpieczniejsze. – Pomachał pustą szklanką przed nosem Carlyle'a. – Po jednym na drogę?

Carlyle pokręcił głową.

– I jak niby zdobyłem tę informację?

Dom uśmiechnął się szeroko.

– Źródła, stary. Informatorzy. Tylko dopilnuj, żebyś nie musiał iść tam sam. Podobno smród jest okropny.

– Dzięki za radę.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Dom wstał i wskazał bar. – Na pewno nie chcesz

jeszcze jednego?

Carlyle pokręcił głową. Kiedy gówniany ekspert zniknął w głębi pubu, posterunkowy przygryzł wargę i starał się zapanować nad złością. Nie cierpiał, gdy ktoś traktował go w tak protekcyjny sposób. A Dom nie mógł wymyślić większej bzdury. Gdyby Carlyle zrobił to, co mu zasugerował, wpakowałby się w niezłe kłopoty. Jest policjantem, na litość boską. Dom potraktował go jak idiotę i niemal dosłownie chciał wpakować w wielkie gówno. Gdyby rozwiązał sprawę morderstwa w ciągu kilku godzin, na pewno zostałyby dokładnie przesłuchany, a gdyby nie umiał podać jakiegoś wiarygodnego wyjaśnienia, sam stałby się przedmiotem śledztwa. Nawet nie wiedział, jak miałyby brzmieć to wiarygodne wyjaśnienie.

Po chwili doszedł do wniosku, że ma tylko jedno wyjście. Wstał i poszedł za róg, do staromodnej budki telefonicznej, którą wcześniej zauważył. Wszedł do środka i wybrał numer pogotowia policyjnego. Mówiąc z okropnym irlandzkim akcentem (tylko taki potrafił naśladować), przekazał wszystkie informacje znużonej policjantce. Wspomniał o browningu BDA, by przekonać ją, że nie jest żartownisiem ani wariatem. Tyle tylko mógł zrobić w tej sytuacji. Mogą to sprawdzić albo nie – gówno go to obchodzi.

Zakończył rozmowę i wrócił do stolika. Dom popijał drugie piwo. Carlyle nie usiadł obok niego.

– Chyba musimy już iść.
– Nie ma problemu. Odwiozę cię. – Dom opróżnił szklankę i wstał.
– Dzięki. – Carlyle dopił piwo, które zrobiło się ciepłe i niesmaczne. – Tylko pójść się odlać.

23

Zwykle spotykali się w jednym z licznych domów i mieszkań Dominica Silvera w centrum Londynu. W ciągu ostatnich dwudziestu lat Dominic stale powiększał swój stan posiadania i obecnie był właścicielem nieruchomości wartych dobrze ponad dwadzieścia milionów funtów, i to nawet po ostatnim załamaniu rynku. Jedną z nich był mały dom w stylu georgiańskim przy Meard Street, krótkiej, zamkniętej dla ruchu alejce pomiędzy Dean Street i Wardour Street, w samym sercu Soho. Dom był nieco odsunięty od chodnika, od którego oddzielała go masywna żeliwna brama. Na bramie wisiała tabliczka z napisem: TU NIE MA PROSTYTUTEK. Carlyle przycisnął guzik domofonu, a bramka natychmiast się otworzyła.

– Na samej górze – poinformował go głos z głośnika.

Obecnie w domu przy Meard Street mieszkał Gideon Spanner, były komandos, a obecnie najważniejszy ochroniarz Dominica oraz jego poborca długów i osobisty trener. Carlyle znalazł obu mężczyzn w dużym pokoju, który zajmował większość trzeciego piętra. Stały tam tylko dwa fotele i sofa, zwrócone do pięćdziesięciocalowego telewizora plazmowego Panasonic. Carlyle stanął w drzwiach, obserwując, jak dwaj mężczyźni oglądają pojedynek bokserski. Bokserzy naprawdę się nie oszczędzali, a komentator piał z zachwytem. Pewnie był to jeden z tych dodatkowych kanałów telewizyjnych, których nie wykupił. Nie znał się na boksie, ale pojedynek z pewnością nie był transmitowany na żywo. Wyglądał jak nagranie z lat siedemdziesiątych albo osiemdziesiątych.

– Napijesz się? – Dom oderwał na moment wzrok od ekranu i pomachał szklanką w stronę Carlyle'a.

– Co to?

– Gujawa, mango i jagody goji. Dobrze.

– Brzmi całkiem niezłe.

– Jest w kuchni na dole. Często się.

– Dobra, nieważne.

– Idź, idź, to się za chwilę skończy – namawiał go Dom, wskazując głową ekran.

Carlyle potrzebował aż pięciu minut, żeby odszukać kuchnię i nalać sobie soku. Kiedy wrócił, usiadł ciężko na fotelu i wszyscy trzej oglądali w milczeniu pojedynkę. Po kolejnych dwóch rundach jeden z bokserów poddał walkę.

Dom przyciszył telewizor i odwrócił się do Carlyle'a.

– Leonard–Duran, jedna z najlepszych walk w historii boksu.

Carlyle odchrząknął niepewnie.

– Wiesz, o czym mówię? – spytał Dom.

– Nie bardzo – przyznał inspektor.

– Sugar Ray Leonard i Roberto Duran, artysta i uliczny wojownik. Obaj byli naprawdę wielkimi bokserami. Walczyli ze sobą trzy razy w czasach, gdy byliśmy jeszcze dziećmi. To była druga i najsłynniejsza walka.

– Walka *No Más* – dodał Gideon, którego w tamtych czasach być może jeszcze nie było na świecie.

– *No Más*, „Nigdy więcej”. Tak podobno powiedział Duran, kiedy poddał się w ósmej rundzie. – Dom wskazał głową telewizor. – Duran twierdzi, że niczego takiego nie mówił, ale to przecież wspaniała opowieść. *No Más*. Fantastyczne zakończenie. Nikt nie chciał, żeby prawda zepsuła taką historię.

– Interesujące – mruknął Carlyle. Nigdy nie wiedział, jak traktować pasje innych ludzi.

– Miło cię widzieć, John – zmienił temat Dominic. – Dobrze wyglądasz.

– Dzięki – odparł Carlyle, kiwając lekko głową. – Ty też.

Mówił prawdę. Dom był jednym z tych irytujących facetów, którzy wyglądają lepiej, gdy zbliżają się do pięćdziesiątki, niż wtedy, gdy mieli dwadzieścia kilka lat. Są bogatsi, zdrowsi, bardziej zrelaksowani. Carlyle żałował, że nie może powiedzieć tego samego o sobie. Dom już dawno porzucił wizerunek wesołego, bezczelnego koleśka na rzecz bardziej profesjonalnego, „akademickiego” zachowania i wyglądu, co przypieczętował ukończeniem studiów biznesowych w college'u Queen Mary. Ubrany w ciuchy *Commes des Garçons*, w okularach bez oprawek i z siwiejącymi włosami do ramion wyglądał naprawdę atrakcyjnie.

W końcu oderwał się od rozmyślań o historii boksu i zwrócił do Carlyle'a:

– Co możemy dla ciebie zrobić?

– To się okaże – odparł inspektor z uśmiechem.

– Jak zawsze. – Dom odwrócił się do Gideona. – Inspektor i ja znamy się od wieków.

Gideon wciąż wpatrywał się w telewizor.

– Aha...

– Tak, John to jeden z moich starych znajomych. Sporo wspólnie przeszliśmy.

Carlyle milczał. Dom miał po części rację. Znali się długo, a ich relacje były trwałe i serdeczne, choć zarazem nie do końca jednoznaczne. Być może żaden z nich nie chciałby wracać do tej znajomości, gdyby się urwała, ale obaj dostrzegali jej zalety... i wady.

Dominic Silver już dawno zostawił swojego towarzysza broni w tyle. Tworzył swój biznes powoli, krok po kroku, starając się w miarę możliwości unikać konfliktów i nie rozwiązywać problemów siłą. W miarę upływu lat jego reputacja była coraz lepsza. W branży, w której mało komu udawało się przeżyć dwa lata, on przeżył już dwadzieścia, co zakrawało na cud. Nigdy go nie aresztowano, nigdy nie postawiono mu zarzutów. W ostatnich kilku latach osiągnął szczyt kariery, zajmując miejsce na trzecim lub czwartym poziomie londyńskich

handlarzy narkotyków. Był blisko szczytu, ale wcale się tam nie wybierał. Jego obecna pozycja była bardzo wygodna, pozwalała mu uniknąć problemów, z którymi borykali się ci wyżej i ci niżej. Zarabiał kilka milionów rocznie, a wśród jego klientów znajdowała się grupa pomniejszych celebrytów i kilka nowych nazwisk z *Kto jest kim*. Przed recesją miał nawet kilku klientów korporacyjnych, ważne instytucje finansowe z City, które kupowały jego towar na rachunek.

Dzięki studiom biznesowym Dom nauczył się gromadzić środki i dywersyfikować ryzyko. Obecnie jego nieruchomości i inwestycje przynosiły mu zapewne co najmniej dwa razy większy dochód niż handel narkotykami. Nie był to jednak biznes, z którego mógłby się łatwo wycofać, podobnie jak Carlyle nie mógłby łatwo zrezygnować z ich znajomości, teraz niemal w takim samym stopniu prywatnej, jak i zawodowej. Dom – jak i Carlyle – był człowiekiem rodzinnym. Od ponad dwudziestu lat miał tę samą dziewczynę i tworzył z nią szczęśliwy monogamiczny związek, doczekali się pięciorga dzieci. Obie rodziny dobrze się znały, a Alice wiele razy bawiła się z dziećmi Dominica.

Carlyle dopił sok z gujawy, mango i jagód goji. Dom miał rację – był dobry.

– Szukam pewnych informacji.

– Oczywiście. – Dom poprawił się na sofie i przyjrzał uważnie Carlyle'owi. – Jakich?

– Interesuje mnie pięciu ludzi. Nazywają się George Dellal, Ian Blake, Nicholas Hogarth, Harry Allen i Sebastian Lloyd. – Nie był jeszcze gotowy wymienić Holyroda i Carltonów.

Dom udał, że zastanawia się nad tym przez kilka sekund.

– Chodzi o tę sprawę, o której mówili ostatnio w telewizji?

– Tak.

– Nie idzie ci najlepiej, co? Co chciałbyś wiedzieć?

– To co zwykle. Co najmniej kilku z nich bierze, głównie kokainę i trochę ecstasy. Skąd ją mają? Z kim lubią to robić? Co jeszcze ich kręci? Jakies interesujące słabości?

– Interesujące słabości? – Dom się roześmiał. – Wszyscy je mamy.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Jasne. Daj Gideonowi listę, zobaczymy, co da się zrobić.

– Byłbym wdzięczny.

Carlyle pogrzebał w kieszeniach i odszukał paragon za kanapkę, którą kupił poprzedniego dnia. Zapisując na odwrocie nazwiska, zastanawiał się, czy mógłby wyciągnąć od Doma coś jeszcze. Jeśli chce pchnąć sprawę do przodu, musi się trochę odsłonić.

– Zaopatrujesz czasem konsjerża z hotelu Garden? – spytał, nie podnosząc wzroku.

Dom spojrział na Spannera, a potem znów na Carlyle'a.

– Alexa Milesa? Tak, co jakiś czas. Ale to raczej drobiazgi, nic poważnego. Lubi korzystać z różnych źródeł. Na pewno nie zmieściłby się w setce moich najlepszych klientów.

– Blake był tym trupem, którego znaleziono w jego hotelu w zeszłym tygodniu.

Dom skrzywił się lekko, jakby chciał powiedzieć: „No dobra i...?”.

Tymczasem Gideon Spanner wciąż wpatrywał się tępo w przestrzeń.

– Blake był bogaty i lubił narkotyki – ciągnął Carlyle. – Należał do ludzi, którzy mogli kupować od takich jak ty przez Milesa.

– Znam mnóstwo podobnych ludzi. Zostaw to nam. Na pewno coś znajdziemy. Zwykle znajdujemy.

– Wiem.

– Odprowadzę cię.

Kiedy zeszli na dół, Dom wyszedł z Carlyle'em na ulicę.

– Jak tam rodzina? – spytał.
– Dobrze – odparł Carlyle. – A twoja?
– Dobrze. Dwójka najstarszych jest już w szkole średniej. – Skrzywił się, jakby zjadł cytrynę. – Wiesz, jakie płacę czesne? Nóż się w kieszeni otwiera.
– Wiem coś o tym. Alice jest w Barbican.
– Świetna szkoła.
– To prawda. Jesteśmy bardzo zadowoleni.
– Stać cię na to?
– Dobrze pytanie.
– Gdybyś kiedykolwiek...
– Nie, nie – przerwał mu szybko Carlyle. Nie chciał znów o tym rozmawiać. – Dajemy sobie radę. Wkrótce dostanie stypendium... mam nadzieję.
– Powodzenia.
– Dzięki.

Czy kiedykolwiek weźmie od Dominica pieniądze? Mimo upływu lat ta perspektywa wciąż była bardzo kusząca. Rozmawiał o tym kilkakrotnie z Helen, na zasadzie „a gdyby...”, nigdy jednak nie rozważał tej możliwości na poważnie. W ostatecznym rozrachunku rzecz nie była warta zachodu – nie chciał ryzykować dla pieniędzy. Nie zarzekał się, oczywiście, ale musiałby być naprawdę zdesperowany.

Dom szybko sprowadził rozmowę na bezpieczniejsze tory.

– Powinniśmy spotkać się z dziećmiakami na wakacjach.
– Helen by się ucieszyła. Ciągłe się martwi, że Alice jako jedynaczka za rzadko przebywa w towarzystwie innych dzieci.
– Doskonale.

Dominic nie zawsze był taki rozmowny, więc Carlyle pomyślał, że spróbuje pociągnąć go trochę za język.

– Jak tam interesy? Dokucza ci recesja?
– Nie... no, może trochę. Jestem jak ty – nigdy nie zabraknie mi pracy. Choć przez chwilę może być ciężko, bo lubię wydawać pieniądze.
– Czasami.

– Czasami – przyznał Dom z uśmiechem. – Ale powiem ci jedno: skończyły się czasy łatwego zarobku. Coraz trudniej zdobyć czyste pieniądze, a brudne pieniądze robią się coraz brudniejsze. Przeciętny klient ma coraz większe kłopoty.

– Jasne. – Wykład socjologiczny w wykonaniu handlarza narkotyków, pomyślał Carlyle. Tego mi właśnie trzeba.

– Zastanów się nad tym. To już nie te czasy, kiedy kupiłeś dom w Londynie, patrzyłeś, jak cena rośnie z miesiąca na miesiąc, i myślałeś, że jesteś jakimś pieprzonym Warrenem Buffettem. Czeka nas trudny okres, strajki robotników, bezrobocie, stagflacja – wracamy do lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Pamiętasz je?

O tak, aż za dobrze.

Dom zaczął jeden z monologów, które doskonalił przez lata:

– Wracamy do czasów przerw w zasilaniu i Frontu Narodowego, a raczej cholernej Brytyjskiej Partii Narodowej. Do czasów kredytów dla wybrańców i wakacji w Szkocji, a nie na Jamajce.

Carlyle, który od urodzin Alice nie wyjeżdżał na wakacje dalej niż do Brighton, nie skomentował tych słów. Dom prawdopodobnie wydawał na wakacyjne wyjazdy więcej, niż

wynosiła jego roczna pensja.

– Wkrótce zabraknie nam też energii – rozpędał się Dominic. – Zamykamy stare elektrownie, a nie zbudowaliśmy nowych. Przerwy w dostawach prądu, zamykanie metra, redukcja usług szpitalnych, trzy dni pracy w tygodniu, Alice odrabiająca lekcje przy świeczce – to wszystko nas czeka.

– Może.

– Żadne może, stary. Cywilizacja potrzebuje elektryczności. Bez niej zostaje tylko chaos i anarchia. Nie chciałbym utknąć na ostatnim piętrze twojego bloku, kiedy zabraknie prądu.

– Dzięki za dobre słowo.

– Masz broń?

– Chyba żartujesz.

– Nie wykluczałbym takiej możliwości. – Dom się uśmiechnął. – Mamy poważne, naprawdę poważne kłopoty. Historia powtarza się w coraz krótszych cyklach. Brudny kapitalizm wymyka się spod kontroli. Rosjanie znów napadają na inne kraje. Zrobili nawet remake *Powrotu do Brideshead*. Co gorsza, ta banda idiotów z prywatnych szkół wkrótce będzie rządzić naszym krajem, albo próbować rządzić.

– Helen chce, żebym ją zabrał na *Baader-Meinhof* – wyznał ponuro Carlyle. Nie mógł zrozumieć, dlaczego jego żona chce poświęcić dwie godziny na oglądanie filmu o niemieckich terrorystach. Może budzi jakieś wspomnienia z jej lewackiej przeszłości?

– Świetny film na randkę. – Dominic zachichotał, a potem obdarzył go swoim charakterystycznym uśmiechem z dawnych lat. Zdarzało mu się to coraz rzadziej, a i same uśmiechy nie miały już takiej mocy jak kiedyś, ale ten był całkiem przyzwoity. – Człowiek może przynajmniej z przyjemnością wspominać stare czasy, co? Dopóki nie puszczają pieprzonego Spandau Ballet.

Yulexis Monagas, która klęczała przed Xavierem Carltonem w głównej siedzibie partii, wyjęła z ust jego penis i zaczęła go delikatnie drażnić czubkiem paznokcia.

Xavier jęknął z rozkoszy i zaskoczenia, a po chwili zadygotał, zbliżając się do kulminacji.

Yulexis zwolniła uścisk i odsunęła głowę z linii ognia. Podniosła wzrok na swojego szefa.

– Xavier? – powiedziała cicho.

– Tak? – wydyszał.

– Xavier... jestem w ciąży.

Xavier otworzył szerzej oczy, ale nie był w stanie nic powiedzieć, gdy strumień spermy przeleciał obok jej lewego ucha.

Yulexis odsunęła się szybko i podała mu mały ręcznik.

– Jestem w ciąży.

Ściągnął brwi, jakby nie mógł w to uwierzyć.

– Już prawie dwudziesty tydzień.

– Dwudziesty tydzień? – parsknął Xavier. Wydawało mu się, że to całkiem sporo.

Zmierzył ją spojrzeniem i poczuł, jak znów twardnieje. Czy nie powinien był wyczuć czegoś takiego? Wcale się nie zmieniła. Wytarł się szybko i przez kilka sekund zmagął z pokusą, potem jednak zasunął rozporek.

– Jesteś pewna, że to moje?

Dziewczyna zapinała bluzkę, tłumiąc płacz.

– Oczywiście, że twoje. A czyje by mogło być?

– Nie martw się – odparł bez troski. – Załatwimy to. Znam dobrego specjalistę na Harley Street.

– Co masz na myśli? – spytała Yulexis, cofając się o krok.

Xavier zaczął podejrzewać, że dziewczyna jest trochę tępa.

– Przecież nie możesz urodzić tego dziecka, to oczywiste.

– Xavier! Już za późno na aborcję. Poza tym nie chcę go usuwać.

Grymas, który pojawił się na jego twarzy, przyprawił ją o dreszcz. Potem jednak zdobył się na uśmiech. Mało przekonujący, ale jednak. Położył dłonie na jej ramionach, przyciągnął do siebie i pocałował w czoło.

– Nie martw się – powiedział. – Załatwię ci wizytę.

24

Harry Allen minął opuszczony posterunek celny i wszedł do hali przylotów. Powiódł spojrzeniem po tabliczkach, które trzymali taksówkarze, a gdy znalazł swoje nazwisko, skinął głową na taksówkarza, wręczył mu torbę i poszedł za nim do samochodu. Usiadł na tylnym fotelu, sięgnął do kieszeni i uświadomił sobie, że zostawił komórkę w torbie, która leżała teraz w bagażniku. Zaklął cicho pod nosem, zastanawiając się, czy powinien wysiąść i wyjąć telefon. W końcu dał za wygraną. W samolocie wypił pół butelki wina i zrobił się senny, a poza tym za godzinę i tak będzie w domu. Nie miał żadnych ważnych spraw, które nie mogłyby poczekać.

Gdy włączali się powoli do ruchu, Allen uchylił okno. Choć raz pogoda była ładna, ale to tylko jeszcze bardziej go przygnębiło. Londyn jest stworzony do brzydkiej pogody. Gdy tylko wychodzi słońce, człowiek myśli o tym, że powinien być gdzie indziej. Zamknął oczy, próbując odciąć się od hałasu ulicy, i zaczął planować następną podróż.

Gdy się obudził, taksówka stała. Powoli otworzył oczy, ziewnął i przeciągnął się. Był dziwnie zeszywniały, bolały go nogi i czuł suchość w gardle. Od dusznego powietrza kręciło mu się w głowie. Sięgnął do klamki i próbował otworzyć drzwi. Były zamknięte.

– Halo? – powiedział słabo, sam ledwie siebie słysząc.

Gdzie jest kierowca?

I gdzie właściwie jest on sam?

Przysłonił dłonią oczy i rozejrzał się. Samochód stał na poboczu jednopasmowej drogi pośrodku pustkowia, które ciągnęło się, jak okiem sięgnąć. W oddali widać było słupy trakcji elektrycznej. Po prawej, niemal na linii horyzontu, przejeżdżał pociąg towarowy. W górze przemknął odrzutowiec podchodzący do lądowania.

Allen natychmiast oprzytomniał. Czuł, że serce wali mu jak młotem. Próbował otworzyć drzwi, ale bez skutku. Zaczął walić w szybę.

– Halo! HALO!

Aż podskoczył, gdy nagle rozległ się krótki pisk, a drzwi otworzyły się z trzaskiem. Przez sekundę siedział nieruchomo, po czym wygramolił się z samochodu. Oparł ręce na biodrach i odetchnął głęboko kilka razy. Poczul się nieco lepiej, ruszył więc w stronę torów, z dala od drogi. Utrzymywał stałe tempo, nie tracąc sił na bieg.

Kilka minut później usłyszał pomruk silnika samochodu i poczuł, jak włosy stają mu dęba. Poderwał się do biegu, ale niemal natychmiast zabrakło mu tchu. Przeklął w duchu swoje lenistwo, przez które od lat nie uprawiał żadnego sportu. Słyszał, jak samochód podskakuje na nierównym gruncie, i pomimo palącego bólu w piersiach przyspieszył kroku. Auto dogoniło go jednak w ciągu kilku sekund. Kiedy wyczuł je tuż za sobą, w końcu obejrzał się przez ramię – w tej samej chwili odbił się od maski, poleciał w górę i runął bezwładnie na ziemię.

Wypluł krew i jęknął głośno. Przetoczył się na plecy i próbował wstać, opadł jednak w piach. Spojrzał przez łzy na niebo. Strasznie bolała go lewa noga. Domyślił się, że jest złamana, nim jeszcze zobaczył kość, która przebiła się przez skórę. Bardziej przerażały go jednak kroki, które słyszał za sobą. Odwrócił głowę i zobaczył brudne adidasy, które zatrzymały się kilkanaście centymetrów od jego głowy. Podniósł wzrok, lecz w oślepiającym blasku słońca widział jedynie sylwetkę człowieka, który trzymał w ręku jakiś błyszczący przedmiot.

– Kim jesteś? – wychrypiał Allen.

– O mnie się nie martw. – Mroczna sylwetka pochyliła się nad nim i pokazała mu nóż. – Martw się lepiej tym.

Allen czuł, jak czubek buta wbija się w jego bok i przewraca go na brzuch. Jego usta i nos wypełniły brudny piach i żwir. Zapłakał jak dziecko, gdy uświadomił sobie, że tak właśnie będzie wyglądał, gdy go znajdą.

Upokorzony.

Zmasakrowany.

Zhańbiony.

– Nie rób mi krzywdy – skamlał. – Proszę.

– Wszyscy jesteście tacy sami – burknął cień. – Przestań jęczeć. Mam mało czasu. To nie potrwa długo.

25

Trzy dni przed wyborami Carlyle przeczytał w gazecie, że Edgar Carlton organizuje konferencję prasową, by omówić politykę społeczną swojej partii. Choć przewaga złotych bliźniaków malała z dnia na dzień, wszystko wskazywało na to, że przeciwnicy nie wydrą im zwycięstwa. Konferencja miała się rozpocząć o dziesiątej rano w budynku Royal Academy of Engineering, w pobliżu St. Jame's Park. Joe Szyszkowski pojechał do Cambridge na spotkanie z bratem Clementa Hawleya, Carlyle postanowił więc, że poczeka na konferencję w parku, z kubkiem kawy i nowym numerem „Timesa”.

Był piękny słoneczny poranek. Temperatura nie przekroczyła jeszcze piętnastu lub szesnastu stopni, więc powietrze był przyjemnie rześkie. Siedział na ławce, w połowie drogi między pałacem Buckingham i Downing Street, i przyglądał się ludziom, którzy załatwiali swoje sprawy, podczas gdy on cieszył się krótką chwilą swobody. Nie czuł się może szczęśliwy, ale z pewnością wypełniały go pozytywne wibracje. Sprawy posuwały się do przodu. Śmierć Harry'ego Allena była kolejnym ciosem dla śledztwa, choć nie tak dotkliwym jak dla samego Allena. Biedny dureń powinien skontaktować się ze mną wcześniej, pomyślał Carlyle. Ale jego śmierć dowodziła przynajmniej, że gra wciąż się toczy, a to umacniało inspektora w przekonaniu, że w końcu dopadną mordercę.

Na myśl o Allenie sięgnął po telefon i skasował wiadomość głosową, którą od niego otrzymał. Lepiej jej się pozbyć, niż później narażać na oskarżenia o zaniedbanie tak ważnej sprawy. Poniewczasie Carlyle zrozumiał, że powinien był wytropić Allena, kiedy ten był jeszcze za granicą, a nie czekać, aż wróci do Londynu. Nie chciał, by Simpson czy ktokolwiek inny wykorzystał ten błąd przeciwko niemu.

Przy okazji zauważył, że nie odebrał trzech kolejnych połączeń. Kiedy się to stało? Jak to możliwe, że nie słyszał tego cholernego dzwonka? Ktoś zostawił mu też wiadomość na poczcie głosowej, ale na razie nie zamierzał jej odsłuchiwać. Był pewny, że to Simpson, a nie chciał z nią rozmawiać przed spotkaniem z Carltonem. Zadzwoił jednak do domu i przekazał Helen najświeższe informacje.

– Wygląda na to, że ciągle za nim nie nadążasz – powiedziała, drocząc się z mężem.
– Wiem. – Carlyle się roześmiał. – Ale teraz przynajmniej mogę ruszyć sprawę z miejsca.
– Pewnie będziesz teraz bardzo zajęty.
– Zobaczmy – odparł, patrząc na kaczkę, która dreptała w jego stronę. Zatrzymała się jakieś pół metra od ławki i spojrzała na niego wyczekująco. Kiedy nie dał jej nic do jedzenia, odwróciła się i poszła tam, skąd przyszła.
– Bądź ostrożny – dodała Helen.
– Jasne.
– Mówię poważnie. Wiesz, że nie masz do czynienia z normalnymi ludźmi.
– Zawsze tak jest.
– Wiem, ale to drugi kraniec spektrum. Zwykle zadajesz się z najgorszymi szumowinami, ale to coś zupełnie innego.
– Chcesz powiedzieć, że to dla mnie za wysokie progi?
– Tak.
– Dziękuję ci bardzo – odpowiedział z udawanym oburzeniem.
– Nie wygłupiaj się, dobrze wiesz, że nie chodzi o ciebie, tylko o nich. Nie zadzieraj z nimi.

– Ja? Nigdy!
Helen westchnęła ciężko.
– Nigdy nie zmądrzejesz, co? Uważaj na nich, proszę. I powodzenia. Muszę już iść, odprowadzić Alice do szkoły. Pogadamy później.

– Ucałuj ją ode mnie. I powiedz jej, że niedługo ja ją odprowadzę.
Zakończywszy rozmowę, Carlyle przejrzał ostatnie strony dziennika, szukając jakichś przyzwoitych wiadomości piłkarskich. Nie znalazł niczego ciekawego, więc zwinął gazetę w rulon i rzucił na sąsiednią ławkę. Potem sprawdził pocztę elektroniczną, ale i tam nie było nic godnego uwagi, więc sięgnął po prywatną komórkę. Znalazł informację o kolejnych nieodebranych połączeniach i jeszcze jedną wiadomość na poczcie głosowej, nagraną o dwudziestej trzydziści. Tym razem ją odsłuchał.

Wiadomość od Dominica Silvera była krótka i rzeczowa: „Dlaczego nie powiedziałeś mi o klubie Merrion? Oddzwoni”.

– A jak myślisz? – mruknął do siebie Carlyle. Schował telefon do kieszeni marynarki. Tę rozmowę też zamierzał odbyć dopiero po konferencji prasowej. Ziewając szeroko, wstał z ławki i przeciągnął się. Była już ósma dwadzieścia, więc godzina szczytu zaczęła się na dobre. W parku zaroilo się od ludzi, którzy wykorzystywali tę trasę jako miły skrót w drodze do pracy. Carlyle wziął z ławki gazetę i wrzucił ją do kosza.

A potem poszedł na spotkanie z panem Carltonem.

Wszyscy lubią zwycięzców, więc sala w Royal Academy of Engineering pękała w szwach. Carlyle pomyślał, że Simpson oddałaby wszystko za taki tłum. Na konferencję przybyło kilkanaście ekip telewizyjnych i ponad stu dziennikarzy, którzy chcieli posłuchać, jak Edgar Carlton zamierza uzdrowić „pęknięte społeczeństwo” Wielkiej Brytanii.

Czekając na koniec konferencji, Carlyle siedział cicho z tyłu sali i grał w BrickBreaker na blackberry. Mniej więcej po dwudziestu minutach dziennikarze zaczęli zadawać pytania. Po kolejnych dziesięciu rzecznik Carltona zakończył konferencję. Dziennikarze natychmiast oblegli Carltona, by po raz kolejny zadać mu te same pytania.

Carlyle również przeszedł na przód sali. Przyglądał się właśnie seksownej niemieckiej dziennikarce, gdy ktoś położył mu rękę na ramieniu.

– Dzień dobry, panie inspektorze – powiedziała Rosanna Snowdon. – Miło znów pana widzieć.

– Ee... tak. Panią też.

– Nie oddzwonił pan do mnie. – Uśmiechnęła się słodko.

Carlyle postanowił udawać, że nie wie, o co chodzi.

– Słucham?

– Zostawiłam trzy albo cztery wiadomości na pańskiej poczcie.

Trzy albo cztery? Pamiętał tylko jedną.

– Nie odpowiedział pan na nie – dodała Snowdon, lekko nadąsana.

Zrobił to celowo, czy po prostu zapomniał? Nie pamiętał.

– Przepraszam.

– Nieważne – odparła z uśmiechem, łaskawie mu wybacząc. – Nawet nie pamiętam, czego te wiadomości dotyczyły.

Uznał to za kłamstwo. Rosanna Snowdon nie wyglądała na kobietę, która zapomina o czymkolwiek.

– Może Iana Blake'a?

– Kogo?

Daj spokój, pomyślał.

– Człowieka, którego zamordowano w hotelu Garden – przypomniał jej Carlyle. –

Przyszła pani na naszą konferencję prasową, choć u nas nie było takich tłumów – dodał, wskazując dziennikarzy.

– Ach tak. Komisarz Simpson. Kobieta godna podziwu. Na pewno cieszy się pan, że z nią pracuje.

Carlyle milczał.

– A co właściwie pana tutaj sprowadza? – Snowdon zmieniła temat.

Carlyle pomyślał, że nie ma sensu jej okłamywać.

– Chcę zamienić kilka słów z panem Carltonem.

Snowdon obdarzyła go niepokojącym uśmiechem.

– Ach, zapewne zamierza pan z nim porozmawiać o Klubie Merrion.

Na widok skonsternowanej miny inspektora przestała się uśmiechać i położyła wypielęgnowaną dłoń na jego ramieniu.

– Proszę się nie obawiać, inspektorze, nie pisnę ani słowa. Pani komisarz trzyma wszystko w garści, a skoro gazety nie poruszają tego tematu, to i my będziemy trzymali się od tego z daleka. Nie chcemy niepotrzebnie wdawać się w konflikt, a Edgar nie potrzebuje teraz takiego rozgłosu. Jak idzie śledztwo?

– Jakoś idzie – odparł szorstko Carlyle, który nie potrafił zdobyć się na uśmiech.

Rozejrzał się po sali. Dziennikarze powoli się rozchodzili, co oznaczało, że Carlton również wkrótce wyjdzie. Carlyle musiał korzystać z okazji, póki mógł.

– Dziwię się, że do tej pory nie udało się panu porozmawiać z Edgarem – rzekła Snowdon.

Carlyle milczał.

– Proszę iść ze mną – powiedziała, biorąc go pod rękę. – Przedstawię pana.

Rzecznik premiera po raz kolejny próbował zakończyć konferencję:

– To wszystko na dzisiaj. Dziękuję wszystkim za przybycie. Jeśli mają państwo jeszcze jakieś pytania, proszę dzwonić do biura prasowego.

Jednak dziennikarze go zignorowali i nadal zasypywali jego szefa pytaniami.

Rosanna precyzyjnie się między kilkoma kamerzystami i stanęła przed Carltonem.

– Edgarze! – zawołała, zręcznie zachodząc drogę niemieckiej reporterce i całując Carltona w policzek.

– Rosanna! Miło cię widzieć – odpowiedział Edgar serdecznie, całując ją w oba policzki.

Carlyle zauważył z rozbawieniem, że złapał ją przy tym za pupę.

– Dobrze ci dzisiaj poszło.

– Dziękuję. – Edgar zerknął na Carlyle’a, który stał obok Snowdon niczym zagubiony uczeń, po czym bez pośpiechu zdjął rękę z jej tyłka. – Potrzebujesz wywiadu?

– Nie. Wykorzystam chyba ten fragment, w którym mówisz o „żelaznej woli naprawy zawiedzionych nadziei i niespełnionych marzeń tego pokolenia”.

– Bardzo dobrze.

Snowdon wzięła Carlyle’a za ramię i przyciągnęła go do siebie.

– Chciałam ci przedstawić mojego znajomego. – Odsunęła się o krok. – Edgarze, poznaj inspektora Johna Carlyle’a.

Dziennikarka odwróciła się w tym momencie do policjanta, więc nie zauważyła posępnego grymasu, który przemknął przez twarz Carltona. Trwało to tylko ułamek sekundy, ale nie uszło uwagi Carlyle’a. Przyjemnie być mile widzianym gościem, pomyślał. Miał ochotę ostentacyjnie wyciągnąć odznakę i pochwalić się nią przed dziennikarzami, oparł się jednak pokusie.

– Inspektor prowadzi śledztwo w sprawie Iana Blake’a – wyjaśniła Rosanna.

– Straszliwa tragedia. – Carlton westchnął.

– Zastanawiałem się, czy mógłbym zamienić z panem kilka słów – powiedział Carlyle z uśmiechem.

– Oczywiście – odparł Carlton, również się uśmiechając.

– Chciałem tylko spytać...

Polityk podniósł rękę.

– Będziemy musieli z tym poczekać. Obawiam się, że teraz to niemożliwe. I tak jestem już spóźniony, a czeka mnie jeszcze dzisiaj mnóstwo pracy.

– Wystarczy tylko kilka minut. Byłbym naprawdę wdzięczny – nalegał Carlyle.

Carlton wskazał rzeczownika, który zdążył już wyprosić z sali wszystkich dziennikarzy.

– Proszę porozmawiać z panem Murrayem, na pewno znajdzie jakiś termin. Dziś naprawdę jestem bardzo zajęty, ale William umówi pana jeszcze w tym tygodniu.

– Cóż... – zaczął Carlyle, ale Carlton już się od niego odwrócił. Najwyraźniej policjant przestał dla niego istnieć.

– Chodź, Rosanno – powiedział, biorąc dziennikarkę pod rękę. – Odprowadzisz mnie na następne spotkanie.

– Do zobaczenia, inspektorze – rzuciła Snowdon przez ramię.

Kiedy poszli, Carlyle odwrócił się do rzeczownika. Wyglądał na jakieś dwanaście lat i miał minę, która sugerowała jednoznacznie, że Carlyle jest tutaj równie mile widziany, jak psie gówno na jego wypolerowanych butach.

– William Murray – powiedział, podając mu wiotką dłoń. – Jestem jednym ze specjalnych doradców pana Carltona.

– A co to znaczy? – spytał Carlyle.

– Słucham?

– Co pan właściwie robi?

– Doradzam – odparł chłopak, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie.

- W jakich sprawach?
- Bieżących.

Carlyle zgrzytnął zębami i pomyślał, że musi jak najszybciej wyjść z sali, zanim udusi tego gnojka. Skup się na pracy, przykazał sobie w duchu. Oddychaj. Zachowaj spokój. Nie pozwól, żeby ten dupek cię sprowokował.

- Kiedy więc będę mógł zająć panu Carltonowi dziesięć minut?
- Nie wiem – prychnął Murray.
- Ale...

– Będę musiał skonsultować się z asystentką, która prowadzi terminarz Edgara. Potem skontaktuję się z panem.

Carlyle wręczył Murrayowi swoją wizytówkę.

- Moja szefowa mówiła, że mogę liczyć na pełną współpracę pana Carltona.

Murray obrócił wizytówkę w rękę, po czym schował ją do kieszeni.

– Może pan być pewny, że tak właśnie będzie. Współpraca z policją to jeden z naszych priorytetów.

Dobrze, że to sobie wyjaśniliśmy, pomyślał Carlyle.

- Proszę poinformować mnie o terminie spotkania, gdy tylko będzie to możliwe.
- Oczywiście. Ale proszę pamiętać, że za trzy dni mamy wybory.

Carlyle był pewny, że Murray również da mu swoją wizytówkę, ale się zawiódł.

– To rutynowa procedura – wyjaśnił. – Ale ważna. Zginęli ludzie. To jest śledztwo w sprawie morderstw. Muszę wykonać swoją pracę, tak samo jak pan swoją. I jak pan Carlton. Jeśli będzie pan opóźniał to spotkanie, narobię sporego zamieszania.

– Sporego zamieszania, inspektorze? – Murray uśmiechnął się znacząco. – Wolelibyśmy tego uniknąć. Zdecydowanie.

– To dobrze – mruknął Carlyle, nie wiedząc, co innego mógłby w tej sytuacji powiedzieć.

– Proszę się nie obawiać – dorzucił Murray. – Będziemy w kontakcie.

Po tych słowach, wyszedł z sali i zostawił Carlyle'a samego.

Podczas gdy Carlton i jego rzecznik spławiali Carlyle'a w Londynie, Joe Szyszkowski siedział przy filiżance herbaty z Paulem Hawleyem, wykładowcą historii średniowiecza na Uniwersytecie Cambridge. Spotkali się w kawiarni Starbucks przy Vimeiro Road, w centrum miasta. O tej porze było tu niewielu gości, więc udało im się znaleźć bardzo wygodne fotele przy oknie z widokiem na imponującą bramę Wellesley College. Zaczęły się już letnie wakacje, więc uczelnia wyglądała na opustoszałą.

Paul Hawley wyglądał jak nieco bardziej zmęczona życiem, lecz przyjaźniejsza wersja Clementa. Jego włosy przetykane były pasmami siwizny, nad czołem pojawiły się niewielkie zakola. Miał kilkunniowy zarost i wyglądał, jakby nie spał od miesiąca. Może to ten remont, zastanawiał się Joe. Albo dziewczyna z Serbii.

Paul upił łyk czarnej herbaty.

– Skąd pan zna Clementa, sierżancie?

– Utrzymujemy z nim kontakty zawodowe – odparł Joe. – Od czasu do czasu.

– Jak to?

– Proszę się nie obawiać, nie chodzi o niego. – Sierżant powąchał swoją herbatę Zen – „mieszankę najlepszych gatunków zielonej herbaty, mięty i trawy cytrynowej, która odpręża i uspokaja” – zastanawiając się, czy powinien był jednak zamówić mochę z cynamonem.

– Bogu dzięki.
– Radzi sobie chyba całkiem nieźle – stwierdził Joe – choć wybrał naprawdę trudną branżę.
– Owszem. Niedługo będę miał okazję z nim pogadać. Wybiera się tutaj w przyszłym tygodniu.
– To miło z jego strony.
– No dobrze. – Hawley poprawił się w fotelu, nieco spokojniejszy. – Jak więc mogę panu pomóc?

Joe pochylił się do przodu.
– Chciałbym porozmawiać z panem o klubie Merrion.
– O czym tu rozmawiać? – Paul wzruszył ramionami. – Banda bogatych dzieciaków, którym brakuje rozumu i dobrych manier. Są jak klony lorda Snooty’ego[5], pojawiają się tutaj co roku. – Hawley westchnął teatralnie. Było to westchnienie człowieka, który przez większość ostatnich dwóch dekad zajmował się pisaniem pracy doktorskiej o problemach alkoholowych w średniowieczu. – Zawsze tak było.
– Zna pan któregoś z nich?
– Cóż, zasadniczo w tej chwili klub nie istnieje. Ostatnia grupa samców alfa wstąpiła do wojska albo zarabia miliony w City. Ci, którzy zostali, wrócą tu po wakacjach i zajmą się naborem nowych członków.
– Uczył pan któregoś z nich?
– Jako doktorant prowadziłem przez kilka lat kursy wprowadzające. Kilku z nich chodziło na moje zajęcia, ale niewielu, dwóch lub trzech. Historia średniowiecza nie jest przedmiotem, który mógłby zainteresować tych chłopców. – Zamilkł na sekundę, a potem uśmiechnął się drwiąco. – Właściwie chyba nie ma przedmiotów, które mogłyby ich zainteresować.

Joe pokiwał ze współczuciem głową, choć przede wszystkim było mu żal samego siebie. Zastanawiał się, czy Paul Hawley potrafi choć czasem trzymać się tematu. Jego wykłady musiały być nudne jak flaki z olejem.

– W ciągu ostatnich dziesięciu lat podwoiła się liczba absolwentów, których co roku wypuszczają uczelnie w naszym kraju, ale środowisko akademickie nadal pozostaje ostoją bogatych tępych ludzi – mówił Hawley z oburzeniem. – Ludzie tacy jak ja są tylko utrapieniem, które przez przypadek pojawiło się w systemie.

Joe wskazał na college po drugiej stronie ulicy.
– Klub zawsze mieścił się tutaj?
– Tak, zawsze w Wellesley. To najbardziej elitarny klub na najbardziej elitarnej uczelni. Wszyscy ważniejsi członkowie studiują tutaj. Czasami przyjmują ludzi z zewnątrz, ale rzadko.
Jak na razie Joe nie dowiedział się zbyt dużo za trzydzieści pięć funtów, które wydał na bilet do Cambridge.

– W jakie skandale byli zamieszani?
– Członkowie klubu nigdy nie wywołują skandali. Na tym to właśnie polega. To, co w naszym przypadku uznano by za skandaliczne, dla nich jest normą. Temu służy ten klub. Pokazują w ten sposób, że oni nie muszą trzymać się reguł. Że reguły są dla innych. Jeśli nie potrafisz zirytować maluczkich, nie nadajesz się na członka klubu.
– Gdzie mogę znaleźć więcej informacji o klubie sprzed paru lat?
– A jakie lata pana interesują?
– Sam nie wiem – odparł niepewnie Joe, nie chcąc zdradzać zbyt wiele. Nawet pan

Średniowieczna Gorzałka mógł się zorientować, że byłych członków klubu Merriion dotknął prawdziwy pomór. Gdyby zaczął rozpuszczać plotki, prasa mogłaby się o wszystkim dowiedzieć. – Może siedemdziesiąte i osiemdziesiąte.

– Studenci wydają gazetę, nazywa się „Grantebrycge”.

– Jak?

– „Grantebrycge”. Tak nazywało się Cambridge w średniowieczu.

Hawley przeliterował nazwę, by Joe mógł ją zapisać w notesie.

– Gazeta wychodzi od czasów pierwszej wojny światowej, dwa razy w miesiącu, w trakcie roku akademickiego. Czy informacje, o które panu chodzi, są bardzo szczegółowe?

– Naprawdę nie wiem.

– Więc szuka pan trochę po omacku, tak? – Hawley się uśmiechnął. – Cóż, mimo wszystko może się panu poszczęścić. Pewna amerykańska firma internetowa zaczęła w zeszłym roku archiwizować ich zbiory w postaci cyfrowej, w ramach darmowej reklamy. Część numerów jest już pewnie w internecie, ale nie wiem, do którego doszli. – Wskazał ulicę. – Redakcja jest niedaleko stąd, ale nie mam pojęcia, czy teraz kogoś pan tam zastanie.

– Sprawdzę, dziękuję. – Joe po raz ostatni spojrział na herbatę Zen i postanowił jednak ją zostawić. – Gdyby coś jeszcze przyszło panu do głowy, proszę dać mi znać.

Redakcja „Grantebrycge” mieściła się w niewielkim budynku przypominającym sklep, w bocznej uliczce prowadzącej do stacji. W oknie znajdowała się kopia pierwszej strony ostatniego numeru, który wyszedł ponad miesiąc temu. Na górze widniał adres internetowy gazety, a poniżej artykuł o uniwersyteckich prostytutkach, zatytułowany *Studentki na sprzedaż*. Ponad połowę strony zajmowało zdjęcie posągowej blondynki ubranej właściwie tylko w bieliznę, która wysiadła z porsche. Zarówno jej twarz, jak i numery rejestracyjne zostały zamazane. Napis w górnym lewym rogu zdjęcia głosił: *Zdjęcie z udziałem modelki*. Joe zapisał adres internetowy i zanotował w głowie, by przy najbliższej okazji wejść na stronę gazety i przeczytać o „specjalnym śledztwie”, które według informacji z okładki miało się znaleźć na stronach czwartej i piątej. Przyniósł głowę do szyby i zajrzał do środka. Redakcja wydawała się pusta. Spróbował otworzyć drzwi, ale były zamknięte.

Gdy stał przed budynkiem i zastanawiał się, co ma teraz zrobić, zobaczył ładną blondynkę zmierzającą w jego kierunku. Z daleka przypominała modelkę ze zdjęcia, choć o tej porze po sennych ulicach Cambridge nie krążyli klienci w porsche.

W końcu postanowił zadzwonić do Carlyle’a, ale od razu łączył się z pocztą głosową, a nie chciał zostawiać wiadomości, w której przyznawałby się, że niczego właściwie nie znalazł. Miał tylko nadzieję, że inspektorowi poszło lepiej niż jemu.

Tymczasem blondynka dotarła do redakcji „Grantebrycge”. Ku zdumieniu Joego przystanąła i uśmiechnęła się do niego. Do tej pory raczej nie spotykał się z taką reakcją ładnych dziewczyn.

– Mogę panu w czymś pomóc? – spytała.

Joe mimowolnie wciągnął brzuch i wyprostował się. Wskazał okładkę wystawioną w oknie.

– Miałem nadzieję, że uda mi się porozmawiać z kimś o archiwalnych numerach.

– Można je znaleźć w internecie – odparła dziewczyna.

– Szukam naprawdę starych wydań, sprzed dwudziestu pięciu, może trzydziestu lat. Blondynka pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Jasne. Z czasów, kiedy był pan studentem, tak?

– Boże – jęknął sierżant. – Naprawdę tak staro wyglądam?

– Przepraszam. Wielu ludzi przychodzi tutaj i szuka starych numerów, żeby odświeżyć wspomnienia.

– Nie studiowałem na uniwersytecie – odrzekł Joe.

– Rozumiem.

– Ale gdybym studiował, nie byłoby to więcej niż dziesięć lat temu.

– Oczywiście – powiedziała dziewczyna z powątpiewaniem.

– A tak właściwie... – Joe dopiero teraz wyjaśnił, kim jest i czego potrzebuje.

– Ma pan szczęście – stwierdziła blondynka, przyjrzawszy się uważnie jego legitymacji.

– Właśnie dziś musiałam tu wpaść. To prawdopodobnie jedyna okazja w ciągu najbliższych dwóch miesięcy, żeby tu wejść.

Gdy otworzyła drzwi i zaprosiła go do środka, odwróciła się do Joego i zakomunikowała:

– A tak w ogóle, to nazywam się Sally McGurk. Studiuję księgowość i finanse, jestem też zastępcą redaktora naczelnego „Grantebrycge”.

– Księgowa i dziennikarka. – Joe się uśmiechnął. – Cóż za schizofreniczne połączenie.

– Chyba nietrudno się domyślić, na której ścieżce kariery chcą mnie widzieć rodzice.

– Nietrudno. Byłbym zachwycony, gdyby moje dzieciaki zostały księgowymi.

– A gdyby jednak wybrały dziennikarstwo?

– Chyba musiałbym je utopić w Tamizie.

Dziewczyna wyjęła z kieszeni pendrive’a i pomachała nim do Joego.

– Na razie spóźniam się dwa tygodnie z pracą magisterską.

– To duży problem?

– Niestety. – Westchnęła. – Musi mieć przynajmniej trzydzieści tysięcy słów i decyduje w jednej trzeciej o mojej końcowej ocenie. Muszę złożyć trzy kopie na biurku promotora najpóźniej jutro do dziesiątej, zanim wyjedzie na wakacje do Umbrii, a ja obleję.

– Rzeczywiście, kiepsko to wygląda.

– Nie jest tak źle. Muszę jeszcze popracować godzinę albo dwie, a potem mogę już drukować.

– Nie lepiej pójść do biblioteki?

– Za dużo znajomych. Zawsze ktoś chce wyciągnąć cię na kawę albo pogadać o tym, jakiego ma cudownego chłopaka.

– Jasne. – Joe pokiwał głową z udawanym zrozumieniem.

– Wiem, że tu mogę liczyć na ciszę i spokój. – Obdarzyła go kolejnym olśniewającym uśmiechem. – Przynajmniej dopóki pan się nie pojawił.

– Przepraszam.

– Nie ma problemu. – Wskazała komputer z tyłu pomieszczenia. – Proszę tam usiąść i włączyć komputer. Za chwilę do pana podejdę i spróbuję pomóc. Jakie lata pana interesują?

– Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden do osiemdziesiąt pięć. – Bracia Carltonowie studiowali w Cambridge do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, ale wolał zostawić sobie margines bezpieczeństwa, na wypadek gdyby zostali na uczelni trochę dłużej.

Sally stuknęła już w klawiaturę komputera stojącego przy drzwiach. Przerwała na moment i wyjaśniła:

– Nie wiem, czy mamy je już w systemie. Kiedy ostatnio się tym interesowałam, doszli do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego, ale to było parę miesięcy temu.

Joe odszukał po omacku włącznik i uruchomił komputer.

– Zawsze mogę po prostu przejrzeć same gazety, prawda?

– Tak – odparła, wpatrując się w monitor. – Ale tutaj ich nie ma. Niektóre są w

bibliotece, ale większość leży w magazynie gdzieś za miastem. To mogłoby trochę potrwać.

Ostatecznie przeszukiwanie starych numerów okazało się znacznie łatwiejsze, niż Joe przypuszczał. Nie dość, że wszystkie wydania „Grantebrycge” aż do roku 1977 zostały już wprowadzone do systemu, to jeszcze dzięki doskonałej wyszukiwarce od razu wyodrębnił wszystkie artykuły odnoszące się do Carltonów i klubu Merrion. Jednak po godzinie przeglądania tekstów o szalonych popijawach, demolowaniu restauracji, sikaniu na ulicach i innych wybrykach Joe czuł coraz większe znużenie i obawę, że wcale nie posuwa się do przodu.

– Jak idzie? – spytała Sally, z którą był już po imieniu. – Ja niedługo skończę.

– W porządku. – Joe przetarł oczy, czytając artykuł z kwietnia 1985 roku zatytułowany *Czy uda się ożywić legendę Merrion?* Bez przekonania zanotował nazwiska następców Edgara Xaviera.

– Masz coś ciekawego?

– Nie za bardzo. – Joe odsunął się od komputera, poruszył ramionami i przeciągnął się. – Chyba dam sobie spokój. – Był głodny. Może powinien zaproponować coś Sally? – Napijesz się czegoś?

Dziewczyna wyłączyła komputer i przyjrzała mu się z rezerwą.

– Może kawy.

– Świetnie. – Joe przysunął się do biurka i sięgnął po myszkę, by zamknąć przeglądarkę.

Wtedy zauważył artykuł sąsiadujący z tym, który przed chwilą czytał.

– Gotowy?

– Jeszcze minutkę.

Podrapał się po brodzie i wbił wzrok w zdjęcie towarzyszące artykułowi. Potem otworzył szerzej oczy i pokręcił głową.

– A niech mnie...

– Co się stało? – spytała wystraszona Sally McGurk.

27

Miarowy brzęk metalu uderzającego o metal i postękiwania ćwiczących wybijały się ponad gwar wypełniający siłownię w Jubilee Hall, starym magazynie po południowej stronie placu Covent Garden. Zapach stawał się coraz bardziej intensywny, powoli zamieniał się w nieznośny fetor. Choć wszystkie okna były otwarte, w siłowni wciąż panował upał sięgający co najmniej trzydziestu stopni. Jednak to wszystko nie mogło zniechęcić Johna Carlyle’a. Podwójne espresso, które wypił dziesięć minut wcześniej, zaczynało już działać. Wilgotna koszulka przykleiła mu się do piersi, w dół kręgosłupa spływały krople potu. Wszedł na orbitrek Life Fitness, stojący obok ośmiu identycznych urządzeń, i sięgnął po iPoda. Był to prezent gwiazdkowy od Helen, który umiłał mu treningi i wciągnął w świat muzyki cyfrowej, dzięki czemu mógł wrócić do melodii z lat młodości, a czasem posłuchać też nowych utworów. Na siłowni nie kierował się sentymentami, liczyło się tylko to, czy muzyka go napędza. Przewinął kilka pozycji, aż trafił na piosenkę zespołu Stiff Little Fingers, która zawsze dodawała mu skrzydeł. Podkręcił dźwięk prawie do maksimum, by odciąć się od otoczenia. Po chwili jego umysł wypełnił utwór *Nobody’s Hero*. Zacisnął zęby i zaczął poruszać rytmicznie nogami. Teraz mógł wreszcie choć na chwilę oderwać się od sprawy Blake’a. Wyteżając wszystkie siły, czekał na zastrzyk endorfin, które oczyszczą i ożywią jego umysł.

Zachowanie Edgara Carltona bardzo go zirytowało. Co gorsza, specjalny doradca Carltona, William Murray, wciąż nie oddzwonił i nie podał mu terminu obiecanego spotkania. Zdaniem Carlyle’a obaj po prostu grali na czas. Po wyborach, kiedy już przejmą władzę w

państwie, bez trudu ukręca sprawie łeb.

– Gnoje! – warknął Carlyle, przyspieszając tempo. – Pierdolone gnoje!

Nie cierpiał, gdy zwodzili go ludzie, którym wydaje się, że stoją ponad prawem. Jeszcze bardziej nie lubił sytuacji, gdy nie mógł nic z tym zrobić.

Umyty i zrelaksowany, Carlyle wyszedł z szatni i natknął się na Joego, który popijał kawę w kawiarence przylegającej do siłowni.

– Helen powiedziała mi, że tu jesteś – wyjaśnił Joe. – Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale miałeś wyłączony telefon.

– Chcesz się jeszcze czegoś napić? – spytał Carlyle, kładąc torbę Adidasa obok witryny z odżywkami dla sportowców o nazwach w rodzaju Hurricane czy Scorpions Extreme.

– Nie, dzięki.

Carlyle przysunął sobie krzesło i spojrzał na menu dnia wypisane kredą na tablicy wiszącej nad kontuarem. Właściwie wcale nie musiał tam patrzeć – choć było to „menu dnia”, nie pamiętał, kiedy ostatnio się zmieniło. Zamówił sok pomarańczowy i wrap z humusem, a potem usiadł przy stoliku Joego. Minęła już pora największego obłożenia siłowni, a sala szybko pustoszała. Carlyle zauważył znanego aktora ćwiczącego z hantlami. Występował w filmie, który Helen przyniosła kilka tygodni temu. Carlyle zapomniał, o czym właściwie był ten film, nim jeszcze skończyły się wyświetlać napisy. Mężczyzna nosił bluzę z kapturem, czapkę baseballową i ciemne okulary, co zdaniem Carlyle’a było lekką przesadą. Choć ćwiczył bez przekonania, co chwila robiąc przerwy, starał się, by wszyscy zauważyli jego obecność.

– Dobrze było? – spytał Joe.

– Nieźle – wymamrotał Carlyle, dając mu do zrozumienia, że najpierw będzie jadł, a potem rozmawiał.

Na przeciwległej ścianie wisiały ulotki reklamujące różnego rodzaju zajęcia, od kendo, przez rosyjski fitness wojskowy (*Trenuj jak żołnierze Armii Czerwonej, pod okiem prawdziwych instruktorów Specnazu!*) po bikram jogę. Było tam też sporo ogłoszeń trenerów osobistych. Jedno z nich szczególnie go fascynowało i przerażało zarazem. *Nigdy nie jesteś za stary na kaloryfer*, głosił napis na ulotce, umieszczony nad szokującym czarno-białym zdjęciem uśmiechniętego sześćdziesięciolatka z perfekcyjnie wyrzeźbionym brzuchem. Nie po raz pierwszy Carlyle czuł zarazem podziw i przygnębienie.

Zmęczony i rozdrażniony, Joe nie zamierzał przejmować się tym, że jego szef nie ma teraz ochoty na rozmowę.

– Udało ci się pogadać z Carltonem? – spytał.

– Tak – odparł inspektor, nękany coraz dotkliwszym głodem. Miał nadzieję, że lada moment dostanie jedzenie. – Przez jakieś dziesięć sekund. Wielce szanowny pan poseł Edgar Carlton, lider opozycji, powiedział, że zaszczyci mnie swoją uwagą później.

– Kiedy?

Carlyle zrobił stoicką minę.

– Nie mam zielonego pojęcia.

Joe ściągnął brwi.

– Czy on zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji?

– Spytałbym raczej, czy go to obchodzi. – Carlyle wzruszył ramionami. – Ci ludzie uważają, że to nasz problem, nie ich. Mają inne priorytety.

– Przecież tu chodzi o wielokrotne morderstwo – powiedział sierżant sciszonym głosem.

Carlyle się rozejrzał. Aktor gawędził z jakimś sztangistą.

– Nie zauważyłem, żeby świat stanął w miejscu.

– Rozmawiałeś o tym z Simpsonem?

– Zostawiłem jej wiadomość, ale co ona może zrobić? Pewnie uważa, że pracuje dla nich, a my dla niej. Kto ma tu służyć komu? To jedna z tych sytuacji, kiedy mamy grzecznie siedzieć na tyłku i robić, co każą.

Endorfiny przestawały działać, a Carlyle poczuł nowy rodzaj zmęczenia – dobrego zmęczenia w rodzaju „umordowałem się i zrobiłem coś konkretnego”, ale jednak zmęczenia.

– A jak było w Cambridge?

Joe bez słowa wziął dwie kartki, które leżały na jego kolanach, i podał je inspektorowi. Na jednej z nich znajdowała się kopia zdjęcia, które widzieli wczesnym rankiem na parkingu Horseferry Road. Carlyle miał podobną kopię w kieszeni. Dostał ją e-mailem, tuż przed wyjściem z komisariatu, od Matta Parkina, sierżanta, który badał miejsce śmierci Nicholasa Hogartha. Na drugiej kartce znajdował się krótki artykuł prasowy, jedna kolumna umieszczona pod zdjęciem, nie więcej niż sto pięćdziesiąt słów. Carlyle przeczytał go szybko, spojrzał na Joego, i przeczytał tekst jeszcze raz, tym razem wolniej i uważniej.

Nim dotarł do końca, dostał zamówione jedzenie. Podziękował kelnerce, wypił połowę soku i wgrzył się we wrapa.

– To ten sam facet – zauważył Joe.

Carlyle przeżuł starannie i przełknął.

– Na to wygląda.

– Może to nawet przycięta wersja tego samego zdjęcia?

Carlyle przyjrzał się fotografii.

– Tak, to możliwe – przyznał. Fotografia z gazety przedstawiała ramiona i głowę mężczyzny z niebem w tle. Nie była może najlepszej jakości, ale wyglądała jak kopia zdjęcia, które znaleźli za wycieraczką samochodu Nicholasa Hogartha.

– Artykuł pochodzi z gazetki uniwersytetu Cambridge – tłumaczył Joe. – Z numeru, który wyszedł w kwietniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku, prawie rok po tym, jak nasi przyjaciele skończyli studia.

Aby udowodnić, że naprawdę jest pod wrażeniem pracy swojego sierżanta, Carlyle przeczytał artykuł po raz czwarty.

SAMOBÓJSTWO STUDENTA Rodzina i przyjaciele Roberta Ashtona wciąż nie mogą pogodzić się ze śmiercią tego sympatycznego studenta trzeciego roku prawa. Trzeciego marca dwudziestojednoletni Ashton wyskoczył z balkonu swojego pokoju na najwyższym piętrze akademika Darwin Hall. Jak podają media, później znaleziono list pożegnalny. Policja oświadczyła, że nie prowadzi dodatkowego śledztwa w sprawie tej tragedii. Przyjaciele Ashtona ze studiów byli zaszokowani tą straszną wiadomością. Niektórzy mówili, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy dziwnie się zachowywał, ale nie opuścił w tym czasie żadnych zajęć, a nauczyciele określali jego pracę jako „wybitną”. Rodzice chłopca wydali krótkie oświadczenie, mające upamiętnić ich „wspaniałego syna, który miał przed sobą całe życie”, dziękowali również wszystkim za wsparcie w tym trudnym okresie. Nabożeństwo żałobne odbędzie się drugiego maja o 16.30 w kościele pod wezwaniem św. Kentigerna przy Boot Street. Rodzina prosi, by nie przynosić kwiatów. Chętni mogą składać datki na rzecz fundacji walczącej z przemocą wobec dzieci. Carlyle odgryzł kolejny kęs wrapa, a gdy zobaczył, że właściwie niewiele już zostało, wpakował do ust wszystko.

– Raczej nie zdobędzie Nagrody Pulitzera, co?

Joe zignorował sarkastyczną uwagę szefa.

– Śledztwo zostało błyskawicznie zamknięte. Koroner orzekł, że Ashton „zabił się z

powodu zaburzeń psychicznych i emocjonalnych”.

– Standardowy werdykt – zauważył Carlyle. – Jaki to ma związek z Klubem Merrion?

– Nie wiemy. Nie wydaje się, żeby był członkiem, choć Paul Hawley powiedział, że czasami przyjmują też zwykłych śmiertelników.

– No właśnie. A jak tam Hawley?

– Niespecjalnie mi pomógł. To nudziarz, który ciągle zbacza z tematu. Ale to on powiedział mi o tej gazecie.

Carlyle zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Niedoszły prawnik o skłonnościach samobójczych to chyba nie najlepszy materiał na członka Merrion.

– Tak – zgodził się Joe. – Poza tym cała ta historia może być fałszywym tropem.

– Może, ale innego nie mamy. Wiemy o tym Ashtonie coś jeszcze, co mogłoby się nam przydać?

Joe pokręcił głową.

– Dziś nie znalazłem niczego więcej.

– Miał wcześniej jakieś problemy?

– Chyba nie. Na pewno nie z policją.

– A oceny na studiach?

– Jeszcze nie sprawdzałem. Ale sądząc po artykule, były dobre.

Carlyle dokończył sok, po czym postawił szklankę i talerz na kontuarze. Wciąż był głodny, zamówił więc jeszcze podwójne espresso i kawałek ciasta owocowego.

– Był jedynakiem – dodał Joe. – Wygląda na to, że jego rodzice nigdy się po tym nie otrząsnęli.

– Trudno im się dziwić.

– Rok później matka dostała wylewu, a ojciec przez długie lata walczył z rakiem. Zmarł w dziewięćdziesiątym siódmym roku.

– Biedak. – Carlyle westchnął, spoglądając na bardzo atrakcyjną rudowłosą kobietę, która zmierzała właśnie do wyjścia. – Szkoda faceta, naprawdę.

– Którego?

– Ojca. – Carlyle umilkł, gdy przyniesiono kawę i ciasto. Ugryzł kawałek i podjął: – Wyobraź sobie, że w tak krótkim odstępie czasu tracisz dziecko i żonę, a potem jeszcze dopada cię rak.

– Może to ze stresu?

– Całkiem możliwe – zgodził się z nim Carlyle, spoglądając z aprobatą na ciasto. Było ciemne, wilgotne i gęste, właśnie takie, jakie powinno być. Odłożył resztę na talerz, by nie zjeść wszystkiego od razu.

– Czego jeszcze dowiedziałeś się w Cambridge?

– To właściwie wszystko. – Patrząc, jak Carlyle opycha się ciastem, Joe poczuł głód.

Żona przysłała mu wcześniej SMS, że ugotowała curry z kurczaka. Miał nadzieję, że dzieciaki zostawiły mu choć trochę i chciał pojechać do domu, żeby się o tym przekonać. – Wszyscy wyjechali na wakacje. Wszędzie wiszą tabliczki „Wracamy za dwa miesiące”.

– Miejmy nadzieję, że znaleźliśmy tam wszystko, czego potrzebujemy – powiedział Carlyle, popijając kawę. – Dobra robota, Joe. To nie był zły dzień. – Wstał i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po portfel. – Chyba wiemy już, o kogo tu chodzi. Może jutro dowiemy się czegoś więcej.

– A może zabójca przyśle nam list, w którym wszystko wyjaśni – dodał z uśmiechem

Joe.

– Tak, jego pomoc byłaby nieoceniona – przyznał Carlyle. – Przecież to tylko dzięki niemu zrobiliśmy jakieś postępy w tej pieprzonej sprawie.

Carlyle właśnie mył zęby, gdy zadzwoniła jego komórka. Nie wyjmując szczoteczki z ust, wyszedł z łazienki i wziął aparat leżący przy łóżku. Nie sprawdziwszy nawet, kto dzwoni, odebrał.

– Tak?

– John? Mówi Carole Simpson. Przepraszam, że nie oddzwoniłam wcześniej. Ponad sześć godzin siedziałam na naradzie budżetowej.

– Jasne, nic się nie stało – odparł Carlyle, który zdążył wrócić do łazienki i odłożyć szczoteczkę.

– Jak wygląda nasze śledztwo?

Carlyle poinformował ją krótko o ostatnich wydarzeniach. Kiedy skończył, powiedziała:

– W końcu mamy jakieś postępy, dobra robota. Wygląda na to, że Joe Szyszkowski dobrze się spisał.

Szyszkowski? – pomyślał Carlyle. Ten łachudra, który udaje Polaka? A co ze mną? Ograniczył się jednak tylko do krótkiego:

– Dziękuję.

– I co zrobimy teraz?

Carlyle przysiadł na brzegu wanny.

– Bardzo zależy mi na rozmowie z Carltonami i Christianem Holyrodem, teraz jeszcze bardziej niż dotychczas. Wczoraj widziałem się przez moment z Edgarem Carltonem, ale nie udało mi się ustalić daty spotkania. Jeden z jego doradców, niejaki Murray, ma się ze mną skontaktować.

– Znam Williama Murraya. A właściwie spotkałam go kilka razy. Mój mąż mówi, że warto mu się przyglądać, bo to wschodząca gwiazda.

– Ktoś, kto odwała za swojego szefa brudną robotę?

– Ktoś, kto jest bardzo bystry i bardzo ciężko pracował, by dotrzeć do miejsca, w którym jest teraz – odparła ostro Simpson. – Podobno chodził do państwowej szkoły w jakiejś okropnej dzielnicy, a potem skończył politykę historyczną w Cambridge, i to z wyróżnieniem. To symbol bardziej proletariackiego, nieuprzywilejowanego skrzydła partii.

– Imponujące – mruknął Carlyle.

– Jutro porozmawiam z Murrayem albo z kimś z biura Edgara – oznajmiła stanowczo, ignorując uwagę inspektora. – To trwa zdecydowanie za długo. Chcę jak najszybciej załatwić tę sprawę.

– Dziękuję. – Carlyle był zaskoczony jej determinacją. Może i ona czuje presję?

– A na razie musimy zachować otwarty umysł. Być może okaże się, że klub Merrion nie miał z tym nic wspólnego. Kiedy już z nimi porozmawiasz, daj mi znać, jak poszło.

– Oczywiście.

Carlyle się rozłączył i wrócił do mycia zębów. Ledwie skończył, a jego komórka znów zadzwoniła.

– Inspektor Carlyle?

– Tak.

– Mówi William Murray.

Boże, tak szybko? – pomyślał Carlyle, zaskoczony. Przybierając oficjalny ton, spytał:

– Tak, panie Murray, co mogę dla pana zrobić?

– Czy jedenasta panu odpowiada?
– Jutro?
– Tak.
– Jak najbardziej. – Zaledwie dwa dni przed wyborami. Aż trudno uwierzyć.
– Doskonale. Spotkanie odbędzie się w biurze Badajoz Consulting, Half Moon Street sto trzydzieści dwa, tuż obok Piccadilly.
– Co to jest Badajoz Consulting?
– To... doradcy braci Carltonów.
– Myślałem, że to pańska rola.
W słuchawce na moment zapadła cisza.
– Inspektorze, jeśli ktoś przygotowuje się do rządzenia krajem, potrzebuje naprawdę wielu doradców.
– Z pewnością – zgodził się Carlyle.
– Half Moon Street sto trzydzieści dwa...
– Chwileczkę. – Carlyle wrócił do sypialni i wyjął długopis z kieszeni marynarki. –
Half...
– ...Moon Street.
– Mam. – Inspektor zanotował adres nad niedokończonym sudoku, które zostawiła przy łóżku Helen. – W takim razie do zobaczenia jutro.
– Będziemy na pana czekać, inspektorze.
Chwilę później, kiedy oboje leżeli już w łóżku, Carlyle powiedział żonie o spotkaniu z Carltonem.
– Ciekawe, jakie będziesz miał o nim zdanie – mruknęła Helen, zerkając na gazetę, bardziej zainteresowana sudoku niż jego pracą.
– Chyba już wyrobiłeś sobie zdanie na jego temat?
– Wiem – mruknęła, wpisując jakieś cyfry, a potem je skreślając. – Ale jak często masz okazję rozmawiać z kimś takim? Może jednak zobaczysz go w innym świetle.
– Wątpię.
– Czy nie powinienes zachować otwartego umysłu? Czy twoja praca nie polega na tym, żeby nie osądzać niczego z góry?
– Zobaczymy – odparł wymijająco.
– Aha, jeszcze jedno... – Helen odłożyła gazetę i zdjęła okulary. – Zapomniałam powiedzieć ci o tym wcześniej, ale rozmawiałam wczoraj z Evą.
Eva Hollander. Partnerka Dominica Silvera.
– Tak?
– zaproponowała, żebyśmy spotkali się kiedyś razem z dziećkami. Myślę, że to dobry pomysł. Alice będzie zachwycona.
– Zgadza się. – Carlyle wiedział, jak bardzo Helen martwi się o Alice, która jako jedynaczka nie ma zbyt wielu towarzyszy zabawy, szczególnie w czasie wakacji.
– Eva mówiła, że rozmawiałeś o tym z Domem – dodała Helen.
– Niezupełnie. Niedawno spotkałem się z nim w Soho na krótką rozmowę. Chodziło o interesy.
– A co on wie o Carltonach? – zdziwiła się Helen.
– Bardziej interesuje mnie, czego uda mu się o nich dowiedzieć.
– Cóż, może już się czegoś dowiedział – powiedziała Helen, wyłączając lampkę nocną po swojej stronie. – Eva mówiła, że próbuje cię złapać. Musisz do niego zadzwonić.

– Zrobię to.

Helen zanurkowała pod kołdrę.

Carlyle wyłączył swoją lampkę i siedział przez chwilę w ciemności.

28

O tym, że firma Badajoz Consulting ma siedzibę w tym budynku, informowała lśniąca mosiężna tabliczka przymocowana obok drzwi. Mieściły się tam biura różnych firm, o których Carlyle nawet nie słyszał, oraz sklepy sprzedające luksusowe towary, o których zdarzyło mu się już słyszeć. Badajoz, oferująca „rozwiązania biznesowe na miarę”, zajmowała trzy najwyższe piętra biurowca. Na samej górze Edgar i Xavier Carltonowie oraz Christian Holyrod już od godziny rozmawiali w zamkniętej sali posiedzeń, wciąż jednak nie doszli do żadnych wniosków. Na włoskim stole z ciemnego dębu stały puste filiżanki po kawie, szklanki i opróżnione do połowy butelki z gazowaną i niegazowaną wodą mineralną. Rolety były częściowo opuszczone, a klimatyzacja utrzymywała temperaturę na stałym poziomie dziewiętnastu stopni.

Bracia dyskutowali z burmistrzem o „ogólnej sytuacji” i zapewne dlatego wszyscy mieli dość kwaśne miny. Do wyborów zostały już tylko dwa dni, kampania wyborcza wciąż nie rozpadła się na dobre, a różnice w sondażach poparcia dla obu partii były coraz mniejsze. Wyglądało na to, że wyborcy nie za bardzo wiedzą, na kogo głosować. Po raz pierwszy jedna z gazet zastanawiała się, czy pewni zwycięstwa Carltonowie nie poniosą ostatecznie porażki. Tymczasem śledztwo wciąż było dalekie od zakończenia. Coraz bardziej obawiali się, że ta bomba wybuchnie tuż przed wyborami.

Christian Holyrod przechadzał się przed ogromnym sześćdziesięciocalowym telewizorem służącym do wideokonferencji, teraz wyłączonym. Kilka lat po odejściu ze służby burmistrz czuł się blady i rozdęty, wciąż nie mógł przywyknąć do garniturów za trzy tysiące funtów i włoskich butów za siedemset pięćdziesiąt. Nie podobała mu się również sala konferencyjna Badajoz. Przede wszystkim jednak był zły na siebie, że dał się wciągnąć w tę awanturę. Jego zdaniem nie miał nic wspólnego z tą historią. To nie był jego problem i nie zamierzał zbierać cięgów za nieszczęsnego brata Edgara.

Christian zawsze uważał, że Xavier tylko przysparza problemów, nie miałby więc nic przeciwko temu, gdyby wreszcie dostał nauczkę. Uśmiechnął się do siebie. Teraz jest politykiem. Zawodowym politykiem, tak jak kiedyś był zawodowym żołnierzem – kimś, kto widzi sprawy szerzej. Dobrze wiedział, że na dłuższą metę ta sytuacja może się okazać dla niego korzystna. Wszystko, co szkodzi Xavierowi, może ostatecznie doprowadzić do sytuacji, kiedy to on zajmie miejsce następcy Edgara. Jeszcze dziesięć lat i być może zostanie pierwszym od czasów Churchilla premierem z wojskową przeszłością. Drugi Winston Churchill! Tak, ta myśl rozpaliała wyobraźnię i sprawiała, że krew szybciej krążyła w żyłach.

Christian spojrzał na swoich towarzyszy broni.

– Zaczynamy – powiedział, wskazując drzwi. – Nie możemy trzymać ich tam bez końca.

– Tak – zgodził się Xavier. – Zróbmy to. Za godzinę mamy spotkanie. Z cholernym Instytutem Kobiet! – dodał, przewracając oczami.

– Dobrze. – Edgar odwrócił się do Williama Murraya, który krył się w cieniu. – Kiedy specjalny doradca wyszedł z sali, Carlton zwrócił się do pozostałej dwójki. – Zostawcie to mnie. Ja będę z nimi rozmawiał.

Dwie minuty później Carlyle i Joe Szyszkowski zostali wprowadzeni do sali. Zaoferowano im krzesła stojące najbliżej drzwi. Edgar Carlton zajął miejsce po lewej, u szczytu stołu. Murray natychmiast usiadł obok niego z długopisem i notesem, gotów robić notatki.

Xavier i Holyrod usadowili się kilka miejsc dalej, dokładnie naprzeciwko policjantów.

– Przepraszamy, że musieliście panowie czekać – zaczął Edgar, nalewając sobie gazowanej wody mineralnej. – Myślę, że znacie wszystkich, którzy siedzą przy tym stole, choćby ze słyszenia.

Carlyle skinął głową.

– To dobrze. – Edgar się uśmiechnął. – Pomyślałem też, że dobrze będzie, jeśli w tym spotkaniu weźmie udział szef naszej ochrony.

Skinął głową na Murraya, który wyszedł z sali i po chwili wrócił z innym mężczyzną.

Nowo przybyły bez słowa obszedł stół i opadł ciężko na krzesło obok Edgara Carltona. Czas stanął na moment w miejscu. Mężczyzna spojrzął na dwóch policjantów, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Carlyle potrzebował co najmniej kilku sekund, by pogodzić się z tym, co zobaczył. Nie widział mężczyzny siedzącego po drugiej stronie stołu od ponad dwudziestu pięciu lat. I wolałby nie patrzeć na niego w tej chwili.

Inspektor przygryzł policzek i odetchnął głęboko.

– Cześć, Trevorze.

Czas nie był łaskawy dla jego starego przeciwnika. Miał znużoną szarą twarz, wyłysiał i przytył. Wyglądał na dziesięć, może nawet piętnaście lat starszego, niż był w rzeczywistości. Lecz pod warstwą tłuszczu wciąż krył się ten sam nadąsany dzieciak. Przede wszystkim w jego oczach – były tak samo puste, ponure i niebezpieczne jak kiedyś.

Trevor Miller, który najwyraźniej nie czuł się dobrze w garniturze i krawacie, spojrzął na swojego szefa i odchrząknął.

– Oczywiście. – Edgar uśmiechnął się ciepło. – Panowie się znają.

– Tak, wiele razem przeszliśmy – odparł spokojnie Carlyle.

– To dobrze – stwierdził pogodnie Edgar. – Panie inspektorze, jesteśmy do pana usług. – Spojrzął na zegarek. – Mamy mało czasu. Jak możemy panu pomóc?

Carlyle spojrzął mu w oczy.

– Co może nam pan powiedzieć o Robertcie Ashtonie?

Edgar napił się wody i westchnął głęboko.

– To, co przydarzyło się Robertowi, było naprawdę tragiczne. Zawsze było w nim coś autodestrukcyjnego, ale nikt nie przypuszczał, że posunie się do samobójstwa. Nie zapomnę o tym do końca życia.

Dobrze przygotowany i odegrany wstęp, ocenił Carlyle. Cholerna Simpson! Wszystko im wypaplała. Spotkanie zapowiada się na farsę.

– Byłem na jego pogrzebie – dodał Edgar. – Christian również.

– Tak, czego podobnego nie da się zapomnieć – odezwał się Holyrod.

– Co wiązało go z klubem Merrion? – spytał Carlyle.

Edgar spojrzął na zebranych, a potem zwrócił się do inspektora:

– Był naszym znajomym. – Zrobił krótką pauzę. – Nie, był kimś więcej: przyjacielem.

Ale nie należał do klubu.

– Więc dlaczego po tylu latach członkowie Klubu Merrion giną jeden po drugim? – wtrącił się Joe. – I co to ma wspólnego z Robertem Ashtonem?

Carlyle spojrzął na Millera, ale ten wpatrywał się w przestrzeń.

Edgar uśmiechnął się szeroko.

– Mamy nadzieję, że to właśnie wyjaśni nam pan inspektor.

Carlyle spojrzął na zebranych.

Holyrod patrzył na ścianę ponad jego głową.

Xavier próbował ukryć pogardliwy uśmiezek.

Murray siedział z pochyloną głową i zapisywał coś w notesie.

– Proszę nam powiedzieć, panie inspektorze, jak idzie śledztwo? – poprosił Edgar.

– Robimy postępy – odparł spokojnie Carlyle. – Chciałbym jednak wiedzieć, czy ktoś może obwiniać wasz klub o śmierć Ashtona?

Edgar rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś miałby nas o to obwiniać. – Spojrzał na przyjaciół, którzy pokręcili w milczeniu głowami. – Robert popełnił samobójstwo. Taki był oficjalny werdykt, prawda?

Carlyle skinął głową.

– Kiedy Robert zginął, nas już od dawna nie było w Cambridge – tłumaczył Edgar. – Co nie znaczy, że przez to jego śmierć była dla nas mniejszym szokiem.

– A jednak zdarzyło się tam coś, co wraca do was prawie po trzydziestu latach – zauważył Carlton. – Może powiecie mi, co to było?

– Nie mamy pojęcia – odparł sztywno Edgar.

Xavier opuścił wzrok na stół.

– Co jeszcze możecie mi powiedzieć o Robercie Ashtonie? – indagował Carlyle. – Czy został kiedykolwiek... zraniony przez członków Klubu Merrion?

– Nie – odpowiedział Edgar bez wahania. – Nigdy.

– Nie jestem pewny, czy jesteście, panowie, wobec mnie szczerzy.

Miller jakby nagle się ocknął i zmierzył Carlyle'a gniewnym spojrzeniem, zachował jednak milczenie. Edgar pochylił się lekko do przodu, a jego czoło przecięła bruzda, pierwsza oznaka irytacji.

– Przykro mi to słyszeć, inspektorze. – Mówił powoli, starannie dobierając słowa. – Zapewniam pana, że służymy panu wszelką możliwą pomocą. Świadczy o tym choćby to, że tutaj jesteście.

Pozostali skinęli głowami.

To świadczy tylko o tym, że stracie w gacie ze strachu, pomyślał Carlyle.

– Tak, to rzeczywiście niezwykle cenne – przyznał. – Ale każdemu z was nadal grozi ogromne niebezpieczeństwo. Moim zadaniem jest was przed nim uchronić.

– Dziękujemy, inspektorze, ale ufamy naszej ochronie – odezwał się Xavier. – Pan Miller jest bardzo skrupulatny.

– Miło mi to słyszeć. – Carlyle spojrzał na Xaviera. – Ale to nie zmienia natury zadania, które stoi przede mną i sierżantem Szyszkowskim. – Odwrócił się do Edgara. – Zawsze będziemy brali pod uwagę różne możliwości. Wydaje się jednak, że Robert Ashton jest kluczową postacią całej tej historii. Coś musi go z tym wiązać i trudno mi uwierzyć, panowie, że nie wiecie, co by to mogło być.

Edgar zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Jesteśmy bezpośrednimi ludźmi, inspektorze. Co pan właściwie sugeruje? – Ściągnął brwi i odetchnął głęboko. – Uważa pan, że to jakaś... zмова milczenia? Jakiś spisek?

– Zwykle nie wierzę w spiski – odparł spokojnie Carlyle. – Ale wierzę w ludzką ułomność. Ludzie ciągle popełniają błędy. I w wielu przypadkach próbują je zatuszować. Wypadki się zdarzają. Czasem coś nie idzie zgodnie z planem. Ludzie dokonują złych wyborów. – Carlyle dla lepszego efektu zrobił krótką pauzę. – Wiem, że ta sprawa jest wyjątkowo delikatna i wyskoczyła w wyjątkowo niefortunnym momencie. Jak panowie dobrze wiecie, robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby utrzymać ją w tajemnicy. Nikt nie chce medialnego

cyrku.

– Za co jesteśmy wdzięczni – zaznaczył Holyrod.

– Ale... – Carlyle spojrział po kolei na każdego z trzech mężczyzn – nie chciałbym, żeby ktoś dokonał złego wyboru teraz, po tych wszystkich latach.

– Czy to ma być groźba? – Xavier się zjeżył.

– Nie. W żadnym wypadku. Po prostu wykonuję swoją pracę. Już wiele razy widziałem, jak trudne sytuacje komplikują się jeszcze bardziej tylko dlatego, że ktoś podjął niewłaściwą decyzję.

– Zapewniam pana, że umiemy podejmować decyzje – warknął Xavier, ignorując karcące spojrzenie brata. – Nie potrzebujemy pańskich pouczeń.

– Z pewnością. – Carlyle starał się zachować spokój, choć miał ochotę złapać tego palanta, Xaviera Carltona, za gardło i wydusić z niego prawdę.

– Ma pan jakąś teorię na temat tych morderstw, inspektorze? – Trevor Miller rozsiadł się wygodniej na krześle. – Albo jakieś dowody?

Carlyle zignorował pytanie i pytającego. Uznał, że wystarczająco ich już sprowokował, i że czas się wycofać. Odgrywać tępego gliniarza, który szuka jakichkolwiek tropów. Odwróciwszy się do Edgara, spytał:

– Czy to możliwe, że chodzi o coś zupełnie innego? – Wykonał ręką nieokreślony gest, ignorując zdumione spojrzenie Joego. – Czy między zamordowanymi członkami klubu mogły być jakieś powiązania, których jeszcze nie odkryliśmy?

– To możliwe. – Edgar pokiwał głową. – Zastanowimy się razem i zobaczymy, co z tego wyniknie. – Wstał, co oznaczało, że spotkanie dobiegło końca. – A na razie dziękuję panom za wizytę. Jeśli będziecie czegoś potrzebowali, możecie skontaktować się z nami przez Williama. – Wskazał głową Murraya. – Albo przez Trevora, oczywiście.

Nim Carlyle mógł odpowiedzieć, Murray zerwał się z miejsca i otworzył drzwi. Kilka sekund później byli już w windzie i zjeżdżali na parter. Carlyle spojrział na zegarek i stwierdził, że spotkanie trwało niecałe osiem minut.

Gdy wyszli na ulicę, minęła ich doskonale ubrana, lecz boleśnie brzydka kobieta, która niosła wielkie torby z zakupami. Carlyle zamknął oczy. Zastanawiał się, czy to spotkanie rzeczywiście miało miejsce, czy mu się to przyśniło.

– I co o tym myślisz? – spytał Joe.

Carlyle oparł ręce na biodrach i rozejrzał się. Nie spodziewał się, że w samym środku i tak wyjątkowo trudnego śledztwa dosięgnie go cios z przeszłości w postaci Trevora Millera. Był poruszony i zdezorientowany. Uspokój się, przykazał sobie w duchu. Może wtedy zaczniesz trzeźwo myśleć.

Odwrócił się do Joego z uśmiechem.

– Myślę, że czas na lunch.

Kiedy wrócili na Picadilly, Carlyle zaprowadził ich do bardzo dobrej, choć zwykle pustawej News Cafe w podziemiach wielkiej księgarni Seringapatam & Mysore przy Lower Regent Street. Niewielu spośród klientów księgarni w ogóle wiedziało o istnieniu tego lokalu. Jedzenie było dość drogie, ale każdy mógł wziąć z pobliskich stojaków jakieś czasopismo i poczytać za darmo przy posiłku. Carlyle lubił to miejsce, bo zwykle mógł bez kłopotu znaleźć wolny stolik. Nie lubił jadać w towarzystwie obcych ludzi.

Zwrócił uwagę na najnowszy numer „France Football”. Jak głosił napis na okładce, w środku znajdował się wywiad z trenerem francuskiej reprezentacji, który przy wyborze zawodników kieruje się podobno astrologią i tarotem. Dość dziwna metoda, ale nikt nie miałby

do niego pretensji, gdyby przynosiła jakieś wyniki. Carlyle nie znał zbyt dobrze francuskiego, jednak zrozumiał ogólny sens artykułu, a przy tym mógł pooglądać zdjęcia. Doskonale.

Rozmyślał właśnie o przewadze zupy fasolowej nad sałatką z kurczakiem i awokado, gdy zadzwonił telefon. Westchnął ciężko, wyjął aparat z kieszeni na piersiach i spojrzął na ekran. Dopiero po sekundzie uświadomił sobie, że wyświetlacz jest pusty – dzwoniła komórka Joego, nie jego.

Sierżant najwyraźniej również nie miał ochoty na rozmowę, bo zastanawiał się przez kilka dobrych sekund, nim w końcu odebrał.

– Halo? Tak. Chwileczkę... – Postukał Carlyle’a w ramię i podał mu aparat. – To do ciebie.

Wciąż niezdecydowany, czy wziąć zupę, czy sałatkę, Carlyle spojrzął na komórkę z nieskrywaną niechęcią.

– Kto to?

– Nie wiem. – Joe wzruszył ramionami. – Nie przedstawił się.

Carlyle westchnął. Czasami brak ciekawości, jakim wykazywał się jego sierżant, był co najmniej zdumiewający. Wziął komórkę i odsunął się od gabloty z jedzeniem.

– Dlaczego nie odbierasz telefonu, do cholery? Chcesz, żebym pomógł ci rozwiązać tę sprawę, czy nie?

Carlyle odsunął się od Joego.

– Przepraszam, Dominicu, byliśmy zajęci.

– Rozwiązałeś to już czy nie? – spytał Dom, dobrze wiedząc, jak brzmi odpowiedź.

– Nie. – Carlyle przypomniał sobie wiadomość, jaką zostawił Dom na jego poczcie. – Skąd się dowiedziałeś o Klubie Merrion?

– Słyszałeś kiedykolwiek o czymś takim jak Google? – parsknął Dom. – Bardzo przydatna rzecz. Wpisałem nazwiska, które mi podałeś, i dotarłem do sedna sprawy w ciągu zero przecinek zero zero sekundy.

– Rozumiem – mruknął inspektor zakłopotany.

– Mogłeś od razu powiedzieć mi o wszystkim i zaoszczędzić nam trochę czasu.

– Zero przecinek zero zero sekundy – nie mógł się powstrzymać Carlyle.

– Nie zgrywaj cwaniaka – warknął Dom. – Nie mogę ci pomóc, jeśli będziesz zgrywał przy mnie pieprzonego inspektora Clouseau.

– Przepraszam.

– Nie wydam cię przecież.

– Wiem. – Carlyle nie miał ochoty na tę rozmowę. Był głodny. Nie chciał się kłócić.

– Komu miałbym o tym powiedzieć? Widzę, że nawet w gazetach o tym nie piszą.

– I Bogu dzięki! – Carlyle westchnął. – Na razie – dodał. Wiedział, że milczenie mediów nie może trwać wiecznie.

– Nie mógłbym sprzedać tej historii, nawet gdybym chciał.

– W porządku. Masz rację. Przepraszam, mogłem być z tobą bardziej szczerzy.

Powinienem być od razu ci o tym powiedzieć.

– Przeprosiny przyjęte.

– Więc co właściwie dla mnie masz? – spytał Carlyle.

– Gdzie teraz jesteś? – odpowiedział pytaniem Dominic. – Spotkajmy się na St. James’s Square za dwadzieścia minut – zaproponował, gdy Carlyle wytłumaczył, gdzie są. – Możesz przynieść nam obu lunch.

– Z przyjemnością.

– Na pewno – zgodził się wesoło Dom. – Poproszę o kanapkę z tuńczykiem i sok z granatów. I może jeszcze banana.

29

Trafalgar Square, Londyn, marzec 1990

Kobieta była w szoku. Stała zaledwie trzy metry dalej i patrzyła na niego, a raczej przez niego, nieświadoma ryku tłumu. Wciąż trzymając transparent z napisem *Robotniku, walcz z podatkiem pogłównym torysów*, stała na wąskim pasie ziemi niczyjej pomiędzy protestującymi i grupą policjantów z oddziałów prewencyjnych, uzbrojonych w małe okrągłe tarcze i pałki. Z kącika jej ust sączyła się krew, która spływała po brodzie i kapąła na chodnik. Jako że były to typowo angielskie zamieszki, obie strony uprzejmie ją ignorowały. Sierżant Carlyle poczuł się jak podglądacz, więc szybko odwrócił wzrok.

Carlyle był na służbie, ale nie w mundurze. Na bluzę włożył czerwoną ocieplaną kamizelkę z napisem PRASA sporządzonym czarnym markerem. Obrazu dopełniał drogi aparat Nikon SLR wiszący na jego szyi. Carlyle pracował teraz w komisariacie Paddington Green, gdzie od dwóch lat zajmował się działalnością antyterrorystyczną. Przyszedł na Trafalgar Square na wiec protestacyjny przeciwko podatkowi pogłównemu, by sprawdzić, czy któryś z jego podopiecznych, głównie domowych terrorystów – kanalii, które podczepiły się pod Ruch Wyzwolenia Zwierząt albo grupę anarchistyczną Class War – postanowił przyłączyć się do zabawy. Wyszukiwanie około trzydziestu „nazwisk” w stutysięcznym tłumie nie było najbardziej wyrafinowaną formą inwigilacji, jaką policja metropolitalna stosowała w swojej historii. Choć Carlyle zdawał sobie sprawę, że właściwie szuka igły w stogu siana, był ciekaw, jak rozwinie się sytuacja na placu. Wszyscy wiedzieli, że pieniądze, jakie wyłożono na rozwiązanie tego problemu, są niewystarczające. Zbyt mała liczba policjantów oznaczała kłopoty.

I kłopoty się pojawiły. Kiedy przybył na plac koło osiemnastej, wyglądało na to, że wiec zamieni się w najgorsze zamieszki, jakie widziano w Londynie od stu lat. Tłum przewracał i podpalał samochody, wybijał szyby w sklepach i restauracjach. Zamknięto kilka stacji metra i otoczono kordonem wiele ulic. Ludzie kłębili się, pozbawieni możliwości ucieczki, wielu z nich piło przez cały dzień. Starcia wydawały się nieuniknione.

Stojąc na wysepce pośrodku Duncannon Street, Carlyle obserwował, jak na tle ciemniejącego nieba przelatuje pół cegłówki i trafia jakiegoś pechowego posterunkowego w tył głowy. Przechodziłem przez to, synu, przemówił do niego w myślach, robiłem to. Wzburzeni koledzy posterunkowego pomogli mu wsiąść do ambulansu. Carlyle dobrze wiedział, co się stanie za chwilę. Gdy tylko karetka odjechała, sierżant dowodzący oddziałem skinął głową, a policjanci ruszyli naprzód, podnosząc pałki. Carlyle widział, jak mężczyźni, kobiety, a nawet kilkoro dzieci padają pod gradem kopniaków i ciosów. Niektórzy byli tak blisko, że mógł niemal wyciągnąć rękę i ich dotknąć. Przez jakieś pięć minut przyglądał się temu spektaklowi dziwnie obojętny. Z odrętwienia wyrwał go dopiero widok kobiety ze zmasakrowaną twarzą. Odwrócił się i zaczął oddalać od zamieszek, zmierzając na północ, ku Charing Cross Road.

Gdy znalazł się przed Narodową Galerią Portretu, przystanął na chwilę, by zobaczyć, jak grupa policjantów na koniach próbuje usunąć demonstrantów z rogu Trafalgar Square, sprzed siedziby Wysokiej Komisji RPA. Grupa około trzydziestu młodych ludzi walczyła z nimi, używając kijów od transparentów i metalowych rurek, które zabrali z pobliskiego rusztowania. Nieco dalej, w głębi ulicy, płonął budynek. Carlyle uznał, że widział już wystarczająco dużo, i

zamierzał właśnie ruszyć w dalszą drogę, gdy ktoś położył mu rękę na ramieniu.

– Dobrze się bawisz? – Wydawało się, że uśmiechnięty od ucha do ucha Dominic Silver jest ubrany niezbyt stosownie do okazji. W śnieżnobiałej, rozpiętej pod szyją koszuli i drogiej marynarce wyglądał, jakby zmierzał właśnie na uroczystą kolację. I prawdopodobnie tak właśnie było.

Silver wziął Carlyle'a pod ramię i ruszył szybko w stronę William IV Street i Covent Garden.

– Niezłe przedstawienie, co? – mówił, wyraźnie podekscytowany. – Podobno rozwalili ten klub nocny, Stringfellow's.

– Więc pewnie nie wybierzemy się teraz na striptiz – odparł Carlyle z udawaną powagą. – Co tutaj robisz?

– Potrzebuję szybkiej przysługi.

Dziesięć minut później stali na Chandon Place, na tyłach komisariatu Charing Cross. Cała ulica została otoczona kordonem. Za taśmą parkowało kilkanaście policyjnych furgonetek, w których siedzieli zdruzeleni i sfrustrowani beczynnością funkcjonariusze oraz grupki jeszcze bardziej rozczarowanych demonstrantów. Gdy przystanęli na rogu Bedfordbury, wśród gapiów i ludzi szukających znajomych, Dominic wyjaśnił, o co mu chodzi.

– Dwaj moi ludzie są tam – powiedział, wskazując furgonetkę zaparkowaną kilka metrów dalej.

Carlyle westchnął. Wiedział już, czego może się spodziewać.

– Mają ze sobą trochę towaru – tłumaczył Dominic. – Właściwie całkiem sporo.

– Bardzo mądrze – burknął Carlyle. – I co ja niby mam z tym zrobić?

Dom skrzywił się boleśnie.

– Daj spokój, John, chłopaki mają czyściutkie kartoteki. Taka sprawa ciągnęłaby się miesiącami, a tobie wystarczy jedna chwila, żeby załatwić to już teraz.

– Łatwo ci mówić. – Carlyle się naburmuszył.

– Możesz chyba zamienić parę słów ze swoimi kolegami i rozwiązać problem? –

Wskazał furgonetki z aresztowanymi demonstrantami. – Przecież tu chodzi o coś zupełnie innego. I tak się dzisiaj wykażecie.

– Do kurwy nędzy – warknął Carlyle, z trudem trzymając nerwy na wodzy – zatrudniasz tylko skończonych debili? Co oni tu robią, do cholery?

Dom rozłożył ręce i roześmiał się nerwowo.

– *Mea culpa*, stary, *mea culpa*. Wiem, że proszę o wiele. I tyle samo będę ci winien.

– Kurwa mać, Dominic.

– Dam ci, co tylko zechcesz. – Dom nerwowo przestępował z nogi na nogę. – Co tylko zechcesz.

Carlyle zgrzytnął zębami.

– Nie zaczynaj, Dom. Ile razy... Niczego, kurwa, nie chcę. Jeśli coś od ciebie wezmę, wpakuję się tylko w jeszcze większe kłopoty.

– Rozumiem to, oczywiście. – Dominic zrobił krok w jego stronę. – Ale możemy to załatwić inaczej. – W jego głosie pojawiła się nuta desperacji, której Carlyle nigdy wcześniej nie słyszał. – Wiesz, jak to działa. Już ci pomagałem. Mam kontakty. Mogę zdobyć informacje. Mogę ci jeszcze kiedyś pomóc.

Carlyle zaczął grzebać w ziemi czubkiem buta. Wiedział, że najrozsądniej byłoby po prostu odejść i zostawić Dominica samego.

– Proszę – nalegał Dom. – To będzie wielka inwestycja w twoją przyszłą karierę.

Carlyle podrapał się po głowie i spojrział na niego.
– Jak oni się nazywają?
– Pearson i Manners. Mili chłopcy, typowa klasa średnia. – Wskazał otaczający ich chaos. – Doskonale pasują do tego tłumu.
– Pierdoleni idioci. – Carlyle sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyjął odznakę policyjną i przeszedł pod taśmą. – Poczekaj tu.

30

Piętnaście minut po rozmowie telefonicznej z Dominikiem Silverem Carlyle wkroczył na St. James's Square. W prawej ręce trzymał przezroczystą reklamówkę, w której niósł lunch dla siebie i przyjaciela. Nim wszedł do ogrodu pośrodku placu, zatrzymał się przed niewielkim pomnikiem Yvonne Fletcher, by oddać jej hołd. Napis na okrągłej tablicy mówił mu to, co już dobrze wiedział: dwudziestopięcioletnia posterunkowa Fletcher została zastrzelona na tym placu 17 kwietnia 1984. Pilnowała porządku podczas niewielkiej demonstracji przed ambasadą libijską. Od tamtego czasu minęło ponad dwadzieścia pięć lat, a jej morderca wciąż nie został złapany. Carlyle nie znał jej osobiście, wiedział jednak, że cieszyła się powszechnym szacunkiem zwykłych ludzi jako uczciwa i przyjazna policjantka i że lubiano ją również w pracy.

Carlyle stał przez chwilę bez ruchu wśród pędzących samochodów i ludzi, którzy spieszyli do swoich spraw. Myślał o tym, o czym zawsze myślał w tym miejscu: jakiego trzeba mieć pecha, żeby zginąć podczas rutynowej służby w centrum Londynu? Rok po śmierci Fletcher Carlyle stał na baczność na tym samym placu, na którym zginęła, a premier Thatcher odsłaniała poświęcony policjantce pomnik. Zakończyła przemówienie słowami Abrahama Lincolna: „Trwajmy w wierze, że siła leży po stronie prawa, a nie odwrotnie, i niech ta wiara pomoże nam do końca wykonywać nasze obowiązki tak, jak je pojmujemy”. Będziemy wykonywali nasze obowiązki, mówił sobie wielokrotnie Carlyle przez następne lata, jeśli tylko pozwolą nam na to politycy.

Gdy wszedł do parku, Dominic Silver czekał już na niego na ławce pod drzewem. Dzień był ciepły, choć wiał też przyjemny lekki wiatr, a Dom znalazł osłonięte i zacienione miejsce. W parku roilo się od pracowników okolicznych biur, którzy leżeli na trawie i sycili się słońcem. Carlyle podał Domowi torbę. Ten grzebał w niej przez chwilę, wyjął swoje jedzenie i oddał resztę Carlyle'owi. Przez jakieś dziesięć minut siedzieli w ciszy i jedli. Gdy skończyli, Carlyle pobierał śmiecie i wyrzucił je do najbliższego kosza.

– Dzięki za lunch – powiedział Dom, gdy inspektor wrócił na ławkę.
– Nie ma za co.
– Piękny dzień na byczenie się w parku – zauważył Dom, strzepując okruszki z koszulki z Neilem Youngiem.
– To prawda – zgodził się z nim Carlyle, czekając, aż jedzenie ułoży mu się w brzuchu.
– To był kiedyś najdroższy dom świata – powiedział Dominic, guru rynku nieruchomości, wskazując kciukiem przez ramię. – Numer osiem sprzedano kiedyś za ponad sto milionów. Oczywiście w ciągu ostatnich lat Ruscy kupowali znacznie droższe domy.
– Chcesz gadać o Rosjanach? – zdziwił się Carlyle.
– Nie – odparł z uśmiechem Dom. – Chcę pogadać o Susy Ahl.
Carlyle skinął zachęcająco głową. Jakiś gołąb próbował wsadzić głowę do porzuconej torby po pieczywie. Nie szło mu najlepiej i Carlyle pomyślał, że dobrze go rozumie. Przyzwyczał się już do tego, że w tej sprawie każdy wyprzedza go co najmniej o krok.

– A kim jest Susy Ahl, jeśli wolno wiedzieć?
– Susy Ahl była dziewczyną Roberta Ashtona w tamtych czasach – wyjaśnił Dom. – To kobieta, z którą powinieneś porozmawiać o zamordowanych członkach Klubu Merrion.
Carlyle odwrócił się do niego, gdy ciekawość w końcu wzięła górę nad irytacją wywołaną tym, że skompromitował się przed starym kumplem.
– A skąd ty to wiesz?
Dom wzruszył ramionami.
– Wiem dużo rzeczy.
– Daj spokój – zachnął się Carlyle. – Tu nie chodzi o dużo rzeczy.
Uznawszy, że już dość długo bawił się kosztem inspektora, Dom w końcu spoważniał.
– Wiedziałeś, że Eva studiowała w Cambridge?
– Nie. – Carlyle wiedział o Evie Hollander tylko tyle, że jest konkubina Doma.
– Eva to bardzo bystra dziewczyna, skończyła z wyróżnieniem historię. Zastanawiała się, czy pisać doktorat na temat kulturowego dziedzictwa Republiki Weimarskiej.
– Ale poznała ciebie i rozmyśliła się – zażartował Carlyle.
– Poznaliśmy się później – sprostował Dom. – Zamiast zajmować się pracą naukową, wyszła za męża. Jej mąż, wyjątkowa kanalia, był moim klientem na początku lat dziewięćdziesiątych... – Umilkł, wracając myślami do wspomnień.
Wykazując się swoją osławioną empatią, Carlyle powiedział:
– Niech zgadnę. Straciłeś trochę pieniędzy, ale zdobyłeś dziewczynę.
– Nie żartuj sobie, John. – Dominic usiadł prosto i spojrzał mu w oczy. – Ja nie nabijałbym się z twojej rodziny, prawda?
– Prawda. Przepraszam. Więc Eva zna tę kobietę? – spytał, chcąc jak najszybciej wrócić do tematu.
– Zna jej siostrę. Mieszkały razem w Cambridge przez rok.
– Świat jest mały.
– Jasne. Sześć stopni oddalenia i tak dalej.
– Jak to skojarzyłeś?
– Nie ja, Eva. – Dom grzebał w ziemi czubkiem converse'a. – Kazałem Gideonowi poszperać trochę w internecie, bo chłopak doskonale radzi sobie z Google i bazami danych, dzięki którym możemy mieć naszych klientów na oku...
Bazy danych? Carlyle wolał nie pytać o szczegóły.
– ...i kiedy doszliśmy już do tego, co naprawdę cię interesuje – Dom zerknął z rozbawieniem na Carlyle'a – porozmawiałem o tym z Evą. Wiedziałem, że była tam mniej więcej w tym samym czasie, i że pamięta samobójstwo Ashtona. Wiesz, nastolatki lubią takie melodramaty. Wtedy to była głośna sprawa.
Carlyle rozsiadł się wygodniej, czekając na clou opowieści.
– Więc jak Eva skojarzyła Ashtona z Klubem Merrion?
– Siostra jej współlokatorki...
– Ta...
– Susy Ahl... A-H-L...
– Ahl. Jasne.
– Była dziewczyną Ashtona.
– Rozumiem. – Carlyle pokiwał głową, tym razem naprawdę zainteresowany.
– Susy Ahl bardzo przeżyła śmierć tego dzieciaka...
– Trudno się dziwić.

– Trudno, to prawda. Twierdziła, że doprowadzili go do tego Carltonowie i reszta klubu.
– Dlaczego?
– Nie wiem. Eva mówi, że Ahl narobiła sporego zamieszania. Ale nikt nie brał jej na poważnie i wkrótce zniknęła z Cambridge. Eva obroniła się latem osiemdziesiątego piątego. Potem przez jakiś czas podróżowała. Po powrocie wyszła za mąż za tego kretańskiego ćpuna, który na ładnych parę lat zamienił jej życie w piekło. Była zbyt zajęta leczeniem tego dupka, żeby spotykać się z koleżankami, więc straciła kontakt z sublokatorką.

Carlyle zastanawiał się przez moment, jaką rolę odgrywał Dom w leczeniu „dupka” z nałogu, skoro był handlarzem narkotyków. I tym razem postanowił nie drażnić tematu.

– Potem pojawiłem się ja, urodziły nam się dzieci, życie toczyło się dalej. Przez te dwie dekady ciężko pracowaliśmy. I nagle, dwadzieścia pięć lat później, wpadliśmy w polityczną kabałę.

– Gdzie mogę znaleźć tę siostrę, była współlokatorką Evy? – dopytywał się Carlyle, podekscytowany.

– Mieszka w Kanadzie.
– Kurwa, żartujesz sobie!
– Nie, nie żartuję. – Dom spojrzał na zirytowaną minę Carlyle’a i uśmiechnął się. Potem sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów, wyjął z niej kawałek papieru i wręczył go inspektorowi. – Sarah mieszka gdzieś na zachód od Calgary. Wyszła za jakiegoś kowboja czy kogoś takiego. Podobno mają nawet więcej dzieci niż ja i Eva.
– Gratuluję – mruknął ponuro Carlyle.
– Za to Susy mieszka tutaj, w Londynie. – Dom uśmiechnął się szeroko. Carlyle spojrzał na adres napisany na kartce i też się uśmiechnął.
– Jesteś pewny?
– Chyba że uciekła w ciągu ostatnich czternastu lub piętnastu godzin. Eva odszukała Sarę przez jej mamę. Szczęśliwie dla ciebie, jej kochana stara mamusia od czterdziestu lat mieszka w tym samym domu w Winchester.
– To miło z jej strony.
– Tak. – Dom wstał i przeciągnął się. – Jeszcze raz dzięki za lunch.
– Cała przyjemność po mojej stronie. Łatwo cię kupić.
– Owszem. – Dom podrapał głowę Neila Younga gdzieś w okolicy swojego lewego sutka. – Mam dla ciebie jeszcze jedną informację...
– Tak?
– Gideon służył pod dowództwem Holyroda w Afganistanie, trzy lata temu.
– I co o nim myślisz?
– Gideon nie mówi zbyt dużo. O niczym. To chyba jakiś stres pourazowy. Albo po prostu okropnie się nudzi. Tak czy inaczej uważa chyba, że Holyrod był w porządku.
– Bardzo wnikliwie.
– Zawsze coś. – Dom wzruszył ramionami. – Faceci tacy jak Gideon robią to dla zabawy. Dla nich to coś w rodzaju sportu ekstremalnego z użyciem broni automatycznej. Można naprawdę zabijać ludzi. Wyobrażasz sobie, jakiego to musi dawać kopa?
– Nie. – Carlyle nigdy w życiu nie trzymał w ręku pistoletu, za co był wdzięczny losowi. Nawet nie chciał myśleć, jakie to może być uczucie.
– Zawsze trochę brakowało ci wyobraźni – zauważył Dom. – Tak czy inaczej, przeciętni żołnierze tolerują takich ludzi, chyba że jakiś oficer po prywatnej szkole postanowi zepsuć im zabawę. Holyrod był ogólnie lubiany. Gideon nie miał nic przeciwko niemu.

– Nie nazwałbym tego przesadną pochwałą – mruknął Carlyle.
Dom zmierzył go surowym spojrzeniem.

– Przynajmniej nie wyjął browninga hi-power i nie wpakował Holyrodowi kulki w łeb w połowie jakiejś góry na odludziu.

– I co z tego wynika?

– To, że Holyrod był prawdziwym żołnierzem, John. Tak naprawdę nie jest politykiem. Nie ma tego w genach. Przez większość życia zajmował się prawdziwą pracą.

– I?

– I prawdopodobnie jest kimś, z kim mógłbyś robić interesy. – Dom zrobił krótką pauzę.

– A przynajmniej z całej tej trójki to najprawdopodobniej on może być kimś takim.

– Będę to miał na uwadze. – Carlyle siedział przez chwilę pogrążony w myślach. Gołąb po raz ostatni próbował dostać się do wnętrza torby, w końcu jednak dał za wygraną i poszedł szukać jakiegoś poczęstunku z rąk turystów. Carlyle’owi zrobiło się na moment żal ptaka, jednak szybko wrócił do swoich problemów. – Co o tym wszystkim myślisz, Dom?

– Nie wiem, stary. I tak naprawdę wcale mnie to nie obchodzi. To twoja robota.

– Na to wygląda.

Dom przyjrzał mu się uważnie.

– Chyba rozumiesz, w jak trudnej sytuacji się znalazłeś.

– Tak.

– Więc nie muszę ci mówić, jak bardzo powinieneś uważać w kontaktach z takimi ludźmi.

– Dlaczego nie? – Carlyle się uśmiechnął. – Wszyscy inni mi to mówili.

– To dobrze. Ludzie troszczą się o ciebie. Okaż trochę wdzięczności, kapuściany łbie, i posłuchaj ich rad.

– Zrobię to.

– Będę szukał w mediach informacji o twojej sprawie. Daj mi znać, jak ci idzie. – W tylnej kieszeni spodni Doma zadzwoniła komórka, ale ją zignorował. – I pamiętaj...

– Tak?

Dom uderzył palcami w struny wyimaginowanej gitary.

– *Keep on rockin' in the free world, baby!* – wykrzyknął w rytm melodii Neila Younga.

Gdy Dom wyszedł z parku i zniknął mu z oczu, Neil Young zaczął grać w głowie Carlyle’a. Co powinien teraz zrobić? Zaczął układać w głowie listę, gdy zadzwoniła komórka.

– Inspektorze?

– Rosanno, jak się pani miewa? – Właściwie ucieszył się z tego telefonu, bo dzięki temu nie musiał na razie zajmować się niczym innym.

– Rozpoznał mnie pan po głosie! – zaszczebiotała radośnie.

Carlyle wyciągnął się na ławce i stłumił ziewnięcie. Dla większości ludzi pora lunchu już minęła, więc ogród szybko opustoszał. Carlyle został sam, nie licząc jakiejś bezdomnej kobiety i pary turystów, którzy szukali czegoś w przewodniku.

– Nie mam zbyt wielu kontaktów wśród celebrytów – odpowiedział.

– Więc tym właśnie jestem?

– Dla mnie każdy to kontakt takiego czy innego rodzaju.

Roześmiała się.

– Więc mamy ze sobą coś wspólnego. Jak poszło spotkanie z Edgarem?

Boże wielki, westchnął w duchu Carlyle, czy wszyscy wiedzą, co i kiedy robi? Co do godziny?

– Całkiem nieźle – odparł ostrożnie. – Widziałem się z nim dzisiaj. Był bardzo pomocny.
– To dobrze.
– Tak. Dziękuję, że mi go pani przedstawiła. To bardzo miłe.
– Cała przyjemność po mojej stronie.
Co oznaczało: Co zrobisz dla mnie w zamian?
– Zastanawiałem się nad jedną rzeczą... – brnął dalej Carlyle. – Jak dobrze go pani zna?
– Edgara? – Snowdon wydawała się zaskoczona tym pytaniem.
Nie, kurwa, królową Saby.
– Tak.
– Och, znamy się od dawna... – Czekał cierpliwie, podczas gdy dziennikarka zastanawiała się, czy to, co teraz powie, będzie istotne. – Chodziłam do szkoły z jego żoną Anastazją i jego siostrą Sophie, która teraz jest panią Holyrod.
– Rozumiem. Czy to nie są trochę... kazirodcze stosunki?
– Nie przesadzajmy. Owszem, to dość zamknięta grupa społeczna, ale wydaje mi się, że w dzisiejszych czasach to norma.
Carlyle postanowił, że spróbuje wyciągnąć od niej trochę więcej informacji.
– Pan Carlton to człowiek naprawdę godny podziwu – skłamał.
– O tak – przytaknęła ochoczo. – Znam Edgara, odkąd miałam osiem albo dziewięć lat. To cudowny człowiek. Czarujący i życzliwy.
– A Xavier?
– On nie jest już taki ujmujący.
– Bardziej porywczy?
– To taki rodzaj człowieka, który potrafi zdominować innych siłą woli i emocji – tłumaczyła z wyraźną przyjemnością. – Po prostu zwala z nóg.
– Czy to dobrze?
– Zawsze jest miejsce i czas na jedno i drugie. Oczywiście to Edgar jest szefem, ale uważam, że doskonale się dopełniają.
– Chyba wiem, co ma pani na myśli.
– Jak idzie śledztwo?
– Na razie nie mogę udzielać żadnych informacji – odparł sztywno. – Robimy postępy.
– Nie jest pan zbyt rozmowny, inspektorze.
– Chyba nie spodziewała się pani, że powiem coś innego?
– Nie. – Roześmiała się. – Ale wie pan, że będę chciała materiał na wyłączność, kiedy już to wszystko się skończy?
– Nawet jeśli będzie to historia, która nie przypadnie do gustu pani przyjacielowi Edgarowi?
– Co? – Ton jej głosu natychmiast się zmienił. – Edgar jest podejrzany?
– Nie, nie – zaprzeczył pospiesznie inspektor. – Ale tak czy inaczej w sprawie mogą się pojawić jakieś kłopotliwe wątki.
– Na przykład?
– Kto wie? – Carlyle starał się, by zabrzmiało to beztrąsko. – Śledztwo jeszcze się nie zakończyło.
– Cóż, więc kiedy się zakończy, chcę wiedzieć wszystko, bez względu na wynik.
– Rozumiem.
– Musi pan pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze, każda ciekawa historia wcześniej czy później wycieknie. Po drugie, jestem przede wszystkim dziennikarką. Nie palę za sobą

mostów. Zasada numer jeden dobrego dziennikarstwa to zawsze chronić swoje źródła.

Brzmiało to jak dobrze przećwiczona gadka.

– Studiowała pani dziennikarstwo?

Krótką pauza.

– Nie, ale szanuję reguły tej gry. I dlatego szanuję pana. – Wydawała się zirytowana, że musiała mu to powiedzieć.

– Będę o tym pamiętał – zapewnił ją Carlyle, zadowolony, że zmienili wreszcie temat.

– Cudownie – odparła, wracając do radosnego tonu. – Ma pan mój numer. Proszę zadzwonić. Zawsze jest włączony.

– Na pewno zadzwonię.

Nikt więcej już mu nie przeszkadzał, więc w końcu Carlyle zdołał zabrać się do pracy. Najpierw zadzwonił do Joego Szyszkowskiego i kazał mu poszukać informacji o Susy Ahl. Potem skontaktował się z komisarz Simpson i poinformował ją o wszystkim, co wydarzyło się tego dnia. Przynajmniej raz Simpson nie siedziała na jakimś zebraniu.

Jego raport był wyczerpujący i zgodny z prawdą, choć oczywiście nie zawierał żadnych informacji o Dominicu Silverze.

– Wydaje się, że ta Ahl pozwoli nam połączyć Ashtona z Klubem Merrion.

– Myślisz, że potrafi to wyjaśnić? – spytała Simpson.

– Mam nadzieję. Ona – lub ktoś inny – próbowała się czegoś dowiedzieć. Musi istnieć jakieś wyjaśnienie.

– Więc jest podejrzana?

– Może – odparł wymijająco Carlyle. Tak naprawdę nie miał pojęcia. – Nie mamy żadnych dowodów materialnych. Chcę najpierw usłyszeć, co ma do powiedzenia, a potem podejmiemy odpowiednie kroki.

– Tak czy inaczej, zachowajmy otwarte umysły.

– Jak zawsze. Zamierzasz powiedzieć o tym Carltonowi?

W słuchawce na moment zapadła cisza.

– Obiecałam, że będę go na bieżąco informowała.

– Wolalbym porozmawiać najpierw z tą Ahl.

– Rozumiem.

Czy to oznacza zgodę? Obiecując, jak zawsze, że będzie jej przekazywał najnowsze wieści, Carlyle zakończył rozmowę. Teraz mógł pomyśleć o spotkaniu z panią Ahl. Spojrzał na kartkę, którą dał mu Dom. Oprócz adresu znajdował się na niej numer telefonu stacjonarnego i komórki. Zadzwonił pod oba i w obu przypadkach połączył się z pocztą głosową. Nie zostawił wiadomości. Kobieta prawdopodobnie jest w pracy, postanowił więc, że złoży jej wizytę dopiero wieczorem. Nie chciało mu się wracać do komisariatu, zadzwonił więc do Helen i zarobił kilka punktów, obiecując, że odbierze Alice ze szkoły.

Ogrody Fulham Palace, tereny byłej rezydencji biskupa Londynu, leżały na północ od mostu Putney w zachodniej części Londynu, zaledwie dziesięć minut spacerem od miejsca, w którym dorastał Carlyle – Peterborough Road. Nawet gdy został policjantem, mieszkał tu jeszcze przez prawie trzy lata. Jego rodzice nadal tu mieszkali, w tym samym niewielkim mieszkaniu na osiedlu zwanym Sullivan Court. Jednak tego wieczoru nie zamierzał ich odwiedzać.

Sycąc się ostatnimi promieniami ciepłego letniego słońca, obserwował samoloty, które podchodziły do lądowania na Heathrow, nieco dalej na zachód. Dokładnie co dwie minuty na

niebie pojawiał się następny. Carlyle nie przypominał sobie, by w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy był dzieciakiem, obserwował samoloty, ale przecież jakieś musiały latać.

Oddalając się jeszcze bardziej od rzeki, wszedł na Stevenage Road i minął boisko Craven Cottage. Przy wejściu od strony Putney End wisiały plakaty reklamujące pierwszy po letniej przerwie mecz Klubu Piłkarskiego Fulham. Od zakończenia poprzedniego sezonu nie minęły jeszcze dwa miesiące, lecz euforia wywołana skuteczną ucieczką drużyny ze strefy spadkowej dawno minęła. Carlyle musiał odnowić karnet na trybunę Riverside Stand, zastanawiał się jednak, czy tym razem to zrobi. Oglądał mecze Fulham, odkąd skończył osiem lat, ale z roku na rok coraz trudniej przychodziło mu pogodzić się z kosztami. Gdyby się nad tym dobrze zastanowił, bez wątpienia znalazłby co najmniej dziesięć rzeczy, na które mógłby wydać sześćset funtów, a Helen bez wątpienia dorzuciłaby do tego kolejne dziesięć.

Minąwszy boisko, skręcił w prawo w Harboro Street. Wyglądała jak dziesiątki innych ulic w tej okolicy. Po obu jej stronach ciągnęły się długie rzędy piętrowych segmentów, przed którymi stały ciasno zaparkowane auta przeróżnych marek i wielkości, od maleńkich fiatów po wielkie terenowe porsche.

Carlyle przeszedł na drugą stronę i po krótkich poszukiwaniach odnalazł dom pod numerem dziewięćdziesiątym. Taki właśnie adres dał mu Dominic Silver.

Budynek stał w odległości nie więcej niż czterech metrów od chodnika, za małym, częściowo wybrukowanym ogródkiem. Wydawał się czysty i zadbane, cegły pokrywała świeża warstwa białej farby, a na parapecie wykuszowego okna na parterze stała skrzynka z kwiatami. Trzy sypialnie, domyślił się Carlyle. Wart pewnie z pół miliona, jeśli nie więcej. Nie po raz pierwszy gorzko pożałował, że czterdzieści kilka lat temu jego rodziców nie interesowały inwestycje w londyńskie nieruchomości.

Bramka przed domem stała otworem. Podeszedł do drzwi i zadzwonił. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, chciał znów nacisnąć dzwonek, zauważył jednak, że drzwi są uchylone. Pchnął je lekko i zajrzał do przedpokoju.

– Halo!

Żadnej odpowiedzi.

Carlyle wszedł do wąskiego korytarza. Z lewej znajdowały się schody, po prawej salon. Korytarz ciągnął się wzdłuż schodów, zapewne do kuchni.

Zrobił kolejny krok. Teraz słyszał głosy dochodzące z tyłu domu.

– Halo! – zawołał znowu, tym razem głośniejsze.

Wciąż żadnej odpowiedzi. Usłyszał jakieś szelesty w salonie, wszedł więc głębiej i zajrzał tam. Z sofy zeskoczył zadbane labrador i przytruchtał do Carlyle'a, by go powąchać. Inspektor podrapał go za uszami i wrócił na korytarz. Ruszył powoli w stronę głosów, a za nim jego nowy przyjaciel.

– HALO! – krzyknął. – Policja!

Głosy ucichły. Z kuchni wyszła kobieta z wielkim nożem w ręku.

Carlyle cofnął się odruchowo.

– Jestem inspektor Carlyle z policji metropolitalnej.

– Tak – powiedziała, opuszczając rękę, w której trzymała nóż.

– Wołałem od drzwi, ale nikt nie odpowiadał – wyjaśnił, wciąż zachowując bezpieczną odległość.

Uśmiechnęła się.

– Proszę wybaczyć, inspektorze, nie słyszałam pana. Słuchałam radia, interesującego

reportażu o konflikcie w północnej Ugandzie.

– Rozumiem. – Carlyle szczęśliwie nie słyszał o tej akurat wojnie.

Kobieta wolną ręką sięgnęła do kieszeni koszuli i rzuciła psu ciastko.

– Widzę, że poznał pan już Artura.

– Tak.

Ściągnęła brwi, nagle tknięta jakąś myślą.

– A jak właściwie pan wszedł?

– Drzwi były otwarte – wyjaśnił, wskazując wejście.

– Boże, ciągle zapominam dobrze je zamknąć. Muszę coś z tym zrobić, prawda, Arturze?

– Pies pomachał radośnie ogonem, czekając na następne ciasteczko. – Może tracę już rozum. –

Spojrziała w głąb korytarza. – Ale chyba nie zostawiłam kluczy w drzwiach?

– Nie.

– Dzięki Bogu chociaż za to.

Była uderzająco piękną kobietą, zgrabną, wysportowaną i co najmniej kilka ładnych centymetrów wyższą od Carlyle'a, nawet na bosaka. Inspektor przypuszczał, że jest mniej więcej w jego wieku, może kilka lat młodszą. Zauważył, że jej piękne zielone oczy dziwnie lśnią, jakby wypijała już sporo alkoholu.

Kilka minut później siedział na sofie, zwolnionej chwilowo przez Artura, z filiżanką czarnej kawy. Susy Ahl usadowiła się w fotelu naprzeciwko, z wielkim kieliszkiem Château Miraval Rose. Na drewnianej podłodze obok fotela stała opróżniona w trzech czwartych butelka.

– Oczekiwała mnie pani? – spytał Carlyle. – Wyglądało na to, że wie pani, kim jestem.

– Widziałam pana w telewizji – wyjaśniła rzeczowo, nie patrząc mu jednak w oczy. – Zakładałam, że wcześniej czy później będzie pan chciał ze mną porozmawiać.

Nie widział telewizora w salonie, ale to niczego nie oznaczało. Może ma odbiornik w kuchni albo sypialni. Poza tym mogła obejrzeć konferencję prasową komisarz Simpson w wielu innych miejscach.

– To było kilka dni temu – zauważył.

– Tak? – Uśmiechnęła się blado.

– Tak.

– Czas leci.

– A pani nie pomyślała o tym, żeby przyjść do mnie?

– Byłam zajęta. Wyjeżdżałam za granicę.

– W interesach?

– Tak. – Wstała ostrożnie z fotela i z marmurowej półki nad pustym kominkiem, w którym stała jakaś roślina doniczkowa, wzięła wizytówkę. Podała ją Carlyle'owi i ciągnęła: – Moja firma ma wielu klientów na Bliskim Wschodzie, więc przez ostatnie dziewięć miesięcy co najmniej raz na dwa tygodnie lecę do Dubaju.

Wróciła na fotel, a on przyglądał się wizytówce, na której widniał granatowy napis: *Susy Ahl, Partner, Escudo & Caspian Sp. z o.o.*

– Co to za firma?

– Prawnicza.

– Jakim prawem się państwo zajmują? – spytał, lekko sztywniejąc.

– Nieruchomości. Głównie pomagamy inwestorom kupować i sprzedawać nieruchomości w Londynie.

Ale nuda, pomyślał Carlyle, skrywając uśmiech.

– Teraz to pewnie dość trudne?

– Nie tak łatwe jak kiedyś. Ale przynajmniej moi klienci wciąż mają sporo gotówki.
Bogu dzięki za głupie arabskie pieniądze.

– Głupie?

– To stereotyp. Ludzie uważają, że łatwo ich nabrać i wcisnąć im jakieś badziewie za absurdalną cenę. W rzeczywistości są bardzo sprytni, naprawdę bardzo sprytni. Rzadko przepłacają i należą do nich coraz większe obszary Londynu.

Carlyle'a ani trochę to nie obchodziło. Chciał wrócić do głównego tematu.

– Będę potrzebował daty pani wyjazdów.

– Oczywiście. Proszę zadzwonić jutro rano do mojego biura, podam panu pełną listę.

– Zrobię to. – Carlyle wsunął wizytówkę do kieszeni marynarki. Dość tych wstępów, pomyślał. – Proszę mi opowiedzieć o Robercie Ashtonie.

Tym razem patrzyła mu prosto w twarz. Upiła łyk wina.

– Co konkretnie chce pan wiedzieć?

– Chciałbym usłyszeć pani wersję wydarzeń.

– Cóż... – zaczęła, odstawiając kieliszek na podłogę – zapewne wie pan, że Robert był moim chłopakiem.

Carlyle milczał.

– Byliśmy ze sobą przez parę lat, zanim się zabił. – Powiedziała to cicho, ale spokojnie, niemal beznamyślnie.

Bardzo opanowana, stwierdził Carlyle. Z drugiej strony, minęło już sporo czasu.

– Mieliśmy się pobrać. – Sięgnęła po kieliszek i upiła kolejny łyk.

Kurwa! – zaklął w duchu Carlyle. Zaczyna się telenowela.

– Byłam w ciąży.

Niech to szlag! Rozejrzał się po pokoju. Nie widział żadnych zdjęć. Żadnych rodzinnych pamiątek.

– To nie był dobry czas na zakładanie rodziny.

– Wyobrażam sobie – odparł Carlyle łagodnie. W rzeczywistości nie miał o tym pojęcia, ale co innego mógł powiedzieć? Patrzył, jak Susan opróżnia kieliszek i natychmiast go napełnia. Pij, pij, pomyślał. Im więcej, tym lepiej. Począł, aż wypije następny łyk.

– Dlaczego się zabił?

Na jej twarzy pojawił się wyraz szczerzego zaskoczenia.

– Jeszcze pan nie wie? – Odstawiła kieliszek na podłogę, obok pustej butelki. –

Myślałam, że właśnie dlatego pan tu przyszedł.

Ja? Nie mam zielonego pojęcia, pomyślał Carlyle.

– Chciałbym usłyszeć to z pani ust.

– Zabili go.

– Kto?

– Klub Merrion.

No to jesteśmy w domu. Carlyle zatarł w myślach ręce. Odstawił filiżankę na oparcie sofy, starając się nie okazywać, jak bardzo chce usłyszeć jej opowieść.

– Jak?

Nagle Susy Ahl zrobiła się bardzo blada, jakby zaraz miała zwymiotować.

– Przepraszam na minutkę – powiedziała, wstając. – Muszę skorzystać z toalety.

Gdy poszła na górę, Carlyle policzył do pięciu i przeszedł szybko do kuchni. Była ciasna i nijaka, niewiele większa od jego kuchni w Winter Garden House. Nóż, który Ahl przed chwilą trzymała w ręku, tkwił w stojaku ze szkła i metalu, obok czterech innych. Nazwa firmy wryta

na ostrzu brzmiała Evolution, nie były to więc takie same noże jak te, które znaleźli na miejscach zbrodni. Przejrzał szybko kilka szuflad, ale nie znalazł w nich niczego ciekawego. Pogódź się z tym, pomyślał. Skoro była na tyle sprytna, żeby zajść tak daleko, to nie będzie ułatwiała mi sprawy. Stanął przed kilkoma fotografiami przyklejonymi do drzwi lodówki. Na jednej z nich była Susy Ahl: młodsza o jakieś dziesięć lat, stała przed piramidą z jakimś młodym chłopcem. Czy to jej syn? Być może, choć nie mógł mieć pewności.

Z góry dobiegł szum spuszczonej wody. Carlyle szybko wrócił na sofę. Niecałą minutę później Susy Ahl znów siedziała w fotelu. Wydawała się teraz bardziej opanowana.

– No tak... Na czym skończyliśmy?

– Tłumaczyła mi pani, co łączyło Roberta Ashtona z Klubem Merrion.

– Ach tak. – Skinęła głową, starając się mówić swobodnym tonem. – Robert. Był błyskotliwym studentem. Cudownym, łagodnym chłopcem, choć trochę nieśmiałym.

Carlyle milczał. Spojrzał jej w oczy, lecz na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Wiedział, że nadeszła decydująca chwila, że usłyszy tę historię teraz albo nie usłyszy jej nigdy.

Susy wzięła kieliszek, ale nie napiła się wina.

– Na pierwszym roku chodziliśmy razem na zajęcia z filozofii. Prawie zmusiłam go, żeby się ze mną umówił. Gdybym czekała, aż to on zrobi pierwszy ruch, nigdy by do tego nie doszło.

Przez nanosekundę Carlyle okropnie zazdrościł Robertowi Ashtonowi. Żadna dziewczyna nigdy nie nalegała, by się z nią umówił. Musiał dosłownie błagać Helenę, żeby poszła z nim do kina.

– Brakowało mu pewności siebie – mówiła. – Co wtedy w Cambridge było naprawdę dużą ułomnością. Pewnie nadal jest. Nie zajdziesz daleko, jeśli nie uważasz się za boski dar dla całego wszechświata i nie boisz się dzielić tą wiedzą z innymi. – Wreszcie łyk wina. – Ale oni wzięli go pod swoje skrzydła. – Następny, większy łyk. – Nie wiem, jak to się zaczęło, ale zdołał zaprzyjaźnić się z kilkoma spośród nich, szczególnie z Xavierem Carltonem. Nie był członkiem ich klubu, ale w pewnym sensie go adoptowali. – Opróżniła kieliszek jednym haustem. – Przez jakiś czas wydawało się, że dobrze mu to robi. Poczł się bardziej pewny siebie. Nie był już taki nieśmiały, ale nie był też typowym nadętym dupkiem, których w Cambridge jest zdecydowanie za dużo. – Zbliżyła kieliszek do ust i przechyliła go, jakby nie zdając sobie sprawy, że jest pusty. – Potem go zniszczyli.

– Co ma pani na myśli?

– To był koniec roku akademickiego. Xavier i pozostali kończyli studia. Robili to ze stylem, urządzili imprezę nad imprezami, monstualną bibę, która trwała kilka dni. Pod koniec wszyscy byli pijani i naćpani po czubki uszu... i go zgwałcili.

Patrząc na nieruchomą Susy i jej szkliste oczy, Carlyle próbował szybko przyswoić to, co mu właśnie powiedziała, i poskładać wszystkie kawałki w całość. Widział, że kobieta traci nad sobą panowanie i że zdąży jeszcze zadać jej najwyżej kilka pytań. Na półce nad kominkiem stał zegar. Carlyle poczekał, aż sekundnik odliczy pełną minutę, nim się odezwał:

– Kto go zgwałcił? Xavier?

– Wszyscy. Trzymali go i gwałcili po kolei. Byli brutalni. Najgorszy był podobno Xavier Carlton. To on zrobił mu największą krzywdę. Robert ledwo żył, kiedy go znalazłam.

– Dlaczego mu to zrobili?

– Nie wiem. Pewnie dlatego, że mogli. Może nawet dla zabawy. Długo się zastanawiałam, czy to wszystko było zaplanowane, czy działali pod wpływem chwili.

– A czy to ma dla pani jakieś znaczenie? – spytał Carlyle.

– Nie.

– Poszła pani na policję?
– Kiedy przywieźli go do szpitala, był w tak okropnym stanie, że jeden z lekarzy kazał pielęgniarkom zadzwonić na policję. Po jakiejś godzinie przyjechało dwóch młodych posterunkowych. Byli jeszcze młodsi od nas i traktowali to jak dobry żart. Jeden z nich wyszeptał coś o seksie bez zabezpieczeń, a drugi zaczął tak się śmiać, że musiał wyjść na korytarz.

No tak, to było do przewidzenia, pomyślał Carlyle.

– Sam Robert nie wniósłby skargi. Kto by to zrobił na jego miejscu?

– Pewnie nikt.

– Dobrze go rozumiałam. Nie wygrasz z takimi jak oni. Nie przyznasz publicznie, że doszło do czegoś takiego. Wszyscy będą myśleli – jak ci młodzi policjanci – że sam tego chciałeś. Oni i tak opuszczali już Cambridge. On musiał wrócić. I wrócił. Byłam z niego bardzo dumna.

– Tak.

– I byłam dumna, że nadal byliśmy razem.

– Rozumiem.

Wyglądała tak, jakby znów musiała się napić, mówiła jednak dalej:

– Spędziliśmy razem spokojne lato i zostawiliśmy to za sobą. Tak mi się przynajmniej wydawało. Kiedy we wrześniu wróciliśmy na uczelnię, Robert wciąż chował się czasem w swojej skorupie, ale ogólnie zachowywał się jak dawniej, nim poznał tych koleśków.

Carlyle skinął głową, potwierdzając w ten sposób, że jej słucha.

– Czułam, że dochodzi do siebie. Uczęszczał na zajęcia, lubił swoje studia. I znów zaczęliśmy uprawiać seks.

Carlyle lekko się zaczerwienił.

– Tak?

– Tak – odparła niemal wyzywająco. – To nie było to samo namiętne, zachłanne pieprzenie, jak za dawnych czasów, ale to i tak mija, prawda?

– Ee... – Mózg Carlyle'a chwilowo przestał wysyłać sygnały do jego ust, które zastygły lekko otwarte.

– Musiałam przejąć inicjatywę, ale mniej więcej po pięciu miesiącach znów mógł to robić. Przynajmniej się starał. Wracaliśmy do czegoś, co można nazwać normalnym związkiem. Tak mi się przynajmniej wydawało. A potem, w styczniu, dowiedziałam się, że jestem w ciąży...

Umilkła.

Carlyle zdołał nawiązać łączność między swoim mózgiem i strunami głosowymi, nadal jednak nie był w stanie zapytać jej o dziecko.

– Więc... Gdy umarł Robert...

Powoli podniosła na niego wzrok.

– Więc kiedy skoczył z balkonu, był to dla mnie ogromny szok, tak. – Odstawiła pusty kieliszek na podłogę i wstała.

– Czy po jego śmierci poszła pani na policję? – spytał Carlyle, próbując podtrzymać rozmowę.

– Narobiłam tyle zamieszania, ile tylko mogłam, ale byłam w dość kiepskim stanie.

– Nic dziwnego.

– A potem pomyślałam, że mam to gdzieś. Któregoś ranka po prostu wstałam, spakowałam się i wyjechałam z Cambridge. Potrzebowałam trochę czasu, żeby się pozbierać, a dziecko mi w tym pomogło. Po narodzinach naszego syna zaczęłam w końcu normalnie żyć.

Wróciłam nawet na studia.

– Do Cambridge?

– Nie, nie byłabym w stanie. Studiowałam prawo na Uniwersytecie Londyńskim. Tutaj było mi o wiele łatwiej, mogłam prowadzić normalne życie.

– A teraz?

– A teraz moje życie jest bardzo nudne. – Uśmiechnęła się.

– A pani syn?

– Podróżuje – odparła, przyglądając mu się uważnie.

– Gdzie?

– Nie wiem, gdzie dokładnie jest w tej chwili. Prawdopodobnie gdzieś w Tajlandii.

Kolejny bogaty, zepsuty dzieciak, pomyślał Carlyle. Postanowił zmienić taktykę.

– Ma pani jakieś zdjęcia Roberta?

– Tylko jedno. Jest na górze, w mojej sypialni.

– Mogę je zobaczyć?

– Oczywiście.

Kilka minut później podała mu nieco wyblakłą fotografię w prostej dębowej ramce. Zdjęcie przedstawiało młodszą, szczuplejszą Susy Ahl, siedzącą przed kawiarnią z Robertem Ashtonem, który już na zawsze pozostał ślicznym młodym chłopcem. Ahl obejmowała go ramieniem i oboje śmiali się serdecznie, nie zwracając uwagi na aparat. Z pewnością nie była to ta sama fotografia, którą znaleźli przy zwłokach Nicholasa Hogartha.

– To Wielkanoc, niedługo przed tym, jak to wszystko się wydarzyło – wyjaśniła Ahl, gdy Carlyle oddał jej zdjęcie. – Pojechaliliśmy na kilka dni do Francji, nad jezioro Annecy.

Niewiarygodnie piękne i spokojne miejsce, Wenecja Alp i tak dalej. To był naprawdę cudowny wyjazd. – Uśmiechnęła się przelotnie. – Prawdopodobnie przeżyłam wtedy najpiękniejsze chwile w życiu, ale człowiek uświadamia sobie takie rzeczy dopiero, gdy miną, prawda?

– Tak. – Carlyle pozwolił sobie jeszcze przez kilka sekund porozmyśleć o ulotnej naturze życia, po czym uznał, że nadszedł czas na brutalne zakończenie rozmowy. – A co teraz, gdy wie już pani, co stało się potem? Uważa pani, że to już tylko historia? Było, minęło?

– Tak, było, minęło.

– A pani syn?

– Nie rozumiem? – powiedziała, mrużąc oczy.

– Czy wie, co spotkało jego ojca?

Ahl pobladła, szybko się jednak opanowała.

– Wie o samobójstwie Roberta, owszem.

– A o reszcie?

– Nie – zaprzeczyła ostro. – Absolutnie. To nie miałyby sensu.

– Rozumiem.

– O to jedno chciałam pana prosić, inspektorze – powiedziała powoli. – On jest bardzo wrażliwy, pod wieloma względami podobny do ojca. Nie chcę, żeby i on musiał przez to przechodzić. Minęło już tyle lat...

– Rozumiem – powtórzył Carlyle. Powodzenia, dodał w myślach. – A co z Klubem Merrion? – spytał, zmierzając do finału.

– Co z nimi?

– Jutro są wybory.

– Więc?

– Nie irytuje pani, że oprawcy Roberta mają teraz taką władzę?

– Niech robią, co chcą. – Skrzywiła się. – Przeszłość wcześniej czy później dopada każdego, nie uważa pan?

– Chce pani ich śmierci? – spytał cicho.

Spojrzała na niego zdumiona.

– Oczekuje pan odpowiedzi?

– Tak – potwierdził stanowczo. – Oczekuję.

– Jestem podejrzana?

– Niestety, na to wygląda. Zna pani wszystkich ludzi zamieszanych w tę sprawę i ma pani motyw. Bardzo dobry motyw, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

– Naprawdę?

– Jeśli prawdą jest, że zemsta najlepiej smakuje na zimno, to można uznać, że pani wyjęła ją z zamrażarki.

– Cóż za pokrętna metafora, inspektorze.

Carlyle zauważył, że ludzie zawsze nazywają go „inspektorem”, gdy traktują go protekcjonalnie. Odetchnął głęboko i postanowił przelknąć ten afront.

– Ujmę to inaczej: czy cieszy się pani, że oni nie żyją?

– Nie – odpowiedziała z kamienną twarzą. – Naprawdę nie ma to dla mnie żadnego znaczenia.

– A gdyby i pozostali mieli zginąć?

– Też by mnie to nie obchodziło. *Inszallah*, jak powiedzieliby moi klienci. Wola Boża.

– Nie jest to odpowiedź, która skłaniałaby mnie do szukania podejrzanych gdzie indziej – skarcił ją najłagodniej, jak potrafił.

– Cóż, pan zna się na tym najlepiej. Sam musi pan to ocenić.

– Owszem.

Spojrzała na niego z uwagą.

– Ale może oni zasługują na śmierć?

Wielu ludzi zasługuje na śmierć, pomyślał Carlyle.

– Może – odpowiedział. – Nie mnie ich sądzić.

– Ktoś musi ich osądzić.

– Nie, nie musi. Nie zostali aresztowani, nie postawiono im żadnych zarzutów.

– To o niczym nie świadczy – prychnęła.

– W życiu nie liczy się to, co naprawdę dobre i złe. – Carlyle wzruszył ramionami. – Liczy się tylko to, kto o tym decyduje. Pani nie jest tym kimś... ani ja.

– Musi pan mierzyć wyżej, inspektorze. Pamięta pan, co powiedział Jeremy Bentham? „Rozgłos jest istotą sprawiedliwości. To najlepszy bodziec do działania i najpewniejsza ochrona przed nieuczciwością. Rozgłos sprawia, że sędzia także poddawany jest osądowi”.

– Kto taki? – spytał Carlyle zdumiony.

– Jeremy Bentham, filozof i prawnik, który żył dwieście lat temu.

– Aha. – Carlyle nie miał pojęcia, o kim mówi Ahl. Filozof i prawnik? Jedyny Jeremy, jakiego kojarzył, to pewien prezenter telewizyjny.

– Na Uniwersytecie Londyńskim wciąż wystawiony jest jego szkielet. W jego własnych ubraniach z doprawioną woskową głową.

– Cudownie.

– Sam sobie tego zażyczył.

– Może i ja zdecyduję się na coś podobnego – zażartował Carlyle. – Ale każę się wystawić w holu Scotland Yardu.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy górę wzięła natura prawnika.

- Widzę, że tracę tu tylko czas – zauważyła ostro. – Przejdźmy do rzeczy. Jakie macie przeciwko mnie dowody?

Wolałbym, żeby ludzie przestali zadawać mi to pytanie, Carlyle westchnął w duchu.

- Śledztwo wciąż jest w toku.
- Więc jak właściwie mogę wam pomóc?
- Czy może mnie pani zapewnić, że nie miała nic wspólnego ze śmiercią Hogartha, Blake'a i pozostałych?

Ahl spojrzała na niego beznamiętnie.

- Na tego typu pytania będę odpowiadała tylko w obecności prawnika. – Wzięła z półki nad kominkiem drugą wizytówkę i podała ją Carlyle'owi.
- Inna firma? – spytał, patrząc na nazwisko.
- Tak. U nas nie ma żadnego specjalisty od... takich spraw. Poza tym nie są to rzeczy, o których chciałoby się rozmawiać z kolegami z pracy.
- Oczywiście.

Do salonu wszedł Artur, który szukał zapewne następnego ciastka. Ahl uśmiechnęła się do niego promiennie i poklepała go po grzbiecie.

- Aresztuje mnie pan?
- Nie.
- Jeszcze nie?
- Jeszcze nie.

Susy uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Żadnych dowodów?

Carlyle milczał.

Wstała i ruszyła do drzwi.

- Muszę się jeszcze napić. Przynieść panu coś?
- Nie. Powinienem już iść. Jeszcze tylko jedno pytanie: czy w najbliższym czasie planuje pani jakieś podróże w interesach?

Odurzona winem, potrzebowała kilkunastu sekund, żeby przypomnieć sobie datę najbliższego wyjazdu.

- Mam polecieć do Dubaju za jakieś dziesięć dni. Proszę dać mi znać, jeśli się okaże, że to niemożliwe.
- Zrobię to. Niewykluczone, że poprosimy panią o oddanie paszportu. Być może pobierzemy również odciski palców i próbki DNA.
- Proszę się nie martwić, inspektorze – powiedziała, machając ręką w jego kierunku. – Wiem, że ma pan zadanie do wykonania i nie będę panu w żaden sposób przeszkadzała.
- Dziękuję.

Zamglony winem wzrok Susan nagle się wyostriżył.

- Ale i nie wykonam go za pana.

Odprowdziła go do wyjścia. Nim wyszedł, spytała:

- Co najgorszego przydarzyło się panu w życiu, inspektorze?

Carlyle wypuścił głośno powietrze i zastanowił się nad tym.

- Nie wiem – powiedział w końcu. – Nic nie przychodzi mi do głowy. Chyba miałem szczęście.
- Więc nie może mnie pan osądzać, prawda?
- Tak, to prawda. Poza tym to nie ja jestem od sądenia, zgadza się?

– Może tak, może nie.
– Na pewno nie – rzekł stanowczo. – Mógłbym tylko powiedzieć, że nawet gdy przydarzają nam się straszne rzeczy, świat nie staje w miejscu. Może brzmi to okrutnie, ale taka jest prawda. Jeśli nadal masz dla czego żyć, po prostu żyj. Nie zadręczaj się. Nie rób z siebie ofiary. Twoje nieszczęście nikogo nie obchodzi.
– Dobranoc, inspektorze – usłyszał w odpowiedzi. Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem.

Gdy wracał Stevenage Road, w górze wciąż trwała nieprzerwana procesja samolotów. Pograżony w myślach, Carlyle nawet ich nie zauważył.

32

Restauracja Kami no Szizuku – Krople Boga – zapewniała klientom wyciszone, niemal uduchowione otoczenie i spokój ducha konieczny do tego, by wydać kilka tysięcy funtów na posiłek. Sławny włoski projektant Simone Mestaguerra wybrał najlepsze naturalne materiały, dzięki którym wnętrza tchnęły atmosferą ponadczasowego luksusu. Główna sala, wzorowana na refektarzach średniowiecznych klasztorów, stanowiła oazę spokoju w zabieganym współczesnym świecie. Marmur, wapień i najlepsze gatunki drewna ściągnięto tu z całego świata, by stworzyć wzór doskonałości.

Właściciel, Kanzaki Carew, pomyślał o sięgającym ćwierć miliona euro honorarium Mestaguerry i odmówił cichą modlitwą za zbawienie jego duszy. Tego wieczoru ponadczasowy luksus nie mógł przesłonić tego, że restauracja świeciła pustkami. Interesy szły marnie, podczas gdy jeszcze rok temu trzeba było rezerwować stolik z czteromiesięcznym wyprzedzeniem. Żartowano wówczas, że rezerwacje są tak drogie, iż handluje się nimi na rynku transakcji terminowych. Teraz nikt już tak nie żartował – rynek transakcji terminowych, jak wiele innych, upadł.

Kanzaki był jedną z niezliczonych ofiar recesji. W ciągu ostatnich kilku miesięcy nie przyjął ani jednej rezerwacji od amerykańskich spółek finansujących sprzedaż ratalną, które niegdyś zajmowały całe sale. Ustał nawet ruch w porze lunchu, choć jeszcze niedawno przychodziły tu tłumy, złożone głównie z żon biznesmenów z City, pracowników mediów, specjalistów od public relations i przedsiębiorców. A czasy, gdy bankierzy wydawali dziesiątki tysięcy albo i więcej na wino do posiłku – zdarzało się to na tyle często, że zgodnie z zarządzeniem Kanzakiego jedzenie zawsze było gratis, gdy tylko rachunek za wino przekroczył dwadzieścia tysięcy funtów – były już tylko odległym wspomnieniem.

Restaurator spojrzał nerwowo na oprawiony w ramki rachunek umieszczony za kasą i obiecał sobie w duchu, że go zdejmie. To na pewno zła karma. W czasach kryzysu najwyższy rachunek w historii Kami no Szizuku zakrawał na drwinę. Zapłaciło go dwunastu bankierów, którzy uczcili sfinalizowanie wartego fortunę kontraktu dziewięciogodzinnym jubilem. Kanzaki niegdyś ekscytował się tym rachunkiem i wciąż potrafił wyrecytować go z pamięci, niczym swoje prywatne *Ojciec nasz*:

Cztery butelki Dom Perignon z 1995 roku po 6750 funtów każda; Półtoralitrowa butelka Mouton Rothschild z 1945 roku za 20 tysięcy funtów; Trzy butelki Montrachet z 1982 roku po 2400 za każdą; Petrus z 1945 roku za 15600 i Petrus z 1946 za 11400; Petrus z 1947 roku za 13300; Château d'Yquem z 1900 roku za 10700 funtów. Sam napiwek wyniósł trzynaście tysięcy funtów – z czego połowa trafiła prosto do kieszeni Kanzakiego. Wszyscy bankierzy byli stałymi klientami, ale sześciu z nich do tego czasu straciło pracę. Dwaj spośród pozostałych pracowali teraz w Hongkongu, a dwaj inni w Dubaju. Jeden próbował szczęścia w Bombaju.

Tylko jeden z całej dwunastki zdołał się utrzymać na zmasakrowanym londyńskim rynku, ale w restauracji nie widziano go od ponad trzech miesięcy.

Kanzaki wiedział, że nikt już nie przebije rekordowego rachunku ani nikt nawet się do niego nie zbliży. Na przykład tego wieczoru żaden z klientów nie zapłaci więcej niż trzy tysiące. Takie obroty nie wystarczały na utrzymanie restauracji, a Kanzaki gorzko żałował, że na początku roku wydał ponad trzysta tysięcy funtów na remont kuchni. W najlepszym okresie zatrudniał czterdziestu kucharzy, teraz została mniej niż połowa, a wkrótce zamierzał zwolnić kolejnych pięciu. Odeszło również dwóch spośród trzech kelnerów podających wino oraz sześcioro innych pracowników obsługi sali. Żałował, że musi pozbywać się swoich ludzi, bo tworzyli świetny profesjonalny zespół, ale nie miał wyjścia. Wina z gromadzonej przez lata kolekcji miały wkrótce zostać przewiezione do Szwajcarii i sprzedane. Plany rozwoju Kami no Szizuku jako ogólnoswiatowej marki, wspieranej przez jakiegoś chińskiego lub indyjskiego inwestora, dawno umarły śmiercią naturalną. Z każdym mijającym wieczorem Kanzaki był coraz bliższy decyzji o zamknięciu restauracji. Dalsza walka nie miała sensu. Jeszcze dwa takie miesiące i koszty zaczną poważnie uszczuplać fundusze, które zgromadził w lepszych latach.

Joshua Hunt, stały klient restauracji, a właściwie części przeznaczony dla VIP-ów, obserwował ze współczuciem, jak jego przyjaciel Kanzaki Carew przechadza się nerwowo po sali. Joshua spojrzął na puste stoliki i szybko wykonał w głowie kilka prostych obliczeń. Restauracja traci co najmniej pięćdziesiąt tysięcy tygodniowo, więc należy się spodziewać, że wkrótce zostanie zamknięta. Dawał jej najwyżej dwa miesiące. Było mu żal Kanzakiego, ale życie toczy się dalej. W gruncie rzeczy on nie musi się tym przejmować. W Londynie nie brakuje przecież równie dobrych restauracji.

Joshua był dumny, że pomimo trudnej sytuacji gospodarczej on wciąż zarabia. Dla Joshuy i jego programów komputerowych kondycja rynków finansowych nie miała właściwie większego znaczenia. Jego firma, McGowan Capital, prowadziła fundusze inwestycyjne, które od czterech lat należały do najlepiej prosperujących firm tego typu w Londynie. W tym roku, dzięki trafnej decyzji o przeniesieniu środków z akcji, nieruchomości i ropy naftowej na złoto, obligacje i przede wszystkim gotówkę, mieli spore szanse na zajęcie trzech pierwszych miejsc, i to ze sporą przewagą nad konkurencją.

Joshua zerknął na swoją omegę seamaster i ziewnął ukradkiem. Biznesowa kolacja ciągnęła się w nieskończoność, więc gdy jego goście wreszcie sobie poszli, odetchnął z ulgą. Uwolniwszy się od klientów, wcale nie spieszył się z wyjściem. Uchowiec z gęsimi nóżkami był prawdziwym rarytasem, więc chciał delektować się nim jeszcze przez jakiś czas.

Nigdy nie przychodził do Kami no Szizuku tylko w interesach – przychodził tu dla wyjątkowych doznań. Zawsze czekało tu na niego wyborne danie, które należało odpowiednio długo smakować. Co ważniejsze, w butelce zostało jeszcze trochę Château Lafite-Rothschild za dwa tysiące, którego po prostu nie mógł zmarnować. Spojrzął z uśmiechem na kieliszek, po czym wznosił toast na cześć swojej żony.

– Dziękuję, że tak długo to znosiłaś.

– Co?

Carole Simpson zdążyła już zapomnieć o parze, z którą spędzili ostatnie dwie i pół godziny. Zastanawiała się właśnie, czy powinna była zamawiać na deser gęsty pudding toffi. Owszem, był pyszny, jak zawsze, ale dlatego pozwoliła Kanzakiemu namówić się na ten smakołyk? W gruncie rzeczy była to tylko dodatkowa porcja kalorii, której wcale nie potrzebowała. Choć dawno już skończyła pracę, wciąż czuła się przede wszystkim policjantką i było jej wstyd, że tyle czasu spędziła za stołem. Poza tym starała się przecież utrzymać w

formie, a takie kolacje z pewnością temu nie służyły.

– Dziękuję, że przyszedł tu dziś ze mną – powiedział, nalewając sobie resztkę wina.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła Simpson. – Właściwie nie do końca, ale wiesz, co mam na myśli.

– Tak, wiem.

– Przypomnij mi jeszcze raz, kim byli ci ludzie.

– Shane to inwestor średniego stopnia – odparł Joshua. Inwestor średniego stopnia, czyli ktoś, kto wpłacił na jeden z funduszy McGowan Capital od pięćdziesięciu do stu milionów funtów. – Nie obawia się o swoje pieniądze, i bardzo dobrze, bo może je wypłacić najwcześniej w marcu, ale po prostu był tu przejazdem z żoną i...

– I kilka słów otuchy w połączeniu z darmową kolacją na pewno nie zaszkodzą, kiedy indeksy na giełdzie lecą w dół – dokończyła z uśmiechem Simpson.

– Otóż to – przytaknął Joshua, tłumiąc irytację. W ostatnich dniach tłumaczył to swojej żonie co najmniej trzy razy, ale przywykł już do tego, że jego praca jej nie interesuje. Wydawała się rozbawiona tym, że zarobił tyle pieniędzy, tylko przesuwał cyfry po monitorze komputera – chyba do końca nie wierzyła, że to naprawdę tak działa.

Nie przejmował się jednak jej niepoważnym podejściem, bo i on nieszczerze interesował się jej pracą. Byli zabezpieczeni finansowo do końca życia, więc Carole wcale nie musiała zarabiać. Zdaniem Joshuy praca w policji była dla niej rodzajem hobby. Jednak żadne z nich nie zastanawiało się, czy powinna stamtąd odejść. To była część jej jestestwa, którego nigdy nie pozbyłaby się z własnej woli.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, zrelaksowani i syci. Nie po raz pierwszy Simpson patrzyła na męża z niedowierzaniem i czułością. Wciąż nie mogła pojąć, jak w ciągu tych dziesięciu lat, które upłynęły od dnia ich ślubu, zmienił się z oderwanego od życia informatyka w drapieżnego i przenikliwego inwestora. Cieszyła się, że olbrzymi dom w Highgate, wystawne kolacje w drogich restauracjach, bajecznie bogaci klienci i koneksje polityczne nie sprawiły, że Joshua stał się zupełnie innym człowiekiem i nie pozbawiły jej tego, co zawsze w nim ceniła. Cieszyła się również, że mogą teraz robić zupełnie nowe rzeczy, bywać w kręgach, które wcześniej wydawały jej się nieosiągalne. Wiele spośród nowych doświadczeń pani komisarz przerastało aspiracje jej szefów z policji metropolitalnej. Bawiło ją to, ale nigdy o tym nie marzyła, więc gdyby nagle wszystko zniknęło, bez żalu wróciłyby do poprzedniego życia.

Posilek był smaczny, ale teraz czuła się bardzo zmęczona. Nazajutrz znów musi bardzo wstąpić. Jak co dzień czekały ją spotkania i narady, żmudna i nieciekawa praca. Odpowiedzialność pozbawiona władzy jest męcząca. Zaległości w sprawach, za które w gruncie rzeczy odpowiadała, robiły się coraz większe. Zastanawiała się, czy Carlyle dotarł już do tej Ahl. Powinien był tego wieczoru zdać jej raport, wiedziała jednak, jak zazdrośnie strzeże zdobytych informacji. Wciąż musiała się przez niego denerwować i za to go właśnie nie cierpiała. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, dlaczego ten cholerny cynik nie może po prostu robić tego, co mu się każe.

Już dawno doszła do wniosku, że Carlyle ma po prostu zbyt wysokie mniemanie o sobie i dlatego przysparza jej tylu problemów. Nagle poczuła paskudne pieczenie w przełyku i skrzywiła się. Powinna była kazać od razu przywieźć tę kobietę na przesłuchanie do Charing Cross. Byłoby im o wiele łatwiej, gdyby ją aresztowali. Śledztwem wciąż kieruje Carlyle, ona jednak musi patrzeć na wszystko z szerszej perspektywy. Może czas pchnąć go w odpowiednią stronę? Zakończenie tej sprawy byłoby ogromnym sukcesem.

Joshua miał ochotę zapalić cygaro, zobaczył jednak, jak bardzo zmęczona jest Carol i zmienił zdanie. Począł, aż Kanzaki spojrzy w jego stronę i poprosił gestem o rachunek. Odwróciwszy się do żony, powiedział:

– Krążą plotki, że burmistrz w końcu odwoła komendanta policji. Po wyborach, kiedy kumple burmistrza rozgoszczą się już na Downing Street, twój Osgood odejdzie w przeszłość.

Carole Simpson się uśmiechnęła. Jak wszyscy pracownicy policji, dobrze znała te plotki. Komendant policji, Luke Osgood, był za bardzo związany z dotychczasową ekipą rządzącą. Christian Holyrod, jedna z najważniejszych postaci kliku Carltonów, przeżył już mięśnie, przygotowując się do zmian w Westminsterze. Odwołanie najważniejszego gliniarza w Anglii miało wszystkim pokazać, kto teraz rządzi.

– Luke zawsze był swoim najgorszym wrogiem – zauważyła nonszalancko.

– Był?

– Był – potwierdziła. – Kiedy odejdzie, nikt się nie zdziwi. Zawsze postrzegano go jako człowieka obecnego rządu. Od kiedy wiadomo, że będą musieli odejść, Luke jest już właściwie żywym trupem.

– Cóż za lojalność – droczył się z nią.

– Jestem lojalna – uśmiechnęła się – wobec jego pamięci.

– Bardzo zabawne. – Parsknął sztucznym, przeznaczonym dla klientów śmiechem, którego okropnie nie lubiła.

– Mówię poważnie. – Naburmuszyła się. – Pod wieloma względami Luke był doskonałym policjantem. Londyn jest teraz bardzo bezpiecznym miastem, co po części na pewno jest jego zasługą. Ale wiesz, jak mówią...

– Jak mówią? – spytał Joshua z uśmiechem.

– Że wszystkie kariery polityczne kończą się porażką.

Joshua napił się wina.

– Kiedy odejdzie, zaczniesz się trzęsienie ziemi?

– Na pewno.

– Myślisz, że to dla ciebie dobrze?

– Mam nadzieję, ale musimy poczekać i przekonać się.

Simpson nie chciała zapeszać, ale wiedziała, że wciąż jest na fali, i że otwiera się przed nią mnóstwo ekscytujących możliwości. Skłamałaby, mówiąc, że nie zastanawiała się nad tym w ciągu ostatnich miesięcy. Powinna co najmniej awansować na komendanta policji metropolitalnej. Stamtąd mogłaby już mierzyć w stanowisko zastępcy komendanta głównego. Na razie wszystko układa się po jej myśli, teraz muszą tylko szybko i dyskretnie załatwić sprawę tych morderstw.

– A jak sprawa Carltonów? – spytał Joshua, jakby czytał w jej myślach.

Simpson upiła łyk herbaty pieprzowej i ostrożnie odstawiła filiżankę na talerzyk.

– Wygląda na to, że w końcu robimy postępy. Mój inspektor odszukał niejaką Susy Ahl, która prawdopodobnie będzie naszą główną podejrzaną.

– Interesujące.

Kanzaki stanął bezszelestnie koło Joshuy i położył na stole rachunek. Joshua spojrzął na niego przelotnie i wyjął z kieszeni kartę American Express Centurion Black.

– Podobno Ahl była dziewczyną Roberta Asthona, który w osiemdziesiątym piątym roku popełnił samobójstwo w Cambridge – tłumaczyła cicho Simpson, gdy Kanzaki wycofał się na odpowiednią odległość. – To właśnie zdjęcie Asthona znaleziono obok Hogartha.

– Więc chodzi o zemstę? Myślisz, że ona to zrobiła? – spytał Joshua, gdy właściciel

restauracji wrócił z przenośnym terminalem.

Simpson oczekiwała, aż mąż wpisze PIN i odbierze potwierdzenie. Gdy znów zostali sami, powiedziała:

- Wygląda na to, że na razie to nasz jedyny trop.
- Jeśli to rzeczywiście była ona, to dlaczego zostawiła tak oczywistą wskazówkę?
- Kto wie? – Simpson westchnęła. – Ludzie jej pokroju zwykle nie myślą logicznie.
- Albo zależy jej na rozgłosie – podsunął Joshua.
- Być może – zgodziła się z nim Simpson. Właśnie tego obawiała się najbardziej.
- Zabójca, który chce, by go złapano...

Simpson rzuciła mu spojrzenie, które mówiło: „Nie każ mi teraz nad tym się zastanawiać...”.

– Nie powinniście jej aresztować? – spytał Joshua.

– To bardzo dobre pytanie, ale na razie decyzja należy do Carlyle’a. Chce ją najpierw wy badać. Jego zdaniem nie stanowi bezpośredniego zagrożenia. Na pewno nie jest w stanie choćby zbliżyć się do pozostałych członków Klubu Merrion.

– Czy mimo wszystko nie jest to zbyt duże ryzyko?

– To decyzja Carlyle’a.

– Rozumiem. – Joshua Hunt powoli dopił wino. Smakowało naprawdę wybornie, ale świadomość, że w takich czasach wciąż stać go na trunki po dwa tysiące za butelkę, smakowała jeszcze lepiej. Po chwili powiedział: – Wiesz, że jutro będę się widział z Edgarem?

Simpson napiła się herbaty. Zupełnie zapomniała o porannym spotkaniu męża, który miał zjeść śniadanie z przyszłym premierem. Następne dziesięć tysięcy za filiżankę okropnej kawy i muffina, pomyślała. Nie rozumiała, dlaczego jej mąż tak bardzo chce się przypodobać Edgarowi Carltonowi, ale w końcu to jego pieniądze i jego decyzje. Na początku roku Joshua wypisał czek na milion funtów przeznaczony dla partii Carltonów, a także dołączył do grona zwanego Grupą Lidera, co oznaczało, że skarbnicy partii mogą doić go przy każdej okazji. Simpson postrzegala to przede wszystkim jako kosztowne hobby, którego cel pozostawał dla niej niejasny. Joshua nie potrzebował tych ludzi, by McGowan Capital mógł nadal zarabiać. Może marzy skrycie o karierze politycznej? Jeśli jednak jego kryzys wieku średniego ma się objawiać tylko w taki sposób, to powinna być wdzięczna losowi.

– To śniadanie robocze w dzień wyborów – wyjaśnił Joshua. – Dla mnie i dla kilkunastu innych darczyńców. Ale jestem pewny, że uda mi się z nim porozmawiać.

– Nie będzie zbyt zajęty?

– Nie. Wszyscy są spokojni. Wiedzą, że pomimo sondaży wygrana mają w kieszeni. Edgar spędzi cały dzień w Londynie, nie chce zachowywać się jak idiota, który do ostatniej chwili szuka głosów.

Polityka bardzo ją nudziła. Krzątania dużych chłopców, przekonanych o własnej wyjątkowości.

– A czy nie tym właśnie powinni zajmować się politycy? – spytała słodko.

– Chodzi właśnie o to, że oni chcą zmienić reguły. Nawet jeśli nie dotrę do Edgara, to na pewno porozmawiam z Xavierem, bo siedzimy przy jednym stole. Powinienem wspominać coś o tej kobiecie?

Chcesz im po prostu pokazać, że wiesz, co w trawie piszczy, pomyślała Simpson. Trochę się popisać. Mimo to postanowiła mu dogodzić.

– Dobrze, jeśli nadarzy się okazja, możesz o tym wspomnieć. Ale pamiętaj, musisz być dyskretny. Śledztwo jeszcze trwa, a ja jestem za nie odpowiedzialna.

- Wiem.
- Carole westchnęła z rezygnacją. Zawsze wiedziała, kiedy mąż jej nie słucha.
- Na miłość boską, bądź dyskretny. Bardzo dyskretny.
- Oczywiście. – Mąż obdarzył ją uśmiechem zarezerwowanym dla najważniejszych klientów. – Zawsze jestem.

Gdyby Niemcy wygrali drugą wojnę światową, świat wyglądałby zupełnie inaczej. Na przykład Kolumna Nelsona zostałaby rozebrana i przewieziona do Berlina. Christian Holyrod przypomniał sobie tę mało użyteczną informację, gdy stał pod pomnikiem wielkiego Lorda Admiralicji i modlił się, by nie nasrał na niego jeden z gołębi, które przeżyły odstrzał zorganizowany przez poprzedniego burmistrza. Coraz częściej dochodził do wniosku, że praca burmistrza nie jest zajęciem dla dorosłych ludzi. Po raz nie wiadomo który myślał o tym, z czego zrezygnował, odchodząc z wojska. Jako człowiek przywykły do pełnej kontroli nad otaczającymi go ludźmi, wciąż nie mógł się pogodzić z tym, jak niewiele ma do powiedzenia w swoim nowym życiu.

Holyrod otarł pot z czoła. Nie lubił bawić się w gdybanie, ale nie mógł uwolnić się od myśli, że gdyby wiceadmirał Horatio Nelson, pierwszy wicehrabia Nelson i pierwszy książę Bronté, rzeczywiście wybrał się w tysiąckilometrową podróż w głąb kontynentu, do serca tysiącletniej Rzeszy, on mógłby teraz być zupełnie gdzie indziej. Ale jest, gdzie jest, zgrzany i zażenowany. Doradca, który wysłał go tutaj, na Trafalgar Square, by w dzień wyborów, a zarazem najgorętszy dzień roku, promował kolarstwo, powinien zostać rozstrzelany. Obiecał sobie w duchu, że tylko jeszcze raz zapozuje do zdjęć, a potem zakończy tę idiotyczną zabawę.

Otoczony przez grupkę ślicznotek w obcisłych kombinezonach z lycry odetchnął głęboko i pozwolił, by trzask zwalnianych migawek sięgnął apogeum.

- Tutaj!
- Panie burmistrzu!
- Christian!
- Proszę spojrzeć tutaj!

Holyrod szczyrzył zęby w wymuszonym uśmiechu, zwrócony twarzą do tłumu fotoreporterów i kamerzystów. Po jakiejś minucie pewna ponętna prezenterka telewizyjna – druga obok Holyroda gwiazda tego wydarzenia – wskoczyła na rower i nieco chwiejnie zaczęła objeżdżać fontanny, ścigana przez kilku bardziej wysportowanych kamerzystów. Holyrod uznał, że to doskonała okazja, by zakończyć występ, założył więc na nos raybany aviatory i ruszył w stronę północno-wschodniej części placu.

Holyrod zdecydowanie odrzucił sugestię, że powinien pojechać na następne spotkanie na rowerze, lecz by nie robić złego wrażenia, zgodził się spotkać ze swoim kierowcą gdzieś z boku, poza zasięgiem kamer. Jego jaguar stał na Bedfordbury, obok London Coliseum, siedziby angielskiej opery narodowej. Potrzebował najwyżej trzech minut marszu, by tam dotrzeć.

Szedł szybko, z nisko pochyloną głową, chcąc uniknąć natrętnych sympatyków i jeszcze bardziej natrętnych wrogów. W ciągu niecałej minuty przeszedł przez Trafalgar Square i znalazł się przy Galerii Narodowej. Wtedy właśnie usłyszał, że ktoś go woła.

- Panie burmistrzu?

Przekonany, że to łowca autografów, Holyrod zwolnił i odwrócił się w stronę głosu. Był zaskoczony, gdy zobaczył tego plebejskiego policjanta.

- Inspektorze. – Burmistrz przyspieszył kroku.

– Panie Holyrod – Carlyle nie dawał za wygraną – chciałbym zamienić z panem kilka słów.

– To nie jest najlepszy moment – odparł Holyrod, jeszcze bardziej przyspieszając. – Mam spotkanie.

Carlyle, który już był zgrzany i wściekły, nie zamierzał za nim biec. Położył rękę na ramieniu Holyroda, zignorował wyraz zdumienia na jego twarzy, i zbliżył się o krok.

– Do tej pory byłem bardzo uprzejmy...

– I jesteśmy panu za to wdzięczni – odparował Holyrod, spoglądając z irytacją na niechcianego towarzysza.

Były żołnierz był co najmniej dziesięć centymetrów wyższy od Carlyle'a, ale ten nie zamierzał dać się zastraszyć.

– ...ale – ciągnął, nie zwracając uwagi na ostry ton Holyroda – jeśli nie przestaniesz mnie pan spławiać, aresztuję pana. Tu i teraz.

Holyrod sapnął zdumiony.

– I zaprowadzę pana tam. – Carlyle wskazał tłum dziennikarzy po drugiej stronie placu. – W kajdankach. Poczekamy razem na radiowóz, a to może potrwać ze dwadzieścia minut. Założę się, że to zrobi na dziennikarzach większe wrażenie niż pański rower. Chyba nie chciałby pan tego w dniu wyborów?

Holyrod westchnął.

– Miller mówił nam, że jest pan skończonym dupkiem.

Carlyle się uśmiechnął.

– Dobry stary Trevor. Zawsze doskonale znał się na ludziach.

Ochroniarz, który dotąd trzymał się z boku, ruszył w ich stronę, ale Holyrod oddalił go machnięciem ręki. Spojrzał na Kolumnę Nelsona, na ziemię, a potem ponad ramieniem Carlyle'a.

– Chodźmy tam – powiedział, ruszając w stronę kościoła St Martin in the Fields po drugiej stronie ulicy.

Zadowolony, że Holyrod dał się nabrać na jego blef, Carlyle przeszedł za nim przez ulicę, wspinał się na schody i znikł w kościele. Wiedział, że gdyby burmistrz postanowił po prostu odejść, nie mógłby go aresztować, choćby dlatego, że zostawił kajdanki w komisariacie.

We wnętrzu kościoła dominowały woń stęchlizny i nastrój wyciszenia i spokoju. Światło wpadające przez okna po wschodniej stronie odbijało się od białego sufitu. Na tablicy ogłoszeń wisiała informacja, że popołudniowa msza rozpocznie się o trzynastej piętnaście. Spojrzał na zegarek. Ma jeszcze sporo czasu. Inny plakat obwieszczał początek serii koncertów poświęconych kantatom Bacha. Uwagę Carlyle'a przykuł jednak plakat z myślą tygodnia: *Prawda was wyzwoli*. Amen, pomyślał z uśmiechem. Gdyby tylko więcej ludzi stosowało się do tych słów, jego życie byłoby o wiele prostsze.

Holyrod czekał na niego w ławce po prawej stronie świątyni, z przodu.

– To pewnie pański kościół parafialny, inspektorze – powiedział, gdy Carlyle usiadł obok niego.

– Pewnie tak – odparł wymijająco Carlyle, który był tu pierwszy raz w życiu.

– Powinien pan znać swoją okolicę – zganił go Holyrod. – To jeden z najpiękniejszych kościołów barokowych w Londynie. Podczas pierwszej wojny światowej chronili się tutaj żołnierze wyruszający do Francji. Co roku nadal szuka tu pomocy sześć tysięcy bezdomnych.

Holyrod umilkł na moment, zadowolony, że aż tyle udało mu się zapamiętać ze spotkania z wikarym kościoła St Martin, który jak na duchownego potrafił zaskakująco sprawnie

pozyskiwać fundusze od miasta.

– To bardzo interesujące – przyznał Carlyle. – Ale nie zamierzam rozmawiać z panem o historii.

– Więc o czym chciał pan rozmawiać? – spytał Holyrod, z trudem skrywając pogardę.

– O prawdzie.

– Ach... – Holyrod wznosił oczy do nieba. – To trudne.

Carlyle poczekał, aż grupa turystów oddali się od ich ławki.

– Dlaczego nie powiedzieliście mi o Susy Ahl? – Na twarzy burmistrza pojawił się wyraz konsternacji i rezygnacji zarazem. – Jesteśmy w kościele. – Carlyle był zdeklarowanym ateistą, ale Holyrod mógł mieć inne poglądy na sens życia, warto więc było odwołać się do siły wyższej. Wskazał głową wejście. – Myśl tego tygodnia brzmi: *Prawda was wyzwoli*. Nie robię żadnych notatek. Wszystko pozostanie między nami.

Nie wyglądało na to, by Holyrod należał do szczególnie uduchowionych ludzi.

– Nie znam tego nazwiska.

– Była dziewczyną Roberta Ashtona.

– Ach tak. – Holyrod pokiwał głową i podniósł ręce w geście, który miał symbolizować szczerłość. – Teraz już rozumiem. Wiem o istnieniu tej kobiety, ale nie rozpoznałem jej nazwiska, bo nigdy jej nie spotkałem.

– To już jakiś postęp.

– A dlaczego pan o to pyta? – Burmistrz uśmiechnął się chytrze. – Jest podejrzana?

Aresztował ją pan?

– Śledztwo trwa.

– Zakładam, że to oznacza zaprzeczenie. Jeśli to właśnie ta kobieta, powinien pan ją aresztować, inspektorze. – Przestał w końcu gapić się w przestrzeń i odwrócił się do Carlyle'a. – W końcu to pańska praca.

– Czy to, co mówiła o Ashtonie, jest prawdą?

– A co mówiła?

– Że został brutalnie zgwałcony i to właśnie pchnęło go do samobójstwa.

– Wierzy pan w to?

Carlyle wzruszył ramionami.

– Nie jestem od tego, żeby w cokolwiek wierzyć.

Holyrod porzucił pseudopatrycjuszowską pozę i pokazał oblicze twardego żołnierza, którym wciąż w głębi duszy był.

– Wszystko jedno. W sprawie wielokrotnego morderstwa nie jest to zbyt przekonująca linia obrony. – Skrzywił się i przemówił piskliwym, dziewczęcym głosem: – Mój chłopak trochę przesadził z seksem. – Carlyle patrzył na niego zdumiony. – To, co przydarzyło się Ashtonowi, nie było czymś wyjątkowym. – Holyrod wrócił do normalnego głosu. – Nawet jeśli pchnęło go do samobójstwa. Co oczywiście należy tylko do sfery domysłów i spekulacji. Może pańska kobieta będzie mogła liczyć na nieco łżejsze traktowanie w więzieniu, gdzie zostanie do końca życia, ale nie zyska niczego więcej.

Moja kobieta? – pomyślał Carlyle.

– To interesujące podejście do sprawy – zauważył głośno. – Pani Ahl widzi to nieco inaczej.

– Z pewnością. – Holyrod rozłożył ręce. – Dajmy spokój, inspektorze, dla ludzi w naszym wieku nie ma to większego znaczenia. A co z wszystkimi świństwami, które robił pan na studiach? Z rzeczami, których wstydzi się pan do dzisiaj?

– Nie studiowałem.

Holyrod chciał coś odpowiedzieć, rozmyślił się jednak i rzucił tylko spojrzenie, które mówiło jednoznacznie: „Tracę tylko czas”. Wstał. Carlyle zrobił to samo. Tym razem to burmistrz położył rękę na ramieniu policjanta i mocno ją zacisnął.

– Musi pan pamiętać, że jej tam nie było.

– Nie, ale...

– Pana też.

– Owszem.

– I mnie także. – Holyrod puścił ramię Carlyle’a, które zaczęło go już lekko boleć. – Przynajmniej nie w kluczowym momencie. – Uśmiechnął się. – Nie byłem częścią tego, co się tam stało. Edgar Carlton też nie. – Zrobił krótką pauzę. – Wie pan, jak ważna jest dla nas nasza reputacja.

– Tak. Szczególnie przez następne dwadzieścia cztery godziny.

Holyrod zrobił grymas, który po trosze czynił zeń świętego, a po trosze kata.

– Przez następne dwadzieścia cztery godziny, przez następne dwadzieścia cztery lata, a nawet dłużej. Jesteśmy ludźmi honoru, rozumie pan?

Jak ludzie mogą wierzyć w te wszystkie bzdury? – zastanawiał się Carlyle, ale choć raz ugryzł się w język i tylko skinął głową.

– Tak.

– Ciekaw jestem, co będzie dalej. – Holyrod zmierzył go spojrzeniem. – Do tej pory radził pan sobie całkiem nieźle. Teraz musi pan doprowadzić sprawę do końca. Proszę robić to, co do pana należy, inspektorze, nic więcej, nic mniej.

Nie czekając na odpowiedź, burmistrz odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Carlyle słuchał jego kroków, a gdy Holyrod zniknął za drzwiami, mruknął do siebie:

– Dobra robota, John, poszło idealnie. Dokładnie tak, jak zaplanowałeś. Czeka cię kolejny triumf.

Trevor Miller odłożył słuchawkę telefonu i podniósł wzrok.

– W porządku – powiedział. – Znaleźliśmy ją.

– Wiesz, co masz robić? – spytał cicho Edgar Carlton.

– Tak.

– To dobrze. To bardzo dobrze.

Przechodząc obok hotelu Garden, Carlyle zajrzał do środka i spostrzegł konsjerżę Alexa Milesa, który krzątał się właśnie koło jakiegoś nowo przybyłego gościa. Odkąd w pokoju na trzecim piętrze znaleziono ciało Iana Blake’a, minęły niecałe dwa tygodnie. Carlyle próbował przypomnieć sobie szczegóły. Jaki numer miał ten pokój? Ilu ludzi spało w nim od tamtej pory? Zastanawiał się, czy wymienili łóżko. Na pewno musieli zmienić materac.

Próbował przywołać w pamięci, co czuł, przechodząc przez te drzwi, widząc puste oczy trupa, wdychając zapach krwi. Niczego nie pamiętał. Nic nie zostało w jego pamięci na dłużej niż program telewizyjny widziany poprzedniego wieczoru. Ian Blake był już tylko odległym i niewyraźnym wspomnieniem, przypisem w śledztwie dotyczącym własnej śmierci. Czy po dwóch tygodniach komukolwiek go brakuje? Czy ktokolwiek pamięta jeszcze o jego istnieniu? Inspektor czuł, jak ogarnia go melancholia, z której trudno mu się będzie otrząsnąć. Nie rób z siebie ofiary, skarcił się, ruszając w dalszą drogę. Nie rób z siebie ofiary.

Poszedł do domu, wziął prysznic i zjadł kanapkę z serem. Kiedy Helen wróciła z pracy, zabrali Alice do lokalu wyborczego w Dragon Hall, przy Macklin Street. Zawsze głosowali razem, była to swego rodzaju rodzinna tradycja. Alice wręczała im karty do głosowania, a potem

każde z rodziców po kolei zabierało ją do kabiny, by mogła postawić krzyżyk przy wybranym kandydacie. Następnie składała karty i wrzucała je do urny. Kiedy dotarli na miejsce, w lokalu było pustawo, załatwili więc sprawę w dziesięć minut. Carlyle'em targały sprzeczne uczucia – wiedział, że jego głos nie ma żadnego znaczenia, z drugiej jednak strony nie chciał, by jego córka wyrosła na takiego cynika jak on.

Zostawił je przy drzwiach Winter Garden House, ucałował i wyściskał każdą z osobna.

- Kiedy wrócisz do domu? – spytała Helen.
- Nie wiem. Późno. Może bardzo późno.
- Na dobrze. – Westchnęła. – Rób, co musisz robić, ale uważaj na siebie.
- Będę – obiecał.

34

Kiedy wrócił na Charing Cross, było już dobrze po osiemnastej. Joe Szyszkowski jeszcze się nie pojawił, Carlyle usiadł więc za biurkiem i oglądał wiadomości BBC na telewizorze zawieszonym pod sufitem. Dźwięk był wyłączony, ale na dole przesuwały się napisy, które pozwalały mu zrozumieć, o czym mowa. Giełda nie czekała z krachem na wyniki wyborów. Jakiś przemądrzały prezenter tłumaczył, że ceny akcji spadają na łeb na szyję, kapitalizm jest skazany na klęskę i jeszcze przed Bożym Narodzeniem wszyscy będą mieszkali w jaskiniach.

– Nie powinieneś słuchać tych bzdur – powiedział Joe, przechodząc przed telewizorem. – Tylko cię zdołują.

– Chyba nigdy nie było lepszej pory, żeby zbiednieć – zauważył Carlyle ponuro, sięgając po pilota i wyłączając odbiornik.

– Przydatna rzecz – mruknął Joe.

Carlyle rzucił pilota na biurko i poczuł wibracje w kieszeni na piersiach. Choć raz udało mu się je wyczuć! Rozpoznał numer Susy Ahl, wcisnął szybko zielony guzik.

– Halo?

W słuchawce panowała cisza.

Oddzwonił, ale usłyszał sygnał informujący o tym, że numer jest zajęty.

Cholera!

Spróbował jeszcze raz, z takim samym rezultatem.

Cholera! Pierdolona technika!

Miał ochotę rzucić telefonem o ścianę, jednak w porę się powstrzymał. Po trzeciej próbie połączył się z pocztą głosową. Nie zostawił wiadomości. Dlaczego do niego dzwoniła? Może wreszcie pogodziła się z tym, że gra dobiegła końca.

Pewny, że wieczorem czeka go sporo pracy, Joe zarezerwował mitsubishi shoguna z policyjnego parkingu. Okazało się jednak, że poprzedni użytkownik jeszcze go nie oddał, a na parkingu zostało tylko kilka elektrycznych smartów testowanych przez policję. Żaden szanujący się gliniarz, w tym Carlyle i Joe, nie pokazałby się w czymś takim. Inspektor zastanawiał się, czy pojechać metrem, ale nie miał ochoty gnieść się w zatłoczonych wagonach. Poza tym i tak potrzebują samochodu, by przewieźć Susy Ahl do komisariatu. Muszą poczekać.

Czekanie zawsze było najistotniejszą częścią tej pracy, a Carlyle zdołał już do niego przywyknąć. Przez następne półtorej godziny analizowali z Joem sprawę, zastanawiali się, co mają, czego im brakuje i co przegapili. W końcu wrócili do punktu wyjścia. Wszystko wskazywało na to, że Susy Ahl zabiła czterech członków Klubu Merrion w odwecie za to, co przed wielu laty zrobili Robertowi Ashtonowi.

Czy ta kobieta jest szalona? To może ocenić tylko lekarz. Tak czy inaczej, Carlyle musiał przyznać, że zamordowanie czterech członków klubu było niezwyklej osiągnięciem, którego nikt nie spodziewałby się po samotnej prawniczce w średnim wieku. Ukoronowaniem tej morderczej misji miało być zniszczenie karier politycznych Carltonów i Holyroda. Aby to zrobić, musi zostać schwyta. Chce tego. Chce swoich pięciu minut sławy.

A kim my jesteśmy, by jej tego odmawiać? – pomyślał.

Jazda przez Londyn zajęła im prawie godzinę. Było już po dwudziestej, gdy zaparkowali przy Atlanta Street, po południowej stronie cmentarza Fulham. Choć Carlyle był bliski zakończenia śledztwa, czuł się zdruzgotany. Wysiadł z samochodu i tupnął mocno, próbując otrząsnąć się z posępnego letargu. Na ulicy panowała cisza, parne powietrze stało. Niebo z minuty na minutę robiło się ciemniejsze. Carlyle wiedział, że lada moment zacznie padać i że jak zawsze przemoknie do suchej nitki.

Atlanta Street biegła naprzeciwko Harboro Street, po drugiej stronie Fulham Palace Road. Wjazd na Harboro Street był zamknięty ze względu na roboty drogowe. Na sześciometrowym pasie gruntu leżały narzędzia rozrzucone wokół głębokiej na metr i szerokiej na pół metra dziury wyciętej w asfalcie na środku drogi. Dziurę otoczono metalowym płotkiem, na którym wisiała kartka z informacją, że roboty potrwać do końca lipca. Piesi mogli przejść przez ulicę prawą stronę, gdzie drogowcy zostawili pas chodnika metrowej szerokości.

Carlyle usłyszał grzmot, a wkrótce potem poczuł, jak na jego głowie ląduje wielka kropla. Klnąc cicho, próbował osłonić się kurtką i wydłużył krok. Prawie natychmiast lunął rześisty deszcz, który w mgnieniu oka przemoczył go do suchej nitki. Zamierzał dokonać aresztowania w nieco innych okolicznościach, ale teraz nic już nie mógł na to poradzić. Zakładając, że Joe dotrzymuje mu kroku, zaczął biec.

Dopiero gdy od domu dzieliło go jakieś pięćdziesiąt metrów, podniósł wzrok. Deszcz przegnał wszystkich oprócz kilkorga dzieciaków i jakiegoś faceta, który schronił się pod drzewem. Jeden z dzieciaków filmował komórką ambulans, który wjechał powoli na chodnik, migając niebieskimi światłami. Ratownicy wyłączyli koguta i włożyli kurtki. Nie spieszyli się, co oznaczało, że nie mają do czynienia z żywym pacjentem. Wreszcie wysiedli i przebiegli na tył samochodu. Otworzyli drzwi, wyjęli nosze na kółkach i przenieśli je obok wściekłego posterunkowego, który stał na straży przy furtce.

Czując się jak człowiek, który nie zdążył na własny pogrzeb, Carlyle szedł w stronę domu z Joem przy boku. Nie przejmował się już deszczem, skupiony na paskudnym ucisku w brzuchu. Dobrze wiedział, że zawiódł na całej linii i teraz nie ma się już po co spieszyć.

Po kilku minutach ratownicy wyszli z domu. Wsunęli nosze z ciałem do ambulansu, zatrzasnęli tylne drzwi, po czym wsiedli do kabiny i odjechali. Pokonawszy dziesięć metrów, kierowca uświadomił sobie, że ulica jest z tej strony zamknięta. Zawrócił powoli na trzy i pojechał w przeciwnym kierunku.

Gapie uznali, że to koniec przedstawienia, i zaczęli się rozchodzić. Obserwując ich z drugiej strony ulicy, Carlyle próbował otrząsnąć się z otępienia. Już miał przejść przez jezdnię, gdy z domu wyszedł Trevor Miller. Przez sekundę stał na chodniku, poprawiając kołnierz płaszcza. Gdy podniósł wzrok, zauważył Carlyle'a. Skinął mu lekko głową, schował ręce do kieszeni i ruszył w stronę rzeki.

Deszcz zaczął nieco słabnąć, gdy inspektor pokazał swoją odznakę gliniarzowi przy drzwiach. Chowal ją właśnie do kieszeni, gdy z domu wychynęła Simpson z parasolem w ręku.

– Ach, jesteś. – Przystanąła, by rozłożyć parasol, i podeszła do Carlyle'a. Skinawszy głową na Joego, który stał metr dalej, wzięła inspektora za łokieć i poprowadziła kilka metrów

dalej w głąb ulicy, gdzie czekało na nią bmw z kierowcą. Zatrzymała się przy drzwiach od strony pasażera i przyjrzała Carlyle'owi. – Dlaczego jesteś taki ponury, John?

Carlyle czuł, jak woda z parasola Simpson kapie mu na plecy i spływa po kręgosłupie.

– Co się stało? – spytał.

Simpson wydeła usta.

– Tak czy inaczej, masz konkretny wynik. Sprawa zamknięta, śledztwo zakończone.

– Co tutaj robisz? – Carlyle starał się nie okazywać żadnych emocji. Paskudny ucisk w żołądku zniknął, a jego miejsce zajęło łagodne odrętwienie, które czuł zawsze, gdy poniósł spektakularną klęskę.

Na ustach Simpson pojawił się blady uśmiech.

– Pan Miller zadzwonił do mnie, gdy znalazł ciało. Podobno Ahl zadzwoniła do Edgara Carltona i zażądała spotkania.

– Po co?

Simpson wzruszyła ramionami.

– Pewnie nigdy się tego nie dowiemy. Carlton postanowił wysłać Millera. Dotarł tutaj około osiemnastej trzydzieści i zastał otwarte drzwi.

– Millera? Szefa swojej ochrony? W dzień wyborów?

Simpson milczała. Deszcz przestał padać, zostawiając po sobie cudownie rześkie powietrze.

– Znaleźliście coś podejrzanego? – chciał wiedzieć Carlyle, z trudem ukrywając nutę desperacji.

Simpson przestąpiła z nogi na nogę jak małe dziecko, które chce iść do toalety.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Opuściła parasolkę, potrząsnęła nią energicznie i złożyła.

– Kiedy Miller wszedł do środka, wisiała na poręczy, zadzwonił więc na pogotowie, a potem do mnie.

– Samobójstwo?

– Tak, na to wygląda – powiedziała, spuszczać wzrok.

Carlyle zacisnął zęby i wpatrzył się w przestrzeń, skinieniem głowy kwitując jej wycwiczoną odpowiedź.

– Dlaczego mnie nie wezwano?

– Próbowалам cię złapać przez komórkę – odpowiedziała spokojnie Simpson – ale nie mogłam się dodzwonić. Sieć była przeciążona. Zadzwoniłam do komisariatu i powiedzieli mi, że już tu jedziesz.

Próbował to przeanalizować, sprawdzić, czy trzyma się kupy. Nie był w stanie.

Simpson emanowała spokojem. Zerknęła na Joego, który wciąż stał na chodniku przed domem Ahl.

– Musisz też pogratulować ode mnie swojemu sierżantowi, John. Naprawdę spisaliśmy się na medal, zamykając tę sprawę bez zbyteń... zamieszania. Zyskamy też w statystykach. Wiesz, że ostatecznie wszystko trafi do SWZ, ale dopilnuję, żebyście obaj zostali odpowiednio nagrodzeni za swój wysiłek.

Carlyle zadrzał. Jeśli chodzi o niego, Specjalistyczny Wydział Zbrodni może przypisać sobie całą zasługę. Kichnął.

– Na zdrowie – powiedziała Simpson, sięgając do klamki. – Wiem, że będziesz miał jeszcze pytania, ale nie siedź tu dłużej niż to naprawdę konieczne. Za zabezpieczenie śladów odpowiada sierżant Longmead, wydaje się bardzo kompetentna. – Simpson wskazała dom. – Jest teraz w środku. Porozmawiaj z nią, a na jutro rano przygotuj końcowy raport.

Końcowy. Ostateczny. Co oznacza: „Wracaj, kurwa, do normalnej roboty, do chuliganów i pijaków, i staraj się przez jakiś czas nie pokazywać mi na oczy”.

– Jakies niewyjaśnione wątki? – spytał, choć dobrze wiedział, czego się spodziewać.

– Raczej nie. – Simpson wsiadła już do samochodu i chciała zamknąć drzwi. – Na podłodze stała pusta butelka po wódce. Przybliżony czas śmierci to siedemnasta.

Carlyle pomyślał o nieodebranym połączeniu. Powoli zaczynał odzyskiwać trzeźwość umysłu.

– Jakiś list pożegnalny?

– Żadnego – odparła Simpson beztrzesko, jakby sama wypła przed chwilą drinka. – Ale trudno się dziwić. Wiedziała, że mamy ją w garści.

– Powiniennem był aresztować ją wczoraj – powiedział bardziej do siebie niż do Simpson, dojrzał jednak na jej twarzy pierwsze oznaki irytacji.

– Jak dobrze wiesz, ludzie wieszają się również w więzieniu – powiedziała ostro. – Kto wie, czy nie zrobiłaby tego samego w celi? Pomyśl, że zaoszczędziłaś podatnikom kosztów procesu, czyli setki tysięcy, jeśli nie miliony funtów. Nie wspominając o trzydziestu tysiącach funtów rocznie za każdy rok, który pani Ahl spędziłaby w więzieniu. – Simpson dokonała w głowie szybkich obliczeń. – W sumie wychodzi co najmniej parę milionów funtów. To chyba wystarczająco cię usprawiedliwia. – Zaciśnęła rękę na klamce. – Raz jeszcze gratuluję, to była naprawdę dobra robota. Zadzwoń do ciebie, kiedy przeczytam raport. – To powiedziawszy, zamknęła w końcu drzwi i pozwoliła, by samochód powiózł ją w noc.

Carlyle nie rozmawiał z Longmead, ani nie wszedł do domu Ahl, lecz zaprowadził Joego do pubu Eight Bells przy Woodland Road. Joe, ponieważ prowadził, zamówił piwo.

Przemoczony i rozbity Carlyle poprosił podwójną whisky. Wypił jedną i złożył zamówienie na drugą, którą właśnie trzymał w ręku.

Czy to przeze mnie ta kobieta zginęła? – rozmyślał ponuro. Czy to ja ją zabiłem?

– Co o tym myślisz? – spytał Joe, próbując wyrwać szefa z ponurych rozmyślań.

Carlyle kichnął.

– Myślę, że się przeziębilem.

Joe nie miał ochoty na takie rozmowy.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– To, co myślę, nie ma żadnego znaczenia – odparł posępnie Carlyle. – Najmniejszego.

– Więc co teraz zrobimy?

– A jak myślisz? – Dopił whisky. – Odwieszysz mnie, a ja napiszę raport.

– Dobra.

Carlyle spojrział na szklanke.

– Wiesz co? Mam lepszy pomysł. Ty napiszesz raport, a ja rano go podpiszę. Mam ochotę na jeszcze jedną.

Joe wzruszył ramionami. Było mu wszystko jedno. Wolał zająć się pisaniem, niż roztrząsać klęskę. Muszą żyć dalej, znaleźć jakichś innych gnojków, którzy zapewnią im zajęcie.

– Jasne. – Wyjął kluczyki z kieszeni i zważył je w ręku. – Do zobaczenia rano, szefie.

– Dzięki, Joe.

Carlyle zamówił przy barze jeszcze jedną podwójną i zaniósł ją do stolika. Przez kilka następnych minut chciał tylko delektować się drinkiem, patrzeć tępo w przestrzeń i ludzić się nadzieją, że wszystkie frustracje minionego tygodnia opuszczą go, gdy wreszcie porządnie się wkurzy.

Nad barem wisiał telewizor z wyłączonym dźwiękiem. Carlyle podniósł wzrok i zobaczył

Edgara Carltona, który stał na schodach przed wejściem do głównej siedziby partii i wygłaszał „improwizowane” przemówienie do wiwatującego tłumu. Otaczali go ludzie, których Carlyle poznał w ciągu ostatnich kilku dni. Wszyscy energicznie kiwali głowami i klaskali z zapalem, jakby od tego zależało ich życie. Wraz ze swoim liderem czekali na pierwsze sondaże, by potem zacząć prawdziwe świętowanie.

– Już wygraliście, dupki – wymamrotał. – Macie, czego chcieliście.

Upił kolejny łyk whisky i doszedł do wniosku, że to doskonały wieczór, by się uchlać.

– Dupki!

Barman przestał nalewać piwo i spojrzał na niego z przyganą.

– Ale to naprawdę są dupki – upierał się Carlyle.

Może po prostu powinien pójść spać.

Tymczasem na ekranie pojawiła się rozpromieniona twarz młodzieńca stojącego tuż za Edgarem. Carlyle, który podnosił właśnie szklankę do ust, zastygł bez ruchu.

– Kurwa jego mać!

Tym razem barman wyglądał tak, jakby naprawdę chciał wyjść z baru, ale Carlyle zerwał się na równe nogi i wybiegł na dwór.

35

– Szybciej, szybciej...

Xavier przestępował z nogi na nogę, popijał nerwowo piwo i zerkał na sekundnik obracający się na tarczy zegarka marki TAG Heuer Carrera. Była dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt dziewięć i dziesięć... jednaście... dwanaście sekund.

Serce biło mu tak mocno, jakby za moment miało wyskoczyć z piersi. Czekanie go dobijało. Ostatnia godzina przed zamknięciem lokali wyborczych ciągnęła się w nieskończoność. Lecz teraz, nareszcie, za niecałą minutę mieli poznać wstępne wyniki wyborów.

...dwadzieścia trzy... dwadzieścia cztery... dwadzieścia pięć...

Xavier oderwał na chwilę wzrok od wielkiego ekranu po drugiej stronie sali balowej i zerknął na brata. Edgar wydawał się zmęczony i wymizerowany. Od dawna byli pewni, że wygrają, a teraz chcieli tylko wiedzieć, że to wszystko wreszcie się skończyło.

Z oddali dobiegło dzwonienie Big Bena, który wybił dwudziestą drugą. Na sekundę wszystkie ekrany w sali przygasły.

Xavier wstrzymał oddech.

Wreszcie na ekranach pojawiła się twarz Edgara.

Ułamek sekundy później salę wypełnił potężny ryk radości. Ludzie wrzeszczeli i piszczeli, padali sobie w ramiona, klepali się po plecach i skakali. Jakaś dziewczyna wybuchnęła płaczem.

Xavier podszedł do brata i go uściskał.

– Bogu dzięki! – powiedział cicho Edgar, zamykając oczy.

– Amen. – Xavier spuścił głowę. Czuł, że drżą mu nogi. Ochłonawszy nieco, wziął Edgara za rękę i poprowadził w głąb korytarza, z dala od zgiełku. Gdy znaleźli się za rogiem, kartą magnetyczną otworzył drzwi ich prywatnego apartamentu. Zgodnie z wydanymi wcześniej instrukcjami nie miał tam wstępu nikt prócz garstki wybrańców z ich najbliższego otoczenia. Nawet rodzina i przyjaciele zostali zakwaterowani w pokojach piętro niżej. Bracia chcieli mieć trochę przestrzeni tylko dla siebie. Nareszcie skończyły się czasy, gdy każdy ich krok był uważnie obserwowany, analizowany, omawiany i krytykowany. Tu właśnie zaczynała się kampania, która miała przywrócić im prywatność.

Xavier wziął butelkę piwa i opadł ciężko na sofę stojącą pośrodku wielkiego salonu. Na ekranie telewizora wiszącego na ścianie pojawił się prezenter, który oznajmił:

„Dzisiejsze wybory powszechne dobiegły końca. Wszystko wskazuje na to, że Wielka Brytania ma nowy rząd. Zakładamy, że Edgar Carlton zostanie premierem, a jego partia będzie miała w parlamencie większość z przewagą dwudziestu mandatów w Izbie Gmin”.

Salę balową wypełniła głośna muzyka, co oznaczało, że zaczęło się prawdziwe świętowanie zwycięstwa. Xavier podniósł butelkę do ust i pił piwo wielkimi łykami. Brat położył mu rękę na ramieniu. Obaj milczeli, czując radość i ulgę.

Wciąż siedzieli, pogrążeni w myślach, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł William Murray.

– Gratulacje! – wykrzyknął. – Udało wam się!

Trzymał w rękach dwie półtoralitrowe butelki schłodzonego Kruga z 1995 roku. Na ciemnozielonym szkłe perliła się skroplona para. W ustach miał niezapalone cygaro Romeo y Julietta. Chwiejąc się lekko, stanął na jednej nodze, a drugą zatrzasnął drzwi.

Dzieciak się upił, pomyślał Xavier. Czemu nie? Ja też zaraz będę pijany. W taką noc każdy powinien sobie pofolgować. Taka noc zdarza się tylko raz w życiu.

– Dziękuję, Williamie. – Edgar wstał i podszedł do Murraya, uśmiechając się szeroko. W miarę jak opadały emocje wyborczego wieczoru, odzyskiwał spokój. – I dziękuję za wszystko, co robiłeś dla nas przez te kilka ostatnich lat.

Murray skłonił głowę.

– To był dla mnie prawdziwy zaszczyt – powiedział ze łzami w oczach.

– Byłeś jednym z najważniejszych członków naszego zespołu – mówił Edgar. – I jak już nieraz mówiłem, to dopiero początek naszej wspólnej przygody. – Wskazał drzwi. – Proszę, powiedz wszystkim, że wkrótce do nich dołączymy. Chcę, żeby dzisiaj wszyscy doskonale się bawili. Zasłużyli sobie na to. Możesz im powiedzieć, że za kilka minut tam przyjdziemy?

Murray spojrział na niego beznamiętnie.

– Nie. Nie wydaje mi się.

Rzucił jedną z butelek na sofę i doskoczył do Edgara. Obiema rękami złapał drugą butelkę za szyjkę i podniósł ją nad głowę. Bracia patrzyli na niego osłupiali. Murray zachwiał się na ułamek sekundy, wydawało się nawet, że polecą do tyłu i runie na podłogę. Potem, stękając z wysiłku, opuścił Kruga prosto na czaszkę Edgara.

– Co, kurwa...

Xavier patrzył z niedowierzaniem, jak jego brat osuwa się bezwładnie na podłogę. Próbował wstać, ale Murray dopadł go, zanim zdołał to zrobić. Pierwszy cios odbił się od rąk, którymi zasłonił głowę, ale następny trafił go prosto w twarz i posłał w objęcia ciemności.

Xavier poczuł najpierw swąd palonego ciała, a potem usłyszał krzyk.

– Nieee!

Powoli otworzył oczy. Dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, że leży na podłodze, na brzuchu, z rękami i nogami skrępowanymi taśmą. Co gorsza, jest zupełnie nagi. Czaszkę rozsadzał mu straszliwy ból, czuł mdłości. Powoli odwrócił głowę w stronę, z której dobiegały krzyki Edgara.

Jego brat leżał jakieś dwa metry dalej, również skrępowany i nagi od pasa w dół. Na jego prawym pośladku widniało paskudne czerwone oparzenie wielkości pięćdziesięciopensówki, bez wątpienia ślad po cygarze, które trzymał w ręku William Murray.

– Pomocy! Pomocy! POMOCY! – wrzeszczał Edgar czerwony z wysiłku, jednak na tle głosu Kylie Minogue, dudniącego za ścianą apartamentu, jego krzyk brzmiał jak żałosne

popiskiwanie.

Xavier zebrał wszystkie siły i podniósł głowę na tyle, by spojrzeć na Murraya. Kiedy zobaczył w jego rękę rozbitą butelkę, zadrżał, a na dywanie pod jego krocem rozlała się wypełniona strachem plama ciepła. Próbował nawiązać kontakt wzrokowy z Murrayem, modląc się jednocześnie w duchu, by ktoś wreszcie zaniepokoił się ich nieobecnością i zaczął ich szukać.

– Czego chcesz? – wychrypiał.

Murray stał między braćmi, czerwony na twarzy i triumfujący. Nie uciekał przed spojrzeniem Xaviera, ale i nie odpowiedział na jego pytanie. Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem, ignorując pochlipywania przyszłego premiera Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Północnej Irlandii. Xavier uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie przyglądał się uważniej Murrayowi. Teraz doszedł do wniosku, że nie ma w nim niczego wyjątkowego. Choć chłopak należał do wąskiego grona najbliższych współpracowników braci, był tylko jedną z wielu podobnych mu osób. Gdyby miał odejść następnego dnia – a teraz, po tym idiotycznym załamaniu nerwowym z pewnością musi odejść – natychmiast ustawiłaby się kolejka chętnych, by zająć jego miejsce. A wszyscy młodzi, bystrzy, ambitni i... jednorazowi.

Tak, jednorazowi.

Jak tania maszynka do golenia. Albo tampon.

Xavier zaczął się śmiać.

Może Murrayowi odbiło, bo przestraszył się, że minęła już data jego przydatności?

Może zaczął się bawić zbyt wcześnie i zbyt ostro? Może zażył za dużo ekstazy i usmażył sobie mózg? Z pewnością nie byłby pierwszą ani ostatnią ofiarą tej niepozornej pastylki.

Może...

– O mój Boże! – Patrząc głęboko w oczy Murraya, Xavier uświadomił sobie nagle, co się dzieje. Wstrzymał oddech, a oczy zaszyły mu mgłą, gdy przeniósł się nagle w odległą przeszłość, do najwspanialszej nocy swojego życia.

Murray uśmiechnął się do niego krzywo.

– O mój Boże! – przedrzeźniał Carltona, zaciągając się z lubością cygarem.

– To ty! – Xavier bez skutku próbował wyzwolić się z więzów. – To byłeś ty, od samego początku.

Murray pokiwał głową.

– Ikar. Chłopiec, który za bardzo zbliżył się do słońca...

– Niezbyt oryginalne imię – powiedział Murray, strzepując popiół na dywan. – I nie jego prawdziwe, oczywiście.

– Oczywiście. – Xavier, próbował poruszyć głowę.

Murray zaciągnął się cygarem, po czym strzepnął popiół tuż obok Edgara, który przestał wreszcie krzyczeć. Wydawało się, że zmęczony i zaszokowany stracił w końcu przytomność. I dobrze, pomyślał Xavier. Gdzie jest ten pierdolony grubas, Trevor Miller? Pewnie właśnie upija się w sali balowej i dobiera do którejś z sekretarek.

– Miał na imię Robert.

– Tak.

– Człowiek, którego zabiliście, nazywał się Robert Ashton.

– Ale...

– Był moim ojcem.

Murray opadł na kolana, złapał Xaviera za włosy i podniósł mu głowę, przysuwając jednocześnie rozbitą butelkę do jego szyi. Za ścianą na moment zapadła cisza, gdy Kylie skończyła śpiewać jedną piosenkę i zaczęła następną.

Xavier poczuł nagle, że wstępują w niego nowe siły.

– Wiesz, że nie ujdzie ci to na sucho! – syknął.

– Wcale tego nie chcę. Chcę, żeby wszyscy się dowiedzieli, co zrobiliście.

– Ja nic nie zrobiłem. Nawet mnie tam nie było – rozległ się nagle płaczliwy głos. Edgar najwyraźniej odzyskał przytomność.

– Właśnie że byłeś! – warknął Xavier. Nie zamierzał pozwolić, by którykolwiek z nich płaszczył się przed tym szaleńcem.

– Tylko na końcu – sprostował Edgar. – Ja nie...

– Nie pieprzyłś go – syknął Xavier. – Wielkie rzeczy. I co z tego? I tak zwałeś konia, jak wszyscy. – Przekrzywił szyję i spojrzał na Murraya, który położył rozbitą butelkę na podłodze i gmerał przy komórce.

Edgar wpadł w jeszcze większą panikę, gdy Murray zaczął filmować groteskową scenę, którą zaaranżował.

Murray parsknął śmiechem i kopnął go w zębra.

– Nie przestawaj – szydził. – To będzie naprawdę niezły widok. Zostaniesz gwiazdą internetu.

Edgar wrzasnął jak zarzynane prosię, poddając się sugestii szalonego reżysera. Xavier pomyślał, że jego brat wygląda jak postać z filmu gore, którą w pewnym sensie rzeczywiście był.

– Kiedy role się odwróciły, już nie jest wam do śmiechu, co? – triumfował Murray, tańcząc przed nimi jak w transie.

Do diabła z tym, pomyślał Xavier. Jeśli to przeżyję, ten film i tak gównu mnie będzie obchodził. Poczekał, aż Murray skieruje komórkę na niego i powiedział:

– Ty gnoju, wcale nie żałuję, że pieprzyłem się z twoim starym. – Uśmiechnął się szyderczo i dodał: – Obaj dobrze się wtedy bawiliśmy. I muszę powiedzieć, Williamie, że z twojego ojca, niech spoczywa w spokoju, była naprawdę niezła dupa.

– Ty pierdolony kutasie! – wrzasnął Murray, rzucając telefonem w głowę Xaviera. Chybił jednak i aparat odbił się od podłogi. Gdy szukał po omacku rozbitej butelki, po jego twarzy płynęły łzy. W końcu złapał szyjkę i wstał powoli.

– A teraz umrzesz, ty...

Koniec zdania utonął w ogłuszających dźwiękach utworu *Omen* zespołu Prodigy, motywu przewodniego kampanii partii Carltonów. Xavier patrzył z otwartymi ustami, jak Trevor Miller rzuca się na Murraya i odpycha go mocno do tyłu. Murray uderzył głową o ścianę i osunął się powoli na podłogę, o mało nie nabijając się przy tym na rozbitą butelkę, którą wciąż trzymał w ręku.

Miller błyskawicznie podniósł się z podłogi. Kopniakiem wytrącił butelkę z ręki Murraya, przeszedł przez pokój i sprawdził, czy drzwi są zamknięte na klucz. Potem wyjął z kieszeni scyzoryk i przeciął taśmę krępującą ręce Xaviera, po czym przeszedł do Edgara.

Xavier skrzywił się z bólu, odklejając z nóg taśmę i wrywając sobie przy tym trochę włosów. Wstał, znalazł swoje spodnie i szybko je włożył. Potem odwrócił się do Edgara, który powolnymi ruchami wkładał bieliznę.

– Załatwmy to.

Edgar nie odpowiedział.

Xavier zapiął koszulę i odwrócił się do Millera, który stał przy nieruchomym Murrayu.

– Żyje?

Miller wymierzył Murrayowi potężnego kopniaka. Z ust chłopaka wydobył się cichy jęk.

– Niestety, tak.

– Co mamy z nim zrobić? – spytał Xavier.

Miller wzruszył ramionami.

– Wy decydujecie.

Xavier włożył koszulę w spodnie i spojrzał na Millera.

– Nie może opuścić tego pokoju żywy.

Po chwili zastanowienia ochroniarz rozsunął zasłony zakrywające niemal całą ścianę naprzeciwko drzwi, przez które przed momentem wbiegł do pokoju. Za zasłonami kryły się drzwi prowadzące na niewielki balkon. Miller wyszedł tam, oparł ręce na poręczy i spojrzał w dół. Upewniwszy się, że Murray wciąż jest nieprzytomny, Xavier dołączył do niego.

Znajdowali się na najwyższym piętrze budynku. Balkon wychodził na atrium pośrodku hotelu. Xavier szacował, że od ziemi dzieli ich ponad trzydzieści metrów, a od szklanego dachu atrium około pięciu. Ta część hotelu była pusta – ze względów bezpieczeństwa w sąsiednich apartamentach nikt nie mieszkał.

Po chwili zastanowienia Trevor odwrócił się do Xaviera z uśmiechem.

– To będzie w sam raz.

Wejścia do apartamentu Carltonów strzegli ochroniarze Millera, którzy nie zamierzali przepuścić Carlyle’a. Nawet jego legitymacja policyjna nie zrobiła na nich wrażenia. Nabuzowany adrenaliną inspektor nie miał ochoty klócić się z nimi i tracić cennych minut, podszedł więc do najbliższego włącznika alarmu przeciwpożarowego i rozbił szkło. Hotel wypełnił się kakofonią dzwonek i syren.

– Co ty, kurwa, robisz? – Jeden z ochroniarzy podniósł rękę, by złapać Carlyle’a za gardło. Nim zdążył to zrobić, Joe uderzył go kantem dłoni w kark i kopnął za lewym kolaniem.

– Uważaj się za aresztowanego, przyjacielu.

Gdy mężczyzna osunął się na podłogę, Joe założył mu kajdanki i na wszelki wypadek kopnął jeszcze raz.

– Dziękuję – rzekł Carlyle z uśmiechem.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Joe radośnie.

Tymczasem z sali balowej wychodzili już pierwsi goście, zaniepokojeni alarmem.

Drugi ochroniarz wodził wzrokiem od Carlyle’a do Joego, jakby zastanawiając się, którego uderzyć najpierw.

Joe cofnął się o krok i wskazał strzałkę z napisem WYJŚCIE.

– Chyba już czas na ciebie.

– Jeśli nadal tu będziesz, kiedy wrócimy – mówił Carlyle, przekrzykując hałas – ty też zostaniesz aresztowany i oskarżony o napaść.

Mężczyzna spojrzał na nich z pogardą, pokręcił głową i ruszył w stronę schodów.

Carlyle wybiegł zza rogu, w momencie gdy Edgar Carlton otworzył drzwi apartamentu i wyrzwał na korytarz. Wydawał się oszołomiony i chyba nawet nie poznał inspektora.

– Co się dzieje? – spytał jęklwym głosem, jakby zaraz miał się rozplakać.

Carlton przyspieszył kroku, otworzył szerzej drzwi i przecisnął się obok zdeorientowanego Edgara.

– To tylko fałszywy alarm. – Uśmiechnął się radośnie. – Nie ma się czym przejmować.

Czoło Trevora Millera pokryło się kropelkami potu, a usta wykrzywiły w ponurym uśmiechu, gdy wodził spojrzeniem od Carlyle’a do sierżanta.

– Patrzenie, kurwa, przybyła odsiecz! – warknął.

Pierwszą rzeczą, która uderzyła Carlyle’a, gdy wszedł do pokoju, był zapach – dziwna mieszanka smrodu palonego ciała, dymu z cygara i moczu.

– Kurwa, cuchnie tu gorzej niż w kebabie przy Tottenham Court Road! – skomentował. Nie po raz pierwszy w życiu musiał pogodzić się z tym, że jego żart nie rozśmieszył nikogo prócz niego samego. Nim jednak zdążył się roześmiać, oniemiał, zaszokowany sceną, która rozgrywała się przed jego oczami.

– Kurwa! – zaklął Joe, stojący przy drzwiach.

Po drugiej stronie pokoju Trevor Miller stał na balkonie i trzymał w mocnym uścisku zakrwawionego i posiniaczonego Williama Murraya. Na tle wielkiego cielska byłego policjanta Murray wyglądał jak dziecko. Miał szklisty, nieprzytomny wzrok. Nie był w stanie stawić oporu Millerowi, który coraz mocniej zaciskał ramię na jego szyi. Twarz chłopaka robiła się czerwona, brakowało mu powietrza.

– Co ty robisz, Trevorze?

Miller odruchowo cofnął się o krok, opierając Murraya o poręcz.

– Odpierdol się, inspektorze – warknął.

Nakazując Joemu gestem, by się nie ruszał, Carlyle zrobił krok do przodu, potem następny. Zaschło mu w ustach, serce waliło jak młotem. Przez moment czuł się jak za dawnych czasów, gdy nafaszerowany amfetaminą stał naprzeciwko rozwścieczonego tłumu.

– Co się tu stało? – spytał spokojnie. – Co on zrobił, Trevorze?

– To nasz człowiek. – Miller zwolnił nieco uścisk. Murray zaczął dygotać.

– Wiem – odparł Carlyle, przesuwając się w stronę balkonu. – Dlatego tu jesteśmy. – Od dwóch mężczyzn dzieliły go już tylko trzy metry, wiedział jednak, że nie ma możliwości manewru. – Dlatego musisz mi go oddać.

– Niczego się nie nauczyłeś przez te wszystkie lata, co? – Miller spojrzał na Carltonów, którzy stali w rogu pokoju.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to... – Miller przerwał w pół zdania, gdy nagle Murray otworzył szeroko oczy i zaczął się szarpać. – Kurwa! – Ochroniarz uderzył go wolną pięścią w twarz, rozbijając mu nos i obryzgując ich obu krwią.

Carlyle skoczył do przodu, zatrzymał się jednak i cofnął o krok, otrzymawszy potężny cios w twarz. Czuł się tak, jakby ktoś uderzył go patelnią.

– Szefie? – spytał Joe, przysuwając się do Carlyle'a. W oddali słychać już było syreny wozów strażackich i policji.

– W porządku. – Carlyle potrząsnął głową i wyprostował się, czując ból i gniew jednocześnie. – Nic mi nie jest. – Wciąż nieco oszołomiony, spojrzał na Millera i uśmiechnął się. – Wystarczy, Trevorze. Teraz musisz mi go oddać.

Z ust Murraya wydobył się przytłumiony pisk.

– Nie sądzę. – Zacisnął mocniej ramię.

– Trevorze...

– Pierdol się, Carlyle.

Trevor podciągnął Murraya w górę, po czym odchylił się do tyłu i przeleciał wraz z nim przez barierkę.

Przez ułamek sekundy Carlyle stał jak posąg, wpatrzony w puste miejsce, w którym przed momentem widział obu mężczyzn.

– Cholera!

Podbiegł do poręczy, wychylił się i zobaczył, jak wpadają do czegoś, co wyglądało jak niewielki basen. Z tej odległości plusk brzmiał jak przytłumione oklaski.

Joe pojawił się u boku Carlyle'a i również spojrzał w dół.

– Au! – Uśmiechnął się. – To musiało boleć.

Carlyle odwrócił się szybko i rozejrzał po pokoju. Carltonowie zniknęli. Na dywanie, pośród rozbitego szkła, leżało zapalone cygaro. Zgasił je czubkiem buta. W tym samym momencie dostrzegł pod sofą nikły blask. Opadł na kolana, podniósł telefon komórkowy, schował go szybko do kieszeni i wstał.

Joe wciąż opierał się o barierkę i patrzył w dół.

– Coś się tam chyba rusza – powiedział.

– Chodź – odrzekł Carlyle. – Zobaczymy, czy umieją pływać.

Policjanci musieli przepychać się między maruderami, którzy schodzili po schodach, więc dotarli na dół dopiero po kilku minutach. Gdy zbliżali się do basenu, alarm przeciwpożarowy wreszcie ucichł. Wejście na basen było zamknięte na klucz, więc Carlyle przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał. Nie słyszał niczego prócz szumu klimatyzacji. Kilkakrotnie kopnął w drzwi, ale bez rezultatu. Przez chwilę stał nieruchomo, łapiąc oddech i starając się nie zwracać uwagi na ból w prawej stopie. Jednocześnie spoglądał gniewnie na Joego, który z trudem tłumiał śmiech.

– Sam spróbuj, grubasie – warknął, odsuwając się na bok.

– Dobra. – Joe, który miał znacznie większe doświadczenie w wyważaniu drzwi, cofnął się o jakieś trzy metry i przykucnął. – Trzy, dwa, jeden... – Rzucił się do przodu i z pochyloną głową popędził prosto na drzwi niczym szarżujący nosorożec. Carlyle skrzywił się, pewny, że za moment usłyszy trzask pękających kości, lecz gdy Joego dzieliły od celu zaledwie centymetry, drzwi nagle się otworzyły.

Carlyle patrzył z otwartymi ustami, jak sierżant wpada do środka, potyka się na schodkach i ląduje z pluskiem w basenie, obok unoszącego się na brzuchu Williama Murraya. Chwilę później zza drzwi wyszedł Trevor Miller. Choć przemoczony od stóp do głów, nie wyglądał na rannego ani nawet ogłuszonego upadkiem z wysokości ponad trzydziestu metrów. Typowe, pomyślał Carlyle, żałując, że to nie ciało Millera unosi się teraz na wodzie.

Szef ochrony Carltonów owinął sobie wokół szyi duży biały ręcznik, drugim wycierał energicznie resztkę włosów, która jeszcze została mu na głowie.

– Dobra robota, Carlyle – stęknął spod ręcznika. – Kolejna sprawa spieprzona.

– Pierdol się, Trevor – warknął Carlyle. – Jesteś aresztowany.

– Tak? – Miller rzucił mokry ręcznik na podłogę i wziął nowy ze sterty leżącej na białym plastikowym krześle. – Za co?

Carlyle milczał. Co właściwie widział przed chwilą? Morderstwo? Tak, był tego pewny, tak jak był pewny, że nie będzie mógł niczego udowodnić – nawet gdyby nie musiał zmagać się z całą gromadą ludzi, którzy próbowaliby sprawę zatuszować.

– Naprawdę niczego się nie nauczyłeś, co? – Miller uśmiechnął się szyderczo. – Nawet po tylu latach, ty głupi gnoju. – Podszedł do drzwi i rzucił mokrym ręcznikiem w Carlyle'a. – Spróbuj tylko tknąć któregoś z naszych ludzi, a będziesz miał przesrane. Sprawa jest zamknięta. Wreszcie to załatwiliśmy, choć nie dzięki tobie. – Wyciągnął mięsisty palec i dźgnął nim powietrze przed twarzą inspektora. – Właściwie możesz nawet na tym skorzystać, jeśli mądrze to rozegrasz. Pozwolę ci chociaż na tyle.

– Nie sądzę – odrzekł Carlyle, robiąc dobrą minę do złej gry. Wiedział już, jak to wszystko się skończy.

Miller zacisnął pięść.

– Nie spieprz tego znowu – powiedział z uśmiechem. – Pamiętaj, po czyjej jesteś stronie. Odepchnął Carlyle'a, wyszedł na korytarz i zniknął mu z oczu.

– Pomóż mi, szefie! – krzyknął Joe, który próbował wydostać się z basenu. Nawet na niego nie spojrzawszy, Carlyle obrócił się na pięcie i wyszedł.

36

Edgar Carlton wlał do gardła kieliszek koniaku Remy Martin XO, a potem jeszcze jeden. Gdy poczuł się już rozluźniony, przywołał na twarz sztuczny uśmiech i wyszedł przed budynek przy Downing Street numer dziesięć, by przemówić do świata. Opierając ręce o mównicę, którą przed chwilą ustawiono, przywitał dziennikarzy zgromadzonych za barierkami na chodniku i poczekał, aż ucichnie trzask migawek. Odchrząknął, wbił wzrok w punkt tuż nad głową najwyższego z dziennikarzy i zaczął przemówienie:

– Jej Królewska Mość poprosiła mnie o sformowanie nowego rządu, a ja tę prośbę spełnię. Zająłem się polityką, bo głęboko wierzę w służbę publiczną. Kocham nasz wspaniały kraj i uważam, że najlepsze czasy wciąż ma przed sobą. Chcę, byśmy wspólnie budowali społeczeństwo silniejszych rodzin i silniejszych społeczności. Powinniśmy zawsze pamiętać o słowach świętego Franciszka z Asyżu, który powiedział: „Abyśmy siali miłość tam, gdzie panuje nienawiść; jedność tam, gdzie panuje zwątpienie; nadzieję tam, gdzie panuje rozpacz; światło tam, gdzie panuje mrok”. Wierzę, że razem możemy zbudować silny i stabilny rząd oparty na tych właśnie wartościach. Razem możemy odbudować rodzinę, społeczność i przede wszystkim odpowiedzialność za kraj. Na tym właśnie najbardziej mi zależy i nad tym zacznę już od dziś pracować. Dziękuję.

Nim skończył, dziennikarze zaczęli zasypywać go pytaniami. Edgar odwrócił się na pięcie i szybko uciekł do środka.

Carlyle siedział w małym gabinecie z widokiem na pusty newsroom, salę wypełnioną biurkami i monitorami, z niewielkim studium w przeciwległym rogu. Około dwudziestu ekranów pokazywało twarz Edgara Carltona, który przemawiał właśnie na schodach przy Downing Street dziesięć.

– Jak pan to skojarzył?

– Co? – Carlyle przeniósł wzrok na Rosannę Snowden. Na jej biurku leżała komórka Williama Murraya, którą Carlyle zabrał z hotelowego apartamentu Carltonów. Snowden przyglądała się aparatowi ze strachem, jakby był radioaktywny.

– Ojca z synem. Jak uświadomił pan sobie, że William Murray był dzieckiem Roberta Ashtona?

– Sam nie wiem. – Carlyle wzruszył ramionami. – Siedziałem w pubie, kiedy kończyły się wybory. W telewizji pokazywano Edgara, potem pojawił się obok niego William Murray. Wtedy zrozumiałem...

– Matka go kryła, tak?

– Tak. Nie wiemy, jak właściwie wyglądał podział zadań w przypadku tej pary, ale na pewno działali razem.

– Szaleństwo...

– Czy ja wiem... Gdyby ktoś zrobił coś takiego mojej rodzinie...

Rosanna postukała wypielęgnowanym paznokciem w blat biurka.

– Akceptuje pan morderstwo, inspektorze?

– Nie – odparł obojętnie, by ukryć, co naprawdę o tym myśli. – Ale kiedy poskładamy tę historię w całość, możemy przynajmniej zrozumieć motyw sprawców. To nie oznacza akceptacji dla ich działań.

– Niesamowita historia...

– Z pewnością – zgodził się Carlyle.

– ...ale nie mogę jej wykorzystać.

Podniosła wzrok na inspektora i skrzywiła się boleśnie.

– Dlaczego pan mi to przyniósł?

– Myślałem, że chce pani dostać ode mnie materiał na wyłączność.

– Nie taki materiał – odparła, wskazując komórkę.

Carlyle poprawił się na krześle. Może jednak wizyta u niej nie była najmądrzejszym posunięciem w jego życiu.

– A co to za materiał?

– Taki, który nigdy nie może ujrzeć światła dziennego.

Milczał, czekając na wyjaśnienie.

Snowdon znów się skrzywiła.

– Jak mogłabym to wykorzystać? To nie jest żaden temat.

– Mnie się wydawało, że jest – odpowiedział Carlyle, choć sam był o tym coraz mniej przekonany. Coraz bardziej za to wstydził się swojej głupoty. Po co tu w ogóle przychodził? Co sobie wyobrażał? Edgar Carlton zaczął właśnie urzędowanie na stanowisku premiera. William Murray i Susy Ahl nie żyją. Ich śmierć nikogo nie obchodzi.

Kto wybrał go na jedynego sprawiedliwego, który miał rzucić światło na ten mroczny fragment przeszłości? Nawet nie potrafił dobrze wykonać zadania, które sam sobie przydzielił. Nie mógł liczyć na żadne „zamknięcie”. Pakował się tylko w nowe kłopoty.

Snowdon opadła na oparcie krzesła i uśmiechnęła się z politowaniem.

– Właśnie dlatego pan jest policjantem, a ja dziennikarką. Uznaję jakąś sprawę za wartą uwagi tylko wtedy, gdy mogę o niej mówić. Tego nikt nie może wykorzystać. Prawnicy nie daliby nam najmniejszych szans.

Carlyle siedział w milczeniu. Czuł się jak skończony idiota.

– Myśli pan, że ten ochroniarz...

– Miller...

– Właśnie, Miller. Myśli pan, że zabił asystenta i jego matkę?

Carlyle skinął głową.

– I może tego faceta... tego przy lotnisku...

– Allena? – Carlyle wzruszył ramionami. – Może. Nie wiem, ale to możliwe.

– Dlaczego miałby to zrobić?

– Cóż, w odróżnieniu od pozostałych Allen gotów był mówić. Opowiedzieć, jak to naprawdę wyglądało. Miał się ze mną spotkać po powrocie do kraju. Gdyby puścił farbę, wszyscy mieliby kłopoty.

– Ale nie może pan niczego udowodnić. Inaczej przymknąłby pan Millera. – Snowdon wypowiedziała słowo „przymknąć” z dziecinnym zadowoleniem.

– Zgadza się – przyznał Carlyle.

– Więc przyniósł pan to tutaj, żebym trochę namieszała, tak? – Uśmiechnęła się szeroko.

– Przecież rozgłos jest istotą sprawiedliwości – powiedział sztywno.

– Cóż za głęboka myśl. Skąd pan to wziął?

Po sekundzie namysłu Carlyle wygrzebał z otchłani pamięci właściwe nazwisko.

– To słowa Jeremy’ego Banthama, filozofa.

– Wiem, kim był Bantham. Ale on nigdy nie pracował dla BBC. Poza tym nie miał chyba na myśli dziennikarzy, których sfrustrowani gliniarze chcą wykorzystać jako narzędzie zemsty.

Carlyle mógł się tylko uśmiechnąć. Rozgryzła go.

Po kilku sekundach dodała:

– I tak nigdy nie mógłby pan ich aresztować, prawda?

„Ich”, czyli Carltonów.

– Nie – przyznał. – Nigdy.

– Choć byłaby to naprawdę niesamowita historia. – Dziennikarka rozpromieniła się na samą myśl o podobnej sensacji. – Przymknięty w pierwszym tygodniu urzędowania na stanowisku premiera! Kto by pomyślał, że stary Edgar Carlton może być tak interesujący?

Carlyle westchnął.

– Nikt nie zostanie oskarżony w związku z tą sprawą. Od śmierci Ashtona minęło już zbyt dużo czasu, a problem Murraya został rozwiązany, ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych... prócz mnie.

– Otóż to! – wykrzyknęła triumfalnie Snowden, krzyżując ręce na piersi. – Widzi pan? Nie mogę ruszyć tego tematu, choćbym chciała.

– Nie mogę... czy nie chcę? – spytał rozdrażniony.

Dziennikarka pochyliła się do przodu.

– Inspektorze, gdybym zdołała to przygotować, nagrać wywiady, zmontować całość i przechytryć prawników, to byłby prawdziwy cud.

– A gdyby była pani cudotwórczynią?

– Gdybym była cudotwórczynią, gdybym mogła poskładać to od początku do końca, jasne, że bym to zrobiła. – Wyprostowała się i obdarzyła go nieśmiałym uśmiechem. – Taki stary, doświadczony detektyw jak pan uważa mnie może za trzpiotkę...

Nachmurzył się. Stary? Najwyraźniej Snowden drażni się z nim i nawet mu się to podoba.

– ...którą niewiele obchodzi, ale ja naprawdę jestem dziennikarką. Edgar Carlton to mój przyjaciel, owszem, ale moja reputacja zawodowa jest dla mnie ważniejsza od jakiegokolwiek przyjaźni. Temat to temat, a ja będę dziennikarką trochę dłużej niż on premierem. Nie mam w zwyczaju zamiatać spraw pod dywan.

– Rozumiem. – Myślał już tylko o tym, by jak najszybciej wstać i wyjść, uciec z tego miejsca.

– Ale nie zamierzam też tracić czasu i energii na z góry przegraną sprawę – dodała Snowden.

Carlyle spojrział na monitory stojące w sali. Edgar zniknął w swoim nowym domu, a ekrany pokazywały teraz jakąś kreskówkę.

– Jak już mówiłam, mamy za mało dowodów – ciągnęła. – Nawet jeśli puściłabym jakiś materiał, czego nie zrobię, kto rozwinąłby temat? Najwyżej pojawiłyby się jakieś wzmianki w gazetach, które i tak nienawidzą Carltonów. Kogo to obchodzi? Ich potężni przyjaciele w mediach ogłaszają, że to oszczerstwo i mieszają mnie z błotem. W porządku, chłopaki trochę poszaleli na studiach. No i co z tego? Czy ktoś spodziewa się po chłopcach czegoś innego?

Przerwał im jakiś zmęczony mężczyzna, który zapukał w szybę i gestem przywołał Snowden. Skinęła głową i podniosła palec wskazujący, pokazując, że będzie za minutę.

– Muszę iść i nagrać zwiastun – wyjaśniła, wstając.

– Oczywiście. – Carlyle również podniósł się z krzesła. – Dziękuję, że poświęciła mi pani czas.

– Nie ma sprawy. Wydaje mi się jednak, że jest pan trochę naiwny, inspektorze, i szczerze mówiąc, dziwi mnie to.

Ma to uznać za komplement czy obelgę?

– Mimo wszystko wyświadczę panu przysługę. Dużą przysługę.

Sięgnęła po telefon Murraya i nacisnęła kilka klawiszy. Potem spojrzała na Carlyle'a jak nauczycielka, która zamierza powiedzieć niezbyt bystremu uczniowi, jak może poradzić sobie na egzaminie.

– Ta sprawa jest zamknięta, tak?

– Tak.

Pomachała mu telefonem przed nosem.

– Ten dowód nie jest częścią żadnego oficjalnego raportu?

– Nie.

– Nie skopiował go pan? Ani nikomu nie wysłał?

– Nie.

Łatwo przyszło mu ukryć jedno kłamstwo wśród wielu zgodnych z prawdą odpowiedzi. Mimowolnie dotknął kieszeni, upewniając się, że nadal jest tam jego telefon na kartę. Ten, na który przesłał kopię filmu Williama Murraya.

– Ani nie zamieścił go pan na YouTube?

Carlyle wzruszył ramionami.

– Nawet nie wiedziałbym, jak to zrobić.

– To dobrze. – Snowdon wzięła z biurka telefon Carlyle'a i odtworzyła film Murraya.

Carlyle widział przez moment wykrzywioną twarz Xaviera Carltona. Potem Snowdon nacisnęła „usuń”, a obraz natychmiast zniknął z ekranu. Dziennikarka podała mu telefon. – Więc sprawa załatwiona. Proszę posłuchać mojej rady, inspektorze, i zapomnieć, że kiedykolwiek pan to widział.

Wyszła zza biurka, wzięła go pod rękę i poprowadziła przez salę w stronę recepcji.

Dostrzegłszy kątem oka producenta, który kręcił się niecierpliwie, zawołała:

– Już idę! – Przy drzwiach odwróciła się do Carlyle'a i zdjęła jakiś niewidzialny pyłek z kłapy jego marynarki. – Proszę mnie źle nie zrozumieć, panie inspektorze, naprawdę doceniam to, że pomyślał pan o mnie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – mruknął.

Uśmiechnęła się szeroko.

– A na razie jest pan mi winien jeszcze jedną przysługę... właściwie trzy.

– Trzy przysługi?

Zaczęła odliczać je na palcach.

– Jedną za to, że skontaktowałam pana z Edgarem, drugą za to, że wykasowałam to nagranie, a trzecią za to, że nie powiem premierowi, że chciał pan zepsuć jego miesiąc miodowy z wyborcami.

Carlyle odchrząknął niepewnie.

– Proszę się nie martwić... – Snowdon znów wzięła go pod rękę. – Potrzebuję historii...

Na wyłączność, szczególnie historii o zbrodniach. W ostatnich latach reportaż kryminalny nie był naszą mocną stroną. Mam okazję to zmienić, a pan może mi w tym pomóc. Może mi pan również pomóc poszerzyć moją listę kontaktów w policji.

– Rozumiem – odparł ze znużeniem.

– Świetnie. – Snowdon wyglądała na zadowoloną, że jej niezbyt pojętny uczeń w końcu coś zrozumiał. – Myślę, że nasza znajomość cudownie się rozwinie.

No to jestem w dupie, pomyślał.

– Tak! O tak!

Xavier Carlton czuł, że wreszcie wraca do formy. Kilka dobrze przespanych nocy i

świadomość, że przez najbliższe pięć lat nie będzie musiał prowadzić agitacji przedwyborczej, cudownie podziałały na jego ducha, nie mówiąc o libido. Jeszcze tego samego dnia miał się udać w pierwszą podróż jako minister spraw zagranicznych. Najpierw jednak musiał obsłużyć młodą Camillę czy Cressidę, czy jak tam się ona nazywała. Skrzywił się, spoglądając na młodą pracownicę partii pochyloną nad biurkiem. Spódnica dziewczyny podciągnięta była powyżej pasa, a majtki leżały na podłodze. Xavier wszedł w nią najmocniej, jak potrafił.

– Tak! – powtórzyła bez większego entuzjazmu.

Xavier złapał ją za włosy i odwrócił do siebie, by nasycić się mieszaniną i nudą malującymi się w jej oczach. Nigdy nie zrobisz kariery w pornosach, pomyślał, klepiąc ją mocno po pośladkach.

– Szybciej!

– Tak! Tak! – Przesunęła się do tyłu tak gwałtownie, że o mało go nie przewróciła.

– Na litość boską!

Xavier wysunął się z niej, zamknął oczy i wciągnął zapach gówna. Rozsmarował je na penisie i zaczął się energicznie onanizować. Po chwili wyobraził sobie, jak Yulexis klęczy przed nim i łaskocze go po jądrach, obciążając mu jednocześnie jak anioł po koce. Niemal natychmiast zaczął drzeć z podniecenia. Znów wszedł w dziewczynę i zaczął obmacywać jej piersi.

– O słodki Jezu!

– Dobrze było, Xavier? Lepiej niż ze mną?

Otworzył oczy. Stała przed nimi Yulexis z wielkim nożem w ręku i nienawiścią w oczach. Xavier dostrzegł, że jej brzuch wydaje się większy niż zwykle. Czyżby nie poszła na Harvey Street? A może to on zapomniał umówić ją na zabieg?

Kiedy próbował to sobie przypomnieć, Yulexis wbiła ostrze w jego pierś. Stał precyzyjnie między żebrami z paskudnym zgrzytem. Xavier runął na ziemię z nożem wystającym z piersi i wyrazem zdumienia na twarzy. Na jego koszuli rosła szybko plama krwi. „Ale myślałem o tobie! – krzyczał jakiś głos w jego głowie. Myślałem o tobie!”

Dziewczyna wyglądała raczej na zbolałą niż przerażoną. Wyprostowała się, obciągnęła spódnicę i mimowolnie puściła gazy. Zaczerwieniona, spojrzała na nieruchome ciało Xaviera.

– Czy on nie żyje? – spytała.

– Mam nadzieję – odparła Yulexis, dotykając ostrożnie brzucha. – Ten gnój nie zasługuje na nic więcej.

Uciekwszy od Snowdon, Carlyle włączył się bez celu po Marylebone High Street. Wstąpił do kawiarni i zamówił latte na wynos. W radiu podawali właśnie wiadomości. Po operze mydlanej wyborów wszystko wracało do normy. Na świecie nie zaszły żadne dramatyczne zmiany.

Spiker odczytywał szybko kolejne informacje, starając się nie opóźnić reklam.

„Doradca premiera Edgara Carltona, który przypadkowo utonął podczas tragedii w noc wyborów, został w końcu zidentyfikowany”.

William Murray nie zasłużył nawet na to, żeby wymienić go z nazwiska.

„Grupa Spandau Ballet powraca na scenę muzyczną serią jesiennych koncertów”.

Pieprzony Spandau Ballet, pomyślał Carlyle. Jezu! Co się dzieje z tym światem! Podziękował ładnej dziewczynie, która podała mu kawę, upił łyk i uśmiechnął się. Choć raz była bardzo gorąca, właśnie taka, jaką lubił.

Kiedy wyszedł na ulicę, zadzwonił jego telefon. Gdy zobaczył, że to Joe, odebrał.

– Cześć.

– Nie uwierzysz – zaczął Joe.

- Uwierzę we wszystko – odparł Carlyle ze śmiechem.
 - Przed momentem dzwonił do mnie komisarz Edmondo Valcareggi.
- Carlyle napił się kawy, która sparzyła go w gardło.
- Tak? – zakasłał.
 - Wygląda na to, że Ferruccio Pozzo nie był Ferruccio Pozzim.
 - Mówisz o tym facecie od liposukcji?
 - Tak, o tym, którego zabili w więzieniu.
 - Ale Valcareggi mówił, że ma DNA.
 - Widocznie w laboratorium coś spieprzyli. Albo ktoś majstrował przy wynikach badań.
 - No tak. – Carlyle westchnął. – Ale kim w takim razie był facet, którego

przyskrzyniliśmy?

– Nie mam pojęcia – odparł Joe pogodnie. – Ale Valcareggi mówi, że prawdziwy Pozzo będzie w przyszłym tygodniu w Londynie. Chce, żebyśmy pomogli mu go aresztować.

Carlyle zastanawiał się nad tym przez chwilę, przyglądając się jednocześnie bardzo ładnej dziewczynie w bardzo kusej bluzce i bez stanika, która przeszła powoli obok niego, prowadząc bardzo małego psa na bardzo długiej smyczy. Musiał mocno zacisnąć zęby i wyteńczyć całą siłę woli, by zwalczyć pokusę, nie odwrócić się i nie spojrzeć także na jej tyłek.

– Co o tym myślisz? – spytał Joe.

Carlyle przestał zaciskać zęby.

– Powiedz mu, żeby się odpierdolił.

Zakończył rozmowę i odwrócił się. Dziewczyna zniknęła. Uśmiechając się do siebie, wszedł do parku przy Paddington Street i znalazł sobie miejsce na ławeczce w cieniu drzewa. Popijając powoli kawę, rozmyślał o telefonie z kopią nagrania Williama Murraya, który nosił w kieszeni. Czy powinien coś z nim zrobić? Nie miał pojęcia. Czy jeśli podzieli się nim ze światem, cokolwiek to zmieni?

Miał pustkę w głowie.

Dokończył kawę i wyrzucił pusty kubek do najbliższego kosza. Na czerwonym świetle zatrzymał się jakiś samochód. Z głośników płynęła piosenka Joe Strummera:

Londyn woła do naśladowców, Daj spokój bracie, możesz zrobić to sam. Londyn woła do żywych trupów, Przestańcie się powstrzymywać, nabierzcie powietrza. Podśpiewując pod nosem,

Carlyle przyglądał się małemu chłopcu, który z radosnym wrzaskiem przeganiał gołębie z trawnika. Tuż obok jakaś para całowała się namiętnie, obojętna na całą resztę świata. Nad ich głowami widać było przyklejony do budki telefonicznej plakat, który głosił: *Kapitalizm się nie sprawdza*. Ulotki rozłożone w budce, oferujące usługi „japońskich uczennic”, „indyjskich modelek” i transseksualistów, którzy nie poddali się jeszcze operacji, jednoznacznie przeczyły temu hasłu. Carlyle jeszcze przez chwilę sycił oczy bogactwem form i treści, jakie oferowało jego miasto, po czym wstał z ławki i ruszył w stronę domu. Gdy poczuł ciepły dotyk słońca na karku i twardy bruk pod stopami, uśmiechnął się do siebie.

Od Autora

Dla wszystkich powinno być zrozumiałe, że ta opowieść została od początku do końca wymyślona. Ale z niektórymi ludźmi różnie bywa, więc aby uniknąć wszelkich wątpliwości, pozwalam sobie podkreślić, że wszystkie postaci, imiona i nazwiska są zmyślane, podobnie jak ich czyny, słowa i myśli. Sytuacje, w których się znaleźli, również nie są prawdziwe. Wiem, bo mnie tam nie było. Każde słowo zawarte na tych stronach jest wytworem mojej wyobraźni. Jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych ludzi i prawdziwych sytuacji jest przypadkowe.

To pierwsza powieść o Johnie Carlyle'u. Więcej informacji znajdziecie państwo na stronach www.londoncrime.co.uk oraz www.james-craig.co.uk.

Podziękowania

Zacząłem pisać o Johnie Carlyle'u, bo myślałem, że mogę zrobić to sam. Oczywiście okazało się to niemożliwe. Winien jestem wdzięczność za pomoc wielu ludziom, więc wymienię w przypadkowej kolejności najważniejszych z nich: Polly James, Paul Ridley, Michael Doggart i Peter Lavery, a także Krystyna Green, Rob Nichols, Martin Palmer i wszyscy członkowie zespołu C&R.

Przede wszystkim muszę podziękować Catherine i Cate, które dzielnie znosiły to wszystko, kiedy powinienem był zajmować się innymi rzeczami. Ta książka, podobnie jak wszystkie pozostałe, jest dla nich.

[1] PCSO – Police Community Support Officer.

[2] INSEAD – Institut Européen d'Administration des Affaires.

[3] ang. Motto Księcia, Weseli Rzeźnicy, Siedem Gwiazd, Małpi Chwył.

[4] ang. Patelnia.

[5] Lord Snooty – bohater popularnego angielskiego komiksu; prosty młodzieniec, który został księciem.